

ZESZYT TRZYDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

ZESZYT TRZYDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 261

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE**

Piotr WANDYCZ

MSZ W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Stan badań nad polityką zagraniczną Drugiej Rzeczypospolitej można określić ogólnie jako zadawalający, a studia nad poszczególnymi zagadnieniami jako daleko zaawansowane. Prawda, że nie mamy dotąd pracy obejmującej całokształt polskiej dyplomacji Dwudziestolecia. Istnieją jednakże książki dające ogólny zarys, że wspomnę tu Romana Dębickiego, *Foreign Policy of Poland 1919-1939* lub istniejący tylko w maszynopisie skrypt Jana Starzewskiego, *Zarys dziejów polskiej polityki zagranicznej*. Brak jest również odpowiednika bądź to francuskiej serii *Documents diplomatiques*, bądź to brytyjskiej *Documents on British Foreign Policy*. Z wydawnictw seryjnych istnieje jedynie publikacja *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich* wydawana wspólnie przez Pracownię historii stosunków polsko-radzieckich PAN i Instytut Słowianoznawstwa Akademii Nauk ZSRR. Mamy też do dyspozycji niektóre wydane zbiory dokumentów MSZ odnoszące się do pewnych tematów, np. w powielanych zeszytach Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie. Do diariuszów, pamiętników i papierów poszczególnych osób przejdę za chwilę.

Celem tego artykułu jest podkreślenie potrzeby zajęcia się tematyką MSZ w sposób dotąd u nas właściwie nie praktykowany. Chodzi tu mianowicie o opracowanie samej instytucji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, struktury funkcjonowania, personelu, a wreszcie ogólnego profilu MSZ. Prac tego typu istnieje w ogóle stosunkowo niewiele. Dwadzieścia dwa lata temu wydano w Ameryce zbiorowe dzieło pt. *The Diplomats*, pionierskie w swym założeniu, starające się podejść do dyplomacji międzywojennej poprzez analizę kilku wybranych ministerstw, np. Foreign Office oraz postaci czołowych ministrów spraw zagranicznych tego okresu oraz kilku szczególnie wybitnych ambasadorów. W wypadku Polski w zbiorze znalazł się interesujący artykuł zmarłego już historyka H.L. Robertsa, *The Diplomacy*

of Colonel Beck. Nie pretendował on jednak do analizy strukturalno-socjologicznej MSZ'u. A właśnie o tego typu opracowaniu chciałbym tutaj mówić. W pewnym sensie modelem, choć nie ograniczonym tylko do tej tematyki, jest ogromna praca Hans-Adolf Jacobsena, *Nationalsozialistische Aussenpolitik 1933-1938*. Elementy analityczne, o jakie mi chodzi, znaleźć można w ciekawym artykule Aleny Gajanovej, *Ke vzniku a úkolom československé zahraniční politiky a k metodám a charakteru československé diplomacie*, który ukazał się w 1963 roku w periodyku *Mezinárodní vztahy*. Autorka podkreśla w nim interesujący kontrast pomiędzy modelem zachodnio europejskim, w którym ciągłość dyplomacji zapewniał podsekretarz stanu oraz, jak to Francuzi nazywali, *les bureaux*, a modelem czeskim, w którym osoba ministra Benesza zapewniała stałość polityczną i organizacyjną ministerstwa.

Jedynie opracowanie polskie jakie jest mi znane, ukazało się w numerze 119 (marzec 1932) *Przeglądu Współczesnego* i nosiło tytuł *Z pierwszych lat Ministerstwa Spraw Zagranicznych*. Artykuł nie był podpisany, ale według informacji udzielonych mi łaskawie przez min. Dębickiego, autorem był Kajetan Morawski. W artykule znajdujemy interesująco przedstawione początki MSZ, z zaznaczeniem dualizmu: Komitet Narodowy i Departament Stanu przy Radzie Regencyjnej. Morawski przedstawia pierwotną organizację ministerstwa, typ współpracowników, formowanie się kadr, oraz rolę wiceministra Władysława Skrzyńskiego w budowaniu zrębów tej nowej instytucji. Wydaje mi się, że podjęcie tej tematyki w oparciu o istniejącą bazę źródłową, archiwalną jak i drukowaną byłoby rzeczą nad wyraz pożyteczną i w pewnym przynajmniej stopniu nowatorską. Włączałoby też — na tym odcinku — historiografię polską do typu badań w których historia zazębia się ściśle z socjologią, politologią a nawet psychologią.

Jak przedstawiają się materiały, na których można by te badania oprzeć? Abstrahując od archiwum MSZ w Warszawie — dokumentacji departamentu personalnego — oraz publikacji MSZ jak *Rocznik Służby* itp. ilość papierów i wspomnień niedrukowanych i drukowanych jest spora. Oczywiście istnieją też ogromne luki, których nie dałoby się zapłacić, ale historyk rzadko dysponuje idealnym zestawem dokumentacji. Jeśli chodzi o ministrów spraw zagranicznych, poczynając od Wasilewskiego do zachowane są jego papiery w Polsce. Archiwum Paderewskiego, zawierające też jego wspomnienia w maszynopisie, zostało częściowo udostępnione szerszemu gronu czytelników przez wydanie czterotomowego *Archiwum politycznego. Moje wspomnienia* Konstantego Skirmunta, których kopia w maszynopisie znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej, są niestety tylko rekonstrukcją oryginału, który zagał podczas wojny. Spuścizna po Skrzyńskim ogranicza się, o ile mi wiadomo, do pewnej ilości artykułów, jednej książki i przemówień wygłaszanych w Ameryce (po angielsku). Kajetan Morawski zostawił wspomnienia: istnieją papiery August-

ta Zaleskiego; mamy wreszcie do dyspozycji raczej niefortunny *Dernier rapport* Józefa Becka.

Wśród przeróżnego typu publikacji, które zostały po polskich ambasadorach, posłach czy wysokich urzędnikach centrali, wymienić można przykładowo *Diariusz i teki* Szembeka, wydane papiery Lipskiego i Łukasiewicza, bardzo przydatne dla studium MSZ rozdziały *W walce o polskość* Tadeusza Jackowskiego i drukowane w *Zeszytach Historycznych Wspomnienia* Wiktora Tomira Drymmera. Wybór z pamiętnika pt. *Dzieje mojej służby* Alfreda Wysockiego, ukazał się niedawno pod raczej sensacyjnym tytułem *Tajemnice dyplomatycznego sejfów*. Dysponujemy wspomnieniami Gawrońskiego, Pawła Starzeńskiego, Władysława Günthera, Drohojowskiego i attaché wojskowego w Berlinie, płk. Szymańskiego. Istnieje trochę artykułów czy książek opartych na osobistych doświadczeniach w służbie zagranicznej, na przykład Karola Badera, Tadeusza Romera czy Anatola Mühlsteina. Niestety tylko znikoma część *W sojuszniczym Londynie* Edwarda Raczyńskiego odnosi się do okresu międzywojennego. Wśród niewydanych manuskryptów na uwagę zasługują papiery Zygmunta Lasockiego i Stanisława Kozickiego znajdujące się w archiwach krajowych. Oczywiście można by wymienić jeszcze wiele innych nazwisk i przyczynków, ale nawet powyższa lista wskazuje na to, że praca o MSZ mogłaby oprzeć się na dużej ilości materiałów, drukowanych i niedrukowanych.

Pragnąc sprecyzować bliżej zakres tematyki i charakter studium o MSZ, użyję tu formy kwestionariusza w nadziei, że typ pytań pozwoli na zorientowanie się o co tu chodzi. Odpowiedzi na te pytania ze strony żyjących jeszcze wyższych urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych będą nie tylko cennym komentarzem lub sugestiami odnośnie proponowanej tematyki, ale stanowić będą bardzo istotne nowe źródło dla badacza.

1. Czy i w jakim stopniu początkowy rozdział placówek pomiędzy członków Komitetu Narodowego Polskiego i przedstawicieli Lewicy zaważył na późniejszym rozwoju MSZ?

2. Czy polityka personalna przed majem 1926 dążyła do odzwierciedlenia w jakimkolwiek stopniu układu sił politycznych w kraju?

3. Czy stosunkowo duża liczba przedstawicieli arystokracji i ziemiaństwa nadawała ton i charakter MSZ'owi?

4. Czy istotnie byli dyplomaci austriaccy odgrywali dominującą rolę w MSZ i w jakim okresie?

5. Jak duży był wpływ osób, które przychodziły do MSZ z wojska i czy wprowadzali oni odmienny styl czy też przyjmowali styl MSZ?

6. Czy należy rozróżniać pomiędzy osobami, które przychodziły wprost z wojska a tymi, które uprzednio zajmowały stanowisko attaché wojskowego?

7. Czy polityka personalna, w sensie dopływu młodszej kadry upodabniała się do polityki stosowanej we Francji, Anglii lub jakimkolwiek innym państwie?

8. Jakie kryteria odgrywały główną rolę w awansowaniu na wyższe szczeble?

9. Jeśli chodzi o znajomość języków obcych, czy MSZ premiowało w jakiś sposób znajomość języków mniejszych krajów, np. Europy Środkowo-Wschodniej?

10. Czy podejmując studium socjologiczne personelu MSZ (pochodzenie, zamożność, wykształcenie etc.) byłoby celowe — dla uzyskania reprezentatywnego obrazu MSZ ograniczenie się do grupy najwyższej, obejmującej ambasadorów, posłów, radców ambasad i poselstw, pierwszych sekretarzy, a w centrali dyrektorów departamentu i naczelników wydziałów i ewentualnie ich zastępców?

11. Czy w tej najwyższej grupie pochodzenie społeczne różniło się zasadniczo od podobnych grup wysokich urzędników w innych ministerstwach?

12. Czy celowe byłoby dla uzyskania pełniejszego obrazu przesłedzenie procentowe (w powyższej grupie) ludzi którzy ukończyli wydziały prawa, humanistykę, Ecole des Sciences Politiques i inne uczelnie zagraniczne?

13. Jak ocenić można wpływ poszczególnych ministrów spraw zagranicznych na formowanie się i ukształtowanie charakteru MSZ?

14. Od listopada 1918 do maja 1926 było czternastu ministrów lub kierowników MSZ; od maja 1926 do 1939 roku tylko dwóch. Czy fakt ten odbijał się i w jakim stopniu na wewnętrznej strukturze i charakterze MSZ?

15. Jak ważna była teoretycznie i praktycznie rola wiceministra spraw zagranicznych (urząd nieistniejący na przykład formalnie w Czechosłowacji)?

16. Jaką funkcję w MSZ można by porównać z rolą sekretarza generalnego na Quai d'Orsay?

17. Czy można stwierdzić świadome wzorowanie się MSZ na jakimś modelu zagranicznym jeśli chodzi o strukturę pierwotną i jej zmiany w latach późniejszych?

18. Czy *déformation professionnelle*, zauważalna u dyplomatów europejskich, miała jakieś szczególnie polskie cechy w MSZ?

19. Czy przeciętna wieku polskich dyplomatów najwyższej grupy (według definicji w pyt. 10) odbiegała w jakiś rażący sposób od przeciętnej wieku dyplomatów Francji, Anglii, Włoch, Niemiec czy ZSSR?

Piotr WANDYCZ

Bronisław ŁOKAJ

LIKWIDACJA POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH 1945-1946¹

W czerwcu 1955 dziesięć osób zwróciło się do Bronisława Łokaja, ówczesnego posła do Rady Rzeczypospolitej Polskiej przy tzw. „Zamku”, z pisemnym wnioskiem o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie likwidacji Polskich Sił Zbrojnych i utworzenia Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Wniosek ten, pisany wkrótce po rozłamie między Zaleskim i Andersem, miał na celu w pierwszym rzędzie znalezienie winnych, podanie ich „nazwisk do wiadomości publicznej” i oddanie „ich pod sąd”. Wniosek przewidywał, iż najpierw winnych ustali specjalna komisja powołana do tego celu, a potem zostanie wszczęty przeciw nim przewód sądowy.

Poza likwidacją PSZ autorzy wniosku żądali również ustalenia odpowiedzialności za Powstanie Warszawskie.

Bronisław Łokaj przedstawiał otrzymany wniosek Radzie RP dwukrotnie, w latach 1955 i 1956, ale bezskutecznie. Wreszcie w styczniu 1959 wniosek został przyjęty i oddany do rozpatrzenia przez Komisję Wojskową pod przewodnictwem mjr. Łokaja. Praca nad tym wnioskiem trwała prawie trzy lata.

Wyniki swych badań przedstawił Łokaj na posiedzeniu Komisji Historycznej w dniu 9 grudnia 1961. Na posiedzeniu tym był obecny prezes Rady Ministrów A. Paják i minister Obrony Narodowej gen. dyw. M. Karaszewicz-Tokarzewski.

Z przytoczonego opracowania wynika, iż w dziedzinie likwidacji PSZ, tak jak i w wielu innych sprawach drugiej wojny światowej, zasadnicze decyzje były pobierane przez wojskowych, a nie przez władze cywilne. Generałowie funkcyjni, odpowie-

1. Opracowanie to przygotował do druku, dołączył tłumaczenie angielskich tekstów i zaopatrzył wprowadzeniem — Z. S. Siemaszko.

działni za wojsko którym dowodzili, kierowali się głównie dbałością o losy ludzi im podporządkowanych. Natomiast nie zapewnili oni żadnych praw dla „wrześniowców”, ani też dla AK-owców, czyniąc w tym kierunku jedynie znikome starania. Liczyli oni na nieunikniony i szybki konflikt Wschód-Zachód i dlatego chcieli za wszelką cenę zachować współpracę z władzami brytyjskimi.

Inne było podejście generałów bezfunkcyjnych. Żądali oni zatopienia okrętów i internowania wojska.

Autor przytoczonego opracowania był zwolennikiem protestów i demonstracji, stąd gdzieś tam pojawiły się bardziej agresywne stwierdzenia, które zostały opuszczone. Również zostały usunięte wywody nie mające większego znaczenia, z myślą aby tej pracy nadać charakter jak najbardziej dokumentarny. Poza opuszczeniami, w przytoczonym tekście zostały wprowadzone jedynie drobne poprawki stylistyczne.

Opracowanie Br. Łokaja ze względu na oparcie się na dokumentach ma niewątpliwą wartość historyczną.

Z. S. SIEMASZKO

WSTĘP

Koniec Drugiej Wojny Światowej stanowił zamknięcie łańcucha klęsk politycznych i wojskowych poniesionych przez Polskę w okresie rozpoczętym dnia 1 września 1939 roku, a zakończonym w dniu 8 maja 1945 roku.

.....

W końcowym etapie tego rozwoju zdarzeń rząd polski utracił oparcie w będącej pod jego bezpośrednimi rozkazami Armii Krajowej, skutkiem jej rozbicia a następnie rozwiązania. W dniu zakończenia wojny rząd polski znalazł się więc w sytuacji w której polityka jego pozbawiona była tych elementów siły, które daje posiadanie własnego terytorium i utrzymanie własnej armii.

.....

W tych warunkach jedynym elementem siły, na którym rząd polski mógł jeszcze się oprzeć, były P.S.Z. pod operacyjnym

dowództwem brytyjskim. Podzielone one były pomiędzy front niemiecki i włoski z zakładami uzupełnień rozciągniętymi przez Szkocję i Anglię, Francję i Bliski Wschód. Ponadto istniało silnie rozbudowane lotnictwo i marynarka wojenna pozostające w bardzo ścisłych związkach z R.A.F. i Royal Navy.

Praca niniejsza ma na celu wyjaśnienie okoliczności w jakich nastąpiła likwidacja tego ostatniego elementu siły, będącego do dyspozycji Rządu R.P. Punktem wyjściowym dla niej jest okres bezpośrednio przed zakończeniem wojny, a końcowym utworzeniem z żołnierzy polskich tzw. „Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia”.

Opracowanie opiera się na materiałach znajdujących się w archiwach Rządu Polskiego. Składają się na nie przede wszystkim protokoły posiedzeń Komitetu Obrony Państwa, Rady Gabinetowej i Rady Ministrów. Jest to zatem materiał jednostronny, przedstawiający rozwój wydarzeń widzianych od strony polskiej.

Opracowanie nie zajmuje się czynnościami wykonawczymi na niższych szczeblach, poprzestając na śledzeniu decyzji powstałych na poziomie najwyższych władz państwowych.

R o z d z i a ł I

WSTRZYMANIE ROZBUDOWY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

W roku 1945 organizacja polskich naczelnych władz wojskowych nosiła charakter niepraktykowany nigdzie w świecie. W najtrudniejszych dla Polski chwilach, gdy Druga Wojna Światowa miała się ku końcowi, na czele P.S.Z. stał Naczelny Wódz z miejscem pobytu w niewoli niemieckiej. Generał pełniący obowiązki Naczelnego Wodza przebywał we Włoszech dowodząc jednocześnie 2-gim Korpusem, walczącym na tym terenie wojennym. W Londynie urzędował szef sztabu w uciążliwej roli łącznika pomiędzy władzami państwa, a p.o. Nacz. Wodza.

.....

Rozpoczynając wojnę polskie naczelne władze wojskowe korzystały z uprawnień tak szerokich, jakich odpowiednika brakło

w ustrojach państw nowoczesnych, nie wyłączając państw totalitarnych¹.

Jeśli więc po przegranej kampanii wrześniowej szukano dróg dla znalezienia lepszego rozwiązania prawnego organizacji władz wojskowych, w której dopatrywano się między innymi przyczyny klęski, rozwiązania te szły po linii ograniczenia olbrzymich uprawnień Naczelnego Wodza. Po tej też linii szły reformy prawne gen. Sikorskiego wysuwając rząd na pierwszy plan w ogólnym kierownictwie działaniami wojennymi². Reformy te nie zmieniały jednakże w niczym aktualnego układu sił politycznych. Na czym bowiem tracił w uprawnieniach gen. Sikorski jako Nacz. Wódz, to uzyskiwał gen. Sikorski jako Prezes Rady Ministrów lub Minister Obrony Narodowej. Jednocześnie zaś z tymi zmianami w organizacji naczelnych władz wojskowych usiłowania zarówno premierów jak i stronnictw szły w kierunku ograniczenia władzy Prezydenta³. Usiłowania te uwieńczone zostały powodzeniem. Skrępowany różnymi interpretacjami tzw. „umowy paryskiej” Prezydent R.P. nie był w stanie wykonywać swych czynności zwierzchnika sił zbrojnych w sposób przewidziany przepisami konstytucji. Wynikiem tego był ów najdziwniejszy w świecie stan organizacji naczelnych władz wojskowych. Dopiero objęcie prezesury rady ministrów przez T. Arciszewskiego, który nie przejawiał obaw przed wybujałą — w pojęciu jego poprzedników — władzą Prezydenta, pozwoliło na wzmocnienie tej władzy w sposób zarówno prawidłowy z punktu widzenia konstytucji, jak i zgodny z potrzebami chwili. Nienormalnego systemu dowodzenia Siłami Zbrojnymi nie dało się z wielu przyczyn zmienić z dnia na dzień. Można go było jedynie sprowadzić na bardziej odpowiedzialną drogę przez przywrócenie częściowo zarzuconych uprawnień Prezydenta R.P. jako zwierzchnika Sił Zbrojnych. Nastąpiło to mocą dekretu Prezydenta R.P. z dnia 15 marca 1945

1. Olbrzymie uprawnienia Naczelnego Wodza, które przyznawał mu dekret o organizacji naczelnych władz wojskowych z 1 września 1939 roku, mają tylko jeden odpowiednik w uprawnieniach wykonywanych przez gen. Ludendorffa w ostatniej fazie I Wojny Światowej. Istnieje na ten temat spora literatura lecz sam Ludendorff najlepiej opisuje swoją rolę i poglądy w książce „La Conduite de la guerre et la politique” (Berger-Lavruault, Paris, 1928). Z autorów polskich zajmuje się tym zagadnieniem gen. Sikorski (Modern Warfare, Roy Publishers, New York, 1943) w rozdziale „The Powers of the Government”, str. 83.

2. Mjr dr Ludwik Zakrocki, „Rówń organizacji naczelnych władz wojskowych na tle ustawodawczym”. Wydział studiów Instytutu J. Piłsudskiego, Londyn, 1952.

3. Płk dr Stanisław Biegański, „Organizacja naczelnych władz sił zbrojnych w okresie 1936-1946”. Wydział studiów Instytutu J. Piłsudskiego, Londyn, 1952.

roku powołującego do życia organ doradczy Prezydenta w sprawach dotyczących obrony państwa pod nazwą Komitetu Obrony Państwa⁴. Nowy organ był w rzeczywistości wskrzeszeniem istniejącego przed wojną Komitetu Obrony Rzplitej zniesionego na czas wojny w myśl teorii nieodpowiedzialności Naczelnego Wodza przed żadnym ciałem zbiorowym⁵.

Istotną różnicą w statucie nowego ciała w porównaniu z jego poprzednikiem było powierzenie funkcji zastępcy przewodniczącego Prezesowi Rady Ministrów miast Nacz. Wodzowi. Jak widać z tego, organizacja Komitetu dawała wyraz dokonanej w czasie wojny ewolucji w kierunku zwierzchności rządu nad władzami wojskowymi. Natomiast po raz pierwszy od wybuchu wojny Prezydent jako przewodniczący Komitetu uzyskał bezpośredni wpływ na kształtowanie się polityki użycia sił zbrojnych oraz ich organizacji. Pod tym względem zmiana była doniosła. Oznaczała bowiem, że ograniczony w wykonywaniu swych uprawnień do aktów formalnych Prezydent, zyskiwał w Komitecie forum, na którym mógł wywierać wpływ w dziedzinie czysto materialnych uprawnień. Nie ulega wątpliwości, że powodowany odpowiedzialnością zwierzchnika sił zbrojnych Prezydent Raczkiewicz widział w Komitecie Obrony Państwa organ umożliwiający sprawne planowanie i formułowanie decyzji, których dotychczasowy stan rzeczy nie zapewniał. Wraz z utworzeniem Komitetu Obrony Państwa polskie kierownictwo wojną upodobniło się do przyjętego w państwach sojuszniczych systemu⁶. Było to późne lecz niewątpliwie konieczne rozwiązanie.

O tym jak szeroki zasięg zagadnień w sprawach dotyczących państwa miał być przedmiotem prac Komitetu daje pojęcie wstępny artykuł dekretu:

4. Dekret Prezydenta R.P. z 15 marca 1945 o zmianie dekretu z 27 maja 1942 o organizacji naczelných władz wojskowych w czasie wojny. (Dz. URP, Nr 3 z 9. 4. 1945).

5. Komitet Obrony Rzeczypospolitej został ustanowiony dekretem Prezydenta R.P. z 9 maja 1936 (Dz. URP Nr 38 z 12. 5. 1936). Zniósł go dekret Prezydenta R.P. z 1 września 1939 roku (Dz. URP Nr 86 z 1 września 1939).

6. Dla przykładu wystarczy wymienić system angielski, który ma za sobą tradycję wydajnej pracy w czasie wojny. Polegał on na pracy Defence Council pod przewodnictwem premiera, która miała za zadanie pobieranie decyzji w zakresie ogólnego kierownictwa wojny. Od strony kierownictwa politycznego Defence Council została opisana przez Churchilla (W. C. Churchill, „The Second World War”, Cassel, London). Od strony kierownictwa wojskowego: Arthur Bryant, „The turn of the tide” i „Victory in the West” (A study based on the diaries and autobiographical notes of F/M The Viscount Alanbrooke).

„Komitet wydaje opinie w sprawach dotyczących obrony Państwa, a w szczególności w sprawach:

- a) zasadniczych decyzji związanych z prowadzeniem wojny,
- b) dostarczania środków i zasobów do prowadzenia wojny,
- c) odtworzenia sił zbrojnych w oswobodzonym Państwie,
- d) planu przejścia sił zbrojnych ze stanu wojny do stanu pokoju,
- e) wniosków i dezyderatów Naczelnego Wodza”⁷.

Szeroki zasięg zagadnień nie oddaje jeszcze w pełni doniosłości prac Komitetu. Każde bowiem z poruszonych zagadnień w uprzednio opisanej sytuacji politycznej, posiadało swą wagę bez porównania większą niż w warunkach normalnego bytu państwowego. Przy omawianiu każdego z nich piętrzyły się trudności i warunki, które poddawały w wątpliwość możliwości wykonawcze.

Pierwsze posiedzenie Komitetu Obrony Państwa

Nadzieje związane z powołaniem do życia K.O.P. zostały wyrażone przez Prezydenta Raczkiewicza na pierwszym posiedzeniu tego Komitetu. Nadzieje te okazały się usprawiedliwione. Pierwsze już bowiem posiedzenie Komitetu skończyło się postanowieniem dokonania pierwszego kroku na drodze do likwidacji P.S.Z. Nie istnieją przesłanki wskazujące na to iż krok ten dokonany został z pełną świadomością jego skutków przez biorących udział w obradach. Dlatego też obrady Komitetu tym bardziej zasługują przede wszystkim na uwagę jako wprowadzające w atmosferę czasów i umysłów.

Od chwili wejścia w życie dekretu Prezydenta R.P. z dnia 15 marca 1945 do chwili pierwszego posiedzenia Komitetu upłynęło sporo czasu, a tymczasem wojna miała się ku końcowi. Właściwie w dniu 5 maja, gdy powołani na obrady członkowie Komitetu pojawili się w siedzibie rządu było już dla każdego z nich jasne, że wojna jest skończona⁸.

W posiedzeniu wzięli udział następujący członkowie:
Przewodniczący Prezydent R.P. W. Raczkiewicz
Zastępca przewodniczącego Prezes R.M. T. Arciszewski

7. Dekret Prezydenta R.P. z 15 marca 1945 roku o zmianie dekretu z 27 maja 1942 o organizacji naczelných władz wojskowych w czasie wojny, Art. 9.

8. Protokół I posiedzenia Komitetu Obrony Państwa 5 maja 1945. Gab. Wojsk. Prez. R.P., ARP,teczka R/1-m, akt Nr 2. Protokołował Szef Gab. Wojsk. Prezydenta R.P. gen. bryg. Stefan Dembiński.

Członkowie

”

”

”

”

”

”

p.o. Nacz. Wodza gen. W. Anders
Min. Spraw Zagr. A. Tarnowski
Min. Przem. Han. i Żegl. J. Kwapiński
Min. Spraw Wewn. Z. Berezowski
Min. Sprawiedliwości B. Kuśnierz
Kier. M.O.N. gen. M. Kukiel
Szef Szt. N.W. gen. S. Kopański.

Porządek obrad przewidywał trzy punkty:

1. Zagajenie posiedzenia przez Prezydenta R.P.
2. Referat p.o. Nacz. Wodza o rozwoju i obecnej sytuacji Polskich Sił Zbrojnych.
3. Referat kier. M.O.N. w sprawach jeńców i wysiedleńców na kontynencie.

W zagajeniu posiedzenia Prez. Raczkiewicz wyraził nadzieję, że K.O.P. „*przyczyni się do skoordynowania i zharmonizowania działalności naczelnych władz państwowych w sprawach dotyczących obrony państwa, mając na względzie rozwój sił zbrojnych jako jedno z fundamentalnych zagadnień działalności rządu*”.

W tych zdaniach Prezydenta R.P. rozpoczynających pierwsze posiedzenie K.O.P. mieściła się synteza poglądów władz polskich na sytuację polityczną. Odwrotnie niż dla państw kończących właśnie zwycięsko Drugą Wojnę Światową główną troską rządu Polskiego „fundamentalnym zagadnieniem” stojącym przed nim była nie demobilizacja lecz dalsza rozbudowa sił zbrojnych. Jak na rząd bez własnego terytorium, znajdujący się wobec zapowiedzi cofnięcia mu uznania przez sojuszników, był to program idący bardzo daleko. Był on oczywiście zgodny z polską racją stanu z której punktu widzenia, wojna bynajmniej zakończoną nie była.

Rozpoczynając drugi punkt porządku dziennego gen. Anders przedstawił zebranym skrót rozwoju i działania P.S.Z. pod dowództwem angielskim. Przytoczył on między innymi cyfry strat poniesionych przez poszczególne Wielkie Jednostki stwierdzając, iż stosunkowo tanio okupiły one znamienne zwycięstwa⁹. W omówieniu aktualnych poczynąń władz wojskowych wspomniął o swoich rozmowach z Szefem Imp. Szt. Głównego (CIGS) marsz.

9. Cyfry podane przez gen. Andersa:

straty 2-go Korpusu — 2.700 oficerów, 10.000 szereg.
straty 1-szej Dywizji Pancernej — 800 oficerów, 2.700 szereg.
straty Marynarki Wojennej — 30 oficerów, 409 szereg.
straty Lotnictwa — 912 oficerów, 1.307 szereg.

Cyfry te nie mogły być ostateczne przed zakończeniem działań wojennych, lecz bynajmniej nie były małe. Zwraca w nich uwagę wybitnie wysoki stosunek strat wśród oficerów w porównaniu z szeregowymi.

Alanbrooke, w których przedstawiał postulat połączenia P.S.Z w jedną całość. Z wypowiedzi gen. Andersa nie wynikało czy marsz. Alanbrooke wyraził swą zgodę na połączenie PSZ, czy też zgody swej odmówił. Prawdopodobnie nie uczynił ani jednego, ani drugiego. Na podstawie protokołu K.O.P. można jednak dojść do wniosku, że dokonanie połączenia PSZ miało widoki na urzeczywistnienie. Dla wyjaśnienia zagadnienia połączenia PSZ należy w tym miejscu podać, iż podstawę prawną postulatów polskich stanowiła umowa wojskowa polsko-angielska z dnia 5 sierpnia 1940 roku postanawiająca, że:

„W zasadzie wszystkie jednostki PSZ będą użyte w taki sposób, aby stanowiły jedną formację operacyjną, na jednym teatrze operacyjnym, pod dowództwem polskiego dowódcy na tym teatrze lub dowódcy przezeń mianowanego”.

Podstawa ta była więc bardzo mocna, lecz ponieważ dwó polskie nie zabiegało o jej urzeczywistnienie dostatecznie silnie w latach poprzednich, przeto szanse osiągnięcia na nią zgody angielskiej w końcowym etapie wojny były znikome. Nie wchodziły już w to trudności natury technicznej lecz przede wszystkim względy polityczne. Zabiegi o połączenie czynił gen. Kopański w okresie poprzedzającym mianowanie gen. Andersa p.o. Nacz. Wodza. Nie doprowadziły one do niczego. Kontynuował je gen. Anders. Zostały one opisane w dzienniku wojennym marsz. Alanbrooke¹⁰. Z dziennika tego dowiadujemy się, że gen. Anders przedstawił marszałkowi po raz pierwszy swoje plany w rozmowie w dniu 24 stycznia 1945 roku¹¹.

10. Arthur Bryant, War Diaries of F/M Alanbrooke.

11. Arthur Bryant, str. 389:

„January 24, 1945. This afternoon Anders, back from Italy, came to see me about the future of the Polish Forces. Apparently they are anxious to start planning for the eventual assembly of Polish Forces in France and to form them into an army with Anders at its head. They do not want to return from Italy to Poland via Vienna, as they consider this likely to lead to a clash with the Russians. They would sooner join up in France and swell their numbers with the Poles from Germany, gradually returning through Germany and if necessary, carrying out a period of occupation of Germany. I foresee that this may well lead to many complications politically and must discuss this matter with A. Eden”.

(„24 stycznia 1945. Dziś po południu Anders, powróciwszy z Włoch, przybył zobaczyć się ze mną w sprawie polskiego wojska. Wygląda, że chcą oni rozpocząć planowanie zgromadzenia wojska polskiego we Francji i zorganizowanie go jako armii pod dowództwem Andersa. Nie chcą oni wracać z Włoch przez Wiedeń do Polski, ponieważ sądzą, iż to mogłoby doprowadzić do starcia z Rosjanami. Woleliby oni połączyć się we Francji, zwiększyć swą ilość Polakami z Niemiec i stopniowo wracać przez Niemcy, a jeżeli potrzeba, pozostać na pewien czas w Niemczech na okupacji. Przewiduję, iż mogłoby to doprowadzić do wielu politycznych komplikacji, więc muszę przedyskutować tę sprawę z A. Eden'em”).

.....
.....
Nie trudno się domysleć, iż min. Eden polecił szefowi sztabu do połączenia PSZ nie dopuścić.

W drugiej rozmowie z gen. Andersem odbytej w dniu 22 lutego 1945 marsz. Alanbrooke okazał wiele osobistego współczucia dla sytuacji Polski lecz nie posunęło to w niczym sprawy połączenia PSZ. Zapewne z ulgą dowiedział się z ust gen. Andersa iż nie ma on żadnych planów i nie widzi wyjścia z sytuacji¹².

Trzecią rozmowę z CIGS odbył gen. Anders na trzy dni przed pierwszym posiedzeniem K.O.P. Oświadczył on w ciągu rozmowy iż po połączeniu PSZ¹³ w Niemczech, ma on nadzieję

12. Arthur Bryant, str. 418:

„February 22. 1945. Finally a very trying hour with Anders... He said that he had never been so distressed since the war started. When in a Russian prison he was in the depth of gloom, but he did then always had hope. Now he could see no hope anywhere. His wife and children were in Poland and he could never see them again; that was bad enough. But what was infinitely worse was the fact that all the men under his orders relied on him to find a solution to this insoluble problem. They all said „Oh! Anders will go to London and will put the matters right to us”, and he, Anders, saw no solution and this kept him awake at night. I felt most awfully sorry for him; he is a grand fellow and takes the whole matter terribly hard”.

(„22 lutego 1945. Na zakończenie bardzo bolesna godzina z Andersem... Powiedział on, że od początku wojny nie był tak strapiony. W czasie pobytu w rosyjskim więzieniu był pogrążony w rozpacz, ale wówczas miał stale nadzieję. Teraz nie widzi on nigdzie nadziei. Jego żona i dzieci są w Polsce i nigdy już ich nie zobaczy; to jest wystarczająco złe. Ale co jest nieskończenie gorsze, to fakt, że wszyscy żołnierze pod jego rozkazami oczekują od niego znalezienia rozwiązania tego nierozwiązalnego problemu. Oni wszyscy mówią: „Och, Anders pojedzie do Londynu i rozwiąże nasze sprawy”, a on, Anders, nie widzi rozwiązania i to odbiera mu sen w nocy. Współczułem mu jak najbardziej; on jest wspaniałym człowiekiem i traktuje całą sprawę bardzo poważnie”).

13. Arthur Bryant, str. 453:

„May 2nd 1945. This afternoon Anders again came to see me, having returning from visiting his Corps of the Poles in Italy. He says there are at least one milion Poles in Western Europe whom he can (and wishes to) get hold of to swell his forces. He wishes to take part in the occupation of Germany and then has wild hopes of fighting his way home to Poland through the Russians!

A pretty desperate problem the Polish Army is going to present us with”.

(„2 maja 1945. Dziś po południu, powróciwszy z inspekcji swego polskiego korpusu we Włoszech, Anders przybył znowu, aby się ze mną zoba-
czyć. Powiada on, iż w zachodniej Europie znajduje się co najmniej milion Polaków, których on może (i chce) opanować, aby rozbudować swe wojsko. Chce on brać udział w okupacji Niemiec, a dalej ma niepoczytalne nadzieje wywalczenia drogi powrotnej do Polski poprzez Rosjan! Armia polska postawi przed nami rozpaczliwy problem”).

wywalczenia sobie drogi do Polski przez armię sowiecką. Oznaczało to ni mniej ni więcej tylko wojnę PSZ z Sowietami. Dla marsz. Alanbrooke, który z Sowietami nie myślał wszczynać wojny znaczyło to, że PSZ należy trzymać rozdzielone za wszelką cenę do czasów ostatecznych decyzji... Na posiedzeniu K.O.P. gen. Anders przedstawił zebranym „obraz zamierzeń sztabowych po złączeniu wszystkich części PSZ obecnie rozdzielonych”, należ z tego wnosić, że na to połączenie liczył¹⁴...

14. Gen. Anders nie zakończył na tym swych zabiegów. Po wyjeździe z Londynu prowadził je nadal w rozmowach z gen. Eisenhowerem i jego szefem sztabu gen. Grasset i z gen. de Guigand (szef sztabu 21 Grupy Armii).

Rozmówcy jego nie oponowali planom połączenia PSZ wskazując jednak, że decyzje w tej sprawie nie należą do nich lecz do czynników politycznych. Tymczasem rząd polski nie będąc o tych zabiegach informowanym, dowiadywał się o nich z niedyskrecji prasy angielskiej.

Min. Spraw Zagr. p. Tarnowski pisał: „Min. Spraw Zagr. nie jest wiadome, czy i jakie starania były istotnie podjęte ze strony naszych władz wojskowych oraz jaki jest ich plan w tej kwestii. Sprawa ma oczywiście charakter wyraźnie polityczny i powinna być w pełni uzgodniona z MSZ, zarówno co do sposobu, drogi i czasu jej postawienia wobec czynników anglo-amerykańskich”.

Protokoły konferencji gen. Andersa z gen. Grasset w SHAEF, i.e. w dniu 10 maja 1945 i z szefem sztabu 21 Grupy Armii 14 maja 1945.

ARP, MSZ,teczka dokumentacji wojskowej P. II. Ścisłe tajne. Notatka min. Tarnowskiego do rozmowy z płk. Piątkowskim, Londyn, 28. 5. 1945. ARP, MSZ, tamże artykuł w *Yorkshire Post* z 24. 5. 1945, pod tytułem „Polish Perplexity”:

„I understand that an approach was recently made by the Polish military authorities to the War Office to find out whether Polish troops could be part of the occupying force in the British zone of occupation in Germany. The Poles argued that the employment of their troops would enable many British soldiers to be released and returned to Britain. The War Office, I am told, turned down the Polish proposal. A similar approach has now been made to the American authorities. Though the European war is over, the strength of the Polish army controlled by the London Polish Government appears to be growing. Many Poles who have been working as slave labourers in Germany and have now been liberated by the Anglo-American Armies are joining the Polish Army. This may have political repercussions in view of the present state of Russo-Polish relation.

Another thorny matter is the future of some 2.000.000 Poles now living in the British and American zones of occupation. The London Polish Government claim that, being still recognised by Britain and America, they (the Polish Government) are entitled to look after them. The Russians are meanwhile pressing the British and American Governments to return these Poles concerned whether they now desire to return to Poland”.

(„Polskie zawikłanie. Dotarło do mnie, iż polskie czynniki wojskowe zwróciły się ostatnio do War Office z zapytaniem, czy polskie oddziały mogą wchodzić w skład wojsk okupacyjnych w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Polacy argumentowali, iż użycie ich oddziałów do tego celu umożliwi zwolnienie i powrót do Wielkiej Brytanii wielu żołnierzy brytyjskich. Jak mi wiadomo, War Office odrzucił tę propozycję. Podobna sugestia została ostatnio przedłożona czynnikom amerykańskim. Chociaż wojna

Gdy po referacie gen. Andersa zabrał głos premier Arciszewski, przemówienie jego nacechowane było znacznym optymizmem. Widział on przed rządem tylko jedną politykę: „wojsko rozbudować i utrzymać w pogotowiu” ponieważ „Brytyjczycy potrzebują wojska naszego nadal, a nawet rząd jest im na wszelki wypadek dogodny”. Na zapytanie min. Berezowskiego jak się przedstawia sprawa zaopatrzenia PSZ i jak się ona zapowiada na przyszłość, odpowiedział gen. Anders, że jest ono najnowocześniejsze, natomiast o jego przyszłości rozstrzygnie polityka. Gen. Kukiel uzupełnił, odpowiedź wskazaniem, że zaopatrzenie oparte jest na dostawach *lend-leas*’u, a zatem będzie dostarczane tak długo jak trwa wojna.

Trzeci punkt porządku dziennego wymaga od razu na wstępie omówienia. Omawianie spraw jeńców i wysiedleńców na kontynencie wydaje się na pozór tematem mającym mało wspólnego z ogólnymi zagadnieniami obrony państwa. Jednakże po utraceniu własnego terytorium teren Niemiec był tym, który je w pewnym sensie zastępował. Tam bowiem przebywały rzesze Polaków, których ogólna ilość nie była jeszcze ujęta statystycznie lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa dochodziła do miliona¹⁵. Właśnie tam zatem istniały olbrzymie możliwości uzupełnień dla PSZ o których mówił gen. Anders marsz. Alanbrooke. Zaznaczyć przy tym trzeba, że planując zgromadzenie jednostek polskich na terenie Niemiec, sztab polski miał nadzieję, że w ten sposób powstanie tam polska strefa okupacyjna, na wzór projektowanych czterech innych. Taki rozmiar zagadnienia usprawiedliwiał całkowicie omawianie go na szczelbu K.O.P. Gen. Kukiel w referacie swoim przedstawił naprzód sytuację oswobodzonych Polaków, ich potrzeby materialne, kulturalne oraz możliwości ich rozmieszczenia. Następnie zaś referował plan sojuszniczy dotyczący

europańska została zakończona, wydaje się, że Polska Armia kontrolowana przez rząd polski w Londynie rozrasta się nadal. Wielu Polaków, którzy pracowali jako przymusowi robotnicy w Niemczech i zostali ostatnio uwolnieni przez angielsko-amerykańskie armie, wstępuje do polskiego wojska. Biorąc pod uwagę obecne stosunki rosyjsko-polskie, może to mieć skutki polityczne. Drugim palącym problemem jest przyszłość około dwóch milionów Polaków, przebywających obecnie w brytyjskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej. Rząd polski w Londynie stoi na stanowisku, że jako rząd w dalszym ciągu uznawany przez Wielką Brytanię i Amerykę, ma prawo opiekowania się tymi Polakami. W międzyczasie Rosjanie wywierają presję na rząd brytyjski i amerykański, aby tych Polaków repatriować bez względu na to, czy oni chcą obecnie wracać do Polski”. — Angielski tekst ostatniego zdania jest zniekształcony, w tłumaczeniu podane jest najbardziej prawdopodobne jego brzmienie).

15. Protokół I posiedzenia KOP. Według SHAEF cyfra wyniosła 800-850 tys. jednakże gen. Kukiel wymienił także cyfrę 1,5 miliona.

przyszłości uchodźców, powstały w naczelnym dtwie i przez nie popierany.

Plan SHAEF'u (*Supreme Headquarters Allied Expeditionary Forces*) polegał na unieruchomieniu masy uchodźców i zatrzymaniu ich w obozach. Nosił on nazwę planu „trwania w miejscu” (*stay put*). Stanowił część i warunek obszerniejszej koncepcji stworzenia w Niemczech tzw. „Małej Polski”¹⁶ (*Little Poland*). Nazwa miała dla polskiego ucha przyjemne brzmienie lecz kryła w sobie fakt, że „Małą Polską” miał rządzić SHAEF, a potem UNNRA. Najważniejszym jednak skutkiem planu *stay put* było odcięcie źródła uzupełnień dla PSZ, na które miał nadzieję sztab polski w swoich planach rozbudowy. Realizacja koncepcji sojuszniczej uniemożliwiała wcielenie do szeregów takiej ilości uchodźców i byłych jeńców, która czyniła zadość koncepcji rozbudowy sił zbrojnych, o ile nie uniemożliwiała przeprowadzenia rekrutacji w ogóle. Mimo tego, referent gen. Kukiel wypowiedział się za przyjęciem planu sojuszniczego. Na poparcie swego poglądu przytoczył zdanie płk. Drexel-Biddle¹⁷ z SHAEF'u: „pozwólcie na naszą inicjatywę, a będziecie zadowoleni”.

Były oczywiście i inne argumenty za przyjęciem planu *stay put*. Dotyczyły one trudności wzięcia na siebie zadania opieki nad wszystkimi uchodźcami przez rząd polski i te argumenty zostały uwzględnione w dyskusji, natomiast opinie przeciwnie planowi nie zostały wypowiedziane.

Prezydent Raczkiewicz reasumując obrady stwierdził, że: „w danej chwili brak jest dostatecznych elementów do oceny naszego politycznego położenia i dlatego stworzenie generalnego planu jest niemożliwe”. Zatwierdził zgodę na sojuszniczy plan *stay put*, zastrzegając iż należy uzyskać szeroki samorząd w obozach, gwarantujący uchodźcom „zdrowie fizyczne i psychiczne na okres przetrwania”.

Analizując przebieg obrad 1-go posiedzenia K.O.P. łatwo jest stwierdzić, że wyniki ich prowadziły do następujących konkluzji:

- a) Przez przyjęcie sojuszniczej koncepcji *stay put* polityka rozbudowy sił zbrojnych została pozbawiona możliwości wykonania.
- b) Skutkiem uniemożliwienia rekrutacji do PSZ ich koncentracja w sile dostatecznej dla wywarcia politycznej presji lub też nawet zbrojnego marszu do Polski nie mogła być poważnie brana pod uwagę.

16. Według protokołu.

17. Col. Drexel-Biddle, do 1944 roku ambasador USA przy Rządzie R.P. (oraz przy innych rządach uchodźczych) przeniesiony do służby czynnej w SHAEF.

- c) Zaopatrzenie PSZ na czas dłuższy było wątpliwe skutkiem wstrzymania dostaw *lend-lease* po zakończeniu wojny.

Ustalenie tych faktów powinno było w konsekwencji doprowadzić do całkowitej rewizji zadeklarowanej przez premiera polityki rządu. Jednakże fakty te nie zostały na posiedzeniu Komitetu ani ustalone, ani zrozumiane. Nie oznacza to, że przyjęcie planów sojuszniczych stanowi samo przez się podstawę do zarzutów pod adresem członków Komitetu; można bowiem założyć iż możliwości realizacji własnego planu były znikome. Natomiast całkowite przeoczenie konsekwencji jakie wynikały z przyjęcia sojuszniczego planu, a które zostały podane powyżej, wzbudza poważne zastrzeżenia.

.....

Pełnego zrozumienia postępowania członków K.O.P. nie sposób jest uzyskać bez wczucia się w atmosferę czasu i okoliczności. Była to niewątpliwie atmosfera bezradności wobec wypadków. Ilość elementów potrzebnych do oceny sytuacji politycznej była wystarczająca choćby tylko na podstawie ujawnionych na posiedzeniu faktów, jednakże składały się one na obraz niesłychanie groźny dla przyszłości rządu i Polski. Możliwości działania były niewątpliwie małe. W takiej sytuacji członkowie K.O.P. woleli poprzestać na stwierdzeniu Prez. Raczkiewicza, że elementów do planowania nie ma w ogóle.

Poprzestanie na tego rodzaju przypuszczeniach byłoby jednak znacznym uproszczeniem. Jedno zdanie wypowiedziane przez Prezydenta Raczkiewicza wyjaśnia w dużej mierze zarówno stan umysłów jak i postępowanie obecnych. To wyjaśnienie znajduje się w słowach „na okres przetrwania”.

... W umysłach członków K.O.P. słowa te wyrażały pewną oczywistą prawdę której nie potrzeba było wówczas wyjaśniać. Okres przetrwania oznaczał czas dzielący chwilę współczesną od wybuchu wojny z Sowietami. Ten czas był z założenia krótki. Nie można bowiem godzić się na zamknięcie ludzi w obozach na czas nieograniczenie długi. Być może miał to być rok być może mniej. Zbyteczne jest udowadnianie na tym miejscu, iż taka w rzeczywistości była opinia rządu polskiego. Potwierdzeniem jej jest pamięć wszystkich prawie świadków żyjących i działających w owych czasach. Znajduje ona potwierdzenie w głosach prasy, w przemówieniach przywódców politycznych i wojskowych, w ogólnej opinii Polaków w Polsce i za granicą, którą rząd podzielał i w którą wierzył. Z całą pewnością przekonanie o rychłym wybuchu wojny podzielały władze wojskowe (co będzie udowodnio-

ne później), a to z kolei wywierało wpływ decydujący na opinię rządu.

Wracając zatem do wyników obrad K.O.P. i oceniając je z punktu widzenia przekonania o wybuchu wojny rozumiemy, że sprzeczność między założeniami polityki a powziętymi decyzjami była pozorna. Cała polityka bowiem opierała się na założeniu przetrwania, a zatem rezygnacja z tych czy innych zasad lub planów miała również charakter z założenia tymczasowy. Pozwalało to na przetrwanie bez wstrząsów chwilowo złej koniunktury. Z tego punktu widzenia pozbawienie się możliwości rozbudowy sił zbrojnych nie mogło być uważane za niosące w sobie zapowiedź groźnych konsekwencji, gdyż władze państwowe były przekonane, że po okresie wstrzymania rekrutacji przyjdzie okres przygotowań wojennych, a wówczas możliwości planowej rozbudowy będą te same jak w chwili ich zniknięcia. Do tej to niedalekiej przyszłości uchodźcy mieli przetrwać w obozach „zachowując zdrowie psychiczne i fizyczne” dla spełnienia oczekujących ich zadań.

Na zakończenie należy zwrócić uwagę, iż mimo swej politycznej bezsilności rząd polski był wciąż jedynym, suwerennym, wciąż jeszcze za taki uważanym rządem Rzeczypospolitej. Wciąż jeszcze opinia jego i zgoda były poszukiwane przy rozwiązywaniu problemów technicznych, jakimi między innymi był problem uchodźców. Do współpracy z SHAEF'em był w tym celu powołany liczny korpus oficerów łącznikowych, których podległość rządowi polskiemu nigdy nie była poddana w wątpliwość. Bezwarunkowa zgoda na koncepcje sojusznicze dotyczące obywateli polskich mogła tylko upewnić sprzymierzonych w przeświadczeniu, że eliminacja czynników polskich z wpływu na los uchodźców będzie sprawą łatwą do przeprowadzenia. Eliminacja ta nastąpiła szybciej niż się tego spodziewano. Już w dniu 5 czerwca 1945 płk Szymański (US Army) z SHAEF'u, twórca planu „Małej Polski”, zakomunikował rządowi, iż nie życzy sobie żadnych postulatów z jego strony. Doradzał „dla dobra naszej sprawy”, aby rząd zaprzestał zwracania się do niego inaczej jak przez Szefa Sztabu. Ledwo więc Rząd R.P. wyraził swą zgodę na plan sojuszniczy, gdy SHAEF uzyskawszy wszystko, co było w planie, odmawiał wszelkich z nim rozmów, wyprzedzając tym o miesiąc formalne cofnięcie uznania przez rządy sojusznicze¹⁸.

18. Meldunek telefoniczny z Paryża. Telefonuje płk Iliński odbiera w Londynie mjr J. Lipski. Notatka z rozmowy podpisana przez mjr. Lipskiego.

Rozdział II

ZNIESIENIE KONSTITUCYJNEJ STRUKTURY WŁADZ WOJSKOWYCH

W trzy dni po pierwszym posiedzeniu K.O.P. Druga Wojna Światowa zakończyła się bezwarunkową kapitulacją Niemiec. PSZ zatrzymane w granicach najdalszego zasięgu działań wojennych przeszły do pełnienia obowiązków okupacyjnych w Niemczech i we Włoszech. W końcu maja gen. Bór-Komorowski po przybyciu z niewoli wszedł w swoje obowiązki Naczelnego Wodza w związku z czym gen. Anders powrócił 28 maja 1945 na dowództwo 2-go Korpusu.

W tym czasie M.O.N. przygotowywało pierwsze zarządzenie demobilizacyjne. Dnia 25 czerwca 1945 roku został wniesiony na Radę Ministrów projekt zarządzenia Prezydenta R.P. o częściowej demobilizacji¹. Dotyczył on osób, które rozpoczęły służbę wojskową przed 1 stycznia 1944 roku, a które przed 1 września zamieszkiwały zagranicą². Zaraz po tym, bo w dniu 30 czerwca MON wydało rozporządzenie, w którym ustalało, że częściowa demobilizacja ma się odbywać na podstawie indywidualnych próśb zainteresowanych³. Rozporządzenie nie wspominało jakich kategorii osób demobilizacja ta dotyczy. 3 lipca zarządzenie Prezydenta R.P. o demobilizacji zostało rozszerzone na wszystkich żołnierzy bez względu na ich rocznik⁴. Wreszcie dnia 5 lipca zarządzenie Prezydenta R.P. rozciągało indywidualną demobilizację na wszystkich żołnierzy bez względu na datę wcielenia⁵.

1. Protokół posiedzenia Rady Ministrów 25. 6. 1945. ARP. Gab. Wojsk. Prez. T. V. a. Nr 44.

2. Projekt wniesiony na posiedzeniu Rady Ministrów wymienionym wyżej.

3. Dz. URP. Nr 9 z 4. 7. 1945. Rozporządzenie M.O.N. z 30. 6. 1945.

4. Ten sam Dz. URP cz. II. Zarządzenie Prezydenta R.P. z 3 lipca 1945 o rozszerzeniu zakresu częściowej demobilizacji.

5. Dz. URP Nr 10 z 5 lipca 1945, cz. II. Zarządzenie Prezydenta R.P. z 5 lipca 1945 o dalszym rozszerzeniu zakresu częściowej demobilizacji. W tym samym Dz. U. ukazał się dekret Prezydenta R.P. z 3 lipca 1945 o przekazywaniu uprawnień Min. Obrony Narodowej w stosunku do Sił Zbrojnych i sądownictwa wojskowego poza granicami kraju. Dekret ten zezwalał Min. Obr. Nar. na przekazywanie swych uprawnień Nacz. Wodzowi. Na razie nie miało to bezpośredniego wpływu na organizację sił zbrojnych, lecz w świetle dalszych zmian dekret ten stanowił wstęp do całkowitego przekształcenia struktury władz wojskowych. Nim jeszcze wyłoniła się kwestia przekazywania uprawnień Nacz. Wodza szefowi sztabu, już został przygotowany pod nią grunt w ten sposób, że przekazane później uprawnienia stanowiły całość uprawnień władz wojskowych.

W ciągu kilku dni ukazały się rozporządzenia które z łatwością można było pomieścić w jednym wszechstronnie pomyślanym akcie.

.....

W celu ograniczenia odpływu zarządzenia demobilizacyjne przewidywały indywidualną prośbę zainteresowanych osób. Ten system miał otworzyć później drogę do dalszej indywidualnej demobilizacji żołnierzy zgłaszających się na powrót do Polski..

.....

Sytuacja P.S.Z. po cofnięciu uznania Rządowi R.P.

W dniu 6 lipca 1945 roku rządy mocarstw sojuszniczych uznały Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej za rząd polski, cofając uprzednio uznanie Rządowi R.P. w Londynie. We władzach polskich wywołało to zrozumiały wstrząs, a nawet objawy paniki. W szeregach PSZ wydarzenie to nie wywołało na ogół żadnej reakcji. Dyscyplina wojskowa nie ucierpiała w niczym dając tym niezbity dowód, że zarówno w pojęciu dowództwa jak i w umysłach żołnierzy zaprzestanie uznawania rządu polskiego przez sprzymierzonych nie zmieniło faktu, że siły zbrojne pozostają nadal pod zwierzchnictwem swych konstytucyjnych władz.

Jednakże istnienie PSZ oparte było na angielskich dostawach i zaopatrzeniu we wszystko, co było im potrzebne do życia i walki. Rząd angielski przestał zaś uznawać władze, którym siły zbrojne czuły się podległe. Logicznym następstwem kroku rządu angielskiego powinno było być przekazanie dowództwa nad PSZ władzom, które rościły sobie do tego prawo — to jest administracji komunistycznej. Na przeszkodzie stała pewność, że PSZ pod komendę komunistyczną oddać się nie pozwolą. W stosunku do innych, mniejszych jednostek alianckich rząd angielski nie cofnął się przed użyciem siły⁶, w stosunku do PSZ uczynić tego nie mógł.

Aby bowiem użyć siły w stosunku do dywizji o pełnych stanach bojowych potrzeba było przeciwstawienia im przynajmniej dwóch takich samych dywizji, przy czym wynik rozprawy nie

6. Mowa tu o pewnych jednostkach królewskiej armii jugosłowiańskiej. Rozbrojenie i wydanie Sowiетom jednostek kozackich nie podpada pod termin wydania wojsk alianckich, gdyż takimi one nie były, lecz stanowi przykład zdecydowanego użycia siły przez wojska angielskie.

mógł być uważany za pewny. Ryzyka tego rząd angielski nie mógł się podjąć bez obawy wywołania skandalu w skali światowej, który mógł w nieprzewidziany sposób wznowić sprawę polską. Tymczasem rządowi angielskiemu zależało bardzo, aby sprawa polska nie została w żaden sposób podniesiona, ponadto brakowało mu dostatecznej ilości dywizji w szybko demobilizującej się armii. W stosunku więc do PSZ użycie przemocy było krokiem praktycznie niewykonalnym.

Zdając sobie z tego sprawę rząd angielski podchodził do zagadnienia ostrożnie, stopniowo, etapami które zostaną opisane, zdążając do likwidacji PSZ. Decyzja likwidacji powstać musiała w następstwie umów jałtańskich. Na razie istniała możliwość rozsadzenia PSZ od wewnątrz i rząd angielski schwycił się jej niemal natychmiast po wojnie. Indywidualna demobilizacja żołnierzy, postanowiona przez rząd, została szybko przekształcona w demobilizację tych, którzy pragnęli powrotu do kraju. Ani rząd polski, ani dowództwo wojskowe nie przeciwstawiały się tej akcji. Jednakże rezultaty jej w pierwszym okresie po wojnie okazały się znikome. Jednocześnie dowództwo angielskie wydało rozkazy wstrzymujące wszelką rekrutację na miejsce tych, którzy ubyli z szeregów. Rezultatem tego był charakterystyczny incydent pomiędzy dowódcą włoskiego teatru operacyjnego marsz. Alexandrem a gen. Andersem. Korzystając z powojennego zamieszania 2-gi Korpus zdołał ewakuować z terenu Niemiec i wcielić do szeregów 20 tysięcy byłych jeńców wojennych z kampanii wrześniowej i z Armii Krajowej. Stanowczy rozkaz marsz. Alexandra nakazywał tych ludzi zwolnić i odesłać do obozów uchodźców jako *displaced persons*. Gen. Anders oparł się temu stanowczo. Wtedy marsz. Alexander zagroził wstrzymaniem racji żywnościowych i poborów na owe 20 tys. ludzi. Gen. Anders groźby się nie uląkł oświadczając, że da sobie radę na zmniejszonych racjach i poborach, a wcielonych żołnierzy nie zdemobilizuje⁷.

Jak zwykle po otrzymaniu stanowczej odpowiedzi Anglicy groźby nie wykonali. Nie zdając sobie z tego sprawy marsz. Alexander użył w stosunku do 2-go Korpusu tej samej groźby którą stosowali Sowietzi przed ewakuacją z Rosji..

Tymczasem w Londynie rozstrzygały się podstawowe sprawy ogólnego dowództwa PSZ. Z angielskiego punktu widzenia sprawa przedstawiała się prosto — polityczna nadbudowa w postaci suwerenności rządu polskiego została zniesiona. Zatem suwerenność konstytucyjnych władz, wynikająca z postanowień umowy

7. Wł. Anders, „Bez Ostatniego Rozdziału” Montgomeryshire Prin. Co. Ltd. 1949.

wojskowej polsko-angielskiej, wygasła wraz z jednostronnym wypowiedzeniem tej umowy. W praktyce oznaczało to, że Prezydent R.P., Nacz. Wódz, Rząd R.P. wraz z Min. Obrony Narodowej zaprzestali, w zrozumieniu rządu angielskiego, wypełniania swych uprawnień.

Aby jednak móc skutecznie wykonywać dowództwo nad siłami zbrojnymi władze angielskie musiały z konieczności działać w porozumieniu i w oparciu o polski aparat dowodzenia. Musiały ponadto mieć zapewnioną jego współpracę. Bez tego nie dało się siłami zbrojnymi ani dowodzić ani administrować. W poszukiwaniu rozwiązania rząd angielski postanowił „uznawać” Sztab Nacz. Wodza jako naczelną organizację dowodzenia PSZ, a Szefa Sztabu N.W. jako generała tymi siłami dowodzącego. Nie było to rozwiązanie przypadkowe. Przyjąwszy je, rząd angielski miał do dyspozycji wypróbowaną organizację, co zwalniało go od wszelkich własnych improwizacji, kosztownych i niepewnych w działaniu. Dla władz polskich koncepcja ta była całkowicie do przyjęcia. Gdzieś, na jakimś szczeblu dowodzenia, władza polska musiała się stykać z władzą angielską. „Uznanie” przez Anglików wysokiego szczebla, jakim był Sztab N.W., świadczyło o pozostawieniu odrębności organizacyjnej PSZ w nienaruszonym stanie, oraz stwarzało nadal pozory samodzielności. Ze strony polskiej styczność z władzami angielskimi na poziomie sztabu uważana była za dalszy etap współpracy dowództw, ugruntowanej w czasie wojny. Jak długo lojalność Szefa Sztabu nie była poddana w wątpliwość, tak długo rząd polski nie mógł uważać rozwiązania tego za szkodliwe. Było to zagadnienie czysto praktyczne. Natomiast rząd nie mógł odstąpić od zasad.

Na punkcie zasad konflikt poglądów pomiędzy rządami został natychmiast ujawniony. W zrozumieniu rządu angielskiego bowiem sztab polski stawał się organem wykonawczym dowództwa angielskiego, natomiast rząd polski uważał go za podległy tylko i wyłącznie polskiemu naczelnemu władzom wojskowym. W tej sytuacji Szef Sztabu N.W. miał ponad sobą dwóch zwierzchników z których każdy uważał się za całkowicie do tego uprawniony z wyłączeniem drugiego.

Na podporządkowanie Szefa Sztabu dowództwu angielskiemu, Rząd R.P. nie mógł wyrazić swej zgody zarówno z przyczyn prawnych jak i politycznych. Z punktu widzenia prawa państwowego rząd nie mógł wyzbyć się atrybutów swej suwerenności. Pod względem politycznym zaniechanie zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi oznaczałoby wyzbycie się ostatniego elementu siły w walce o „przetrwanie”. Stanowisko swoje sprecyzował rząd

w wytycznych, ustalonych dla ambasadora Raczyńskiego, stanowiących podstawę dla rokowań z rządem angielskim⁸.

„Jako zasada od której nie można odstąpić — mówiły wytyczne — musi być podporządkowanie pozostałych pod dowództwem N.W. Sił Zbrojnych ich konstytucyjnemu zwierzchnikowi, prawowitemu Prezydentowi RP, któremu one złożyły przysięgę wierności. Nie uwzględnienie tego podstawowego postulatu zdjęłoby z legalnych władz Sił Zbrojnych wszelką odpowiedzialność za mogące wyniknąć z takiego postawienia sprawy następstwa”.

Były to wytyczne, którym nie można odmówić stanowczości. Zawierały wyraźną groźbę zapowiadającą gotowość rządu polskiego do obrony swoich praw we wszelki dostępny mu sposób, nie wyłączając buntu sił zbrojnych przeciwko tym, którzy prawa te naruszyć by chcieli.

Rząd angielski swojego stanowiska nie zmienił. Nalegał nadal na ustąpienie Nacz. Wodza i całkowite wstrzymanie się rządu od ingerencji w sprawy P.S.Z., które uważał za podległe wyłącznie sobie. Amb. Raczyński zdał z tego sprawę na posiedzeniu K.O.P. w dniu 7 sierpnia 1945 roku. Reakcją członków Komitetu było uchwalenie memorandum do rządu angielskiego, w którym raz jeszcze rząd polski określił swoje stanowisko podkreślając, że nie zamierza od niego odstąpić. Powtarzało ono sens przytoczonych instrukcji w ostrzejszy sposób formułując zawartą w nich groźbę⁹.

„Podstawą dyscypliny PSZ poza krajem — stwierdzało memorandum — która wytrzymała wiele prób w ostatnich latach i wytrzymuje nadal — jest w obecnym stanie rzeczy ich podległość legalnie mianowanemu Naczelnemu Wodzowi. W tym stanie rzeczy przekreślenie istnienia stanowiska Naczelnego Wodza obalałoby filar, na którym opiera się ich zwartość i wytrzymałość moralna. Z tą chwilą nie byłoby czynnika który by był zdolny do opanowania ewentualnych odruchów w łonie Sił Zbrojnych. Nastąpić mogłyby wypadki pożatowania godne, szkodliwe dla przyszłości stosunków między Wielką Brytanią a Polską i mogące przekreślić cały dorobek moralny jaki dały lata wspólnych walk o wspólną sprawę Zjednoczonych Narodów”.

8. Protokół posiedzenia (III) KOP z 3. 8. 1945. ARP. Gab. Wojsk. Prez. R.P. T. R/1-m N 4.

9. Protokół IV posiedzenia KOP z 7 sierpnia 1945, wraz z załączonym tekstem memorandum. ARP. Gab. Wojsk. Prez. R.P.teczka R/1-m akt Nr 5.

.....
.....
W dalszym ciągu memorandum rozpatrywało trzy ewentualności, stojące przed PSZ:

- a) Przejście w całości pod władzę rządu komunistycznego.
- b) pozostanie w związku z siłami J.K.M.
- c) Demobilizacja.

Rozwiązanie a) rząd polski odrzucał. Rozwiązanie c) uważał za przedwczesne i wymagające szczegółowego opracowania. Za najwłaściwsze uważał rozwiązanie b) po zwolnieniu z szeregów żołnierzy zgłaszających się na wyjazd do Polski.

Przekazywanie uprawnień Naczelnego Wodza Szefowi Sztabu

W tym czasie, gdy K.O.P. zajmował się redakcją ostrego memorandum, władze wojskowe zajmowały się projektami takiej organizacji, która uczyniłaby zadość jednocześnie żądaniom angielskim, jak i utrzymaniu zasad, o które walczył rząd. Praktyczną trudnością, która stała temu na zawadzie, był fakt, że mimo „uznawania” przez rząd angielski, Szef Sztabu nie mógł sprawować ogólnego dowodzenia siłami zbrojnymi w ramach posiadanych przez niego uprawnień. Znaleziono na to sposób przez przeniesienie uprawnień Nacz. Wodza na Szefa Sztabu. Projekt ten wyszedł ze strony Sztabu... Wniesiony on został przez Prez. Raczkiewicza na posiedzeniu Rady Gabinetowej w dniu 18 sierpnia 1945 roku¹⁰, w którym wzięli udział:

1. Prezydent R.P. W. Raczkiewicz
2. Prezes Rady Ministrów T. Arciszewski
3. Naczelnny Wódz T. Bór-Komorowski
4. Minister Z. Berezowski
5. Minister B. Kuśnierz
6. Minister J. Kwapiński
7. Minister A. Pragier
8. Minister S. Sopicki
9. Minister A. Tarnowski
10. Kier. Min. Obrony Nar. M. Kukiel
11. Szef Sztabu N.W. S. Kopański.

Odczytany przez Prez. Raczkiewicza projekt zarządzenia był krótki:

„Upoważnia się Nacz. Wodza do przekazywania poszcze-

10. Protokół zebrania Rady Gabinetowej z 18 sierpnia 1945. ARP. Kanc. Cyw. Prezydenta R.P. teczka R/14 akt. Nr 1.

gólnych funkcji, należących do jego właściwości, Szefowi N.W., któremu jednocześnie przywraca się tytuł Szefa Sztabu Głównego"¹¹.

W wyniku dyskusji nad projektem zostały sformułowane trzy wnioski:

1. Aby projekt odrzucić i wystosować energiczny protest do rządu J.K.M. (Min. Kwapiński).
2. Aby projekt przyjąć zawiadamiając J.K.M., że strona polska nadal uważa P.S.Z. za sobie podległe. W razie nieprzyjęcia tego do wiadomości przez rząd J.K.M. wystąpić z żądaniem demobilizacji (Min. Berezowski).
3. Aby projekt zarządzenia przyjąć nie ujawniając tego przed władzami angielskimi (Min. Pragier).

W głosowaniu większość uzyskał wniosek Ministra Pragiera. Wniosek stanowił z pewnością najlepsze rozwiązanie jeśli przyjąć, że władze wojskowe, które projekt popierały, uważały go za niezbędny. Niewątpliwie istniała pewna potrzeba wyposażenia Szefa Sztabu w większe uprawnienia niż te które posiadał w związku z rozszerzeniem jego działalności. Gdyby wniosek Min. Pragiera był wprowadzony w życie w formie przewidzianej przez autora, nie można się było dopatrzeć w nim cech ustępstwa z deklarowanych zasad. Natomiast w dalszym ciągu obrad uchwalono, że dokonane zmiany będą podane do wiadomości wyższym dowódcom, zaś angielskie władze wojskowe zostaną powiadomione o nich przez samego gen. Kopańskiego. W ten sposób intencja wniosku została całkowicie wypaczona. Dowództwo angielskie miało się o zarządzeniu dowiedzieć, czyli przekonać się o skuteczności swoich zabiegów.

Zamykając zebranie Prezydent R.P. stwierdził, że:

„Naczelne czynniki polskie są świadome tego, że dokonywana próba zadośćuczynienia żądaniom brytyjskim jest zapewne ostatnia i że możemy w niedługiej przyszłości być zmuszeni do protestu w razie tendencji ze strony brytyjskiej naruszenia samodzielności wewnętrznego statutu lub całości P.S.Z.”.

Trudno obecnie odgadnąć jaki rodzaj protestu miał Prezydent na myśli. Na podstawie wyników obrad i nastrojów ujawnionych na posiedzeniu można jednak przypuszczać, że wszelka myśl o proteście w sensie oporu fizycznego została poniekąd. W każdym razie zaniechano mniej lub więcej zawołanych gróźb pod adresem rządu angielskiego. Nie były one zresztą do tej pory

11. ARP. Kanc. Cyw. Prez. R.P. teczka: „Organizacja Władz Wojskowych” akt Nr 12.

omawiane... Jedyną formą groźby był wysunięty na posiedzeniu Rady Ministrów projekt demobilizacji (Min. Berezowski). Nie przypominał on w niczym tych „wypadków pożalowania godnych”, za które rząd polski składał odpowiedzialność na władze angielskie w razie odsunięcia polskich naczelnych władz wojskowych od zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. Projekt demobilizacji zostałby zapewne przyjęty przez rząd angielski z pełną życzliwością.

Konsekwencją przyjęcia przez Radę Gab. projektu o przekazywaniu uprawnień Nacz. Wodza było obalenie prawnej struktury naczelnych władz wojskowych. Ponieważ jednak Nacz. Wódz pozostawał nadal na swym stanowisku, przeto na pozór nic się nie zmieniło. W rzeczywistości powstały dwie niezależne od siebie władze wojskowe: władza Nacz. Wodza i władza Szefa Sztabu. Pierwszy posiadał konstytucyjną godność bez uprawnień, drugi posiadał uprawnienia bez godności. Zachodzi tu pytanie czy i jakie uprawnienia posiadał Nacz. Wódz w stosunku do Szefa Sztabu?... Jedyną możliwą odpowiedzią było stwierdzenie, że zwierzchność Nacz. Wodza nad Szefem Sztabu należała do dziedziny autorytetu moralnego. Należało przy tym przyjąć założenie bezwarunkowej lojalności Szefa Sztabu.

... O ile do tej pory Sztab N.W. był uważany za najwyższy polski organ dowodzenia siłami zbrojnymi tylko przez stronę brytyjską, o tyle następnie i strona polska przychyliła się do tego poglądu. Różnica w poglądach rządów dotyczyła interpretacji źródeł władzy nad PSZ. Władze angielskie uważały, że posiadają ją na tej samej zasadzie, która była uznana w czasie trwania wojny, to jest na zasadzie uprawnień operacyjnych rozszerzonych przez nie na stan pokoju. Władze polskie miały za podstawę swego stanowiska nieprzedawnione w niczym zasady prawne... Wyposażenie Szefa Sztabu w pełnię władzy N.W. szło jednak przede wszystkim po linii interesów angielskich. Pod tym względem członkowie Rady Gab. nie mieli złudzeń. Prez. Raczkiewicz określił to najlepiej jako „ostatnią próbę zadośćuczynienia żądanom brytyjskim”...

Powstaje pytanie czy można było postąpić inaczej? Min. Berezowski sądził że tak, acz proponował ustępstwo idące dalej niż projektowane. Jego rozwiązanie sugerowało raczej natychmiastową demobilizację, niż pozbawienie uprawnień Nacz. Wodza... Demobilizacja, postawiona jako polski warunek, przeprowadzona na rozkaz i pod kierownictwem Nacz. Wodza, byłaby zapewne lepszym i bardziej honorowym rozwiązaniem niż ta która nastąpiła w wyniku realizacji planów angielskich. Z całą też pewnością nie nastąpiłaby szybciej niż ta, która miała miejsce.

Aby odpowiedzieć na postawione pytanie należy poddać analizie charakter żądań angielskich. Niewątpliwie nosiły one charakter czysto formalny. Domagały się one od rządu polskiego uznania stanu rzeczy, który w pojęciu władz angielskich już *de facto* istniał. Co więcej, domagały się pozbawienia uprawnień Nacz. Wodza, którego nie uznawały, przez rząd, którego również nie uznawały... Odmowa spełnienia żądań żadnymi niebezpiecznymi skutkami dla rządu polskiego grozić nie mogła. Rząd polski nie mógł być bowiem mniej uznawany niż był. Żadna też forma nacisku, poza uwięzieniem go *in corpore*, nie mogła mieć miejsca, gdyby nie zechciał on zmienić swego stanowiska.

Natomiast po dokonaniu ustępstwa odpadła wszelka możliwość ciągłego podkreślania wobec władz brytyjskich istnienia i działalności konstytucyjnych władz sił zbrojnych. Od tej chwili trudna rola Szefa Sztabu uległa dalszemu utrudnieniu. Nie mógł on już uchylić się od wykonania rozkazów angielskich zasłaniając się brakiem na nie zgody Nacz. Wodza. O ile do tej pory Szef Sztabu mógł być przez obydwie strony uważany za pośrednika w rokowaniach, o tyle z chwilą wyposażenia go w uprawnienia N.W. możliwość ta upadła. Ostatecznie zatem przez zadośćuczynienie żądaniom angielskim, rząd polski postawił się w sytuacji, w której wyniku został mniej uznawany niż poprzednio. Było to wszystko, czego rząd angielski sobie życzył i do czego konsekwentnie dążył.

W dniu 24 sierpnia 1945 roku amb. Raczyński otrzymał z Foreign Office list podpisany przez zastępcę podsekretarza stanu S. G. Sargent'a¹². Sargent w brutalnej formie odrzucił postulaty wyrażone w polskim memorandum, stwierdzając co następuje:

„Ci panowie (Prezydent Raczkiewicz i gen. Bór-Komorowski) nie sprawują już żadnej władzy nad P.S.Z. pod dowództwem brytyjskim... decyzja rządu J.K.M. jest pod tym względem ostateczna”¹³.

12. ARP. Protokół posiedzenia V KOP z 28 sierpnia 1945. Gab. Wojsk. Prezydenta R.P. teczka R/1-m Nr 6.

13. Załącznik I do protokołu V posiedzenia KOP. Pełny tekst listu:
No M. 10213/123/G Foreign Office N.W.1.
Private and Personal 23rd August 1945.
Dear Raczyński,

The memorandum enclosed in your letter of the 9th August to Warner about the Polish Armed Forces has been fully considered. I regret however that the views expressed in it are not acceptable to His Majesty's Government.

I assume that you have communicated to Mr. Raczkiewicz and General Bór-Komorowski the view of His Majesty's Government expressed by War-

W odpowiedzi tej zasługiwało na uwagę jasne określenie stanowiska rządu angielskiego w sprawie zwierzchnictwa nad PSZ. Zostało ono w arbitralny sposób rozszerzone na ogólne, miast operacyjnego, dowództwo angielskie z wykluczeniem z niego władz polskich. Stanowisko to nie powinno było stanowić dla rządu polskiego niespodzianki. Było ono wielokrotnie zapowiadane przez fakty i oświadczenia władz brytyjskich.

.....

Dla rozpatrzenia odpowiedzi angielskiej Prezydent R.P. zwołał na dzień 28 sierpnia 1945 roku specjalne posiedzenie K.O.P.... Ze względu na ważność sprawy zostali na nie zaproszeni wszyscy ministrowie, a więc i ci którzy nie byli z urzędu członkami K.O.P.¹⁴. W ten sposób, oprócz osób które brały udział w posiedzeniu dn. 18 sierpnia, wziął jeszcze udział min. W. Folkierski...

Dyskusja nad listem Foreign Office wykazała oburzenie i całkowitą zgodność poglądów członków rządu na jego treść. Stwierdzono, że należy odrzucić myśl o wszelkich ustępstwach i przypomniano, że stanowisko rządu polskiego zostało raz na zawsze sformułowane w memorandum od którego nie może być już uczynione żadne odstępstwo. Odpowiedź na list Foreign Office winna być zatem krótka, stanowcza i podkreślająca raz jeszcze nieprzejednane stanowisko władz polskich. Premier Arciszewski i Min. Kwapiński położyli specjalny nacisk na to, aby postawa PSZ była zgodna ze stanowiskiem zajęтым jednomyślnie przez członków K.O.P.... Z treści i tonu przemówień można było wnioskować, że uchwalone rozporządzenie nie jest już dłużej traktowane przez ministrów jako wiążące. Trudno bowiem ina-

ner on the 1st August, that these gentlemen no longer exercise any authority over the Polish Armed Forces under British Command. I must now ask you to inform Mr. Raczekiewicz and General Bór-Komorowski that His Majesty's Government decision on this point is final.

Your sincerely (—) O. G. Sargent.

(„23 sierpnia 1945. Prywatne i osobiste. Drogi Raczynski. Memorandum załączone do Pana listu z 9 sierpnia do Warner'a w sprawie Polskich Sił Zbrojnych zostało w pełni rozważone. Przykro mi jednak, że opinie w nim wyrażone nie są do przyjęcia przez rząd Jego Królewskiej Mości. Zakładam, że zakomunikował Pan panu Raczekiewiczowi i gen. Borowi-Komorowskiemu postawę rządu Jego Królewskiej Mości wyrażoną przez Warner'a 1 sierpnia, iż ci *gentlemen*'i nie mają już żadnej władzy nad Polskimi Siłami Zbrojnymi pod dowództwem brytyjskim. Obecnie jestem zmuszony prosić Pana o poinformowanie pana Raczekiewicza i gen. Bora-Komorowskiego, iż decyzja rządu Jego Królewskiej Mości w tej sprawie jest ostateczna. Szczegrze oddany O. G. Sargent”).

14. Według protokołu V posiedzenia KOP z 28 sierpnia 1945.

czej traktować wypowiedź Min. Berezowskiego podkreślając konieczność pozostawiania przez siły zbrojne pod rozkazami Nacz. Wodza skoro uprzednio powzięta uchwała pozbawiała go możliwości rozkazodawstwa.

Głos oburzenia i nieustępliwości nie był jednak powszechny. Wyjątek stanowiły opinie przedstawicieli władz wojskowych. Po raz pierwszy na plenum K.O.P. został zanotowany głos Nacz. Wodza. Zakomunikował on zebranym o „*trudnościach formalnych, z jakimi się spotyka przy pełnieniu swych obowiązków, zaznaczając, że w razie uniemożliwiania mu ich nadal będzie zmuszony wyciągnąć konsekwencje*”¹⁵. Gen. Kukiel wyraził pragnienie znalezienia *modus vivendi* bez ustępowania z zasadniczego stanowiska.

Obydwa generałowie nie dzielili jak widać nieustępliwego stanowiska ministrów. Pierwszy zapowiedział chęć swego ustąpienia w myśl żądań angielskich, drugi szukał *modus vivendi*. *Modus vivendi* został już jednak znaleziony przed 10 dniami... Prez. Raczkiewicz ofuknął Nacz. Wodza wskazując, że zbyt wcześniej jest na „wyciąganie konsekwencji”, lecz dyskusja nie doprowadziła do konkretnych wyników. Postanowiono jedynie opracować tekst odpowiedzi na list Foreign Office.

...Dyskusja na V posiedzeniu K.O.P. nie dała realnych wyników. Natomiast przebieg posiedzenia zasługuje na uwagę gdyż po raz pierwszy ujawniła się na nim otwarcie zmniejszona wytrzymałość czynników wojskowych na angielskie naciski. Wypowiedzi cywilnych ministrów były niemniej charakterystyczne. Cechą ich było bezkompromisowe domaganie się zerwania z wszelkimi ustępstwami. Jednakże ci sami ministrowie (jak to zostało wykazane) uchwalili poprzednio poczynienie ustępstw, które całkowicie zaspokajały żądania angielskie. Ponieważ zaś żądania nowych ustępstw nie zostały uczynione, zatem list Foreign Office nie wnosił pod tym względem do sprawy nowych elementów. Jeżeli więc treść jego wydała się ministrom oburzająca, tedy był czas jeszcze poczynione ustępstwa cofnąć, gdyż jak to zostało nadmienione, zarządzenie Prezydenta o przekazywaniu uprawnień nie zostało jeszcze ogłoszone. Można było zatem jeszcze uchwałę unieważnić bez wywołania wrażenia chwiejności i braku konsekwencji. Uchwały jednak nie cofnięto, ani nie wspomniano o niej w czasie posiedzenia.

O ile więc wynik obrad V posiedzenia K.O.P. można zlekceważyć jako nie wnoszący do sprawy nic nowego, o tyle ich przebieg rzuca światło na atmosferę i stan umysłów uczestników.

15. Według protokołu V posiedzenia KOP.

Wydaje się, że pragnęli oni zarejestrować swoje oburzenie, lecz nie byli przygotowani na danie temu wyrazu w konkretnej formie. Opinia wojskowych, czyli przedstawicieli czynnika, o który toczyła się walka, przyczyniła się zapewne znacznie do ostudzenia na ogół bojowego stanowiska ministrów. Oburzenie zostało zanotowane w protokole posiedzenia lecz poczynione ustępstwa pozostały w mocy.

Prez. Raczkiewicz nie spieszył się z podpisem zarządzenia o przekazywaniu uprawnień... Przynaglił go jednak Nacz. Wódz, pragnący konsekwentnie pozbyć się swych funkcji w myśl wyrażonego na posiedzeniu K.O.P. życzenia, powtórnego w liście do Prezydenta R.P. w dniu 18 września 1945 roku. Treść listu wyraziła poglądy gen. Bór-Komorowskiego na znaczenie i istotę obowiązków Nacz. Wodza.

„W związku z oficjalnym zawiadomieniem — pisał Nacz. Wódz — o nieuznawaniu stanowiska Nacz. Wodza, władze wojskowe brytyjskie coraz katoryczniejszą przeprowadzając ze swej strony realizację powyższej decyzji i coraz natarczywiej domagają się mego ustąpienia. W tej sytuacji sprawowanie przeze mnie obowiązków N. Wodza jest coraz bardziej utrudnione, a upieranie się przy powyższym stanowisku mogłoby w konsekwencji doprowadzić do nieuznawania sztabu N.W. i podporządkowania poszczególnych części S. Z. i jednostek bezpośrednio wojskowym władzom brytyjskim, bez możliwości porozumienia się z nimi z naszej strony”¹⁶.

Dalej następowała prośba o zezwolenie przekazywania uprawnień Nacz. Wodza Szefowi Sztabu...

Przede wszystkim nasuwa się pytanie natury ogólnej: czy wolno Nacz. Wodzowi pozbywać się swych uprawnień pod obcym naciskiem? Gen. Bór-Komorowski rozstrzygnął to w sposób twierdzący. Były pod tym względem precedensy. Poprzednik jego gen. Sosnkowski ustąpił ze stanowiska Nacz. Wodza, pod presją angielską. Ale gen. Sosnkowski ustąpić nie chciał z własnej woli¹⁷... Sosnkowski otrzymał dymisję, podczas gdy w wypadku Bór-Komorowskiego o dymisję nie chodziło... Bór-Komorowski motywował swoją prośbę względem na dobro PSZ.

.....

16. Oryginał listu Nacz. Wodza. ARP. Gab. Wojsk. Prez. R.P. teczką R/1-m Nr 289. Nacz. Wódz, L.dz. 39G/tjn/45, 18. IX. 1945. Na liście uwag Prez. Raczkiewicza „Zwołać Radę Gabinetową w związku z N.W.”.

17. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, tom III, Armia Krajowa. Inst. Hist. im. Gen. Sikorskiego, Londyn 1950, str. 860.

Nacz. Wódz szedł w swoich obawach znacznie dalej dopuszczając możliwość eliminacji całego polskiego systemu dowodzenia i zastąpienie go angielskim. Eliminacja ta miała być przy tym bardzo daleko sięgająca, bo nawet uniemożliwiająca porozumienie z odciętymi oddziałami. Z punktu widzenia czystej techniki wojskowej były to obawy nieuzasadnione... W praktyce oznaczałoby to jednak wyłonienie przez War Office nowej kadry oficerskiej dla obsadzenia etatów w dwóch korpusach, przez admiralicję dla dowodzenia okrętami wojennymi i przez Air Ministry dla obsadzenia eskadr i ośrodków lotniczych. Organizacja taka oznaczała wstrzymanie demobilizacji dla wielu tysięcy oficerów angielskich, wymagała długiego okresu czasu na zmontowanie, przeszkolenie kadry i uruchomienie, co z kolei prowadziło do znacznej zwłoki w rozstrzygnięciu zagadnienia PSZ. Aby zaś uniemożliwić komunikowanie się z oddziałami trzeba było skasować urlopy dla żołnierzy polskich, odosobnić polską kadrę oficerską i to wszystko nie gwarantowało jeszcze sprawności działania nowej organizacji.

.....

Prez. Raczkiewicz przychylił się do prośby Nacz. Wodza i jeszcze tego samego dnia 18 września 1945 roku zarządzenie podpisał¹⁸... Stanowiło ono dalszy etap na drodze likwidacji PSZ. Na mocy swych uprawnień zwierzchnik sił zbrojnych mógł prawdopodobnie wstrzymać się od podpisu lub też odłożyć podpisanie na czas późniejszy.

.....

18. Zarządzenie Prez. R.P. z 18 września 1945 o upoważnieniu N.W. do przekazywania swych kompetencji, ARP. Gab. Wojsk. Prez. R.P.,teczka R/l-m.

Rozdział III

ZGODA NA DEMOBILIZACJĘ POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

Następnych kilka miesięcy upłynęło bez zmian przy akompaniamencie wrogiej PSZ kampanii prasy angielskiej, która nie-

wątpliwie miała za zadanie osłabienie tej resztki odporności, którą jeszcze rząd polski posiadał. Dowodzenie za pomocą polskiego sztabu wydawało przez ten czas dla dowództwa angielskiego wyniki korzystne pod każdym względem. Rozkazy jego były wykonywane sprawnie choć zmierzały do zmniejszenia stanów... Dyscyplina wojskowa i ogólna wartość jednostek nie uległy w tym czasie wyraźnemu osłabieniu, co należy poczytać za duży sukces wytrzymałości moralnej żołnierza. Stan liczbowy PSZ zmniejszył się i zmniejszał się stale przez odpływ repatriantów i częściową demobilizację ochotników z zagranicy. Stopniowo także odbierano etatowym jednostkom ich sprzęt ciężki. Wszystko to razem zmniejszało wartość bojową PSZ, lecz nie odebrało im odporności nerwowej i nie załamało dyscypliny. Jeśli kiedykolwiek rząd angielski na to liczył to był w błędzie. Wszystkie dotychczasowe jego poczynania doprowadziły do pewnego ograniczenia ilościowego rozmiarów problemu, lecz samego problemu bynajmniej nie załatwiły.

Jak zostało powiedziane dowodzenie PSZ za pomocą polskiego Sztabu Głównego dało stronie angielskiej zadowalające wyniki. To samo można było powiedzieć o stronie polskiej. PSZ zachowały swoją odrębność organizacyjną, swoje prawa i swoje zewnętrzne odznaki. Zachowały też polskie dowództwo, na którego czele stał Szef Sztabu z uprawnieniami Nacz. Wodza. Rząd polski zachował w swoim przekonaniu całkowite zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi, nie tyle przez więź prawną, która była co najmniej wątpliwa, ile przez więź moralną...

Trwało to jednak do czasu.

Rząd angielski, który z zadowoleniem przyjął przelanie na gen. Kopańskiego uprawnień Nacz. Wodza o tyle, o ile to było potrzebne dla eliminacji władz konstytucyjnych i dla usprawnienia dowodzenia, bynajmniej go za dowódcę wojsk polskich nie uważał. Jeżeli czynniki polskie miały co do tego złudzenia to zostały one szybko rozwiane.

W dniu 28 lutego 1946 roku Szef Imp. Sztabu Głównego, marsz. Alanbrooke wystosował do pewnych generałów polskich rozkaz wzywający ich na konferencję do Londynu. Gen. Kopański został o tym powiadomiony po fakcie. Porządek obrad konferencji nie został podany do wiadomości. Aktem tym marsz. Alanbrooke wchodził w obowiązki Nacz. Wodza PSZ ponad głowę polskiego Szefa Sztabu Głównego... Z angielskiego punktu widzenia było to przejście dowództwa, do którego rząd angielski rościł sobie prawo. Z polskiego punktu widzenia marsz. Alanbrooke prawa wydawania rozkazów oficerom polskim nie posia-

dał. Na ten szczegół, jak to wykazał wypadek, nie została zwrócona uwaga. Ponieważ rozkaz został wykonany bez zastrzeżeń, rząd angielski osiągnął swym krokiem dwa zasadnicze cele: pierwszy — potwierdził swoje zwierzchnictwo precedensem; drugi — stworzył pozory pełnej zgody polskiej na wykonywanie jego rozkazów.

Na konferencję zostali wezwani generałowie: Anders, Rudnicki, Maczek, Wiatr, Iżycki, Kopański i adm. Świrski. Po przybyciu do Londynu odbyli oni wspólną naradę po czym w dniu 14 marca 1946 gen. Anders i Kopański udali się na zwołane specjalnie posiedzenie Rady Ministrów.

Zagajając posiedzenie Prez. Raczkiewicz powiedział¹:

„Zagadnienie PSZ na obczyźnie weszło w stadium ostatecznych rozstrzygnięć, w związku z którymi rząd brytyjski wezwał do Londynu wszystkich dowódców Wielkich Jednostek polskich”.

Jak można zauważyć prawo wzywania przez dowództwo angielskie wybranych przez siebie oficerów zostało przyjęte jako fakt nie wymagający omówienia. Poza tym w przemówieniu Prezydenta znalazł się pewien skrót mogący wprowadzić w błąd co do znaczenia terminu „Wielka Jednostka”. Gwoli ścisłości należy stwierdzić, że przybyli generałowie reprezentowali dowodzone przez siebie obszary terytorialne oraz poszczególne części sił zbrojnych według następującego zestawienia:

gen. Anders — Włochy (2-gi Korpus),
gen. Rudnicki — Niemcy (1-sza dyw. Panc. Bryg. Spad.),
gen. Maczek — Szkocja (1-szy Korpus),
gen. Wiatr — Bliski Wschód,
gen. Iżycki — Lotnictwo,
adm. Świrski — Marynarka Wojenna.

Zasadniczą sprawą dla której zwołano posiedzenie Rady Min. było uzgodnienie stanowisk pomiędzy rządem a grupą mających odbyć konferencję generałów. W tym celu gen. Bór-Komorowski odczytał notatkę określającą poglądy generałów spisaną na odbytej przez nich uprzednio naradzie. Notatka ta pod nazwą „Poglądy dowódców poszczególnych części sił zbrojnych i dowódców Wielkich Jednostek” zawierała wszystkie możliwe odmiany po-

1. Przebieg według protokołu posiedzenia Rady Ministrów z 14 i 16 marca. Gen. Anders nie wspomina o posiedzeniu Rady Min. ani o wytycznych, które na nim zostały ustalone przechodząc od razu do konferencji z rządem angielskim: „Wezwano mnie do Londynu na naradę z premierem Attlee i z min. spraw zagr. Bevinem”. *Bez Ostatniego Rozdziału*, str. 398.

stępowania w zależności od ujawnionych żądań angielskich². Na wypadek demobilizacji PSZ przez rząd angielski „pogląd” zawierał następujące wytyczne:

„... Należy założyć protest i zażądać odroczenia dyskusji wobec zaskoczenia tak nieoczekiwaną decyzją dla zastanowienia się nad wytworzoną sytuacją. Szczegółową formę protestu będzie można ustalić dopiero po zaznajomieniu się z oświadczeniem brytyjskim. Natomiast wydaje się że następujące stwierdzenia nie powinny być pominięte w razie złożenia protestu:

- 1. Decyzja demobilizacji PSZ jest jednostronną decyzją brytyjską niezgodną z naszym stanowiskiem, przedstawionym w memoriale Szefa Sztabu Głównego Szefowi Imp. Sztabu.*
- 2. To zasadnicze stanowisko Naczelnych Władz Polskich zostanie podane do wiadomości wszystkich żołnierzy”.*

Znalazło się także w „poglądzie” zdanie, które wprowadzało nowe elementy rozumowania. Brzmiało ono:

„Wydaje się być niewskazane w razie ogłoszenia przez Brytyjczyków demobilizacji PSZ wydanie analogicznego zarządzenia przez Naczelne Władze Polskie. W takim wypadku decyzja demobilizacji, względnie wyrażenie na nią zgody, byłoby przypisywane przez ogół Naczelnym Władzom Polskim”.

To zdanie zawierało w sobie zarys postępowania, które znalazło pełny wyraz w późniejszych czasach. Jeśli chodzi o wytyczne postępowania na konferencji, to zawierały one w pełni uzasadnione i słuszne motywy. Streszczały się one w przerwaniu dyskusji (to jest zapewne w opuszczeniu konferencji) oraz w założeniu energicznego protestu. Przerwanie dyskusji miało być umotywowane zaskoczeniem niespodziewaną decyzją, co dawało czas do namysłu i konsultacji z rządem. „Zaskoczenie” należało oczywiście rozumieć jako pretekst, gdyż zarówno dotychczasowe wypadki jak i przygotowanie obszernego „poglądu” wskazywały, że władze wojskowe były na wszystko przygotowane. Na razie nie było jasne jak planowano postąpić po zaznajomieniu się z angielską decyzją, lecz należało rozumieć, że przerwanie dyskusji stwarzało możliwość powzięcia dalszych decyzji.

2. „Pogląd dowódców poszczególnych części sił zbrojnych i dowódców Wielkich Jednostek”. Załącznik do protokołu posiedzenia Rady Ministrów z 14 i 16 marca 1946. ARP. Kanc. Cyw. Prez. R.P.,teczka C/3-j akt Nr 3. Pogląd rozpoczyna się od słów: „Na oświadczenie p. Bevina odpowie w imieniu wszystkich obecnych dowódców gen. dyw. Anders”.

Takie były wytyczne, które ułożyli przybyli generałowie i których wykonanie wzięli na swe barki. Rada Ministrów przyjęła je i aprobować. Nie miała nic do dodania... Reasumując obrady Prezydent R.P. podkreślił „całkowitą zgodność założeń dowódców polskich z zasadniczym stanowiskiem rządu”.

Konferencja na Downing Street

W dniu 15 marca 1946 roku generałowie polscy stawili się na konferencję w siedzibie premiera Attlee. Ze strony angielskiej byli obecni: premier Attlee, min. spraw zagr. Bevin, Szef Sztabu Imp. marsz. Alanbrooke, gen. Lyne (War Office i p. Allan (Foreign Office).

Przebieg konferencji opisany został przez gen. Andersa³. To, co kto i jak na niej powiedział nie jest rzeczą istotną. Istotny jest fakt, że strona polska dowiedziała się z ust premiera Attlee, iż demobilizacja PSZ została postanowiona. Na tym konferencja powinna była się zakończyć. Wytyczne „poglądu” wyraźnie nakazywały w tym miejscu przerwanie dyskusji. Lecz generałowie nie poszli po linii swych własnych wytycznych i konferencja toczyła się dalej, aby zakończyć się przyjęciem przez stronę polską angielskiej koncepcji demobilizacyjnej.

Gen. Anders w swych wspomnieniach w ten sposób opisuje swe reakcje na zawiadomienie go o demobilizacji:

„Dopiero teraz miałem pełny obraz postanowień powziętych przez rząd brytyjski. Zaskoczyły mnie całkowicie tym więcej, że zapadły przed wyborami w Polsce czyli przed wyjaśnieniem co się stanie w Kraju”⁴...

W odtwarzaniu przebiegu Konferencji na Downing Street oprzemy się nie na wspomnieniach lecz na protokole Rady Min.⁵

Według tego protokołu gen. Anders zapewnił naprzód Radę Ministrów, że:

„... przedstawiciele strony brytyjskiej wykazywali dużą życzliwość zarówno osobiście dla niego jak i dla wszystkich żołnierzy polskich i że min. Bevin powtarzając swoje

3. *Bez Ostatniego Rozdziału*, str. 399-404. Opis konferencji kończy się następującymi słowami: „W zgodzie z Prezydentem R.P. i rządem postanowiłem nie stawiać oporu postanowieniom rządu brytyjskiego”. Zdanie to sprawia wrażenie, że zgoda na demobilizację została powzięta na posiedzeniu Rady Ministrów, tymczasem Prezydent i rząd zostali o niej powiadomieni po fakcie.

4. *Bez Ostatniego Rozdziału*, str. 403.

5. Protokół posiedzenia Rady Ministrów z 14 i 16 marca 1946.

oświadczenie, że 'nie odda Polaków na pożarcie wilkom' podkreślił, że rząd brytyjski poczuwa się do obowiązku opieki nie tylko nad żołnierzami polskimi, którzy mają być zdemobilizowani na Zachodzie, lecz również nad b. jeńcami wojennymi oraz wysiedleńcami i uchodźcami na terenie Niemiec".

Swoją odpowiedź na przemówienie angielskie gen. Anders przytoczył w następujących słowach:

„Decyzja dotycząca demobilizacji PSZ stwarza moment zaskoczenia i nie może być uznana ze strony polskiej za słuszną... jednakże... dowódcy polscy nie będą przeciwdziałać rozdanii deklaracji warszawskiej i oświadczeniu min. Bevin'a”⁶.

Dyskusja nad sprawozdaniami generałów (gen. Kopański także zdawał sprawę) nie podniosła w ogóle sprawy postępowania strony polskiej na konferencji. Jej przedstawiciele nie starali się umotywić sprzecznego z własnymi wytycznymi postępowania i nikt się ich o przyczyny tego nie pytał. Ustalono natomiast potrzebę opublikowania oświadczenia rządu „w związku z przesądzeniem sprawy o demobilizacji PSZ”. Demobilizacja zatem została „przesądzona” zarówno na konferencji z rządem angielskim, jak i na posiedzeniu Rady Ministrów. Pozostał jeszcze jeden umieszczony w „poglądzie” i uzgodniony z rządem punkt do wykonania. Był to protest. W związku z tym min. Berezowski zgłosił wniosek aby Rada Ministrów uchwaliła:

„Ogłosić pisemny protest ze strony polskich władz wojskowych przeciw zarządzeniu demobilizacji”.

Tu jednak zupełnie niespodziewanie nastąpił stanowczy sprzeciw przedstawicieli władz wojskowych. Gen. Bór-Komorowski, Anders i Kopański odrzucili zgodnie wszelką myśl o proteście zaznaczając, że:

„nie dałby żadnych pozytywnych wyników, natomiast wywołałby niepotrzebne zaognienie sytuacji, co mogłoby jedynie przyspieszyć demobilizację”.

Wniosek min. Berezowskiego został odrzucony. Dyskutowano jeszcze nad tym ilu żołnierzy powróci do kraju. W związku z tym postanowiono, że Min. Informacji i Dokumentacji opracowuje i wyda w najbliższym czasie broszurę pod tytułem „Poradnik dla zamierzających wrócić do kraju”.

Konsekwencje jakie wynikły z faktu bezwarunkowego spełnienia rozkazu CIGS przez generałów polskich zostały już omówione. Można ich było uniknąć wydając analogiczny rozkaz Nacz.

6. Według protokołu.

Wódza przyzwalający na wzięcie udziału w konferencji, zawiadamiając jednocześnie o tym stronę brytyjską. Na pewno rozwiązanie takie stawiałoby w lepszym położeniu zarówno rząd jak i generałów, nie mogło zaś zmienić sytuacji na gorszą, gdyż Anglicy konferencji sobie życzyli. Ponieważ jednak zarówno Nacz. Wódz jak i rząd zgodzili się na wykonanie rozkazu rzecz została usankcjonowana i nie warto się spierać o formalności. Nie wydawały się one wówczas ważne. Wystarczało że władze polskie były świadome, że „zagadnienie PSZ weszło w stadium ostatecznych rozstrzygnięć”.

.....

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś interesy PSZ reprezentować musiał. Skoro zaś rząd angielski wybrał formę konferencji z wysokimi dowódcami polskimi, nie było podstaw do uchylania się od niej. Ogólnie rzecz biorąc rozwiązanie to nie było dla strony polskiej niekorzystne. Jeśli na konferencji miały paść żądania, a co do tego nikt nie miał wątpliwości, tedy łatwiej im było się oprzeć grupie najstarszych oficerów, niż na przykład samotnemu Szefowi Sztabu. Niewątpliwie też zarówno słuszne i korzystne było, aby obrona interesów sił zbrojnych spadła na barki ich dowódców. Fakt, że zostali do tego wybrani przez rząd angielski, był bez znaczenia, gdyż lojalność ich w stosunku do własnych władz nie mogła być poddana najmniejszej wątpliwości. Dowodem jej były zawarte w „poglądzie” wytyczne postępowania, które spotkały się z całkowitą aprobatą Rady Ministrów. Wyrażając swą aprobatę rząd polski miał całkowite prawo do uważania generałów za swych negocjatorów w rokowaniach z rządem angielskim. Że za takich ich rzeczywiście uważał świadczyło stwierdzenie Rady Ministrów, że:

„dowództwo polskie działa jako całość, zaś w stosunku do Brytyjczyków jako strona”⁷.

Zdania tego nie można rozumieć inaczej jak tylko, że generałowie mieli reprezentować całość konstytucyjnych Naczelnych Władz Wojskowych, bez względu na to czy Anglicy uznawali te władze, czy nie.

W jaki sposób pojmowali swą rolę generałowie jest rzeczą trudniejszą do wyjaśnienia. Formy postępowania przyjęte w „poglądzie” wskazują że i oni rozumieli swe zadanie jako negację, nie jest tylko pewne czy uważali się za negocjatorów z ramienia rządu, czy też sądzili że mogą występować we własnym imieniu. Wiele przesłanek wskazuje na to, że druga ewentualność

7. Według protokołu część odnosząca się do 14 marca 1946.

miała w rzeczywistości miejsce. Czytając „pogląd” zwraca uwagę użycie w nim ogólnikowego terminu „Naczelne Władze Polskie”. Termin Rząd R.P. nie został ani razu użyty. To konsekwentne używanie niejasnej, ogólnikowej terminologii pozwala przypuszczać, że powołany jednorazowo przez władze angielskie *komitet generałów* mógł się uważać za składową część owych Naczelných Władz Polskich. Fakt występowania wobec rządu angielskiego jako strona, mógł ich w tym przekonaniu utwierdzić.

Inne światło rzucają na zagadnienie wspomnienia gen. Andersa. Sugerują one, że decyzja w sprawie demobilizacji zależała tylko od niego. Gdybyśmy się opierali na tych wspomnieniach, nie dowiedzielibyśmy się ani o okolicznościach, ani o tym, że w konferencji z rządem angielskim brali prócz niego udział inni generałowie⁸.

Bez względu jednak na to czy przyjęcie żądań angielskich zależało wyłącznie od decyzji gen. Andersa, czy od zbiorowej woli komitetu, ostateczny rezultat potwierdza przypuszczenie, że w zrozumieniu generałów nie byli oni negocjatorami w imieniu rządu, lecz w imieniu... sił zbrojnych.

Pozostaje do wyjaśnienia zagadka odstępstwa generałów od ustalonych przez siebie samych wytycznych postępowania... Sprawozdanie gen. Andersa na plenum Rady Ministrów rozpoczynające się podkreśleniem angielskiej życzliwości dla niego osobiście i dla żołnierzy polskich, zdaje się o tym niezbicie świadczyć. Czynniki psychologiczne działające na konferencji nie działały już jednak na Radzie Ministrów. Tymczasem tam właśnie nastąpił zdecydowany opór generałów w stosunku do proponowanego ogłoszenia protestu. Ponieważ zaś protest ten został uznany za konieczny w ich własnym „poglądzie”, przeto nastąpiła u nich całkowita zmiana opinii w przeciągu 24 godzin. Ich własna motywacja niczego nie wyjaśniła. Usprawiedliwiali bowiem swój brak sprzeciwu obawą przed „zaognieniem sytuacji”. Jednakże na to zaognienie byli przygotowani przez 24 godzinami, zakładając powstanie przewidzianej sytuacji. Sytuacja, która powstała spełniła całkowicie przewidywania. Co więc stało się przyczyną zmiany w poglądach? Skąd powstała obawa zaognienia sytuacji? Dlaczego protest miał przyspieszyć demobilizację?⁹

Na dwa pierwsze pytania nie znajdziemy nigdy odpowiedzi. Można je tylko zarejestrować i pozostawić do indywidualnego osądu. Co do obawy przyspieszenia demobilizacji to odpowiedź

8. *Bez Ostatniego Rozdziału*, str. 399-404.

9. Według protokołu część odnosząca się do 16 marca 1946.

W tym miejscu należy uczynić zastrzeżenia zmierzające do obiektywnego spojrzenia na wypadki. Nie ulegało wątpliwości, że skoro rząd angielski postanowił przeprowadzić demobilizację PSZ, rzecz była tak dobrze jak przesądzona. Można się było jeszcze przed nią bronić, nie wyłączając fizycznego oporu. Nie oznacza to jednak aby sprawa była do wygrania. W ówczesnym układzie politycznym utrzymanie własnych sił zbrojnych na obcym terytorium, przez nieuznawany przez nikogo rząd polski, nie mogło być uważane za leżące w sferze politycznej rzeczywistości. Gdy więc komitet generałów na demobilizację się zgodził, nie oznacza to, że demobilizację spowodował. Natomiast na podstawie opisanych faktów jest rzeczą oczywistą, że komitet generałów podjętego przez siebie zadania negocjatorów nie wypełniło.

Rozdział IV

LIKWIDACJA POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

Mając za sobą sukces pierwszej konferencji z dowódcami polskimi rząd angielski opracowywał tymczasem formy i technikę przeprowadzenia postanowionej demobilizacji PSZ. Do udziału w tych pracach strona polska nie została zaproszona. Były one otoczone ścisłą tajemnicą. Jedynie pewne niedyskrecje prasy angielskiej, zapewne celowo popełniane, dawały o tych pracach znać w dostatecznie przejrzystej formie¹. Należało się spodzie-

41

wać, że utartym zwyczajem rząd angielski powiadomi stronę polską o gotowych decyzjach. Gdy więc na dzień 21 maja 1946 zawieszano znowu — tym razem w zmniejszonym składzie — generałów polskich na konferencję do Londynu, przypuszczalnie miało to na celu ujawnienie ostatecznych decyzji co do formy i warunków postanowionej demobilizacji.

Konferencja w dniu 21 maja 1946 w Foreign Office miała być jedną z szeregu, które zostały wyznaczone w tym samym okresie czasu. Wezwano na nią zmniejszony komitet generałów w składzie: gen. Anders, gen. Kopański, gen. Iżycki i wiceadm. Świrski.

W przeddzień Prez. Raczkiewicz zwołał posiedzenie Rady Ministrów dla zastanowienia się nad dalszym postępowaniem rządu polskiego. Ze względu na przewodnictwo Prezydenta była to właściwie Rada Gabinetowa, lecz protokół jej nosi nazwę posiedzenia Rady Ministrów. W rzeczywistości była to narada połączonych władz państwowych oraz komitetu generałów przy obecności amb. Raczyńskiego. Zwracał uwagę brak Nacz. Wodza, będącego wówczas w podróży po Stanach Zjednoczonych².

Posiedzenie zaczęło się o godz. 19.30. Tymczasem gen. Kopański otrzymał dopiero przed południem od władz angielskich projekt oświadczenia ministra Bevina w sprawie formy jaką miała przyjąć postanowiona demobilizacja. Gen. Kopański odczytał zebrany otrzymany tekst, z którego wynikało, że zostanie na przeciąg dwóch lat utworzony specjalny korpus brytyjskiej armii stałej, noszący nazwę „Polish Industrial Settlement Corp”, co w prowizorycznym tłumaczeniu polskim brzmiało „Polski Przemysłowy Korpus Osiedleńczy”.

Po gen. Kopańskim zabrali głos adm. Świrski i gen. Iżycki informując o wynikach rozmów odbytych przez nich w Admiralicji i w Air Ministry. Obydwaj w jednakowy sposób stwierdzili, iż zamierzona demobilizacja nie oznacza bynajmniej tego co się normalnie pod jej pojęciem rozumie. Demobilizacja jest bowiem procedurą zwalniania powołanych na czas wojny roczników z jednoczesnym przeniesieniem znacznej ich części do rezerwy a z zatrzymaniem kadry zawodowej. Natomiast demobilizacja w odniesieniu do PSZ nie oznacza ani przeniesienia do rezerwy, ani zatrzymania choćby najmniejszego ośrodka kadrowego. Obydwaj dowódcy wyjaśnili, że plan angielski, wreszcie w pełni ujawniony, zmierza nie tyle do demobilizacji w sensie technicznym, lecz do całkowitej likwidacji PSZ. Można z tego wnosić,

2. Protokół posiedzenia Rady Ministrów z 20 i 21 maja 1946. ARP. Kanc. Cyw. Prezydenta R.P., teczka R/1-1 akt Nr 4/21.

iz udzielając uprzednio swej zgody dowództwo polskie pojmowało demobilizację w technicznym znaczeniu słowa, natomiast całkowita likwidacja nie była brana pod uwagę. Po zaznajomieniu się z oświadczeniem min. Bevina i po wstępnych rozmowach sztabowych nadzieje te zostały ostatecznie przekreślone. Przynajmniej jednak osiągnięto wyjaśnienie sytuacji, a na zarysowaną przyszłość PSZ użyto właściwego określenia — likwidacja.

Do konferencji w Foreign Office pozostało jeszcze 24 godziny. Był przeto czas, acz bardzo krótki do przedyskutowania sytuacji i powzięcia ewentualnych planów przeciwdziałania angielskim zamierzeniom. Ostatecznie ogólne warunki nie uległy żadnej zmianie. Te same co wówczas elementy działania istniały nadal, można więc jeszcze było stawiać warunki.

Tu znowu, jak przy omawianiu wydarzeń marcowych, należy się zastrzec, iż trudno jest wdawać się w rozważania co było możliwe, a co do uczynienia możliwe nie było. Moglibyśmy zająć się oceną możliwości jedynie wtedy, gdyby na Radzie Ministrów odbyła się nad nimi dyskusja. Lecz taka dyskusja nie miała miejsca. Dyskusja, która się odbyła dotyczyła raczej techniki likwidacji PSZ pod kątem widzenia gry na zwłokę. Cień bliskiej wojny był wciąż brany pod uwagę jako rzeczywistość polityczna. Z tego punktu widzenia nawet ewakuacja 2-go Korpusu z Włoch miała w opinii gen. Andersa swoje dobre strony.

„Wycofanie 2-go Korpusu z Włoch — mówił gen. Anders — jest jednym z przejawów tendencji Anglosasów nie bronięcia Włoch w razie agresji, wobec czego po uwzględnieniu sytuacji militarnej w Europie, wycofanie to³ może nie być pozbawione dodatknych cech z punktu widzenia interesów PSZ”.

Jedynym warunkiem, który należało postawić i przy którym należało obstawać, a w razie niespełnienia zagrozić zerwaniem wszelkiej współpracy, była zgoda angielska na ewakuację rodzin wojskowych z Włoch⁴. Groźba zerwania współpracy podchwyciona przez innych i rozszerzona w formie pozwolenia na internowanie raczej niż na bezwarunkową likwidację. Całość dyskusji została streszczona przez Prez. Raczkiewicza:

„... w chwili obecnej wobec postawienia strony polskiej przez władze brytyjskie w sytuacji bez wyjścia przez jednostronną realizację decyzji powziętych przez te władze w mar-

3. Według protokołu.

4. Według protokołu.

cu br. najwyższą troską naczelnych czynników polskich musi być uzyskanie warunków możliwie najlepszych w chwili obecnej, a przede wszystkim — zachowanie masy żołnierskiej w organizacyjnie zwartej formie dla umożliwienia tych celów jakie zostały postawione przed uchodźstwem polskim.

Stanowisko strony brytyjskiej zawiera w sobie szereg momentów niejasnych, zaś wycofanie 2-go Korpusu, pozostającego pod szczególnym ostrzałem propagandy sowieckiej, jest ze strony brytyjskiej niewątpliwie demonstracją lojalności wobec ich sowieckich sprzymierzeńców. Najważniejszym fragmentem obecnego stadium sprawy jest rozmowa dowódców polskich z ministrem Bevinem, którego należy przekonać, że w interesie Wielkiej Brytanii leży umożliwienie zachowania w oddziałach polskich jak największej dyscypliny i spokoju. W związku z tym, w rozmowie z min. Bevinem dowódcy polscy powinni się stanowczo zastrzec przed jakąkolwiek akcją czynników warszawskich w tutejszych polskich ośrodkach wojskowych. Ponadto powinni oni w rozmowie tej starać się uzyskać spełnienie postulatów sformułowanych w przeprowadzonej dyskusji w szczególności zaś obronić prawa jeńców wojennych z września 1939 i b. żołnierzy A.K., zwrócić uwagę na konieczność ustalenia uprawnień dowództwa polskiego po ześrodkowaniu oddziałów polskich w Wielkiej Brytanii wszystkich transportów wojskowych polskich oraz ustalić sprawę pozostawienia zdemobilizowanym żołnierzom polskim wolności wyboru pracy.

Należy ponadto dążyć do skreślenia w oświadczeniu min. Bevin'a zdania o kontynuacji wpływania na powrót zdemobilizowanych żołnierzy do kraju.

Ze strony brytyjskiej sprawa nie wydaje się należycie przepracowana i zapewne dopiero po rozmowie z min. Bevinem uda się stwierdzić jaką taktykę należy obrać, zakładając z góry, iż nie należy ani posłusznie przyjmować decyzji brytyjskich, ani też doprowadzić do zbyt ostrego konfliktu. W razie nadmiernej nieustępliwości brytyjskiej wypadnie w rozmowie z min. Bevinem użyć argumentu o internowaniu”.

Zanotowany tekst przemówienia Prez Raczkiewicza... jest niewątpliwie autentycznym i wiernym odbiciem głosów dyskusji. Jednocześnie zaś znajdują się w nim wyraźne instrukcje, jakie postulaty należy zgłosić i w jaki sposób wymusić ich uwzględnienie. O postulatach tych można powiedzieć, że stanowiły minimum tego, czego można było żądać, lecz to minimum nie było

bynajmniej mało ważne. Generałowie polscy mieli np. „obronić prawa jeńców”. Z innych źródeł wiemy, że dowództwo polskie dążyło do zrównania ich w prawach z resztą żołnierzy polskich co było zarówno słuszne, jak i bezwzględnie konieczne. Prez. Raczkiewicz użył w tym wypadku stanowczego trybu „o b r o n i ć”. Był to niewątpliwie jeden z głównych warunków przyjęcia brytyjskich planów. Gdyby natrafiono na zbytnią nieustępliwość brytyjską należało wtedy użyć „argumentu o internowaniu”. W zdaniu tym mieści się całkowita odmowa współpracy z dowództwem brytyjskim w razie niespełnienia postulatów. Oznaczało to podobnie jak w marcu zerwanie rozmów i oczekiwanie na następny krok rządu angielskiego.

Takie były wyniki dyskusji i choć nie można mówić o powzięciu zdecydowanego planu, jednakże idący na konferencję generałowie szli na nią z wyraźnie określonym zadaniem. Jako jedyną broń w walce o spełnienie postulatów mieli koncepcję bierną — internowania, lecz nie była to broń bez znaczenia. Rozbrojenie i internowanie 150 tysięcy ludzi nie było ani łatwe, ani z angielskiego punktu widzenia pożądane... Internowanie prowadziło stronę angielską do trudności jeszcze większych niż te które były poruszone. Można zresztą było argumentu tego użyć i czekać na reakcję. Bynajmniej bowiem sam argument nie oznaczał jeszcze internowania. Pozorna bierność koncepcji nie oznaczała jednocześnie bierności w rokowaniach.

Konferencja w Foreign Office w dniu 21 maja 1946

Protokół konferencji w Foreign Office wymienia z obu stron osoby⁵:

Minister Bevin	Bryg. Frith
Mr Hankey	Gen. Anders
Gen. Morgan	Gen. Kopanski
Gen. Lyon	Gen. Iżycki
Bryg. Davy	W. adm. Świrski.

Tłumacze: kapitanowie Lubomirski i Łubieński.

Rozpoczął konferencję min. Bevin przemówieniem zwróconym do gen. Andersa. Skreślił on pogląd rządu angielskiego na całość zagadnienia PSZ stwierdzając konieczność przeprowadzenia ich demobilizacji.

5. Protokół pod nazwą „Konferencja w Foreign Office 21 maja 1946”. ARP. Kanc. Cyw. Prez. R.P., teczka C/3-j. (Polski Korpus Przysp. i Rozm.) akt Nr 3.

„Politycznie i psychologicznie — mówił min. Bevin — nie możemy odraczać tej decyzji. Mamy obecnie zapewniony udział dominiów, naszych ministerstw i poszczególnych ich działów. Musimy to wykonać szybko i celowo i dać prawo i pracę tym ludziom, którzy na to bezwarunkowo zastępują. Na podstawie ustaw brytyjskich możemy i musimy zabezpieczyć naszych ludzi w powrocie do ich życia cywilnego, lub dać nowe farchy w rękę ludziom nie przygotowanym. Zdemobilizować na tych samych zasadach Polaków nie możemy, gdyż byłoby to rzuceniem ich na pastwę losu i byłoby to niegodne postępowanie”.

Tu min. Bevin nakreślił projekt stworzenia Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia przy czym między innymi podkreślił:

„W Korpusie przysposobienia będzie konieczne dać również tym ludziom jakąś pracę, lecz pracę konstruktywną prędzej w formie przygotowawczej do przyszłych zawodów — jako naukę do tej pracy, rzecz oczywista zaś nie porównywać do statusu jeńców wojennych lub deportowanych.

Jedna kwestia jest jeszcze do omówienia w Min. Skarbu, a to kwestia odprawy. Chcę traktować żołnierza polskiego tak samo jak żołnierza brytyjskiego i to równomierne tych co do Polski wracają lub powracają, jak też tych, którzy będą w Korpusie Przysposobienia”.

Odpowiedział na to gen. Anders dziękując naprzód rządowi angielskiemu za trud i pracę włożoną w przygotowanie projektu. omawiając sytuację polityczną Polski wytłumaczył, dlaczego na jej tle Polacy są jedynym na świecie wojskiem, które nie chce się zdemobilizować. Po tym przeszedł do spraw 2-go Korpusu wysuwając następujące postulaty:

1. Korpus powinien być przeniesiony w całości do Anglii i dopiero tam zdemobilizowany.
2. Rodziny żołnierskie mają być przewiezione w tym samym czasie.
3. Na terenie Anglii żołnierze powinni nadal prowadzić wyszkolenie wojskowe dla zapewnienia dyscypliny.

W odniesieniu do ostatniego punktu poruszonego przez min. Bevina w sprawach finansowych gen. Anders stwierdził, że:

„Kwestie pieniężne nie są tak ważne, zawsze później można je przedyskutować i ustalić. Ważne natomiast to: szpitale; sto noworodków urodzonych we Włoszech, szkoły gdzie obecnie 12 tys. żołnierzy przygotowuje się do życia

cywilnego, cały dobrobyt żołnierza to znaczy kina, teatry, prasa, świetlice...”

Min Bevin nie sprzeciwił się ustaleniu ważności zagadnień w kolejności gen. Andersa. Natomiast trzy zasadnicze wysunięte przez niego punkty odrzucił całkowicie. Podkreślił przy tym, że im szybciej zostanie przeprowadzona demobilizacja tym dla Polaków lepiej, gdyż nie wiadomo jak za kilka miesięcy ustosunkują się do sprawy związki zawodowe. *Don't miss the boat* (nie stracić okazji) przestrzegał polskich generałów. Znowu zabrał głos gen. Anders:

„Dla mnie rzeczą najważniejszą jest to abym sam zrozumiał ten problem i tę organizację, gdyż przecież muszę powiedzieć to moim żołnierzom. Jestem za nich odpowiedzialny i zawsze mówiłem to w co sam wierzyłem i dlatego miałem i mam posłuch w moim Korpusie”

Min Bevin:

„Proszę powiedzieć to co jest i że dajemy od nas wszystko...”

Następnie gen. Iżycki omówił sprawę lotnictwa polskiego zaznaczając, że:

1. Przez likwidację lotnictwa polskiego w Anglii likwiduje się całe lotnictwo polskie, gdyż takiego w kraju nie ma.
2. Z tego powodu należałoby zostawić szkielet lotnictwa w oparciu o RAF.
3. Należałoby umożliwić lotnikom polskim przyjęcie obywatelstwa brytyjskiego.

Min. Bevin nie odpowiedział na dwa pierwsze punkty zasłaniając się brakiem szczegółowych informacji na ich temat. Co do trzeciego uważał sprawę obywatelstwa za delikatną, którą niewłaściwie byłoby podnosić przedwcześnie, „gdyż Warszawa pozbawi was zaraz obywatelstwa polskiego”.

Ostatni przemawiający w zasadniczych sprawach gen. Kopański poczynił spostrzeżenie, że dowództwo polskie uważało za wskazane utrzymać PSZ do czasu wolnych wyborów w Polsce oraz do czasu konferencji pokojowej. W związku jednak z postanowionym przeniesieniem sił zbrojnych do Anglii z zamiarem demobilizacji ich, prosił min. Bevina o poparcie postulatów polskich dotyczących sprowadzenia rodzin wojskowych (z pierwszeństwem rodzin 2-go Korpusu) oraz umożliwienie młodzieży wojskowej prowadzenia dalszych studiów średnich i wyższych. Przy tej sposobności zaznaczył:

„Specjalnie tu chciałbym podkreślić los naszych kolegów

z kampanii wrześniowej, jak również członków Armii Krajowej — obecnie ex-więźniów wojennych znajdujących się w Niemczech”.

W dalszym ciągu gen. Kopański wypowiedział się za rozpoczęciem demobilizacji dopiero po skoncentrowaniu całości PSZ w Anglii, dla uniknięcia powstawania nierównych szans w uzyskaniu pracy przez zdemobilizowanych żołnierzy. Gdy gen. Kopański skończył wywiązał się dialog:

Min. Bevin: — „Rozumiemy wszystkie te problemy i dlatego prosimy o pełną waszą pomoc i kooperację, a detale później opracujemy”.

Gen. Anders: — „Musimy zatem stwierdzić i powiedzieć że PSZ przestaną egzystować i że wszystko jest skończone?”.

Min. Bevin: — „Kiedyś musiało to nastąpić. Dziś wypadki idą tak szybko i tak zmienia się z dnia na dzień sytuacja, że coraz większe mamy trudności i niech mi pan wierzy, panie gen. Anders, że poza kwestią polską mamy jeszcze i inne kwestie na głowie. Teraz macie wszyscy ogólną naszą sympatię, lecz jednak możecie stracić tę okazję, gdy będziecie znowu decyzję odwlekali...”.

Na tym właściwie konferencję zakończono postanawiając przeprowadzenie rozmów wykonawczych na szczeblach resortowych War Office, Air Ministry i Admiralty.

Posiedzenie Rady Ministrów w dniu 21 maja 1946

Późno wieczorem (godz. 21.10) tego samego dnia⁶ Prezydent Raczkiewicz wznowił obrady Rady Ministrów przy udziale wszystkich uczestników zebrania z dnia poprzedniego. Jako pierwszy zdawał sprawę z rozmów odbytych w War Office gen. Kopański. Zreferował on wszystkie aspekty organizacyjne PKPR oraz omówił sprawy związane z transportem i zakwaterowaniem oddziałów polskich w Anglii.

W dalszych referatach dotyczących lotnictwa i marynarki wojennej zaznaczyły się akcenty ujawnione po raz pierwszy w czasie wypadków marcowych. Wtedy gen. Anders zdając sprawę z przeprowadzonych rozmów demobilizacyjnych podkreślił wielką życzliwość okazywaną mu przez rząd angielski. Wiceadm. Świrski

6. Protokół posiedzenia Rady Min. z dni 20 i 21 maja 1946, część II.

rozpoczął swe sprawozdanie od podkreślenia „szczególnie przyjaznego stosunku Admiralicji Brytyjskiej do Polskiej Marynarki Wojennej i okazywanie chęci pomocy stronie polskiej”. Nadmieniał także że część okrętów wojennych zostanie zwrócona Royal Navy, część zaś przekazana zostanie administracji komunistycznej. Z użytego trybu wynikało, że adm. Świrski uważał to za rzecz zrozumiałą...

W analogiczny sposób rozpoczął swe sprawozdanie dowódca lotnictwa gen. pil. Iżycki wychwalając „przyjazny stosunek władz RAF do zagadnienia lotników polskich”⁷. Widział on zarysowujące się „bardzo duże możliwości dalszej pracy polskiego personelu lotniczego dla RAF’u”. Dodał też że likwidacja lotnictwa polskiego nie jest uważana przez Air Ministry za sprawę nagłą.

Ostatni zabrał głos gen. Anders, który objaśnił, że przeniesienie 2-go Korpusu z Włoch stanowi nowe ustępstwo Anglii w stosunku do Moskwy. „*Chodzi o zniknięcie 2-go Korpusu — argumentował — przy czym pod inną postacią polskie formacje wojskowe przetrwają czas pewien*”. Wobec nieuchronnej likwidacji PSZ gen. Anders poinformował rząd o próbach wysondowania opinii amerykańskich czynników wojskowych dla wyjaśnienia, czy formacje polskie nie mogłyby być „*w jakiejś formie przyjęte przez Stany Zjednoczone*”. Na zakończenie podkreślił kolizję, jakiej doznaje osobiście wobec konieczności powiadomienia swoich żołnierzy o likwidacji PSZ i zwrócił się do Rządu z prośbą o stwierdzenie jakie decyzje w omawianej sprawie będą powzięte ze strony polskiej⁸...

Rząd przyjął sprawozdanie do wiadomości. Na zapytanie w jaki sposób generałowie załatwili sprawę jeńców wojennych, gen. Kopański przyznał że min. Bevin nie udzielił na to odpowiedzi.

W dyskusji poruszono szereg zagadnień wyłaniających się jako następstwa likwidacji PSZ. Nie wniosła ona do sprawy żadnych pozytywnych wyników. Uchwalono, że Rząd R.P. ogłosi protest, do ułożenia którego powołano specjalną komisję. Posiedzenie zostało zamknięte 20 minut po północy.

Wynik majowej konferencji w Foreign Office był zwycięstwem polityki angielskiej w dążeniu do likwidacji problemu PSZ. Postulaty polskie zostały na niej przedstawione, ale nie w formie warunków, lecz raczej nieśmiałych życzeń. Jako takie zostały potraktowane i odrzucone. Odrzucenie ich nie wywołało ze strony polskiej żadnej reakcji. Zalecony przez Prez. Raczkie-

7. Według protokołu posiedzenia Rady Ministrów.

8. Według protokołu posiedzenia Rady Ministrów.

wicza plan poparcia postulatów żądaniem internowania nie został zrealizowany nawet w najbliższej formie... W niewiele dni później gen. Kopański przedstawił konferencję w Foreign Office jako formę kurtuazji, na której „nie zamierzano przyjąć żadnej z naszych obiekcji”⁹.

Jednakże na odbytym 20 maja maja posiedzeniu Rady Ministrów nie poczytywano nadchodzącej konferencji jako formy czysto kurtuazyjnej. Świadczyły o tym słowa Prez. Raczkiewicza. Jeżeli w rzeczywistości nabrała ona formy kurtuazyjnej rozmowy to przede wszystkim dlatego, że strona polska do tego dopuściła. Mimowoli w swej wypowiedzi gen. Kopański użył właściwego określenia nazywając postulaty polskie obiekcjami. W tej formie, w jakiej zostały one przedstawione, nie mogły się o inną nazwę ubiegać. Co do wypowiedzi gen. Kopańskiego jedna rzecz nie ulegała w niej wątpliwości — to że strona brytyjska nie zamierzała polskich postulatów przyjąć. Na ten to wypadek była przygotowana forma odmowy wszelkiej współpracy pod postacią żądania internowania. Była to jedyna przewidziana możliwość wywarcia presji na stronę angielską i uczynienia warunkami tego, co gen. Kopański określił jako „obiekcje”.

Uderzającą cechą postępowania strony polskiej była niechęć dyskusowania pewnych aspektów likwidacyjnych, nawet gdy zdarzała się po temu okazja stworzona przez min. Bevin'a. Dotyczy to aspektów finansowych. Odnosi się wrażenie, że przyjmując do wiadomości ostateczne decyzje angielskie strona polska przestała się interesować dalszym rozwojem wypadków. Wobec klęski likwidacji PSZ sprawy zabezpieczenia bytu żołnierzy wydawały się mało istotne a omawianie ich zbędne na najwyższym szczeblu.

Nie wdając się znowu w oceny, a ustalając jedynie stan rzeczy na podstawie stwierdzonych faktów, można po raz wtóry stwierdzić, że podobnie jak w marcu, tak i na konferencji majowej strona polska mniej dla sprawy Polskich Sił Zbrojnych uczynić nie mogła.

Orędzie Prezydenta R.P. do Polskich Sił Zbrojnych i Oświadczenie Rządu

W dniu 24 maja 1946 ogłoszono dwa dokumenty, które

9. Sprawozdanie z konferencji generalskiej 5 czerwca 1946 przedstawione Prez. R.P. pismem z 26. 6. 1946 przez min. Obr. Nar. (L.dz. 10-KL. MON-46). ARP. Kanc. Cyw. Prez. R.P.,teczka nr 38 akt Nr 28. Zwraca uwagę trzytygodniowe opóźnienie w przedstawieniu Prezydentowi protokołu konferencji.

kończyły walkę rządu polskiego o utrzymanie PSZ. Walka ta została przegrana, a jak z przeglądu wypadków wynika toczyła się bez zdecydowanej woli oporu ze strony rządu polskiego. W rzeczywistości termin „walka” może być użyty tylko w przenośni.

Był to raczej pojedynek woli pomiędzy rządem polskim a angielskim. Wolę w tym wypadku wyrażał rząd polski za pomocą deklaracji, zaś rząd angielski za pomocą faktów. Trzeba w tym miejscu dodać, że innych możliwości rząd polski nie posiadał. Nie był on nawet za przeciwnika w pojedynku uznany. Ale z jego istnieniem wciąż się liczonego czego dowodem były naciski na pozbawienie go formalnej władzy nad siłami zbrojnymi. Dopiero gdy to zostało osiągnięte rząd angielski uznał sprawę za dojrzałą do rozwiązania.

Na zakończenie zabrakł znowu głos Rząd R.P. ogłaszając dokumenty o których mowa. Było to Orędzie Prezydenta R.P. i Oświadczenie Rządu R.P.¹⁰. Obydwa stwierdzały likwidację PSZ. W oświadczeniu rządu znalazło się następujące wyjaśnienie:

„Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, bez względu na narzucone im warunki, nie przestają być żołnierzami Rzeczypospolitej Polskiej, a prawa i obowiązki ich stąd wynikające są nienaruszalne”¹¹.

W zdaniu tym mieściła się koncepcja wychodząca z założenia nie uznawania jednostronnie narzuconej demobilizacji za wiążącą stronę polską.

W tym samym duchu zwrócił się do żołnierzy Prezydent R.P.:

„Pomimo, że nad umęczonym światem ucichł obecnie zgiełk bitew, huk dział i warkot bojowego lotnictwa, wy pozostaniecie nadal żołnierzami Rzeczypospolitej walczącej, walczącymi o nią mocą ducha polskiego”¹².

Obydwa dokumenty nie zawierały wytycznych postępowania dla żołnierzy, mając raczej charakter deklaracji ogólnej polityki władz polskich. W połączeniu z wystosowanym do rządu angielskiego protestu, sprawiały wrażenie, że demobilizacja, a raczej likwidacja PSZ, została dokonana bez wiedzy rządu, lub też przy znacznym rozdzwieku między rządem a władzami wojskowymi. Wrażenie to zostało dopiero rozwiane w formie oświadczenia rządu i rozkazów władz wojskowych z chwilą utworzenia Korpusu Rozmieszczenia.

10. Orędzie Prez. R.P. do PSZ z 24. 5. 1946 i Oświadczenie Rządu R.P.

11. Według tekstu Oświadczenia Rządu R.P.

12. Według tekstu Orędzia Prezydenta R.P.

List Komitetu Generałów do Ministra Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii

Przy sposobności omawiania „poglądu” dowódców polskich przedstawionego na posiedzeniu Rady Ministrów 14 marca 1946 zostało wyrażone przypuszczenie, że doraźny komitet generałów zaliczył się w poczet „Naczelnych Władz Polskich”... W dniu 25 maja 1946... generałowie: Anders, Kopański, Iżycki oraz wiceadm. Świrski wystosowali do min. Bevin list, który bez wiedzy rządu polskiego przesłali na ręce adresata¹³. W liście tym podpisani dowódcy pisali między innymi:

„W pełni doceniamy wysiłki i dobrą wolę rządu brytyjskiego w kierunku zapewnienia przyszłości naszym żołnierzom, marynarzom i lotnikom oraz ich bliskim, których wyrazem są powzięte postanowienia i gotowi jesteśmy z naszej strony przyczynić się do ich realizacji w poczuciu odpowiedzialności za los naszych podkomendnych i towarzyszy broni. Jesteśmy przekonani, że żołnierze polscy uznają ten wyraz troski o nich ze strony rządu i narodu brytyjskiego”.

Wątpliwe jest, czy rząd angielski spodziewał się kiedykolwiek, że za likwidację Polskich Sił Zbrojnych doczeka się uznania i podziękii ze strony ich dowódców. Na pewno jednak ustały wśród Brytyjczyków wszelkie obawy ewentualnego bojkotu likwidacji ze strony dowództwa polskiego. Dowództwo to zgłaszało swoją... gotowość w pomocy przy likwidacji i słowa swego dotrzymało. Natomiast przemawianie w imieniu żołnierzy było przedwczesne. Nie wszyscy spośród nich uznali „wyraz troski o nich rządu i narodu brytyjskiego”¹⁴.

Po otrzymaniu listu min. Bevin mógł tylko powinszować sobie skuteczności zastosowanych przez siebie metod¹⁵.

13. *Bez Ostatniego Rozdziału*, str. 413.

14. Mowa tu o tzw. „opornych” (recalcitrants), których problem przysporzył wiele nieprzewidywanych trudności władzom PKPR. Charakterystyczną cechą „opornych” było, że pochodzili oni w znacznej części spośród żołnierzy 2-go Korpusu.

15. Min. Bevin potwierdził odbiór listu generałów polskich własnoręcznym pismem skierowanym do gen. Andersa na ręce gen. Kopańskiego, w którym pisał: „Jestem wdzięczny za uznanie dobrej woli Rządu J.K.M. w jego usiłowaniach zapewnienia odpowiedniej przyszłości dla żołnierzy, marynarzy i lotników polskich wraz z ich rodzinami, i przyjmuję z przyjemnością i uznaniem dobre chęci Pana Generała pomocy w wykonaniu planów, które mają służyć do osiągnięcia tego celu”. Po tym pokwitowaniu gotowości pomocy następowała ostra i przykra nagana za rozkaz do żołnierzy wydany przez gen. Andersa w dn. 3 czerwca 1946, w którym znalazł się następujący zwrot o chęci powrotu do Polski: „nie wiadomo poprzez jaki szlak do Polski takiej o jaką walczyliśmy, której żadne serce polskie nie

.....

Okoliczności wysłania listu wymagają w tym miejscu omówienia. Projekt jego został rozdany na zebraniu generałów w dniu 25 maja 1946 roku, na którym byli obecni generałowie: Anders, Kopański, Maczek, Kukiel, Glabisz i Dembiński¹⁶. Ten ostatni, jako szef gabinetu wojskowego Prezydenta R.P., przybył na zebranie z polecenia Prezydenta R.P. Gdy zapoznał się z treścią listu i gdy widział, że nikt z zebranych nie protestuje, opuścił zebranie i udał się z raportem do Prezydenta. Wysłuchawszy raportu Prezydent wezwał natychmiast do siebie Kierownika M.O.N. gen. Kukiel, któremu polecił do wysłania listu nie dopuścić. Tego samego wieczoru gen. Dembiński powrócił do domu, gdzie spotkał się z gen. Głuchowskim. Gen. Głuchowski dowiedziawszy się o liście postanowił natychmiast zapytać gen. Andersa o wyjaśnienie i w tym celu do niego zatelefonował. Zastał go w domu i rozmawiał z nim przez telefon w obecności gen. Dembińskiego.

Następnego dnia 26 maja o godz. 9-ej rano, gen. Kukiel zawiadomił telefonicznie gen. Dembińskiego, iż mimo starań nie udało się poprzedniego dnia odszukać gen. Andersa, zaś list został wcześniej rano doręczony w Foreign Office.

Kapitulacja Okrętów Wojskowych Rzeczypospolitej Polskiej

Dnia 23 maja 1946 roku Szef Kier. Mar. Woj. wiceadm. Świrski otrzymał z admiralicji list domagający się wydania ORP „Błyskawica”, „Burza” i „Wilk” w ręce Royal Navy dla następnego przekazania ich rządowi komunistycznemu¹⁷.

wyobraża sobie bez Lwowa i Wilna”. Na to odpisał min. Bevin: „Mam nadzieję że ani gen. Anders ani żaden inny generał polski nie będzie się dzielił takimi uczuciami w oficjalnych wypowiedziach bez względu na osobiste zapatrywania. — Będę Panu Generałowi (gen. Kopańskiemu) wdzięczny jeżeli zechce Pan Generał przekazać innym dowódcom polskim odpowiednie ostrzeżenie...”. Gen. Anders, *Bez Ostatniego Rozdziału*, str. 415-416. Komentując na tej samej stronie odpowiedź min. Bevina (przytoczona w całości) pisze: „Jestem żołnierzem, który składał przysięgę na konstytucję i całe życie poświęcił walce o wolność ojczyzny. Muszę stwierdzić, iż w tym zakresie lepiej wiem com Polsce winien od min. Bevina”.

16. Według notatki Szefa Gab. Wojsk. Prez. R.P. gen. bryg. S. Dembińskiego spisanej we wrześniu 1959 roku. W stosunku do obecnych osób gen. Dembiński pisze: „o ile mnie pamięć nie myli obecni byli...”. Lista obecności nie może być uważana za dokładną.

17. ARP. Pismo admiralicji. Odpis znajdujący się w aktach Kanc. Cyw.

„Zmuszony jestem zatem prosić Pana o wyrażenie pańskiej formalnej zgody na wydanie tych okrętów...” — prosił adm. Świrskiego adm. King. Ową formalną zgodę uzyskał natychmiast, bo w dniu 25 maja. Już zaś w dniu 28 maja pierwszy z wymienionych okrętów ORP „Błyskawica” kapitulował, opuszczając banderę przed oddziałem Royal Navy¹⁸.

Poddanie okrętów wojennych stanowiło osobny rozdział w ogólnym procesie likwidacji PSZ. O ile bowiem wojsko i lot-

Prez. R.P. (Dokumentacja należąca do dziennika Prez. R.P. PSZ i PKPR akt Nr 21). Data 23 maja 1946, do adm. J. Świrskiego:

„My Dear Admiral,

I have been instructed to inform you that the Polish Provisional Government have asked for the return of P.S. 'Błyskawica', 'Burza' and 'Wilka'. Although no formal reply has been yet made, it is clear that the Admiralty must accede to this request. I have, therefore, to ask for your formal agreement to hand over these ships to British Care and Maintenance Parties on such dates as may be necessary.

The Board of Admiralty have instructed me to express their admiration to the Polish Warships during the period they served under British Operational Command and under your own vigorous leadership.

Yours sincerely K. L. S. King V. A.

(„Mój Drogi Admirale. Polecono mi poinformować Pana, że polski rząd tymczasowy zażądał zwrotu 'Błyskawicy', 'Burzy' i 'Wilka'. Chociaż oficjalna odpowiedź nie została jeszcze udzielona, jasne jest, że Admiralicja musi przyjąć to żądanie. Dlatego jestem zmuszony prosić o formalną zgodę Pana na przekazanie tych okrętów brytyjskim załogom opiekuńczym, w terminach które będą konieczne. Zarząd Admiralicji polecił mi wyrazić jego zachwyt nad polskimi okrętami wojennymi w czasie kiedy służyły one pod brytyjskim dowództwem operacyjnym i pod Pana energicznym kierownictwem. Panu szczerzy K. L. S. King wiceadmiral”).

18. Data Kapitulacji ORP „Błyskawica” ustalona na podstawie pisemnego protestu Adm. Świrskiego skierowanego na ręce Adm. Kinga. (Dokumentacja należąca do dziennika Prezydenta R.P. akt Nr 21). Końcowy ustęp protestu:

„The situation in which the Polish Navy finds itself at the present moment does not allow me to do what in normal conditions would be the first thing to be done in such case, i.e. to order ORP 'Błyskawica' to leave immediately territorial waters of the United Kingdom. Having therefore to yield to what I consider a 'force majeure' I am ready to comply with the demand of the British Authorities and shall issue appropriate orders to the Commanding Officer of the ORP 'Błyskawica', the surrender of which has been demanded for the 28th May, 1946.

Chief of the Polish Navy, J. Świrski V. A.”.

(„Sytuacja w jakiej znajduje się obecnie Polska Marynarka Wojenna nie pozwala mi uczynić tego, co w normalnych warunkach w takim wypadku należałoby w pierwszym rzędzie zrobić, mianowicie nakazać ORP 'Błyskawicy' natychmiast opuścić wody terytorialne Zjednoczonego Królestwa. Będąc przeto zmuszonym do ustąpienia przed czymś co uważam za *force majeure*, jestem gotów zastosować się do żądania władz brytyjskich i wydam odpowiednie rozkazy dowódcy ORP 'Błyskawica', której oddanie zostało zażądane na dzień 28 maja 1946. Dowódca Polskiej Marynarki, J. Świrski wiceadmiral”).

nictwo nie posiadały w swym wyposażeniu nic co by nie pochodziło z dostaw sojuszniczych, o tyle wymienione okręty wojenne stanowiły bezsprzeczną własność rządu polskiego¹⁹. Ponadto, według powszechnie uznanego przepisu prawa narodów, stanowiły one część, suwerennego terytorium Rzeczypospolitej. Należy przy tym dodać, że w roku 1946 były one ostatnimi skrawkami wolnego terytorium Polski. Nie wdając się jednak w rozważania prawne, a tylko rozpatrując zagadnienie z punktu widzenia możliwości, Kierownictwo Marynarki Wojennej, jedyne spośród dowództw polskich miało sposobność kapitulować z honorem. Zatopienie okrętu wojennego nie jest bowiem z natury rzeczy trudne do wykonania. W znacznie gorszych warunkach czyniły to załogi innych narodowości i w każdym wypadku historia wspomina o nich z uznaniem i szacunkiem²⁰.

W wypadku Polskiej Marynarki Wojennej kapitulacja okrętów wojennych nie była przedmiotem narad na najwyższych szczeblach państwowych... W ostatecznym wypadku zgodnie z... niepisaną, ale obowiązującą tradycją morską decyzja kapitulacji okrętu należała wyłącznie do dowódców marynarki i do dowódców okrętów²¹. Ponadto termin „kapitulacja” może w pewnych wypadkach prowadzić do błędnych wniosków. Nasuwa on bowiem przypuszczenie nieistnienia dostatecznie silnego nacisku przy jednoczesnym braku środków obrony. Tak jednak sprawa nie wyglądała. Adm. King prosił w liście do admirała Świrskiego o wyrażenie formalnej zgody na poddanie okrętów. List ten nie mógł być uznany za dowód istnienia dostatecznie silnego nacisku, co najwyżej mógł być traktowany jako wstęp do niego w razie odmownej odpowiedzi.

Brak dyskusji na temat losu okrętów wojennych na plenum Rady Ministrów... powoduje jednak trudność w ustaleniu powo-

19. Stwierdzenie to nie jest w pełni słuszne. Niektóre oddziały wojskowe posiadały w swej dyspozycji sprzęt, który był własnością rządu polskiego. Na przykład Bat. Łączn. Sztabu N.W. posiadał poważną ilość sprzętu radiowego i pomiarowego, który nie pochodził z wojskowych dostaw sojuszniczych i został zakupiony za polskie fundusze. Po zakończeniu wojny sprzęt ten został przekazany polskim instytucjom, a między innymi Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów — Z. S. S.

20. Spośród wielu przykładów z historii nowoczesnej można wymienić dwa główne: zatopienie marynarki wojennej Niemiec w Scapa Flow (już po kapitulacji) oraz zatopienie większości jednostek floty francuskiej w Tulonie po wkroczeniu Niemców do tzw. „strefy nieokupowanej” w roku 1942.

21. Nie jest to nigdzie zanotowane, jednakże ustne relacje ówczesnego Min. Informacji i Szefa Kanc. Cyw. stwierdzają, że zarówno Prezydent Raczkiewicz jak i członkowie Rządu R.P. wypowiadali się za zatopieniem okrętów. Brak uzewnętrznienia tej opinii w protokołach daje się wytłumaczyć wielkim pośpiechem z jakim działał adm. Świrski.

dów, dla których zdecydowano się na kapitulację Marynarki Wojennej. Wiadomo jest, że gdy sprawa była poruszana w nieoficjalnych rozmowach, niektórzy członkowie rządu wypowiadali się za zatopieniem lub odpłynięciem okrętów do portów neutralnych²². Sprzeciwiały się temu stanowczo władze wojskowe. Zestawienie dat listów adm. Kinga i adm. Świrskiego wskazuje, że Kierownik Marynarki Wojennej działał w wielkim pośpiechu, nie zostawiając czasu do namysłu ani sobie, ani rządowi. Brał on tym samym całkowitą odpowiedzialność za decyzję kapitulacji na siebie... Nie wszyscy wyżsi oficerowie sił zbrojnych zapatrywali się na poddanie okrętów wojennych w ten sam sposób. Generałowie Januszajtis i Norwid przerwali referującemu gen. Kukielowi okrzykiem: „zatopić”. Otrzymali na to odpowiedź, że byłoby to na rękę Moskwie, jako akt wojny polsko-angielskiej²³... Kapitulacja Marynarki Wojennej pozostanie na zawsze sprawą niesłuchanie bolesną. Nic bowiem nie zmienia faktu, że poddając okręty wojenne odpowiedzialni za nie oficerowie postąpili wbrew tradycjom morskim, których zachowanie wzbudzić mogło jedynie szacunek wśród tych narodów które je szanują.

Odruchy sprzeciwu na terenie sił zbrojnych

Ogłoszenie Orędzia Prezydenta R.P. i Oświadczenia Rządu R.P. zapowiadających likwidację PSZ nie we wszystkich środowiskach zostało przyjęte ze spokojem. Część starszych oficerów oceniała bezwarunkową zgodę na warunki angielskie, jako wymagającą dokładnego zbadania postępowania władz wojskowych. Na konferencji generałów w dniu 5 czerwca 1946 zebrani nie szczędzili słów ostrej krytyki Szefowi Sztabu i Kierownikowi M.O.N.²⁴. To właśnie wtedy nawoływano do zatopienia okrętów

22. Odpowiedzialność osobistą dowódcy okrętu za jego losy określa Woj. Kodeks Karny z roku 1932, który w art. 36 mówi: „Dowódca okrętu, który oddaje nieprzyjacielowi okręt, statek powietrzny lub ich załogę, nie uczyniwszy przedtem wszystkiego czego w celu uniknięcia oddania obowiązek od niego wymaga, podlega karze śmierci”. Przytoczony ustęp nie może się odnosić do omówionych wypadków bez ustalenia czy zachodził przypadek wydania okrętów nieprzyjacielowi. Służy on jedynie dla podkreślenia działania zasady odpowiedzialności osobistej dowódcy okrętu.

23. Sprawozdanie z konferencji generalskiej w dn. 5 czerwca 1946 roku, przedstawione Prezydentowi R.P. pismem z dn. 26 czerwca 1946 L. dz. 10/KL. MON/46, podpisanym przez gen. Kukiela. ARP. Dokumentacja Dziennika Prezydenta R.P. akt Nr 28. Zwraca uwagę znaczne opóźnienie w doręczeniu Prezydentowi Raczkiewiczowi sprawozdania.

24. Sprawozdanie z konferencji generalskiej w dniu 5 czerwca 1946.

wojennych. Protokół tego zebrania nie jest jednak ciekawy ze względu na ujawnione w nim głosy krytyki, lecz ze względu na przedstawienie całości zagadnienia przez kierowników sił zbrojnych. Tłumacząc okoliczności wydarzeń gen. Kopański w taki sposób opisał sytuację:

„Mogły być trzy wyjścia, podporządkowanie się bezwarunkowe, protest i opór skrajny. Rząd przyjął decyzję że należy protestować, to już było robione w marcu, obecnie po rozważeniu wszystkich ewentualności znowu została przyjęta droga protestu aby uniknąć internowania. Sytuacja w piątek 26-go rano była taka, że Anglicy sami myśleli o czymś w rodzaju internowania nas. Anglicy by nas rozbroili, opór mógłby załamać wojsko, bo nie wszyscy mogliby pójść za dowódcami. Analogii między sytuacją Legionów a nami nie ma. Chcemy być z Zachodem a nie bić się z nimi. Decyzja likwidacyjna jest bardzo ciężka, ale teraz Anglicy biorą na siebie całą odpowiedzialność za naszą przyszłość”...

Według gen. Kopańskiego, internowanie było groźbą użytą w stosunku do generałów polskich przez Anglików — groźbą do której zrealizowania nie należało za wszelką cenę dopuścić. Ile było prawdy w twierdzeniu gen. Kopańskiego, że groźba ta została naprawdę użyta — nie podobna jest obecnie ustalić... Pozostaje jednak pytanie, dlaczego wobec tego dowództwo polskie nie przystało na zagrażające im internowanie? Gdyby to zrobiło wypełniłoby jedynie instrukcje rządu.

.....

W całości wywodów Szefa Sztabu uderzała tendencja zrzucać całą odpowiedzialność za wypadki na barki rządu. Protestując przeciwko nazywaniu przez obecnych przyjętego rozwiązania „kapitulacją”, zaznaczył, że „została ona powzięta z odpowiedzialnością Prezydenta i Rządu”. Co do dzielenia się odpowiedzialnością, to może on to zrobić tylko z tymi na kogo ona spada formalnie.

Zasłanianie się względami formalnymi nie przekonało zebranych. Gen. Norwid-Neugebauer określił odpowiedzialność w ten sposób:

„Starsi generałowie wojska ponoszą odpowiedzialność, każdy dy potem może zarzucać, że byliście tam i co zrobiliście?”.

Nie skończyło się na krytyce słownej. W raporcie do Naczelnego Wodza grupa generałów sprecyzowała działalność Szefa Sztabu gen. Kopańskiego w słowach tak ostrych, i wytoczyła

przeciwko niemu zarzuty tak ciężkie, że w innych czasach nie pozostałyby one bez konsekwencji²⁵.

„W ciągu szeregu odpraw odbytych pod przewodnictwem Pana Generała — brzmiały słowa raportu — a podczas jego nieobecności pod przewodnictwem gen. Kukiela — reprezentowaliśmy w dyskusji krytyczny pogląd i ocenę polityki Szefa Sztabu Głównego w obecnym okresie walki o zachowanie sił zbrojnych, a w szczególności jeśli chodzi o ustosunkowanie się Szefa Sztabu Głównego do władz brytyjskich. Poddawaliśmy naszej krytyce nie tylko brak politycznej myśli przewodniej podporządkowanej polskiej racji stanu w posunięciach naszych nadrzędnych czynników wojskowych, nie tylko nie licującą z godnością PSZ, błędną taktycznie uległość i miękkość cechującą stosunek Szefa Sztabu do wymienionych czynników brytyjskich, ale także brak wyraźnej woli i decyzji w obronie elementarnych zasad integralności Sił Zbrojnych, a nawet brak pewnych zasad moralnych, jak poczucie solidarności i koleżeństwa w odniesieniu do wszystkich kategorii żołnierzy”.

.....

Podpisani nie sprawowali w owym czasie funkcji dowódczych, lecz byli to ludzie, których nazwiska zapisały się w historii Wojska Polskiego.

Protesty generałów ujęte w formie memoriału rozchodziły się w odpisach wśród wyższych oficerów wywołując mieszane reakcje. Jedni, jak dowódcy Wielkich Jednostek szli całkowicie za wskazaniami Szefa Sztabu, inni, nie zaangażowani w służbie czynnej, przyłączali się do poglądów memorandum. Wreszcie całkowicie od służby w PSZ wyłączeni i zdani na łaskę i niełaskę losu, wypowiadali swe poglądy z umiarem lecz gorczyzą. Osiemnastu generałów przebywających na urlopie wypoczynkowym po uwolnieniu z niewoli pisało do Naczelnego Wodza²⁶:

„Opieraliśmy się dotychczas na przeświadczeniu, że wobec rozmaitych znanych krzywd, które stały się udziałem żołnierzy byłych jeńców wojennych z wojny 1939 roku oraz z A.K. — obrona ich praw i interesów będzie tym bardziej

25. Raport złożony Nacz. Wodzowi w dn. 22. 8. 1946 przez generałów Bortnowskiego Januszajtisa, Głuchowskiego, Neugebauera, Karaszewicz-Tołkarskiego i Piskora. W aktach Kanc. Cyw. Prezydenta R.P. stanowi on załącznik Nr 1 memoriału złożonego przez podpisanych generałów Prez. R.P. opatrzonego datą 12. 11. 1947.

26. Załącznik Nr 2 memoriału do Prezydenta R.P. Raport do Nacz. Wodza z 3. 9. 1946 podpisany przez gen. Przedzymirskiego wysłany z Nicei.

kategoryczna i nieustępliwa, gdy się rozchodzić będzie o zasadnicze decyzje co do losu i przyszłości PSZ. Uważaliśmy to za naturalny obowiązek moralny naszych władz, znaleźliśmy ponadto potwierdzenie tego stanowiska tak w Orędziu Pana Prezydenta R.P. z dnia 24 maja, jak również w Oświadczeniu naszego rządu z tej samej daty.

To nasze przeświadczenie zostało mocno naruszone na skutek wiadomości z ostatnich miesięcy o dopuszczeniu do fatalnego położenia i poniżającego traktowania naszych kolegów, którzy do dziś dnia pozostają na terenie okupacji Sprzymierzonych w Niemczech. Treść obecnie otrzymanego memoriału tym bardziej podrywa nasze zaufanie do tych czynników nadrzędnych, w których rękach znajduje się obrona naszych interesów”.

Tymczasem jednak decyzje likwidacyjne raz powzięte, były konsekwentnie i szybko wprowadzone w życie. W pierwszej kolejności spośród wojsk okupacyjnych 2-gi Korpus przygotowywał się do powrotu do Anglii. Jednostki stale tam przebywające sposobiły się do akcji zaciągowej do P.K.P.R.

Gdy Nacz. Wódz gen Bór-Komorowski powrócił ze Stanów Zjednoczonych do Londynu, dni sił zbrojnych, nad którymi formalnie sprawował władzę, były już policzone. Sprawozdanie, które złożył rządowi ze swych czynności w USA stanowiło dziwną mieszaninę opisów wrażeń, w których ginęły istotne zagadnienia i cele podróży z chronologicznym utrwaleniem wypadków. Rada Ministrów zebrana 29 czerwca 1946 roku²⁷ zmuszona była do wysłuchania olbrzymiego, bo przeszło 6.000 słów liczącego sprawozdania.

.....

O zagadnieniu PSZ rozmawiał Naczelny Wódz z Eisenhowerem.

„Otrzymałem zapewnienie ze strony gen. Eisenhowera życzliwego ustosunkowania się do sprawy przejęcia polskich sił zbrojnych, o ile sprawa ta byłaby załatwiona pozytywnie w Kongresie i w State Department. Przez odpowiedni zespół kongresmenów Amerykanów i Polaków zapewniłem podniesienie sprawy przejęcia PSZ w Kongresie...”²⁸.

Jak widzimy żywiono jeszcze nadzieję na przejęcie PSZ przez

27. Protokół Rady Min. z 29. 6. 1946. ARP, Rada Ministrów,teczka R/1-e akt Nr 5.

28. ARP, akt Nr 46,teczka Nacz. Wódz, korespondencja ogólna.

Stany Zjednoczone lecz czynione u generałów amerykańskich zabiegi spotykały się z przyjęciem identycznym jak ze strony dowódców angielskich. Wykazywali oni jednakową życzliwość pod warunkiem, że zgodzą się na to ich rządy. Nie mogło być inaczej. Z prezydentem Trumanem Naczelną Wódz nie chciał rozmawiać.

„Rozmyślnie wstrzymałem jednak Rozmarka od nacisku na przyjęcie mnie przez Trumana z dwóch powodów: pierwsze Truman był tym, który odmówił uznania naszemu rządowi, drugie — gdy Truman mnie nie przyjmie Kongres może w stosownej dla siebie chwili wyciągnąć z tego odpowiednie konsekwencje. Gdyby mnie natomiast przyjął, Kongres do pewnego stopnia miałby dług wdzięczności w stosunku do Trumana”.

Wydaje się, że Nacz. Wódz przecenił nieco swe znaczenie, myśląc że wizyta jego u prezydenta Trumana spowodowałaby aż tak daleko idące zmiany w stosunku Kongresu do Prezydenta. Bez względu też na to, ile szans miał Nacz. Wódz w namówieniu Prezydenta Trumana do przejęcia PSZ pod opiekę Stanów Zjednoczonych nie wydaje się, aby zdołał uzasadnić w sprawozdaniu swoją niechęć do złożenia wizyty Prezydentowi Stanów Zjednoczonych. W każdym razie gen. Eisenhower wskazywał na jedyną drogę, z której Nacz. Wódz nie skorzystał. Na zakończenie sprawozdania Nacz. Wódz przekazał wiernie pretensje Polonii Amerykańskiej pod adresem rządu, które dotyczyły przede wszystkim zupełnego braku informacji i wytycznych postępowania...

Na tym samym posiedzeniu Rady Ministrów dyskutowano obszernie nad kwestią nadchodzącego zgrupowania całości PSZ w Wielkiej Brytanii. Połączenie, o które z dawna zabiegano, miało się urzeczywistnić, acz nie na przewidzianym terenie i nie pod polską komendą. Wyłaniało się mnóstwo spraw z tym związanych: organizacja obsługi prasowej, szkolnictwa, opieki a wreszcie sprawa zdeponowania sztandarów pułkowych. Przy tym wszystkim amb. Raczyński zaznaczył, że:

„według posiadanych przez niego informacji strona brytyjska jest zaniepokojona ewentualnymi wynikami dokonywanego eksperymentu, jakim jest stworzenie Korpusu i zeszkolenie na wyspie 200.000 żołnierzy polskich. Nieprowadzenie tego eksperymentu mogłoby pociągnąć za sobą pewne reperkusje polityczne w interesie zatem strony polskiej leży aby akcja zorganizowania Korpusu nie wywołała jakichkolwiek tarć lub niepokojów”²⁹.

Jakie reperkusje polityczne mógł mieć amb. Raczyński na

29. Według protokołu Rady Ministrów z dn. 29 czerwca 1946.

myśli, trudno obecnie dociec³⁰... Natomiast wezwanie jego przyczyniało się do wytworzenia atmosfery dopomagania władzom angielskim przy likwidacji PSZ z całym przekonaniem, że leży „to w interesie strony polskiej”. Takiej rady mógłby zapewne udzielić Rządowi R.P. ambasador J.K.Mości, gdyby taki był akredytowany.

*Oświadczenie Rządu RP z 3 września 1946 roku
i rozkaz Szefa Sztabu Głównego o wstępowaniu do P.K.P.R.*

Oświadczenie rządu polskiego z 26 maja 1946 mogło w swej treści wywołać wrażenie, że forma demobilizacji PSZ przez przekształcenie ich w P.K.P.R., spotkała się ze sprzeciwem rządu, który wstępowania do Korpusu nie zaleca. Aby położyć kres wątpliwościom Rząd R.P. wydał 3. 9. 1946 r. oświadczenie, które te wątpliwości usuwało. Oświadczenie to interpretowało Orędzie Prezydenta R.P. i Oświadczenie Rządu R.P. z tej samej daty w sposób, który umożliwiał wstępowanie do P.K.P.R. bez podawania w wątpliwość lojalności żołnierzy w stosunku do swych konstytucyjnych władz. Punkt 2-gi oświadczenia mówił na ten temat:

„Rząd R.P. w narzuconych przez okoliczności warunkach oraz w przeświadczeniu, że nastąpi odpowiednie zabezpieczenie przyszłości żołnierzy, byłych jeńców z kampanii wrześniowej i A.K. zaleca żołnierzom PSZ wstępowanie do P.K.P.R. Ze względu na charakter tego Korpusu nie uważa służby w nim za służbę w wojsku obcym”³¹.

Na tej podstawie Szef Sztabu Głównego gen. Kopański wydał tego samego dnia rozkaz wstępowania do P.K.P.R. Powtarzał on i rozszerzał argumentację zawartą w oświadczeniu rządowym. Została w nim również umieszczona wzmianka o byłych żołnierzach kampanii wrześniowej i A.K. Wzmiankami w orędziach, oświadczeniach i rozkazach, autorzy ich, starali się jak gdyby zatrzeć fakt, że dla tej grupy żołnierzy nie uczyniono nic. W sprawie wstępowania do P.K.P.R., Szef Sztabu Gł. stwierdzał, że:

30. Nie trudno domyślić się, iż mówiąc o „reperkusjach politycznych” Raczyński mógł mieć na myśli, z jednej strony, istniejące sprzeczności związków zawodowych przeciwko zatrudnianiu Polaków, które rząd Labour Party musiał wówczas przezwyciężać, a z drugiej, możliwość przymusowej deportacji żołnierzy do PRL, w wypadku gdyby polskie dowództwo wojskowe odmówiło współpracy z władzami brytyjskimi przy tworzeniu PKPR. — Z. S. S.

31. Oświadczenie pt. „Stanowisko Rządu R.P. w sprawie wstępowania do PKPR” ogłoszone z datą 3 września 1946 roku.

„Z chwilą gdy dalsza służba pod bronią na obczyźnie stała się niemożliwa, obecna forma organizacyjna i przeznaczenie P.K.P.R. wydają się względnie najlepszym rozwiązaniem zapewniającym przyszłość tym żołnierzom i ich rodzinom, którzy w obecnych warunkach nie wracają do kraju. Dlatego Naczelne Władze Sił Zbrojnych zalecają wstępowanie do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia”.

Rozkaz kończył się oświadczeniem Szefa Sztabu Głównego:

„... zgłaszam swoje wstąpienie do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia i zalecam to podległym mi żołnierzom”³².

32. Rozkaz w sprawie wstępowania do PKPR. Szef Sztabu Głównego L.dz. 171/O.S.Zbr., Londyn dn. 3 września 1946 roku podpisany „Szef Sztabu Głównego Kopański, Gen. Dyw.”.

EPILOG

Śledząc przebieg narad rządu polskiego nad pogarszającą się stale sytuacją PSZ nie sposób nie uczynić spostrzeżenia, że zaufanie jakim Rząd R.P. obdarzał prowadzących negocjacje generałów, było bardzo znaczne.

... Poparciu, którym obdarzał Rząd swych przedstawicieli, nie można odmówić rysu godności. Mieściła się w nim lojalność i uznanie dla tych, którzy podjęli się trudu obrony interesów polskich wobec obcego a potężnego w porównaniu z polskim, rządu. Mieściła się w tym także wiara w nieprawdopodobieństwo przypuszczenia, że generałowie mogą poczynić ustępstwa bez wyczerpania wszystkich środków, które były do ich dyspozycji... Rząd przejmował bez sprzeciwu odpowiedzialność na siebie i potwierdzał to swymi uchwałami... Żadnej siły prócz moralnej, rząd nie miał. Nawet i ona nie była jednak wystarczająca, aby wywrzeć wpływ na negocjatorów... Wprost przeciwnie, władze wojskowe jako całość, od Naczelnego Wodza poczynając, wielokrotnie przyczyniały się do osłabienia tej determinacji, którą rząd początkowo objawiał.

... Widzieliśmy jak Szef Sztabu Głównego zrzucał odpowiedzialność na rząd i jak mu na to odpowiadano: „byliście tam i co zrobiliście?”¹.

Widzieliśmy także, iż stosunek negocjatorów do strony przeciwnej, do rządu angielskiego, był nacechowany gotowością do

1. Sprawozdanie z konferencji generalskiej w dniu 5 czerwca 1946.

wzięcia na swe barki odpowiedzialności za współpracę przy likwidacji PSZ²...

Czy wymowa tych faktów była rozumiana w czasie, w którym miały one miejsce? Odpowiedź na to... daje protokół z poufnej rozmowy Prezydenta Raczkiewicza z generałami, którzy meldowali się u niego w sprawie listu polskich dowódców do min. Bevina³...

„W rozmowie z Panem Prezydentem Wł. Raczkiewiczem generałowie (Bortnowski, Głuchowski, Januszajtis, Neugebauer i Piskor) prosili o wyjaśnienie, jak to stać się mogło, że podobny list został wysłany; czy był on uzgodniony z Rządem i z p. Prezydentem. Gen. Kopański bowiem stale powołuje się na fakt, że wszystkie jego kroki są czynione w całkowitej zgodzie z rządem. Generałowie tym bardziej są wstrząśnięci charakterem tego listu, że zaofiarowana w nim pomoc przy organizacji PKPR jest równoznaczna z pomocą ze strony polskiej w likwidacji Polskich Sił Zbrojnych.

Pan Prezydent, zastrzegając poufność rozmowy, z głębokimi akcentami goryczy wyraził się, że i On i Rząd są często stawiani przez władze wojskowe polskie wobec faktów dokonanych i że On jest zmuszony brać na swoją odpowiedzialność wystąpienia, na które nigdy by zgodzić się nie mógł, gdyby były one przedstawione mu do decyzji we właściwym czasie”.

Odpowiedź Prezydenta Raczkiewicza zawierała w jednym zdaniu to, co zostało opisane w uprzednich kilku rozdziałach.

Przewodniczący Komisji Wojskowej
Bronisław ŁOKAJ, mjr.

2. List dowódców P.S.Z. do min. Bevina z 25 maja 1946.

3. Załącznik Nr 7 memoriału generałów do Prezydenta R.P. pt. „Protokolarny zapis rozmowy pomiędzy Panem Prezydentem R.P. i generałami Neugebauerem, Bortnowskim, Głuchowskim, Piskorem i Januszajtisem, odbytej w dn. 27 sierpnia 1946 roku w mieszkaniu Pana Prezydenta. — Tajne”. Podpisane za zgodność przez wymienionych generałów. ARP.

Józef GARLIŃSKI

W POSZUKIWANIU NIEMIECKICH TAJNYCH BRONI *

I

Budził się już powoli piękny majowy świt 1944 roku, gdy gen. Eisenhower, najwyższy dowódca alianckich wojsk inwazyjnych, powrócił do swego wozu kampingowego na południowym wybrzeżu Anglii. Odwiozła go jak zwykle młoda angielska dziewczyna, która zawsze prowadziła jego samochód i którą generał obdarzał czymś więcej niż zwyczajną służbową sympatią. Często o niej myślał, zwłaszcza po zakończeniu ciężkiego dnia pracy, ale dziś jego mózg zajęty był innymi problemami.

— Ci przekłēci Brytyjczycy pamiętają zawsze tylko o sobie — mruczał pod nosem, ściągając buty i mocując się ze spodniami. Zawsze irytowały go odprawy, w których uczestniczył marszałek Montgomery, posiadał jednak wiele taktu i spokoju, więc nie zdradzał się ze swymi uczuciami, dziś jednak o mało nie wybuchnął. Jasne jest, że wszyscy pragną jak najszybszego zakończenia wojny i że inwazja kontynentu na pewno ją przyspieszy, ale pośpiech za wszelką cenę może się okazać fatalny w skutkach. Czego chce ten „Monty”, po co mamy natychmiast łado-

* Drukowany fragment jest rozdziałem z nowej książki, której tematem będą niemieckie tajne bronie w czasie ubiegłej wojny, V-1 i V-2. Celem autora jest przedstawienie całokształtu tego ciekawego problemu i wydobycie na jaw wysiłków ruchów podziemnych w kilku okupowanych przez nazistów krajach, nie tylko Polski, które starały się trafić na trop niemieckich eksperymentów. Specjalnie ważne są materiały i szczegóły dotyczące Francji, Belgii, Holandii, Danii, Norwegii i Luksemburga. Autor prosi Polaków, zamieszkających w tych krajach, którzy zetknęli się z wydawnictwami na ten temat, z dokumentami lub żyjącymi jeszcze świadkami, by zechcieli nawiązać z nim kontakt, pisząc na adres: Józef Garliński, 94, Ramillies Road, London, W.4. 1JA, England.

wać się na kontynent, gdy tyle jeszcze spraw pozostało do uzgodnienia? Podobno Niemcy budują na francuskim wybrzeżu wyrzutnie i przygotowują się do bombardowania Londynu latającymi torpedami. No to co? Jest wojna, będą, muszą być straty. Gorzej, że ze strony amerykańskiej także robią na niego naciski, by się spieszył. Tu przyczyną jest nie zagrożenie Londynu ale rozwój sytuacji na Dalekim Wschodzie. Prezydent chciałby jak najszybciej zakończyć wojnę w Europie i wszystkie siły skierować przeciwko Japończykom. To słuszne, bardzo słuszne, ale czyż można sobie pozwolić na najmniejszą improwizację? Co się stanie, gdy przez pośpiech inwazja się nie uda? Jakie będą straty, o ile opóźni się zakończenie całej wojny?

Generał wziął do ust dwa proszki, popił wodą, ale czuł, że nieprędko zaśnie. Odsunął firankę i wyjrzał na zewnątrz. Było zupełnie cicho, najłżejszy powiew nie poruszał gałęziami drzew. Spoza horyzontu począł się wyłaniać wąziutki rąbek wschodzącego słońca.

II

To samo słońce, o tej samej porze, podnosiło się powoli nad małą wioską Klimczyce, w dalekiej Polsce, o półtora tysiąca kilometrów na wschód od południowych wybrzeży Anglii.

Wojna, oczywiście, dawno już dotarła do tamtych stron. Od jesieni 1939 roku okupowali je Niemcy, mając po drugiej stronie rzeki Bug swych ówczesnych przyjaciół, Rosjan, dopóki w czerwcu 1941 roku nie uderzyli na nich i nie odrzucili ich daleko na wschód. Teraz, po trzech latach, mieli ich już tam z powrotem, ale jeszcze w sporej odległości, więc nadal rządili zdobytym terenem jak swoją niezaprzeczną własnością. Nakładali na wioski wielkie żywnościowe kontyngenty, łapali młodych ludzi na roboty w głębi Rzeszy, rozstrzeliwali bez pardonu partyzantów i podziemnych żołnierzy. Tak działo się tam od pięciu prawie lat, było codzienną rutyną i nie to sprawiło, że pogodny ranek 20 maja 1944 roku okazał się tak bardzo ważny. By jednak ważność tej daty wystarczająco uzasadnić, trzeba cofnąć się o szereg miesięcy wstecz.

Po wielkim bombardowaniu Peenemünde w sierpniu 1943 roku, gdy samoloty brytyjskie zniszczyły montownie i wyrzutnie V-2, Niemcy musieli się rozejrzeć za nowym, bezpieczniejszym miejscem. Podstawowym jego warunkiem musiała być taka odległość od alianckich lotniczych baz, by nowe bombardowanie było niemożliwe lub przynajmniej bardzo utrudnione. Po przegzaminowaniu całej posiadanej przestrzeni wybór padł na małą

miejscowość Blizna, na terenie południowej Polski, w widłach Wisły i Sanu, gdzie zalesienie było bardzo bogate a ilość wiosek stosunkowo mała.

Tereniem tym zainteresowali się Niemcy już w roku 1940, wioskę Blizna wysiedlili i zorganizowali poligon SS w kształcie kwadratu o jednym boku długości mniej więcej 20 kilometrów. Później, pod koniec roku 1941, przywieziono tam sowieckich jeńców wojennych i wybito ich prawie doszczętnie bardzo ciężką pracą i głodem. Po nich znaleźli się tam więźniowie polityczni, dla których zorganizowano niewielki obóz koncentracyjny¹.

Wywiad Armii Krajowej miał z tego terenu dobre informacje, bo Niemcy pozostawili tam polskie nadleśnictwo, którego personel prawie w całości należał do podziemia, ale przez kilka lat informacje te nie miały poważniejszego znaczenia. Nagle, późną jesienią 1943 roku, poczęły stamtąd napływać meldunki o wielkiej niemieckiej aktywności.

Akurat w tym samym mniej więcej czasie następowała zmiana na stanowisku szefa wywiadu Armii Krajowej. Po wielkich aresztowaniach siatka wywiadu została tak poszarpana, że na wielu odcinkach trzeba ją było tworzyć od nowa, konieczna okazała się także zmiana samego kierownictwa. Dotychczasowy szef, ppłk dypl. Marian Drobik („Dzięcioł”), był chory², więc stanowisko jego powierzono płk. dypl. Kazimierzowi Irankowi-Osmeckiemu („Makary”), który przeszedł odpowiednie przeszkolenie w Anglii i został stamtąd zrzucony na spadochronie w marcu 1943 roku. Był on mężczyzną w sile wieku i posiadał dobre przygotowanie do powierzonej mu funkcji, bo znał nieźle zachód, skąd skoczył, i okupowany kraj, w którym na przełomie roku 1940-1941 jakiś czas przebywał, po wypełnieniu misji emisariusza³.

Nowy szef rozpoczął energiczne odbudowywanie rozgromionej przez Gestapo siatki a jednocześnie studiował meldunki, które nadsyłał Okręg Kraków. Dwa najważniejsze nadeszły w listopadzie i w grudniu 1943 roku i zawierały szczegóły dotyczące Blizny. Tamtejszy poligon SS był bardzo szybko rozbudowywany, do czego użyto więźniów miejscowego obozu koncentracyjnego. Naprawiono i przedłużono bocznice kolejową, biegnącą z Kocha-

1. Michał Wojewódzki, *Akcja V-1, V-2*, wyd. III, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1975, str. 157-8.

2. Zażył truciznę w czasie odprawy KG Armii Krajowej, gdy wydawało się, że do mieszkania dobija się niemiecka policja. Został później aresztowany przez Gestapo 8 grudnia 1943 roku i zginął w niemieckich rękach.

3. Wówczas trudności dotarcia z Anglii do Polski były tak duże, że pułkownik opuścił Londyn 7 listopada a dotarł do Warszawy 18 grudnia 1940 roku, wędrując różnymi środkami lokomocji poprzez 13 krajów, włączając w nie Afrykę Środkową.

nówki, zmieniono nawierzchnię szosy, postawiono wiele nowych baraków dla żołnierzy, odrutowano znaczną część lasu, na wykarczowanej polanie położono wielką płytę betonową. 28 września na zamaskowany i pilnie strzeżony teren przybył szef SS, Heinrich Himmler⁴, który po ataku na Peenemünde potrafił przekonać Hitlera, że SS powinno przejąć opiekę nad eksperymentami i wykorzystaniem tajnych broni⁵. Już ta sama wizyta była dowodem, że na terenie Blizny Niemcy przygotowują się do jakichś bardzo ważnych działań.

Po wyjeździe Himmlera przyśpieszono jeszcze prace i poczęto je specjalnie kamuflować. Na miejscu, gdzie stała spalona wieś Blizna, więźniowie postawili makietę nowej wsi. Elementy chat i budynków gospodarskich, zrobionych z dykty, przywieziono z Niemiec, pobudowano płoty i powieszono na nich bieliznę, ustawiano figury ludzi, zasadzono kwiaty. Z powietrza złudzenie zamieszkałej wsi musiało być zupełne⁶. Na bocznice kolejową poczęły przychodzić pociągi złożone z długich lor, przykrytych brezentem, kryjącym jakieś podłużne przedmioty. Czasem wśród lor znajdowały się cysterny o nowych kształtach.

W Warszawie bardzo interesowano się tymi szczegółami i szukano powiązania z innymi informacjami, które już posiadano. Nowy szef wywiadu wiedział, oczywiście, o zbombardowaniu Peenemünde, bo przyczynili się doń także polscy wywiadowcy, działający na tamtym terenie, i myśl jego krążyła wokół tego problemu. Próbował powiązać ze sobą nadchodzące z różnych stron meldunki, szukał dodatkowych ogniw. Zbieg okoliczności sprawił, że dostał je do swych rąk tego samego dnia.

W połowie grudnia nadszedł z terenu Blizny nowy meldunek zawierający szczegóły zaobserwowania lotów i wybuchów jakichś tajemniczych pocisków a miejscowa wywiadowcza siatka zawiadomiła, że przy rondzie Waszyngtona rozbił się niemiecki samochód i że wszyscy jego pasażerowie zginęli. Agenci kontrwywiadu AK potrafili po kilku dniach stwierdzić, że byli to specjaliści tajnej niemieckiej broni i że jechali z Mielca położonego niedaleko Blizny⁷.

Płk Iranek-Osmecki nie miał już prawie wątpliwości, że w Bliznie przeprowadzane są eksperymenty z tymi samymi tajemniczymi pociskami, których wyrzutnie zostały zniszczone w Pee-

4. Manfred Bornemann, *Geheimproject Mittelbau. Die Geschichte der deutschen V-Waffen-Werke*, Monachium, 1971, str. 105.

5. David Irving, *The Mare's Nest*, Londyn, 1964, str. 122-3.

6. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 160-1.

7. Kazimierz Iranek-Osmecki, autoryzowana rozmowa z autorem książki, dn. 11. 11. 1975.

nemünde, wydał więc natychmiast Okręgowi Kraków dodatkowe instrukcje a jednocześnie, na wszelki wypadek, uruchomił własną, centralną siatkę wywiadowczą, gdyby miejscowe komórki z jakiegoś powodu zawiodły⁸.

W styczniu 1944 roku eksperymenty przybrały na sile i nie było już wątpliwości, że chodzi o rakiety. Wystrzeliwano je regularnie, dniem i nocą, leciały przeważnie w kierunku północnym, północno-wschodnim i zachodnim, ale rozrzut i zasięg miały bardzo różny. Czasem rozrywały się tuż nad Blizną, czasem leciały daleko i padały koło Częstochowy, Końskich, Rejowca i na północy, aż nad Bugiem. Tam koncentrowało się ich najwięcej. Padając, wyrzywały z ziemi olbrzymie dziury o średnicy 20 metrów, niszczyły gospodarstwa, wyłamywały drzewa.

Niemcy posiadali kilkanaście zmotoryzowanych patroli, rozmieszczonych w różnych punktach terenu, na którym padały rakiety, i patrole te pędziły natychmiast na miejsce upadku, zabezpieczały je i zbierały wszystkie odłamki i części mechanizmu. Niejednokrotnie były one w niezłym stanie, bo eksperymentalne rakiety miały tylko małą część głowicy wypełnioną materiałem wybuchowym, reszta zawierała piasek⁹.

To samo czyniły patrole Armii Krajowej i prawie co dzień miał miejsce wyścig pomiędzy jawnie działającymi Niemcami, którzy mogli korzystać ze wszystkich technicznych udogodnień, a podziemną armią, która musiała działać w ukryciu, ale poruszała się na własnym terenie, w oparciu o pomoc miejscowej ludności. Współzawodnictwo przybrało charakter twardej walki, kilkakrotnie doszło do strzelaniny pomiędzy niemieckimi i podziemnymi patrolami.

III

W tym samym czasie działający w Londynie komitet, używający kryptonimu „Crossbow” i podlegający bezpośrednio wojennemu gabinetowi, porządkował w pośpiechu otrzymywane z różnych źródeł informacje i zastanawiał się, które należy odrzucić a które zakwalifikować jako prawdziwe i ważne. Szeroko rozgałęziona sieć brytyjskiego wywiadu, wspierana zdobyczami ruchów podziemnych okupowanej Europy, śledziła kierunki niemieckich transportów kolejowych, które kursowały pomiędzy zakamuflowanymi fabrykami a odbudowanym Peenemünde, i starała się dotrzeć do miejsc, gdzie przeprowadzano dalsze eksperymenty.

8. *Tamże*.

9. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 219.

Latające bomby, V-1, zostały już rozszyfrowane, wiadano jaki jest ich zasięg i jaka siła, fotografie z powietrza i informacje z ziemi pozwoliły na umiejscowienie licznych wyrzutni na północnym wybrzeżu Francji, teraz pościg wywiadowczy dotyczył rakiet, V-2¹⁰.

Komitet „Crossbow” wiedział, że po zbombardowaniu Peenemünde Hitler oddał Himmlerowi wszystkie sprawy związane z tajnymi broniąmi i słusznie rozumował, że nowych poligonów i miejsc doświadczeń szukać należy na terenach kontrolowanych przez SS. Było ich bardzo wiele rozsianych po całej Europie, były dokładnie strzeżone i kamuflowane, dotarcie więc do nich nie należało do problemów bagatelnych i jak dotychczas nie zostało osiągnięte. Nagle, via sztab polski w Londynie, nadeszły depesze, że w Polsce, na poligonie SS w miejscowości Blizna, odbywają się eksperymenty z latającymi obiektami, których wygląd i zachowanie się w powietrzu każą przypuszczać, że są to rakiety. Jedna z depesz przyniosła niezwykle ważną wiadomość, że latające obiekty są najprawdopodobniej pędzone nadtlenkiem wodoru (Hydrogen Peroxide)¹¹.

Wiadomości te potraktowano jak najbardziej poważnie i wydano rozkaz, by samoloty RAF o dalekim zasięgu (przypuszczalnie Mosquito) sfotografowały teren Blizny. Zdjęć dokonano w połowie kwietnia i powtórzono je 5 maja¹², wyszły wystarczająco dobrze, by można je było odczytać. Dokonanie zdjęć zbiegło się z informacjami wywiadu, że pomiędzy Blizną i Peenemünde krążą ubezpieczone strażą transporty kolejowe z tajemniczymi, zakamuflowanymi ładunkami.

Wydawałoby się, że te, tak ważne, wiadomości zachęcą do natychmiastowego, jak najdokładniejszego zbadania otrzymanych fotografii. A jednak dopiero 3 czerwca komitet „Crossbow” zainteresował się nimi. Wziął je do swego biura na noc dr Jones z postanowieniem definitywnego ustalenia czy na terenie Blizny znajdują się rakiety V-2. Było to niezwykle ważne, bo tajemnicze ładunki na transportach kolejowych pomiędzy Blizną i Peenemünde, zgodnie z niemiecką pedantycznością, nosiły seryjne numery. Gdyby dotyczyły one V-2, drogą dedukcji można by ustalić,

10. Dr R. V. Jones, relacja nagrana dla zachodnio-niemieckiej telewizji w roku 1963 (kopia maszynopisu, sporządzonego z przesłuchanej taśmy, w posiadaniu autora).

11. Dr R. V. Jones, *op. cit.*, str. 9. W rzeczywistości nadtlenek używany był w rakiecie V-2 do poruszania urządzenia pompującego materiał pędny, którym był płynny tlen i alkohol. Także: M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 243-4.

12. D. Irving, *op. cit.*, str. 264.

że Niemcy posiadają już około tysiąca sztuk tej niebezpiecznej i ciągle jeszcze nie rozpoznanej dokładnie broni.

Po wielu godzinach, już nad ranem, dr Jones znalazł czego szukał. W dalekim zakątku poligonu, na półkolu wąskotorówki, widniała niezbyt wyraźna, biała kreska.

Natychmiast powiadomił o tym lorda Cherwella, który był doradcą Churchilla w tych sprawach, i po 48 godzinach premier Wielkiej Brytanii wiedział już o wszystkim. Można by sądzić, że to ważne odkrycie dr Jonesa, spowodowane meldunkiem z Polski, powinno było pozwolić komisji na wprowadzenie swych badań na właściwy tor. Okazało się jednak, że personalne animozje i zawiści były mocniejsze niż rozsądek. Dr Jones znalazł się pod ostrzałem krytyki ze strony wielu osób, nawet z wojennego gabinetu, które wołały nie wierzyć, że Niemcy posiadają już tak wiele gotowych do użycia rakiet, a aliancka centralna komórka odczytywania zdjęć zaprotestowała przeciwko „amatorskiej interpretacji” fotografii, która przedstawiała przecież nie raketę a lokomotywę. Dr Jones nie cieszył się w tej komórce specjalną sympatią, bo już w roku 1943 pierwszy odczytał z fotografii Peenemünde, że znajdują się tam wyrzutnie latających bomb¹³.

IV

Wyścig pomiędzy niemieckimi i podziemnymi patrolami, zbierającymi odłamki rakiet, nadal trwał, ale była to metoda powolna i dla Polaków niekorzystna, bo Niemcy mieli technicznie dużą przewagę, którą potęgowali terroryzowaniem miejscowej ludności. Władze Armii Krajowej zastanawiały się nad bardziej skutecznym i szybszym sposobem wydarcia nazistom ich tajemnicy i skoncentrowały się na dwóch możliwościach. Lokalnie planowano zebranie znaczniejszych sił partyzanckich, uderzenie na poligon i opanowanie go siłą na kilka przynajmniej godzin, ale po zastanowieniu się pomysły te trzeba było odrzucić. Załoga Bliżny była zbyt silna, krwawe represje na okolicznej ludności nie trudne do przewidzenia.

Znacznie większe szanse miały zamysły, które zrodziły się w Warszawie. Komenda dywersji („Kedyw”) otrzymała rozkaz przygotowania akcji bojowej, w której opanowano by transport kolejowy wiozący na teren Bliżny tajemniczy ładunek. Ten plan wyglądał zupełnie realnie, zabrano się więc do przygotowań. Napad na pociąg miał mieć miejsce niedaleko Bliżny, na linii Brzes-

13. D. Irving, *op. cit.*, str. 265-6.

ko-Tarnów, po zlikwidowaniu osłony cały zestaw zostałby przetoczony na pobliską małą stację i tam nastąpiłby przeładunek rakiety na wielką ciężarówkę. Pod osłoną nocy i oddziału bojowego ciężarówka pomknęłaby do przygotowanego miejsca na Podkarpaciu¹⁴.

Mimo najrozmaitszych opóźnień wszystko było już gotowe, gdy nagle niespodziewane wydarzenie przekreśliło aktualność całego planu. 20 maja nadeszła do Warszawy alarmowa wiadomość: tego samego dnia, o świcie, koło wsi Klimczyce, niedaleko Sarnak, na lewym bagnistym brzegu Bugu, upadła niemiecka rakietka i nie rozerwała się. Lokalny patrol AK potrafił ją zamskować zanim zjawili się Niemcy, są widoki, że jej nie odkryją¹⁵.

V

Polski ruch podziemny pod niemiecką okupacją był rozgałęziony w wielu kierunkach, obejmował nie tylko działalność polityczną i wojskową, ale także tajne nauczanie, tajne uniwersytety, produkcję książek, chronienie zabytków, tajne sądownictwo, prasę, teatr i dlatego, dzięki tej wszechstronności, spowodowanej niemieckimi rządami, uzyskał nazwę — Polskie Państwo Podziemne.

W ramach działalności wojskowej poważną rolę odgrywał wywiad, którego działalność, między innymi, obliczona była na okazanie maksymalnej pomocy zachodnim aliantom w ich walce z Niemcami. Wśród osiągnięć w tym zakresie na pierwsze miejsce wysunęły się meldunki dotyczące niemieckiej koncentracji przed atakiem na Związek Sowiecki w roku 1941, pokwitowane pochwałami przez władze brytyjskie. Ważne i wartościowe dla wspólnego wysiłku były także informacje zbierane na terenie Rzeszy, dotyczące transportu, produkcji przemysłowej, rozmieszczenia fabryk i ich wydajności. Sprawy te wymagały fachowych rozpracowań i dlatego przy wywiadzie istniało Biuro Studiów Gospodarczych. Utworzono je w połowie roku 1941, dano kryptonim „Arka”, na jego czele stanął Jerzy Chmielewski („Jacek”), rolnik z zawodu, a więc człowiek fachowo nieprzygotowany do takich zadań, ale pełen energii i pomysłów. Szukał on kontaktów wśród naukowców i wciągał ich do swego tajnego biura. Później wyłonił się projekt utworzenia Rady Gospodarczej, zwanej w podziemiu Radą Starców. Kierował nią Hipolit Gliwic („Tomasz”)¹⁶.

15. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 268.

16. Gestapo aresztowało go w roku 1943, w więzieniu popełnił samobójstwo.

14. K. Iranek-Osmecki, *op. cit.*

Biuro i Rada pracowały równolegle, wzajemnie się uzupełniając¹⁷.

We wrześniu 1942 roku Gestapo aresztowało Chmielewskiego w okolicznościach przypadkowych i po kilku miesiącach, które spędził na Pawiaku, 13 maja roku następnego wysłało do Oświęcimia¹⁸. Funkcję jego przejął dotychczasowy zastępca, Adam Mickiewicz („Telesfor”). Rozszerzył on zakres pracy Biura i wprowadził doń nowych ludzi. Jednym z nich był inż. Antoni Kocjan („Korona”), młody człowiek o niepozornym wyglądzie, posiadający dużą wiedzę w dziedzinie przemysłu lotniczego. Powierzono mu pracę nad materiałami dotyczącymi niemieckiej produkcji lotniczej i broni pancernej, został także później jednym z zastępców Mickiewicza. Gdy na przełomie roku 1942/43 poczęły do Warszawy napływać meldunki o niemieckich eksperymentach z latającymi bombami, kierowano je do referatu inż. Kocjana, który nazwano Komisją Badawczą. W niedługim czasie, dzięki pracowitości i wiedzy, wysunął się on na czoło całego zespołu badającego te zagadnienia¹⁹. Ponieważ z meldunków o niemieckich tajnych broniach i z zapytań przysyłanych z Londynu wynikało, że ważnym problemem jest rodzaj używanego paliwa i sposób, jakim pociski są kierowane, do Biura wprowadzono dwóch naukowców: prof. Janusza Groszkowskiego, specjalistę od radiotechniki, i prof. Marcellego Struszyńskiego, specjalistę od środków napędnych.

Wiadomość, że nad Bugiem zabezpieczono w bagnie całą rakietę w mało uszkodzonym stanie, poderwała wywiad do pośpiesznego działania. Jego szef spowodował, że dowódca obszaru warszawskiego Armii Krajowej wydał lokalnemu dowódcy rozkaz, by postawił do dyspozycji oddział ubezpieczający i by dał ludzi do pomocy technicznej, referat inż. Kocjana zmontował dwa zespoły fachowców, które przygotowały się do wyjazdu nad

17. K. Iranek-Osmecki, *op. cit.*

18. Autor książki przyjechał do Oświęcimia tym samym transportem i otrzymał tam numer obozowy 121421 a Chmielewski 121390. Obydwaj, wraz z kilkudziesięcioma kolegami z tego transportu, trafili po kilku dniach do karnej kompanii, mogli się więc tam bliżej poznać. Autor przed aresztowaniem pełnił funkcję kierownika wywiadu więziennego Komendy Głównej AK, praca ta polegała na utrzymywaniu tajnej korespondencji z uwięzionymi przez Niemców podziemnymi działaczami. Z tego tytułu wiedział kim jest Chmielewski, jak również kim są liczni inni więźniowie karnej kompanii, którzy przybyli z Warszawy, i wśród których było wielu wybitnych konspiratorów. Wszyscy starali się zachowywać jak najbardziej dyskretnie, by niczym nie zwrócić na siebie uwagi. Na ich tle raziło nieco zachowanie się Chmielewskiego, który miał tendencję do ekshibicjonizmu, niebezpiecznego w ówczesnej sytuacji.

19. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 474-5 i 281. Także: K. Iranek-Osmecki, *op. cit.*

Bug. Pierwszy z nich miał tylko rozpoznać warunki pracy na miejscu, drugi, ze wszystkimi niezbędnymi narzędziami, miał rozmontować raketę, wydobyć z niej najważniejsze części, sfotografować je, porobić rysunki i sporządzić jak najbardziej szczegółowy raport.

Po kilku dniach, gdy Niemcy zrezygnowali już ze znalezienia rakiety, konspiracyjni żołnierze z 22 pp. Armii Krajowej zjawili się nocą z trzema parami koni i po kilkugodzinnych wysiłkach wydobyli cenną zdobycz z bagna. Załadowano ją na dwa połączone wozy i przewieziono do stodoły we wsi Hołowczyce-Kolonia.

Gdy wstępne zbadanie pocisku zostało zakończone, z Warszawy przyjechał inż. Kocjan ze swym najbliższym współpracownikiem, inż. Stefanem Waciórskim („Funio”) i kilkoma innymi specjalistami. Zabrali się do powolnej i trudnej pracy rozmontowania skomplikowanego mechanizmu, który składał się z około 25 tysięcy części. Trzeba się było spieszyć a jednocześnie pracować bardzo ostrożnie, bo nie było przecież wiadomo czy w rakiecie nie znajduje się nadal materiał wybuchowy lub czy nie zawiera ona żrących płynów, z których jeden został już wcześniej rozpoznany. Nie należało także zapominać, że wszystko to dzieło się na terenie pilnie strzeżonym przez Niemców, którzy do swych eksperymentów przywiązywali kolosalną wagę, i którzy rządili okupowanym krajem żelazną ręką powszechnego terroru.

Rozmontowywanie i opisywanie rakiety posuwało się powoli a w tym samym czasie pomiędzy Londynem i Warszawą krążyły alarmowe depesze dotyczące polskiej zdobyczy²⁰. W Anglii był to okres niezwykle gorący, bo choć trzymano to w największej tajemnicy, lada dzień spodziewano się lądowania wojsk alianckich na wybrzeżu północnej Francji i gubiono się w domysłach jak przygotowują się do tego Niemcy. Wtajemniczeni wiedzieli, że w Normandii są już ustawione wyrzutnie latających bomb, V-1, i że ich z każdym dniem przybywa, szukano gorączkowo odpowiedzi na zagrożenie ze strony rakiet, V-2. Z dużą dozą słuszności obawiano się, że Niemcy są już z nimi gotowi i że użyją ich gdy rozpocznie się inwazja, by zniszczyć porty załadunkowe w południowej Anglii i odciąć siły inwazyjne od zaopatrzenia i zaplecza²¹.

20. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 278-80 (relacja ppłk. Mariana Utnika, który w tym okresie przejmował Oddział VI Sztabu N.W. w Londynie od ppłk. Michała Protasewicza. Głównym zadaniem tego oddziału była łączność z Polską).

21. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 291-2.

Zespół inż. Kocjana uporał się wreszcie z rozmontowywaniem, fotografowaniem i opisywaniem rakiety. Wydobyto z niej wiele nieuszkodzonych części mechanizmu, wśród nich aparat radiowy nadawczo-odbiorczy oznaczony numerem 0984. Inż. Waciórski od razu wpadł na pomysł, że skoro aparat ten służy do kierowania rakietą w czasie lotu, można by pokusić się o zmontowanie urządzenia, które pozwoliłoby na zastąpienie w tym Niemców i pokierowanie rakietami we własnym zakresie²². W ten sam sposób rozumowali specjaliści brytyjscy, gdy zapoznali się z systemem kierowania rakietami, ale ich myśl biegła w kierunku bardziej realnym: spodziewali się, że specjalnym urządzeniem radiowym można będzie tylko zakłócać lot pocisku²³.

Dalsze prace związane ze zdobytą raketą rozwijały się pomyślnie i doszły do najważniejszej fazy. Kocjan, niewysoki, szczupły, w wielkiej cyklistówce, pełen młodzieńczej werwy, uwił się pomiędzy Bugiem i Warszawą i tylko raz na tydzień nocował w swym małym mieszkaniu, gdzie czekała nań żona i gdzie mógł nieco odpocząć. Był u szczytu konspiracyjnego powodzenia, zajmował się tym, co najbardziej absorbowало jego umysł, wiedział, że spełnia ważne i bardzo potrzebne czynności. Ale zły duch wojny nie spał, czekał tylko w zaczejeniu na okazję do ataku.

Była środa ostatniego dnia maja 1944 roku, ten właśnie dzień tygodnia, w którym inżynier wpadał do siebie, spotykał się z żoną i spędzał noc pod własnym dachem. Dobiegł w ostatniej chwili, tuż przed godziną policyjną, uścił żonę, umył się, przełknął szybko kolację i wcześniej położył się do łóżka, by choć trochę poczytać. Nie wiedział nawet kiedy zasnął. W niespokojnym śnie wydawało mu się, że podchodzi do lądowania i że wali się z samolotem na ziemię z wielkim hałasem. Był to jednak inny dźwięk, znacznie gorszy, który go obudził. Żona także zerwała się z posłania. Łomotano do drzwi, słycać było niemiecki wrzask. Nie istniała droga ucieczki, trzeba było otworzyć. Do mieszkania weszło dwóch uzbrojonych żołnierzy i dwóch cywilnych.

— Antoni Kocjan? — Tak. — Ubierać się, oboje.

Żołnierze stanęli przy drzwiach, cywile latarkami obmacali wszystkie kąty, powyciągali szuflady, wyrzucili na podłogę całą zawartość szafy, przetrząsnęli łóżko. Budził się dopiero dzień, gdy policyjna buda dowiozła ich na Pawiak.

Przy pierwszym przesłuchaniu okazało się, że sprawa nie wygląda beznadziejnie. Gestapo odkryło w Warszawie drukarnię

22. K. Iranek-Osmecki, *op. cit.*

23. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 288 (powojenna wypowiedź von Brauna).

Armii Krajowej, która mieściła się w podziemiu doświadczalnych zakładów szybowcowych, prowadzonych przed wojną przez Kocjana. Prędko ustalono jego powiązania z odkrytym lokalem, zdo- byto adres i przeprowadzono nocny nalot.

Był już piąty rok wojny, front wschodni posuwał się szybko na zachód i znajdował się niedaleko stolicy Polski, Kocjan łatwo udowodnił, że z drukarnią nie miał nic wspólnego, więc Gestapowcy, już nie tak gorliwi jak dawniej i widzący możliwość okupu, zachowywali się poprawnie. Ostrożna i poparta pieniędzmi interwencja z zewnątrz spowodowała, że zwolnili żonę Kocjana i obiecywali to samo i jemu, gdy zły duch wojny uderzył ponownie. Niestety inżynier nie zachowywał żelaznych reguł podziemnej roboty i zamiast koncentrować się wyłącznie na pościgu za V-2, co było zadaniem najwyższej wagi, zajmował się także sekretną produkcją granatów. Gdy w Alei Szucha, w centrali Gestapo, czekał w przechodniej celi na przesłuchanie, ujrzała go tam łączniczka z tej produkcji, także aresztowana. Maltretowano ją w śledztwie, starając się zmusić do podania swych kontaktów. Mało kogo znała, więc gdy spotkała inżyniera, uchwyciła się tej szansy. Pod straszną presją wskazała nań i powiedziała czym się zajmuje.

Widoki na szybkie zwolnienie zamieniły się w okrutne śledztwo. Bito go tak, że na noszach wracał do więzienia, wyłamywano palce, palono gorącym żelazem. Gdy z bólu tracił przytomność, polewano go lodową wodą lub cucono szokami elektrycznymi, potrafił jednak milczeć.

Dzięki temu prace nad zdobytą rakietą mogły iść dalej²⁴.

VI

Gigantyczna operacja inwazji kontynentu, największa w dziejach wszystkich wojen, niezwykle skomplikowana, bo brały w niej udział trzy rodzaje broni: armia lądowa, marynarka i lotnictwo, opierała się w decydującej mierze na trafnych przewidywaniach meteorologicznych.

Całość niezwykle precyzyjnych i żmudnych przygotowań była już dawno zaplanowana i wykonana, wszystkie rozkazy wydane, wszystkie niespodzianki i zaskoczenia przewidziane, wszelkie nieporozumienia pomiędzy kilkudziesięcym tłumem wojska zażegna-

24. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 282-4. Kocjan zginął na Pawiaku. Jedni podają, że zmarł z pobicia w izolacie pod koniec lipca, drudzy, że rozstrzelano go wraz z wieloma innymi więźniami w ruinach getta 13 sierpnia, już w czasie powstania.

na, osobiste animozje zaspokojone — ale pozostał problem, nad którym mózg ludzki nie potrafił jeszcze zapanować: pogoda.

Gen. Eisenhower, na którego biurku tłoczyły się rozmaitego koloru aparaty telefoniczne, co chwila podnosił którąś ze słuchawek, ale sam najczęściej chwycił za tę, która łączyła go z przepowiadaczami pogody. Na początek czerwca obiecywali, że będzie dobra, ale błędy i niespodzianki zakradły się do ich obliczeń, bo padał deszcz, dał silny wiatr, morze było wzburzone a niskie chmury uniemożliwiały precyzyjne powietrzne operacje. Co dzień, po kilka razy, zbierali się najwyżsi dowódcy i rozważali, dyskutowali, radzili. Eisenhower, uważany przez wielu za osobę bardziej polityczną niż wojskową, przedwojenny pułkownik, wywinowany na najwyższe dowódcze stanowisko przez prezydenta Roosevelta dla swych wielkich umiejętności mediacyjnych, wołał słuchać innych niż forsować własne zdanie. Musiał, oczywiście, sam wydać ostatni rozkaz, ale tak manewrował, by była to opinia wszystkich lub zdecydowanej większości, a nie tylko jego samego.

Południowe wybrzeże Anglii były zatłoczone do niemożliwości pojazdami, czołgami, armatami, wszelkiego rodzaju uzbrojeniem i tłumami żołnierzy, którzy z podniecenia nie wiedzieli już co ze sobą robić. Zalegali wszystkie możliwe bary i jadłodajnie, przegrywali w karty ostatnie dolary, włóczyli się stadami i napastowali dziewczyny, masakrowali się w walce wręcz, szukając odmiennych mundurów i napadając na intruzów mówiących innym językiem lub przynajmniej innym akcentem. Żandarmeria nie miała wolnej chwili, areszty pękały w szwach.

Przygotowania inwazyjne otoczone były najsroższą tajemnicą i tylko minimalna ilość wtajemniczonych znała wszystkie szczegóły, teraz jednak nie trzeba już było szpiegów, by mieć pewność, że atak rozpocznie się lada dzień. Ale właśnie o ten dzień chodziło i trzeba było zrobić co można, by Niemcy nie mogli się go domyśleć. Drugim zaskoczeniem miał być kierunek uderzenia. Wróg był przebiegły i starał się dociec po jakiej linii posuwa się myśl zaczajonego na brytyjskich wyspach przeciwnika. Trzeba było tego wroga przechytrzyć, zaskoczyć, oszukać i uderzyć tam, gdzie się tego najmniej spodziewał.

Dnia 5 czerwca rano wstał pochmurny, morze było burzliwe, widoczność słaba. Gen. Eisenhower prawie nie spał tej nocy, tłukł się więc po swym domku w złym humorze i co chwila wychodził na zewnątrz, by spojrzeć w niebo i ocenić szarość horyzontu. Meteorologowie niewiele obiecywali, ale podali jedną wiadomość, która zapadła w mózg generała i formowała powoli jego decyzję: mogła przyjść nagła odmiana. Wczorajsza narada wykazała, że wszyscy mają już dość czekania i że łatwo zaakcep-

tują każdą decyzję działania. Generał wiedział także, że żołnierze na wybrzeżu dłużej już nie wytrzymają. A Niemcy? Zła pogoda mogła tylko uspić ich czujność. Wrócił do wozu i chwycił za słuchawkę. Nowa odprawa.

Minęło kilkanaście godzin i pod osłoną załamującej się nocy ruszyła powoli od angielskich brzegów wielka armada. We wnętrzach swych okrętów wiozła nieprzeliczony, najnowocześniejszy wojenny sprzęt, prowadziła za sobą łodzie desantowe, wlokła na grubych stalowych linach sztuczne mola i porty, ciągnęła po dnie kanału kauczukowe węże, przez które za kilka godzin miała popłynąć benzyna. Na pokładach, w kajutach, na korytarzach mrowiło się kłębowisko ludzkie ubrane w mundury, zabezpieczone hełmami, poprzepasywane rzemieniami, objuczone bronią. Żarzyły się ogniki papierosów, przyspieszonym rytmem biły serca. A górą niósł się jednostajny huk niezliczonych eskadr dźwigających tony bomb, które miały spaść na niemieckie bunkry, rozwalić je i utorować drogę oddziałom szturmowym.

W ciągu ostatnich tygodni alianckie bombowce atakowały nieustannie okolice Boulogne, Calais i Dunkierki, w najbliższej odległości od brytyjskich wysp, w zasięgu artylerii²⁵.

Ale atak inwazyjny posuwał się w innym kierunku. Szedł na Cherbourg, oddalony od Anglii o ponad sto kilometrów, gdzie wybrzeże było wysokie, urwiste i niedostępne, gdzie nie było naturalnych portów i gdzie nikt się go nie spodziewał.

VII

W Polsce, przez wschodnie jej ziemie, przetaczał się już wtedy sowiecko-niemiecki front a w Warszawie, Komisja Badawcza, którą reprezentował zwolniony z obozu Jerzy Chmielewski²⁶, wraz z Radą Gospodarczą, pracowały nad najbardziej dokładnym wykorzystaniem zebranego materiału. Po alarmowych zapytaniach i przynagleniach Londynu ustalono już, że szczegóły zdobyczy przekaze się do Wielkiej Brytanii najszybszą drogą, teraz pracowano nad syntetycznym i przejrzystym ujęciem całości. Powstał raport, któremu dano tytuł, „Meldunek Specjalny 1/R, nr 242”.

25. Cornelius Ryan, *The Longest Day*, wyd. VIII, Londyn, 1971, str. 18.

26. Nie udowodniono mu przynależności do ruchu podziemnego, areszt jego okazał się przypadkowy i dlatego starania rodziny o zwolnienie, poparte sumą 150.000 zł. dostarczonych przez władze AK, okazały się skuteczne. W jesieni 1943 roku przeniesiono go do więzienia przy ul. Daniłowiczowskiej w Warszawie i 4 marca 1944 roku wypuszczono na wolność. Był to niesłychanie rzadki wypadek.

objął on tekst zawierający 4000 słów, uzupełniony przez 80 fotografii, 12 rysunków, szkic poligonu w Bliźnie i zestawienie wystrzelonych rakiet. Doszły jeszcze trzy załączniki przynoszące dodatkowe informacje. Całość raportu została wsparta kapitalnym materiałem dowodowym: ośmioma oryginalnymi częściami zdobytej rakiety.

Raport, wraz z workiem zawierającym części V-2, nie mógł być zabrany do Londynu przez przypadkowego człowieka, musiał go zawieźć ktoś, kto pracował przy jego sporządzeniu, kto miał fachowe przygotowanie i komu problem niemieckich tajnych broni a przede wszystkim rakiet był już znany. Jedynym kandydatem spełniającym wszystkie te warunki był inż. Kocjan, mający dodatkowo wiele zalet osobistych, ale niestety znajdował się on w rękach Gestapo. Rozważono wszystkie inne kandydatury i wybór padł na Chmielewskiego. Nie miał on przygotowania fachowego, ponad rok był zupełnie odsunięty od pracy z powodu aresztowania, ale uczestniczył w sporządzeniu raportu, zapoznał się z tajemnicami zdobytej rakiety i posiadał rzutkość i tupet, co mogło okazać się potrzebne²⁷.

VIII

Do bardzo trudnych technicznie i okrytych tajemnicą operacji ubiegłej wojny należała lotnicza łączność dwustronna, polegająca na sekretnym lądowaniu samolotu na terenie okupowanym przez wroga, na pozostawieniu tam przywiezionych ludzi i ładunku, i na zabraniu stamtąd nowej ekipy wysłanników wraz z raportami i towarzyszącemu im sprzętowi.

Łączność ta wymagała odpowiednich samolotów, mogących lądować i podnieść się z przygodnego, polowego lotniska, doskonale wyszkolonej załogi, dobrej ekipy przyjmującej, obeznanej z techniką światła, sprowadzających samolot na miejsce lądowania, wreszcie samego lądowiska, które przecież znajdowało się na terenie opanowanym i strzeżonym przez wroga. Do tego dochodził jeszcze problem bezbłędnej łączności radiowej pomiędzy wysyłającą samolot centralą i miejscem, które go przyjmowało.

Gdy chodziło o małe odległości i lądowanie we Francji czy w Holandii, brytyjskie lotnictwo używało samolotu typu Lysander, jednosilnikowego, powolnego, o zasięgu zaledwie 600 km., ale ważącego tylko cztery i pół tony i mogącego podnieść się z łąki długości zaledwie 400 m. Do dalszych lotów i lądowań

27. K. Iranek-Osmecki, *op. cit.*

używano także Hudsonów a w roku 1944, gdy opanowano południowe Włochy i otworzyły się możliwości lądowań w Polsce, wprowadzono do służby dwumotorowe Dakoty, które latały bez uzbrojenia. Dla nich lądowisko musiało posiadać długość i szerokość około jednego kilometra, bo kierunek wiatru decydował o kierunku lądowania i podnoszenia się. Nawierzchnia musiała być wystarczająco twarda, by koła nie zapadły się więcej niż kilka cali, praktyka wykazała, że rolę tę spełnia najlepiej pole obsiane koniczyną.

Ekipa odbiorcza musiała obejmować nie tylko specjalistów od świateł, radia i szybkiej ewakuacji przywiezionych ludzi i sprzętu, ale także i partyzantów, osłaniających lotnisko od ataku niemieckiego. W Polsce było to konieczne i zdarzył się wypadek, że tajna nocna operacja była strzeżona przez 800 leśnych żołnierzy²⁸.

Tajne lądowania odbywały się, oczywiście, tylko w nocy, więc naprowadzenie samolotu na małe lotnisko było problemem nie lada. Służyły do tego wykładane na ziemi światła, ale nie zawsze to wystarczało i dlatego w roku 1943 oddano do użytku dwa aparaty. Jeden nazwano Eureką, korzystano zeń na lotnisku, był nadajnikiem ultrakrótkich fal, które mógł złapać samolot w obrębie 60 km. W samolotach instalowano aparaty odbiorcze, dla tych właśnie celów, zwane Rebekami. Wbrew nadziejom wykładanie prymitywnych świateł okazało się jednak skuteczniejsze i w Polsce tylko z nich korzystano. Eureka były ciężkie, ważyły około 50 kg, a ponadto wymagały precyzyjnej obsługi, którą nie zawsze mogli zapewnić podziemni żołnierze, rekrutowani z okolicznych wiosek.

Pozostawał jeszcze problem łączności radiowej pomiędzy Wielką Brytanią i ukrytymi gdzieś na kontynencie, tajnymi lotniskami, z których każde musiało posiadać aparat odbiorczy. Łączność tę załatwiało BBC w swych normalnych, jawnych programach, używając systemu umownych haseł, którymi były melodie zwane „zastrzeżonymi”, znane tylko kilku osobom w centrali angielskiego radia, i odbiorcom, skupionym wokół tajnego lądowiska. Nadanie odpowiedniej melodii oznaczało zapowiedź operacji, wylot samolotu lub też odwołanie. Ta łączność radiowa w odniesieniu do Polski nosiła kryptonim „Jodoform”²⁹.

Ze wszystkich krajów, do których wyprawiły się z Wielkiej Brytanii samoloty, Polska była położona najdalej i dlatego zrzu-

28. Józef Garliński, *Politycy i żołnierze*, wyd. II, Londyn, 1971, str. 160-4.

29. J. Garliński, *op. cit.*, str. 80-2 i 160-4.

cano tam tylko skoczków i zaopatrzenie, bez prób dwustronnych operacji, bo ciężkie bombowce, Halifaxy i Liberatory, na przygodnych lotniskach lądować nie mogły. Dopiero, gdy pod koniec roku 1943 bazy przerzutowe przeniesiono do południowych Włoch, otworzyły się możliwości tajnych lądowań. Pierwsze przeprowadzono w nocy z 15 na 16 kwietnia 1944 roku, drugie z 29 na 30 maja a teraz przystąpiono do przygotowań trzeciego, najważniejszego, bo samolot miał zabrać z ziemi niezwykle ważne dla Londynu materiały, dotyczące rakiety, V-2. Operacje te nosiły w Polsce kryptonim „Most”, w Londynie „Wildhorn”. Trzecie z kolei lądowanie, właśnie przygotowywane, otrzymało kryptonim „Wildhorn III”.

Dnia 12 lipca dowódca Armii Krajowej podpisał „Meldunek Specjalny 1/R nr 242” o rakiecie V-2, worek z jej częściami był zapakowany, Chmielewski (pod nowym pseudonimem „Rafał”) gotów do podróży, ale nie stanowiło to całości ekipy wysyłanej z kraju. Lądujący samolot miał jeszcze zabrać Tomasza Arciszewskiego („Tom”), weterana polskiego ruchu socjalistycznego (PPS), desygnowanego przez podziemną Radę Jedności Narodowej na następcę prezydenta RP, Józefa Retingera („Salamandra”), wysłannika polskiego rządu i premiera Churchilla, który mając 56 lat skoczył do Polski na spadochronie w nocy z 3 na 4 kwietnia 1944 roku w tajnej politycznej misji, jego nieodstępного opiekuna, kuriera politycznego, Tadeusza Chciuka („Celt”), i ppor. Czesława Micińskiego, który był szefem całej ekipy.

W normalnych warunkach Dakota mogła ich wszystkich zabrać bez żadnego trudu, ale trzeba było przewidywać trudności i dlatego z góry została ustalona kolejność w jakiej wysłannicy kraju mają wsiadać do samolotu. Gdyby z jakiegoś powodu nie mógł on zabrać wszystkich, ta kolejność przesądziłaby kto poleci. Na pierwszym miejscu miał być załadowany worek z częściami V-2, wraz z nim miał wsiąść Chmielewski, bo wioził raport i wiele szczegółów w pamięci, po nim Retinger, po Retingerze Arciszewski, wreszcie Miciński i Chciuk³⁰. Ta ustalona kolejność musiałaby być jednak złamana, gdyby wymagała jej dramatyczność sytuacji, bo Retinger przy skoku uszkodził nogę a później, jadąc na tajne lotnisko drugiego „Mostu”, na który się spóźnił,

30. Kolejność tę podaje depesza nr 1071/VV/222 wysłana 20 lipca przez płk. Ryszarda Dorotycza-Malewicza, szefa bazy w Brindisi, do ppłk. Mariana Utnika, szefa Oddziału VI w Londynie (Studium Polski Podziemnej, archiwum Oddz. VI). W depeszy został pominięty Arciszewski, przypuszczalnie baza nie wiedziała, że ma on także polecieć do Londynu.

wpadł w wodę i uległ częściowemu paraliżowi, więc Chciuk musiał go nieść i być stale przy nim.

Na tajne miejsce lądowania wybrano opuszczone przez Niemców polowe lotnisko niedaleko Tarnowa, w południowej Polsce, któremu dano kryptonim „Motyl” i na którym odbyła się szczególnie operacja drugiego „Mostu”. Wszyscy członkowie ekipy zgromadzili się w ostatniej dekadzie lipca na kwaterach w niedalekiej odległości od „Motyla”. Operacja była ważna i nadano jej najwyższą pilność, ale lot nie mógł być z góry wyznaczony na określoną noc, bo decydowała o tym pogoda.

25 lipca, o godzinie 8 wieczorem, komunikat meteorologiczny był na tyle dobry, że z lotniska w Brindisi wystartowała Dakota niosąca w swym kadłubie 4 oficerów i 19 walizek rozmaitego sprzętu. Załoga była brytyjska, ale samolot prowadził pierwszy pilot, Stanley George Culliford, Nowozelandczyk, a nawigatorem był kpt. polskiego lotnictwa, Kazimierz Szrajer.

Pogoda sprzyjała i lot odbywał się spokojnie a jednak bardzo mało brakowało, by cała wyprawa została jeszcze raz odwołana. Front wschodni przebiegał już przez sam środek Polski, tereny, pozostające jeszcze w rękach Niemców, były wypełnione cofającymi się pod naporem Czerwonej Armii oddziałami i lądowisko „Motyl” znalazło się w niebezpieczeństwie. Niedaleko rozkwatrował się oddział niemieckich lotników a na lądowisku usiadły dwa rozpoznawcze Storchy. Wprawdzie obydwie niedługo odleciały, ale nie było pewności, że nie powrócą, i tylko wielki optymizm oficera startowego, kpt. Włodzimierza Gedymina („Włodek”), nie dopuścił do wysłania depeszy wstrzymującej całą operację. Teren Blizny, po opanowaniu go na kilka dni przez polskich partyzantów, znajdował się już w sowieckich rękach³¹, w Warszawie oddziały Armii Krajowej z dnia na dzień oczekiwały rozkazu do rzucenia się na Niemców i rozpoczęcia powstania.

Nocne lądowanie odbyło się sprawnie, choć daleko mu było do wypełnienia warunków konspiracyjnych, których mógłby się spodziewać człowiek niezorientowany w możliwościach technicznych. Dakota musiała dwukrotnie nadlatywać nad lądowisko, które rozjaśniała wielkimi falami światła, bijącego z dwóch reflektorów, a gdy podrywała się po pierwszym, nieudanym podejściu, ryk jej motorów darł ciszę nocną na strzępy. Gdy usiadła, otoczył ją tłum podziemnych żołnierzy, lokalnych chłopaków z okolicznych wiosek, częściowo bosych, najdziwniej poubieranych i rozmaicie uzbrojonych, serdecznych, ale hałaśliwych. Lądowanie było, oczywiście, ubezpieczone oddziałem partyzanckim, ale sy-

31. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 414-418.

tuacja wyglądałaby inaczej, gdyby wszystko działo się o kilka lat wcześniej.

Drugi „Most” trwał zaledwie 6 minut na polskiej ziemi, ten był jeszcze ważniejszy, więc tym bardziej należało się śpieszyć. Wysłannicy z zachodu wysiedli, zabrano ich bagaż i wszystko zniknęło w ciemnościach nocy, do Dakoty poczęli wsiadać pasażerowie z kraju. Z góry ustalona kolejność wsiadania nie była przestrzegana, bo wydawało się, że jest bez znaczenia. Wsiadł Arciszewski, wsiadł Chmielewski ze swym workiem, Chciuk niósł na plecach bezwładnego Retingera. Kpt. Szrajer policzył wszystkich, zatrzaskał drzwiczki i dał znak pilotowi.

Zaryczały motory, samolot drgnął, posunął się kilka centymetrów naprzód i stanął. W ostatnich dniach spadły deszcze, grunt był miękki, koła zapadły się i nie pozwalały na wystartowanie.

Kpt. Szrajer, łącznik załogi z pasażerami, kazał wszystkim wysiąść, wyładować bagaż i wraz z pilotem obejrzał dokładnie podwozie. Według ich opinii start był niemożliwy, z żalem kazali załodze wynieść bańki z benzyną i oblać nią samolot, który zdecydowali podpalić. W ostatniej chwili powstrzymał ich od tego oficer startowy, kazał swym żołnierzom wykopać rowki przed kołami i wypełnić je słomą.

Znowu wniesiono do wnętrza Retingera, załadowano worek z częściami V-2, weszli pozostali pasażerowie i wrzucono bagaż. Zahuczały najwyższym tonem motory, ich rozpaczliwy ryk niósł się ponad uśpionymi polami i nie było chyba w okolicy ani jednego Niemca, który by nie zerwał się z posłania. Na szczęście wszystkie siły wyzuł z żołnierzy wschodni front, który właśnie się zatrzymał po 450 kilometrach gwałtownego pędzenia ich na zachód. Do akcji mogło ich zmusić tylko krańcowe niebezpieczeństwo. Niestety samolot nie ruszył z miejsca i znowu otworzono drzwiczki i kazano wszystkim wysiadać.

Już wyciągnięto zapałki, gdy oficer startowy jeszcze raz powstrzymał lotników, wysłał swych żołnierzy do wozów, kazał przynieść deski i podłożyć je pod koła.

Po raz trzeci polecono wsiadać zmaltretowanym pasażerom, ale tym razem kolejność wsiadania mogła okazać się bardzo ważna. Wiedziało o niej dwóch ludzi: kpt. Szrajer i oficer startowy kpt. Gedymin, także lotnik, obydwaj jednak milczeli. Wniesiono jeszcze raz Retingera, weszli pozostali pasażerowie, załadowano bagaż. Minęło 80 minut od chwili lądowania, krótka lipcowa noc zaczynała się już rozjaśniać świtem.

Nareszcie huk motorów połączył się z ruchem samolotu, Dakota, cała rozdygotana, poczęła powoli posuwać się do przodu.

Towarzyszył jej tłum krzyczących z radości podziemnych żołnierzy, którzy biegli obok i wymachiwali karabinami i czapkami³².

Przełot do Brindisi odbył się bez przygód, choć dwukrotnie spotkano niemieckiego nocnego myśliwca. Lądowanie odbyło się bez hamulców, gdyż przy podnoszeniu się z „Motyla” trzeba było wypuścić płyn hamulcowy³³. Po odpoczynku i doprowadzeniu Dakoty do normalnego stanu, dnia następnego poleciano do Rabatu w Afryce północnej. Tamtędy, z krótkim lądowaniem, miał przelatywać premier Stanisław Mikołajczyk w drodze do Moskwy, na rozmowy ze Stalinem, wysiadł więc Tomasz Arciszewski, który musiał się z nim zobaczyć. W tym samym celu pozostał także Józef Retinger z nieodłącznym Chciukiem a Miciński i Chmielewski, wraz ze swym workiem, polecili wprost do Londynu.

Wylądowano tam 28 lipca i od razu, już na lotnisku, brytyjscy oficerowie wyciągnęli ręce po cenny worek, ale Chmielewski poinformował ich, że ma rozkaz oddania go wyłącznie upoważnionemu do odbioru przedstawicielowi polskiego sztabu³⁴. Jeszcze tego samego dnia i worek i raport znalazły się w rękach Oddziału VI. Jego szef, ppłk Utnik, kazał natychmiast przystąpić do deszyfrowania i przekazywania mu częściami otrzymanego dokumentu. Od niego, również częściami, szedł on do Oddziału wywiadowczego, który przekazywał wszystko wywia-

32. J. Garliński, *op. cit.*, str. 161-3. Także: M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 396-400 (relacja por. Culliforda).

33. M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 401 (relacja por. Culliforda).

34. Chmielewski w swej relacji napisanej po wojnie (M. Wojewódzki, *op. cit.*, str. 463-73), zawierającej wiele błędów i przeinaczeń, podaje szereg dramatycznych szczegółów związanych z przełotem do Londynu i przekazaniem worka i raportu do właściwych rąk. Na lotnisku miało doń podejść dwóch angielskich oficerów i domagać się wydania worka, na co miał zareagować wyciągnięciem noża. Z lotniska zawieziono go na jakąś farmę i tam zagrożono zastrzeleniem, jeżeli natychmiast nie wyda worka z częściami V-2, bo Churchill czeka już nań od kilku dni. Chmielewski, według własnej relacji, miał odpowiedzieć: „To, że pan Churchill czeka już od kilku dni na tę przesyłkę, nie bardzo mnie przejmuje. Myśmy w kraju czekali cztery lata na pana Churchilla, może on poczekać na nas parę godzin”. Nie oceniając tej odpowiedzi, trzeba stwierdzić, że Chmielewski został wysłany do Londynu z instrukcją oddania raportu i worka upoważnionemu do odbioru polskiemu oficerowi i w tym zakresie miał prawo i obowiązek działać. Właściwe zrozumienie powierzonego mu zadania powinno go było powstrzymać od wszelkich ubocznych i nieprzemyślanych wypowiedzi. Najwyższą pilność poszukiwań V-2 i przesłania ich wyników do Wielkiej Brytanii wynikała z zagrożenia Londynu i operacji inwazyjnych, i niecierpliwość brytyjskich oficerów była zupełnie uzasadniona.

Relacja Chmielewskiego, oraz inne jego wypowiedzi, zawierają tyle błędów, nieprzemyślanych sądów i przeinaczeń, że zmuszają do bardzo ostrożnego ich traktowania.

dowi brytyjskiemu. Jemu oddano także przywieziony worek. Bez najmniejszej zwłoki całość polskiego osiągnięcia dotarła do swego właściwego celu, to jest do komitetu „Crossbow”, w którego rękach znajdowały się wszystkie sprawy związane z niemiecką tajną bronią³⁵.

Pierwsza rakietą, V-2, spadła na Londyn dnia 8 września. Miasto było już wtedy częściowo ewakuowane i wszystkie środki obronne przedsięwzięte.

Józef GARLIŃSKI

35. Studium Polski Podziemnej, dział 3,teczka: pociski raketowe (Met-
dunek Specjalny 1/R, nr 242 z odrębnymi adnotacjami ppłk. Utnika i
sierż. Markiewicza). Także: Dr R. V. Jones, *op. cit.*, str. 8-9.

WSPOMNIENIA

Bogusław MIEDZIŃSKI

MOJE WSPOMNIENIA (3)

Kryzys rosyjsko-austriacki z listopada 1912 roku został jak wiadomo w ostatniej chwili zażegnany przez bezpośrednią ingerencję dynastów z obu stron. Wychowany w tradycjach Świętego Przymierza Franciszek Józef zwrócił się bezpośrednio do Mikołaja II i znalazł u niego zrozumienie. Obaj byli dostatecznie niepewni i obaj mieli doświadczenia wskazujące, że ryzyko starcia wojennego jest zbyt wielkie.

Gorączka, która ogarnęła w tym czasie obóz niepodległościowy, minęła. Masowy napływ do organizacji strzeleckich zatrzymał się. Zapełniły się z powrotem sale i pracownie naukowe na wyższych uczelniach. Wśród naszych szeregów przyszedł nastrój rozczarowania. Rozczarowania, a nawet wątpliwości, czy nie mają racji ci politycy ze starszego pokolenia, którzy twierdzą że wojna europejska, a szczególnie wojna między zaborcami naszymi jest mrzonką, gdyż mężowie stanu i monarchowie tych mocarstw, w dobrze zrozumianym własnym interesie, nigdy do tego nie dopuszczą. Jednym słowem, że Piłsudski myli się, opierając swą politykę na tym przywidywaniu. Kilka miesięcy później, w kwietniu 1913 roku, brałem udział w szczupłym zebraniu, które odbyło się w mieszkaniu mecenasa M. Landaua, jednego z wybitnych socjalistów lwowskich, wielbiciela i wyznawcy Piłsudskiego, u którego często odbywały się zebrania Sekcji Zakordonowej P.P.S. Wśród kilkunastu zebranych osób znajdowali się nie tylko wybitni członkowie Partii obecni wówczas we Lwowie, ale i starzy członkowie Z.W.C. Zebranie odbyło się dla omówienia faktu, który nastąpił kilka dni wcześniej, mianowicie złożenia przez Piłsudskiego, na ręce Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, funkcji Komendanta Głównego organizacji strzeleckich (Związków i Drużyn). Nie było to zebranie formalne,

podano herbatę, kawę i ciastka. Wszystkie rozmowy obracały się około nowej sytuacji międzynarodowej oraz faktu rezygnacji Komendanta. Wkrótce jednak zjawił się nie kto inny, jak Komendant we własnej osobie. Należałem do tych dla których było to niespodzianką, Piłsudski bowiem udzielał się wówczas bardzo mało; ostatni raz widziałem go na większych ćwiczeniach Związku Strzeleckiego, w okolicach Lwowa, które zakończone były uroczystym oddaniem honorów wojskowych Aleksandrowi Prystorowi, aresztowanemu i skazanemu na 10 lat katorgi w Kijowie. Był to jeden z niewielu wypadków, kiedy Komendant Główny osobiście objął dowództwo, wygłosił do nas krótkie przemówienie i na jego komendę prezentowaliśmy broń. Gdy Piłsudski zajął miejsce, gospodarz zwrócił się do niego z prośbą o scharakteryzowanie w kilku słowach sytuacji w jakiej się znajdujemy. Piłsudski wyjaśnił nam najpierw, że fakt jego rezygnacji ze stanowiska wspólnego Komendanta Głównego Związków i Drużyn jest rzeczą bez większego znaczenia, a już broń Boże nie należy tego rozumieć jako najmniejszej zmiany zarówno w przywidywaniach, jak i kierunku naszych dalszych prac. Liczył się on po prostu z tym, że tak wskazane i pożyteczne wspólne dowództwo organizacji strzeleckich dało się osiągnąć dzięki spodziewanej bliskości wojny, ale rzecz ta nie dojrzała jeszcze do tego stopnia, aby dała się utrzymać na stałe. W obecnej „pokojoywej” sytuacji powrócą na pewno tarcia i spory między Drużynami i Związkami i uważał on, że lepiej jest zrezygnować ze wspólnego dowództwa zanim stanie się ono momentem konfliktu i ograniczyć się do utrzymania współpracy pomiędzy sztabami tych organizacji, która została szczęśliwie nawiązana i da się utrzymać na przyszłość; zaś bez wspólnego Komendanta Głównego na razie można się będzie obejść.

Daleko ważniejszą sprawą jest — mówił dalej Piłsudski — zwrot w sytuacji międzynarodowej, w którym niektórzy upatrywać chcą utrwalenie stosunków pokojowych. Moim zdaniem, tak nie jest — skonstatował stanowczo Piłsudski. Przyczyny zadrażnienia istnieją w dalszym ciągu i będą narastać. Ci więc, którzy popadli w depresję i rozczarowanie, mogą się pocieszyć że obecny pokojowy układ trwać będzie prawdopodobnie niedługo. Wiem jednak, że są takie nastroje i chciałbym zaapelować do zebranych tu starych towarzyszy pracy, aby przeciwdziałali na wszelki sposób tendencjom do opuszczenia rąk i zwolnienia tempa pracy. Muszę wam powiedzieć otwarcie, że ja cieszę się z tej zwłoki w rozwoju sytuacji, która daje nam czas do rozwinięcia naszych przygotowań, które — gdy stanęliśmy w obliczu alarmu przed kilkoma miesiącami — są jeszcze rozpaczliwie słabe i niedosta-

teczne. Potrzeba nam jeszcze dobrych kilku lat, mnóstwa wysiłków zarówno w dziedzinie ściśle wojskowej jak politycznej, aby można było powiedzieć, że jesteśmy jako tako gotowi. Jeśli w wojskowym szkoleniu ludzi postąpiliśmy znacznie naprzód, a nawet ostatnio zrobiliśmy skok — który oby nie był słomianym ogniem — to w dziedzinie politycznej mamy za sobą jedynie pierwsze i dość nieobiecujące kroki. Pierwszym brakiem jest jakaś trzymająca się kupy reprezentacja polityczna, jakiś załazek rządu narodowego, lub organizacji, która może go powołać gdy moment odpowiedni przyjdzie. Nie chcę nikogo rozczarowywać do K.S.S.N., ale to jest wciąż jeszcze bardzo mało i wciąż jeszcze spory wewnętrzne o byle co są tam mocniejsze niż podstawowa zasada.

Najważniejszym symptomem naszego nieprzygotowania i słabości jest jednak to, co musieliście pewnie zauważyć tak samo jak ja, w ostatnich miesiącach ubiegłego roku. Najdonioślejszy dla nas teren, teren zaboru rosyjskiego, jest absolutnie nieprzygotowany. Co więcej, jak się okazało, sytuacja wygląda tam gorzej niż przed dziesięciu laty; ugoda tryumfuje; bierność i apatia w nastrojach ogółu przeważa. Trzeba zakasać rękawy i przerzucić znaczną część naszego wysiłku za kordon. Nie wątpię, że nastroje obecne są przejściowe; Moskale sami robią wszystko, aby pokazać że żadnej ugody sobie nie życzą i że nic na tej drodze nie mamy do uzyskania; ale ludzie tam przeżywają jeszcze wciąż skutki rozczarowania, które sami sobie stworzyli, wiążąc zbyt wielkie nadzieje z rewolucją rosyjską, i nie widząc z tamtej strony w sytuacji obecnej nic innego, prócz wzmagającej się siły caratu i reakcji. Te przesłanki, na których my się tutaj opieramy, tam w warunkach podwójnego terroru i podwójnej cenzury — rządu i Endecji — zaledwie zaczęły docierać. Nie brak jednak oznak, że zaczynają chwytać grunt, szczególnie wśród młodzieży. Ale, powtarzam z całym naciskiem — zakończył Piłsudski — że powinniśmy się cieszyć ze zwłoki w czasie, którą otrzymaliśmy i w której widzę tylko zwrot pomyślny pod warunkiem, że tempa pracy naszej nie tylko nie zwolnimy, ale je podniesiemy.

Piłsudski opuścił zebranie niemal bezzwłocznie po zakończeniu swego przemówienia. Tak się złożyło, że od tej chwili aż do sierpnia 1915 roku nie słyszałem go już ani razu. Widziałem go tylko raz czy dwa z daleka, na ćwiczeniach strzeleckich w Okręgu Krakowskim. I tym razem jednak jego słowa dały mi niezmiernie dużo do myślenia i utwierdziły raz jeszcze moje przekonanie, że ten człowiek wie czego chce. Przestałem się też przejmować tarciami, wątpliwościami i sporami, które w dalszym ciągu nurtowały obóz niepodległościowy.

Stronnictwo Narodowe pod coraz bezwzględniejszym kierownictwem Romana Dmowskiego rozwijało coraz potężniejszy atak, usiłując poderwać i skompromitować akcję Piłsudskiego. Nie tylko w zaborze austriackim ale i w zaborze rosyjskim, mimo delikatnej moralnie sytuacji, stworzonej przez to, że atakowani nie byli w stanie się bronić, prasa narodowa w zaborze rosyjskim zaczęła otwarcie zwalczać polskie przygotowanie wojskowe i „powstańcze mrzonki”.

Gdy zaś w Wiedniu w końcu roku 1913 wykryta została afery szpiegowska w sztabie generalnym (tzw. afery Redla) naczelne organy Stronnictwa Narodowego wymyśliły i roztrąbiły z niesłychanym tupetem fantastyczną historię, że cały ruch strzelecki jest nie czym innym, jak prowokacją rządu rosyjskiego.

Nasilenie tej całej akcji, a szczególnie jej bezwzględność, nie cofająca się przed żadnym kłamstwem i odrzucająca najelementarniejsze zasady etyczne, które stawiały granice w wewnętrznej walce politycznej polskiej na linii, którą było powodowanie lub ułatwianie interwencji władz zaborczych — doszło do takiego samego stopnia, jak w czasie pamiętnych walk bratobójczych w roku 1906 i 1907.

Moje sprawy prywatne i rodzinne tak się ułożyły, że w lecie roku 1913 opuściłem Lwów i Politechnikę tamtejszą i przeniósłem się na dalsze studia do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński. Mimo że do Lwowa przywiązałem się bardzo w czasie mego czteroletniego tam pobytu, przyznać muszę, że zmiana atmosfery zrobiła mi bardzo dobrze; była ogromna różnica w klimacie tych dwóch miast. Myślę oczywiście o życiu młodzieży akademickiej. We Lwowie panowało daleko większe napięcie nerwowe, daleko silniej grały temperamenty i — na ogół — regułą było, że młodzież zajmująca się polityką nieznanadto przykładła się do pracy naukowej. W Krakowie atmosfera studiów dominowała. Było coś w starych gmachach uniwersyteckich i w cichym uroku tego miasta, co wpływało raczej kojąco na temperamenty i zachęcało do pracy. Spraw honorowych było mało, pojedynki niemal nie istniały. Poziom obrad na wiecach i zgromadzeniach był wyższy, atmosfera ich bez porównania spokojniejsza; najważniejsze jednak, że wszyscy się uczyli. Jakoś znajdowano czas na pogodzenie życia politycznego i towarzyskiego ze studiami i zdawaniem egzaminów. Po roku pobytu w Krakowie, zauważyłem ze zdumieniem jak bardzo się ustatkowałem. Nie przestałem być czynnym działaczem w życiu akademickim; co więcej, stałem się wzorowym

niemał strzelcem, chodząc na wszystkie wykłady, nie tylko na ćwiczenia jak we Lwowie; a jednocześnie, chodziłem na wszystkie wykłady i seminaria i z dobrym wynikiem zdałem wszystkie egzaminy; zaś w dodatku do tego wszystkiego nie tylko nie miałem ani jednego pojedynku, ale nawet sprawy honorowej. Lato roku 1914 przyniosło rzeczy nowe i decydujące.

W ostatnich dniach czerwca 1914 roku — właśnie gdy skończyłem egzaminy i miałem wyjechać na wakacje, padł w Serajewie strzał Principa. Konflikt między Austrią a Serbią, którą rząd Habsburski obciążył odpowiedzialnością za zamach na Franciszka Ferdynanda, zarysował się od pierwszej chwili jako groźba wojny co najmniej austriacko-rosyjskiej. Oczywiście, niezależnie od przygotowań austriackich i gorączkowej akcji dyplomacji europejskiej, dla nas młodzieży krakowskiej był to sygnał alarmu i pogotowia. Powtórzyły się momenty z listopada 1912 roku, organizacje strzeleckie postawione zostały w stan pogotowia, dzień i noc wrzał ruch w lokalach i na placach ćwiczebnych, w strzelnicach i magazynach. Gdzieś u góry, bez naszej oczywiście wiedzy, toczyły się pertraktacje i rozmowy Piłsudskiego z austriackim sztabem generalnym. Jednakże przez miesiąc prawie panowało zawieszenie i niepewność. Dyplomacja francuska i angielska pracowały nad załagodzeniem konfliktu; dyplomacja niemiecka, uważając koniunkturę za dogodną do rozprawy generalnej, pchała Wiedeń do najostrzejszych kroków. W prasie czytało się coraz to inne wiadomości i przywydywania. W trzecim tygodniu po zamachu serajewskim zadominoowało przekonanie, że konflikt zostanie załagodzony.

Zawiesiłem, rzecz prosta, swoje projekty wakacyjne. Źródłem informacji dla mnie, poza prasą i rozmowami w przepełnionych od rana do nocy kawiarniach krakowskich był Walery Sławek. Co parę dni szukałem z nim kontaktu, co nie było łatwe, gdyż jego to głównie używał Piłsudski do kontaktu z austriackim sztabem generalnym. Początkowo Sławek dyskretny jak zawsze akceptował jako rzecz naturalną moje wstrzymanie się od wyjazdu, ale gdzieś około 20 lipca, gdy po rozmowie telefoniczniej spotkałem się z nim w Esplanadzie, Sławek z wyrazem niewątpliwego rozczerowania powiedział mi: „Sytuacja przybiera charakter wyraźnie pokojowy; według informacji, które otrzymałem dzisiaj, załagodzenie konfliktu wydaje się niemal pewne. Jeszcze raz wszystko się rozjeździe po kościach i znowu będziemy musieli czekać; ale może to i dobrze, bo raporty z Warszawy wskazują na zupełnie nieprzygotowanie z naszej strony na terenie zakordonowym. A w dodatku, Warszawa jeżeli chodzi o naszych ludzi zupełnie opustoszała, wszyscy są albo tutaj, albo na wszelkiego

rodzaju wywczasach wakacyjnych”. Na moje zapytanie co mam robić Sławek doradził mi z całą stanowczością wyjazd, tym bardziej, że okres wakacyjny musi być wyzyskany dla ożywienia roboty w Kongresówce. „Zresztą — powiedział mi — macie przecież żonę i dziecko, które najlepiej będzie zostawić na wsi, na wypadek jeśliby nadszpedziewanie sytuacja zmieniła się znowu na wojenną”. Uprowadził mnie jednak, żebym sobie nie obiecywał wakacji w wiejskim zaciszu, bo jestem włączony do planów roboty wakacyjnej i prawdopodobnie zostaną skierowany do moich starych Siedlec, gdzie wraz z kilkoma innymi strzelcami, między którymi jest aż dwóch oficerów, będę musiał zająć się zorganizowaniem okręgu Z.W.C. Uprowadził mnie też, że prawdopodobnie kontakt ze mną nawiąże tak samo jak przed kilku laty „Kuba” Basiński, który mi przywiezie szczegółowe rozkazy. Byłem już zaopatrzony w fałszywe paszporty dla siebie, żony i dziecka i tegoż wieczora wyjechałem z Krakowa i szczęśliwie przebyłem granicę; zaś po zatrzymaniu się przez 24 godziny w Warszawie, przyjechałem do moich rodziców na wieś akurat w przeddzień ultimatum austriackiego do Serbii, sformułowanego tak ostro, że oczywiście przyjęte być nie mogło. W kilka dni potem zostaliśmy — na wsi — odcięci od świata; gazety przestały przychodzić; ruch kolejowy dla ludności cywilnej ustał. Zaczęła się mobilizacja i transporty wojsk. Pantoflową pocztą dochodziły wiadomości prawdziwe i nieprawdziwe. Do tych ostatnich należała wiadomość, że zaczęła się już wojna austriacko-rosyjska, a w 48 godzin później, że Moskałe zostali pobici i wojska austriackie podchodzą już pod Lublin i Dęblin. Ze zdumieniem na drugi dzień przeczytaliśmy na domu urzędu gminnego urzędowy plakat, zawiadamiający o wypowiedzeniu wojny Rosji przez Niemcy, bez żadnej wzmianki o Austrii. W 5 dni później dopiero w tej samej drodze opublikowano wojnę Rosji z Austrią w obronie Serbii.

Były to dla mnie dni ciężkiej rozterki i zaskoczenia; na powrót do Krakowa było już oczywiście za późno. Komunikacja z Warszawą odcięta, nie wiedziałem zresztą kogo i gdzie tam szukać. W zgorączkowanej wyobraźni widziałem Oleandry krakowskie i szeregi strzeleckie wyruszające na wojnę — na wojnę beze mnie. Gdy przyszły owe fałszywe wiadomości o tym, że Austriacy już wkroczyli i w pierwszych bitwach zwyciężyli Moskały, postanowiłem zostać na miejscu, dać się ominąć cofającej się armii rosyjskiej i poszukać strzeleckich szeregów. Wydawało mi się to najprostsze, tym bardziej że znajdowałem się w Garwolińskim o niecałe 30 kilometrów w prostej linii od Dębina. Byłem zaś przekonany, takie bowiem mieliśmy przed wojną informacje, że plan strategiczny rosyjski zawiera w sobie wycofanie się z Kongresówki aż

na linię Bugu. Racjonalność tego planu była jasna od pierwszego rzutu oka na ówczesną mapę, gdzie Kongresówka wysuwała się jak długi język między Prusy Wschodnie, a Austrię, zagrożony odcięciem przez odpowiednio skierowany i równoczesny atak armii niemieckich i austriackich. Błąkałem się więc całymi dniami po polach i lasach, nasłuchując odgłosu ognia ciężkich dział, lub huku wysadzanych fortów od strony Dębłina. Jednak cisza panowała dokoła.

W połowie sierpnia rozplakatowana została odezwa naczelnego Wodza armii rosyjskiej wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Rzecz charakterystyczna, reakcja miejscowej ludności była niezmiernie daleka od tego co nastąpiło w krótki czas później. Zarówno chłopci, jak i nieliczna inteligencja miejscowa, czytali tę odezwę wyjątkowo ogłoszoną w dwu językach bez najmniejszego entuzjazmu, przekpiwając ją z lekka: „Oho, mówiono, boją się kacapy, to i śpiewają jak te skowronki. Głupi by uwierzył. Wiedocznie prawda że ich Austriaki sprawy”.

Jednakże notable miejscowi z proboszczem i kilkoma dziećmi na czele postanowili zasięgnąć języka w Warszawie. Ponieważ koleje były w dalszym ciągu dla ludności cywilnej niedostępne, postanowiono wybrać się do stolicy, odległej o 80 kilometrów, końmi. Po paru dniach delegacja wróciła w całkiem innym nastroju, przywoząc gazety warszawskie, mówiące o zwrocie w historii, pełne entuzjazmu i wiary w świetlaną przyszłość pod uznanym nagle berłem dynastii Romanowych. Delegacja przywoziła instrukcje dobrowolnego współdziałania i dopomagania wojskom rosyjskim do zwycięstwa. Wraz z tym nadeszły wiadomości o zbombardowaniu przez Niemców zajętego Kalisza i oburzającym gwałcie nad cywilną i bezbronną ludnością. Wiadomości o entuzjazmie Warszawy przyjęte zostały z wahaniem raczej przez prowincję, z wyjątkiem oczywiście miejscowych przedstawicieli Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, którzy otrzymali oficjalne partyjne instrukcje, nakazujące uświadamianie otoczenia w kierunku wytkniętym przez prasę warszawską, tzn. uznania wojny za wspólną walkę z odwiecznym wrogiem niemieckim, w której pełny wysiłek narodowy i najlepsza wola muszą być rzucone na szale po stronie rosyjskiej.

Z prasy i wiadomości ustnych zorientowałem się, że nastrój podyktowany przez Narodową Demokrację zadominował bezkonkurencyjnie. Sprzyjały temu niespodziewane okoliczności zgoda odmiennie niż nasze przedwojenne wyobrażenia o ewentualnym przebiegu wypadków. Rzeczą ogromnej wagi dla nastrojów w zaborze rosyjskim stało się to, że to Niemcy pierwsze wypowie-

działy wojnę Rosji, nie zaś Austro-Węgry, tak jakieśmy to sobie powszechnie wyobrażali. W tym drugim wypadku sympatie powszechne byłyby niewątpliwie przeciwko Rosji, a po stronie Austrii, której życzone by zwycięstwa; entuzjazm dla Moskali w takiej koniunkturze niełatwo byłoby wykrzesać. Gdy jednak Niemcy wysunęły się na plan pierwszy, Austria zaś przyłączyła się jak gdyby z ociąganiem, trwającym przez tydzień niemal, i zajęła wyraźnie wtórne miejsce — sytuacja z punktu widzenia szerokiej opinii publicznej zmieniła się niepospolicie. Do tego, jak gdyby na obstalunek dokonany, niemiecki pogrom Kalisza przyczynił się w ogromnym stopniu do zwrotu opinii publicznej, dopomagając nadzwyczajnie stanowisku zajętemu przez Narodową Demokrację. Toteż w krótkim czasie, gdy przyszło jeszcze do klęski austriackiej pod Kraśnikiem i Dęblinem oraz do odwrotu na całej linii, stanowisko to całkowicie zadominoowało w nastrojach zaboru rosyjskiego.

Przeżyłem wówczas niezmiernie ciężkie godziny, gdy nie tylko nie dochodziły żadne echa od Dębłina, ale też nie przybywały żadne instrukcje z Warszawy, których oczekiwałem z dnia na dzień, sądząc że działa tam przecież jakiś ośrodek dyspozycyjny z ramienia Piłsudskiego i że bądź od P.P.S., bądź od Z.W.C. dostaną jakieś wytyczne, jakieś rozkazy. Przemyślałem raz jeszcze całą sytuację zestawiając sprzeczności między tym co sobie wyobrażałem na wypadek wojny, a tym co nastąpiło. Przyznaję się otwarcie, że nurtowały we mnie najgłębsze wątpliwości co do słuszności i trafności zarówno polityki jak i przewidywań Piłsudskiego. Trzeba bowiem pamiętać, że we wszystkich naszych przedwojennych przemysleniach traktowaliśmy teren zaboru austriackiego jako teren przygotowań, szkolenia, tworzenia kadr do przyszłej akcji wojskowej i podbudowywania ośrodka dyspozycji politycznej, z której wyłoni się ewentualnie w momencie wojny rząd narodowy, który jak w roku 63-cim będzie miał dostateczną potęgę moralną i dostateczny autorytet w szerokich masach. Wyobrażaliśmy sobie, polegając na starym planie strategicznym rosyjskiego sztabu generalnego, że teren Kongresówki, lekko tylko dotknięty niesprawną mobilizacją rosyjską, zostanie opuszczony przez Rosję zaraz w pierwszych dniach wojny; że bądź na całym tym terenie, bądź też na tej jego części która podpadnie pod okupację austriacką, będzie można powołać rząd narodowy i jego organa w dziedzinie życia cywilnego. Że, gdy rządy państw centralnych w myśl prawa międzynarodowego nie będą mogły czerpać z tego terenu rekruta — będzie mógł to zrobić polski rząd prowizoryczny i wkrótce — biorąc szczególnie pod uwagę to, że odwrót wojsk rosyjskich poderwie autorytet Rosji i stworzy wra-

zenie jej nieuniknionej klęski będzie mogła powstać armia polska, oczywiście związana w czasie działań wojennych podporządkowaniem dowództwu austriackiemu, ale politycznie od własnego tylko rządu zależna. Cały ten imaginacyjny obraz nie zaistniał ani przez chwilę; zmieniony pod wpływem sojuszu francuskiego i pod naciskiem sztabu generalnego francuskiego i pod naciskiem sztabu generalnego francuskiego plan strategiczny rosyjski odrzucił wycofanie się z Kongresówki na rzecz ataku na Prusy Wschodnie z jednej strony, zaś Lwów z drugiej, aby związać w ten sposób jak największe siły niemieckie i nie pozwolić na piorunujące rozbicie Francji w pierwszym uderzeniu. Przekreśliło to wszystkie nasze plany powstańcze, zostawiając akcji militarnej polskiej tylko teren zaboru austriackiego, który będzie oczywiście wyssany przede wszystkim przez mobilizację austriacką. Co gorsza zaś, postawi akcję Piłsudskiego pod znakiem akcji pomocniczej dla Austrii, a pośrednio i Niemiec, pozbawiając ją przynajmniej w pierwszej fazie wojny zarówno samodzielnego charakteru, jak i wagi liczebnej.

W stanie rzeczy, który rzeczywistość przyniosła i przy zdecydowanym i umiejętnym wyzyskaniu tego stanu rzeczy przez politykę Dmowskiego wydawało się jasne, że Piłsudski omylił się też co do kierunku, w którym pójdzie wola Narodu i nastawienie opinii powszechnej. W owych dniach, popadłem w głęboką obawę, że pozostanie on i nasza szczupła garstka nie tylko w odosobnieniu, ale i w konflikcie z błędnym, ale niestety dominującym prądem, który zapanował w kraju. Ale muszę zanotować ciekawy moment psychologiczny. Zarówno te kilka lat dyscypliny, którą sobie nie bez trudu narzuciłem w chwili kiedy wstąpiłem do Związku Walki Czynnej, jak i autorytet, który nawet w moim przesadnie sceptycznym umyśle i buntowniczym temperamencie osiągnął Piłsudski, sprawiły że nie poddałem się uczuciu depresji i całkowitego odosobnienia w otoczeniu; gdy mnie wówczas ktoś z moich najbliższych zapytał co zrobię, kiedy nareszcie przyjdzie do mnie oczekiwany z dnia na dzień rozkaz — odpowiedziałem: „Rozkaz wykonam, ale przy najbliższej sposobności, jeśli znajdę się w szeregach, zamelduję się do Komendanta i powiem mu, że według mojej wiary i oceny sytuacji on mylił się i raz jeszcze jego i nasz wysiłek pójdzie na marne”.

Czytelnik zechce pamiętać, że w tym czasie nie znałem jeszcze rzeczywistych planów Piłsudskiego i rzeczywistych jego przywidowań, do czego przejdę niezadługo. Drugim zaś powodem mego ówczesnego pesymizmu była tortura bezczynności i zupełnego osamotnienia, właśnie w momencie, o którym ja i tylu innych marzyliśmy przez lata całe, jako o chwili w której znajdziemy się

w otwartej akcji, w walce, pod rozkazami, przeżywając uniesienia i przygody wojenne, które wyobrażaliśmy sobie nieco zbyt romantycznie.

W końcu sierpnia, mimo wciąż jeszcze trwających trudności komunikacyjnych dla ludności cywilnej, udałem się do Warszawy. Nie bez trudu — albowiem nie wiedziałem kogo szukać — udało mi się nawiązać kontakt z Adamem Kocem, znanym mi już dobrze z czasów krakowskich. Ucieszyłem się niezmiernie, gdyż był on jednym z niewielu dyplomowanych oficerów strzeleckich i cieszył się ogromną powagą i popularnością w naszych szeregach. Po umowie telefonicznej szedłem na wyznaczone spotkanie z nim w niesłychanym podnieceniu, sądząc że jest on emisariuszem Piłsudskiego wysłanym na tę stronę frontu. Gdy przybyłem do niego, zastałem tam o ile sobie przypominam Karola Rybasiewicza, przedstawiciela Drużyn Strzeleckich oraz jeszcze dwie czy trzy, nieznane mi przedtem osoby. Byłem zaskoczony entuzjastycznym przywitaniem i wyraźnym podnieceniem zebranych, którzy z niecierpliwością oczekiwali, co mam im do powiedzenia. Po chwili, sytuacja się wyjaśniła. Zarówno Koc jak Rybasiewicz tak samo jak ja opuścili Kraków w tym krótkim momencie kiedy zarysował się pokojowy zwrot w sytuacji. Koc, otrzymawszy telefon ode mnie, sądził że ja właśnie przybyłem z drugiej strony frontu z instrukcjami i informacjami, których oczekiwano. Rozczarowanie było zatem obopólne, gdy się rzecz wyjaśniła. Był to właśnie moment, kiedy Koc w porozumieniu z Rybasiewiczem przystępowali do organizowania rozproszonych w zaborze rosyjskim strzelców i drużyniaków; działali jednak w niepewności i po omacku, gdyż dopiero w kilkanaście dni później przedostał się z Kielc autentyczny emisariusz Piłsudskiego, który z jego nominacji objął komendę tworzącej się P.O.W. (Polskiej Organizacji Wojskowej).

Na razie więc odesłano mnie z powrotem na wieś z zapowiedzią, że zostanę włączony do sieci organizacyjnej i w najbliższym czasie otrzymam rozkazy. Istotnie, niedługo później zjawił się u mnie łącznik, który przyniósł mi nominację na komendanta siedleckiego okręgu P.O.W., polecenie udania się tam natychmiast oraz adresy pod którymi na przyszłość mam szukać łączności z Komendą Naczelną w Warszawie. Nie zdziwiłem się, gdy na zapytanie jakie są granice mego okręgu, gdzie są zorganizowane już ośrodki i z kim mam nawiązać łączność w Siedlcach, dostałem informację, że to wszystko jest już moja sprawa i że według wszelkiego prawdopodobieństwa okręg, którego komendę otrzymałem jeszcze nie istnieje. Po przyjeździe do Siedlec, przekonałem się, że tak jest istotnie. Na szczęście byłem na dobrze sobie znanym gruncie, znałem jeszcze z moich lat szkolnych ludzi i

stosunki i mogłem przystąpić do roboty. Nie było to łatwe. Siedlce z roku 1914 w niczym nie przypominały czasów z okresu 1905-1909, kiedy były jednym z najbardziej ruchliwych na prowincji ośrodków P.P.S. oraz tego odłamu inteligencji postępowej, który stał się później podstawą rozwoju obozu niepodległościowego. Ludzie reprezentujący dawne tradycje zniknęli z tego terenu; P.P.S. właściwie nie istniało. Inteligencja postępową ze starszego pokolenia przykucnęła jak mysz pod miotłą, wobec bezwzględnej dominacji Endecji, przeżywającej właśnie i szerzącej dokoła nastrojów entuzjastycznego współdziałania z Rosją. Młodzież z ostatnich trzech roczników szkoły polskiej z moich gimnazjalnych czasów została na zachodzie niemal bez wyjątku, zaś dwaj dobrze mi znani starzy członkowie Związku Strzeleckiego lwowskiego Z.W.C. poddali się nastrojowi większości i nie tylko nie rozpoczęli żadnej pracy, lecz przy zetknięciu ze mną zdecydowanie uchylili się od jakiegokolwiek działania. Było to dla mnie zaskoczenie szczególnie niefortunne, gdyż moja wiedza wojskowa mimo nawet solidnej rocznej pracy w Strzelcu Krakowskim była dość mizerna i spodziewałem się, że oni którzy mieli za sobą kursa oficerskie i dowodzili kompaniami w lwowskim Związku Strzeleckim, wezmą na siebie „fachową” stronę roboty, zostawiając mi jedynie stronę organizacyjną i polityczną, w której wyrobienie moje było dostatecznie duże, a na pewno lepsze niż ich. Z trudem i ostrożnie podchodząc do rzeczy, zdołałem jednak w przeciągu kilku tygodni wyłuskać kilkunastu młodych ludzi w samych Siedlcach, założyć komórki organizacyjne w kilku miastach powiatowych, zorganizować jakie takie wykłady i ćwiczenia (wyłącznie nocne), a przede wszystkim próby przedstawienia politycznego umysłów i poderwania szalejącego moskalofilstwa.

Oczywiście, nie miałem do dyspozycji żadnych środków technicznych; trzeba było z własnej pustawej kieszeni kupować rosyjskie podręczniki wojskowe do wykładów taktyki i organizacji armii. Z regulaminów miałem do dyspozycji tylko to co mi zostało w pamięci. Organizacyjne wycieczki odbywać musiałem najczęściej po apostolsku piechotą. O obznajomieniu moich przyszłych żołnierzy z bronią nie było mowy, jako że nie dysponowałem wówczas nawet rewolwerem. Natomiast wyrobienie polityczne, nabyte w latach lwowskich i krakowskich, dopisało mi; potrafiłem mówić i dyskutować przekonująco i grono ludzi przychodzących na moje zebrania — mimo że wielu z nich po raz pierwszy w życiu usłyszało o Piłsudskim, jego polityce niepodległościowej, o Związkach Strzeleckich i Legionach — w stosunkowo krótkim czasie stało się już sporym zastępem Peowiaków dobrze umocnionych w wierze i umiejących argumentować. Musiałem jednak

być bardzo ostrożny w swojej działalności i dla pokrycia swego pobytu w Siedlcach zaciągnąłem się nawet jako sanitariusz do obywatelskiego szpitala wojskowego, założonego z polskich składek dobrowolnych, prowadzonego przez polskich lekarzy kierujących obsadą pielęgniarską, rekrutowaną z najlepszego „towarzystwa” płci obojga. Nie trwało to jednak długo; gdy w kilku rozmowach w czasie dyżurów nocnych pozwoliłem sobie na puszczenie farby i zakłócenie panującego nastroju, zostałem ostrzeżony przez kierownictwo komitetu szpitalnego, że działalność moja nie będzie tolerowana i wskazane jest abym niezwłocznie szpital opuścił.

W tym samym czasie mniej więcej otrzymałem wezwanie do zameldowania się w Naczelnej Komendzie w Warszawie. Tu nastąpiła druga z kolei niespodzianka. Gdy na wskazanej mi tajnej kwaterze przekroczyłem próg pokoju, w którym urzędował nieznany mi, jak sądziłem, Roman Barski, któremu zameldowałem się posłusznie jako Andrzej Świtek, komendant okręgu siedleckiego i gdy spojrzeliśmy na siebie z bliska okazało się, że ów Roman Barski jest dobrze mi znanym starszym kolegą ze Lwowa, doktorem Tadeuszem Żulińskim; on zaś z przykrym zdziwieniem skonstatował że pod nic nie mówiącym mu pseudonimem Andrzeja Świtka ukrywa się Bogusław Miedziński, którego pamiętał ze Lwowa jako wręcz opieszałego strzelca, pozwalającego sobie często na krytykowanie starszych, Komendanta Głównego nie wyłączając. Żuliński, który należał we Lwowie do najgorliwszych strzelców i traktował wręcz lekceważąco polityków i pyskaczy opozycyjnych, do których i mnie łaskawie zaliczał — przeraził się po prostu na myśl, że ma się opierać na takim komendancie okręgu, moja wybitna poprawa i moja karta służbowa z okresu krakowskiego nie była mu znana. Był i drugi powód jego zaniepokojenia, mianowicie, przed wyprawą do Warszawy przeszedł on specjalny kurs konspiracji pod kierownictwem Sławka i kilku innych starych praktyków i polegał na tym, że jego prawdziwe nazwisko nie jest nikomu znane. Po wysłuchaniu mego raportu potraktował mnie więc wcale ozięble i zapowiedział od razu, że dotychczasowe nominacje były improwizowane i tymczasowe, i prawdopodobnie w najbliższym czasie kto inny będzie wyznaczony na moje miejsce. Nie oszczędził mi też bardzo stanowczego pouczenia o konieczności ścisłej konspiracji i trzymania języka za zębami, między innymi i co do jego osoby. Jednakże w ciągu dalszej rozmowy, gdy wykazałem niespodziewaną widocznie przezeń dyscyplinę, przyjmując krótkim „tak jest” wszystkie jego instrukcje, gdy poprosiłem go o informacje o nieznanym mi przebiegu wypadków od chwili wybuchu wojny i znowu nie czyniłem żadnych uwag,

ani nie mądrzyłem się ze swojej strony — Żuliński rozkrochmalił się nieco i pożegnanie nie było już tak ponure jak powitanie. W szereg miesięcy później, gdy serdeczna przyjaźń nawiązała się między nami, wspominaliśmy nieraz ze śmiechem to pierwsze spotkanie.

Z rozmowy z Żulińskim dowiedziałem się, jaki był przebieg pierwszych dni wojennych. Powiedział mi on o mobilizacji Związków i Drużyn Strzeleckich, zarządzanej przez Piłsudskiego już 2 sierpnia, przed wypowiedzeniem wojny przez Austrię, o marszu Kadrówki i przekroczeniu przez nią kordonu granicznego zanim jeszcze armie austriackie ruszyły naprzód; o symbolicznej zamianie orzełków przez Strzelców i Drużyniaków, którzy weszli w skład kompanii kadrowej. Pierwszy rozkaz dzienny Komendanta Głównego Żuliński umiał na pamięć; nie mógł bowiem ze zrozumiałych względów, przechodząc przez front, mieć przy sobie żadnych kompromitujących dokumentów. Ze wzruszeniem słuchałem pięknych słów tego rozkazu.

Usłyszałem też o niesłychanych trudnościach i komplikacjach, z którymi spotkał się Piłsudski od chwili wydania swego rozkazu mobilizacyjnego, nie tylko ze strony Austriaków, lecz ze strony polskich notabłów politycznych, którzy uważali za swe główne zadanie osiągnąć tzw. „gwarancje” od rządu austriackiego, a przede wszystkim zapewnienie praw kombatanckich dla Strzelców; inaczej bowiem w razie dostania się do niewoli rosyjskiej nie będą mieli osłony prawa międzynarodowego i będą wieszani. Piłsudski odmawiał wszelkich politycznych pertraktacji, pociągających za sobą pełne uzależnienie się od rządu austro-węgierskiego. Dowiedziałem się dalej o nacisku wywieranym przez Austriaków na Piłsudskiego, o odmowie wydania broni Strzelcom, o tym że jedynie Kadrówka została uzbrojona przez posiadane na składzie nowoczesne karabiny Manlichera, że reszta zmobilizowanych Strzelców przybyła do Kielc zajętych przez Piłsudskiego, uzbrojona w stare jednostrzałowe Werndle, nie tylko bez artylerii, ale nawet bez karabinów maszynowych. Wydanie nowoczesnego i cięższego uzbrojenia zostało uzależnione od złożenia przez Strzelców Piłsudskiego przysięgi na wierność, przepisanej dla landsturmowi austriackiego. Rewelacją dla mnie było, że Piłsudski nie został dowódcą tworzących się Legionów; że właśnie na skutek jego stanowiska i jego usiłowań niezależności pozostawiono pod jego dowództwem tylko jeden pułk piechoty, do którego dodał on już sam oddziałek kawalerii własnymi siłami zaimprowizowanej.

Żuliński poinformował mnie, że stworzony 14 sierpnia Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie bynajmniej nie idzie na

rękę Piłsudskiemu, którego przeszłości socjalistycznej i dyletan-tyzmu wojskowego obawiają się nie tylko konserwatywni, ale ludowi i mieszczańscy członkowie tego komitetu; że w gruncie rzeczy N.K.N. z radością przyjął, a może nawet prosił o wyznaczenie, austriackich generałów i oficerów na dowódców legionowych; że tylko w pułku Piłsudskiego obsada jest wyłącznie polska i nawet ci strzelcy, którzy mieli stopnie oficerskie austriackie, musieli się ich zrzec zanim nie otrzymają nominacji od Piłsudskiego.

Dowiedziałem się również, że Piłsudski, chcąc się osłonić od ingerencji austriackiej, ogłosił odezwę Rządu Narodowego w Warszawie, którego rozkazom podlega; że jednak fikcja ta przetrwała zaledwie parę tygodni i że utworzone z ramienia tego rządu cywilne władze polskie na niewielkim obszarze Kongresówki wolnym od wojsk rosyjskich, przestały być uznawane przez władze wojskowe austriackie i niemieckie, które początkowo okazywały im pomoc; że — wreszcie — Piłsudski w końcu sierpnia pod groźbą odmowy dostaw broni i amunicji dla jego oddziałów musiał przyjąć ultimatum austriackie i oddziały strzeleckie złożyły przysięgę z jedną tylko zmianą, mianowicie z dodatkiem króla polskiego do innych tytułów Franciszka Józefa. Co się działo później Żuliński już nie wiedział wobec przerzucenia go na drugą stronę frontu.

Nie były to wiadomości wesołe, gdy dodać do nich jeszcze to, że według relacji Żulińskiego społeczeństwo polskie w Kieleckim przyjęło Strzelców — z nielicznymi wyjątkami — ozięble i trwożliwie, zaś notable pokroju endeckiego z biskupem kieleckim na czele zajęli stanowisko wręcz wrogie. Natomiast, powiedział mi Żuliński, duch wśród Strzelców jest mimo wszystko znakomity, wiara i zaufanie do Komendanta niewzruszone, a nawet rosnące. Między innymi poleceniami od Komendanta Żuliński miał i to, aby zbadać możliwości stworzenia tajnego rządu narodowego w Warszawie i jeśli by się taki dał utworzyć, spowodowania aby jako pierwszy swój krok proklamował objęcie polskich formacji wojskowych pod swoją władzę polityczną.

Stwierdziliśmy obaj z Żulińskim jednomyślnie że niestety nie ma żadnej możliwości wykonania tego polecenia w sposób, który by robił poważne wrażenie. I to nie tylko z powodu panujących nastrojów, ale i z powodu огоłocenia terenu Warszawy i całej Kongresówki ze wszystkich wybitniejszych osobistości obozu niepodległościowego, a w szczególności P.P.S. Tak się bowiem złożyło że właśnie w związku z decyzją Piłsudskiego, powziętą jeszcze w roku 1913 — decyzją ożywienia i wzmocnienia działalności na terenie zaboru rosyjskiego, już w czerwcu 1914 roku zarówno

ludzie z P.P.S. jak i Z.W.C. zostali ściągnięci za kordon na przeszkolenie bądź wojskowe, bądź polityczne na różnych kursach; zostali oni odcięci przez wybuch wojny. Poza tym, jak zwykle od lat szeregu kto tylko mógł spośród inteligencji warszawskiej udawał się na wywczasy za kordon, by odetchnąć atmosferą swobodnego życia narodowego. Jeśli chodzi o P.P.S., Żuliński zastał w Warszawie tylko dwóch ludzi wybitniejszych, Artura Śliwińskiego i Bolesława Czarkowskiego, nawiasem mówiąc, robotnika, który jednak wydawał mu się mocniejszym oparciem politycznym, niż inteligent Śliwiński, historyk i publicysta, nie wykazujący jednak żadnej inicjatywy ani śmiałości działania. Przez Czarkowskiego jedynie udało się Żulińskiemu i Kocowi, który wówczas był komendantem okręgu warszawskiego, dotrzeć z naszą robotą do środowiska robotniczego w stolicy.

Po tej pierwszej odprawie w Komendzie Naczelnej P.O.W., wróciłem na swój niewdzięczny teren siedlecki z tym, że po miesiącu miałem się znowu zameldować w Warszawie. Nastroje w tym czasie zaczęły fałdować, głównie według rytmu działań wojennych. Pierwsze piorunujące zwycięstwa niemieckie na zachodzie i głębokie wdarcie się ich do Francji aż po Marne, ochłodziły nieco entuzjazm pro-rosyjski; szczególnie zaś ochładzająco podziała klęska rosyjska na Jeziorach Mazurskich w Prusach Wschodnich, przy czym niemałe wrażenie wywołała powszechna wersja o zdradzie wśród wysokich dowódców rosyjskich, zdradzie sięgającej rzekomo aż do ministerstwa wojny i pałacu carskiego. Następnie jednak, klęska austriacka i odwrót z przedpola Dębłina i Warszawy, inwazja Małopolski wschodniej, zajęcie Lwowa i dalszy marsz zwycięski na Przemyśl i Kraków, spowodowały ponowne wzmocnienie orientacji pro-rosyjskiej; ale tym razem nie powróciły już nastroje emocjonalne z pierwszych dni wojennych i entuzjazm „braterski” w stosunku do Moskali przestał się manifestować, zaś jego objawy, zjawiające się jeszcze czasami na łamach prasy endeckiej, zaczęły być przyjmowane z pewnym niesmakiem, a nawet drwiną.

Doszły też wiadomości o wystąpieniach hr. Bobryńskiego mianowanego wojennym generał-gubrenatorem rosyjskim we Lwowie; oświadczył on mianowicie, że ziemia i ludność Małopolski wschodniej są rdzennie rosyjskie i że wprowadzone tam zostanie prawo rosyjskie oraz rosyjski język i ustrój prawny. Potwierdził to w kilku tygodni później car Mikołaj II, który przemawiając we Lwowie, nazwał tę ziemię już nie tylko rdzennie, ale najrdzenniejszą rosyjską. Oczywiście, trudno było się spodziewać czegokolwiek innego. Los Małopolski wschodniej tak samo jak Wołynia, Polesia i Wileńszczyzny, był takim samym tragicznym minusem

orientacji pro-rosyjskiej, jak los Śląska, Poznańskiego i Pomorza — orientacji austriackiej. Niemniej przeto, gdy te wiadomości docho-
dziły do szerszego ogółu dość gorzko smakowały i niełatwo je było
pogodzić z bratersko-słowiańskim entuzjazmem. Pozostawała już
raczej tylko ta pociecha, że jeśli koalicja, a więc i Rosja ma zwy-
ciężyć, to lepiej się opowiadać po jej stronie niż przeciw. Sytuacja
wojenna zaś wskazywała właśnie na tę ewentualność. Armie rosyj-
skie biły Austriaków, a nawet Niemcom stawiały twardy opór.
Październikowa ofensywa austriacko-niemiecka załamała się pod
Dęblinem, Grójcem i Sochaczewem i — na odcinku austriackim
zakończyła się głębokim i dość bezładnym odwrotem. Przekrocze-
nie Karpat i upadek Przemyśla groziły nie tylko likwidacją oporu
austriackiego, ale i uderzeniem przez Kraków na Śląsk, dotkli-
wym i niezmiernie niebezpiecznym dla Niemców.

Gdy w połowie listopada 1914 roku zjawiłem się ponownie
w Warszawie na odprawie komendantów okręgów u Komendanta
Naczelnego, zastałem jednak duże zmiany na lepsze w nastrojach
i postępach naszej pracy. Sieć organizacyjna została poważnie roz-
budowana i wzmocniona. Zorganizowany przy pomocy przysła-
nych z I-szej Brygady oddział lotny wojsk polskich, dokonał już
szeregu dobrze przeprowadzonych i uwieńczonych powodzeniem
akcji i planował nowe. Poza tym, napłynęło dość dużo wiadomości
z tamtej strony frontu, których nam szalenie brakło. Ułatwione
to zostało przez głębokie zmiany frontu, które pozwalały emisa-
riuszom Komendanta i dzielnym kurierkom peowiackim przedos-
tawiać się z informacjami i instrukcjami z jednej strony na drugą.
Dowiedzieliśmy się o kapitalnej postawie bojowej młodego woj-
ska polskiego, o sensacyjnych i świetnie przeprowadzonych ma-
newrach strategicznych Komendanta, o znakomitych nastrojach
w szeregach, jako ilustrację których przywieziono nam zbiór pio-
senek, anegdot i obserwacji osobistych z wrześniowych i paździer-
nikowych operacji strzeleckich.

Obraz politycznych stosunków natomiast był raczej posępny.
Naczelny Komitet Narodowy, powstały w połowie sierpnia w Kra-
kowie, jako reprezentacja wszystkich stronnictw polskich w zabo-
rze austriackim, nie wyłączając Narodowej Demokracji i konser-
watystów wschodnio-galicyskich, tzw. Podolaków, został w miarę
postępów armii rosyjskiej i klęsk austriackich rozbity. Niewątpli-
wie, nastąpiło to nie bez interwencji i instrukcji z Warszawy, na
skutek których Narodowa Demokracja i Podolacy dostosowali się
do wspólnego frontu pod przywództwem Romana Dmowskiego.
W pierwszych chwilach od wybuchu wojny Centralny Komitet
Narodowy, reprezentujący te grupy, wydał wprowadzić odezwę
mówiącą, że „Obowiązkiem polskiego honoru” jest stanąć w obro-

nie Austrii „państwa od którego w czasie pokoju tyle zazналиśmy dobra” z zastrzeżeniem tylko, że opiera się to na przekonaniu „że niezawisłość narodowa, której zadatki już miał pod berłem austriackim, stanie się udziałem innych ziem polskich”. Wprawdzie odezwa ta zapowiadała rychły wymarsz do boju Sokoła i Drużyn Bartoszewych — jednak, już po kilku tygodniach gdy Lwów został zagrożony, reprezentanci tegoż Centralnego Komitetu Narodowego wzięli udział w tworzeniu Legionu Wschodniego, nie mogąc się oprzeć nastrojom młodzieży, ale zrobili wszystko aby szeregi tej młodzieży zdemoralizować, przepoić defetyzmem i pesymizmem i doprowadzić do tego, że z trzeczysięcznego początkowo legionu zaledwie nieco więcej niż 10 % dotarło do Okręgu Krakowskiego, zaś reszta rozproszyła się po drodze. Wkrótce też przedstawiciele tych stronnictw wycofali się z Naczelnego Komitetu Narodowego, zaś prof. Stanisław Grabski wszedł w stosunek ścisłej współpracy z rosyjskim generał-gubernatorem Bobryńskim i mimo jego niedwuznacznego stanowiska zyskał sobie u niego całkowite zaufanie, jako nieoceniony doradca. Dowiedzieliśmy się dalej, że zdecydowana niechęć i nieufność władz austriackich do Piłsudskiego trwa nadal, że napływający ochotnicy nie są kierowani jako uzupełnienie do jego oddziałów, że — zamiast tego — tworzone są inne pułki pod dowództwem wyznaczonym przez Austriaków, przy czym znajdują oni w tej sprawie zrozumienie, a nawet poparcie w znacznym odłamie N.K.N.

Tylko niektóre z tych informacji zostały podane do wiadomości wszystkich obecnych na odprawie. Żuliński był ostrożny i obawiając się, aby nie osłabić ducha zebranych, wiadomości niepomyślnie zatrzymał przy sobie. Żuliński był dobrym oficerem, ale nieszczególnym mówcą; wydało mi się w pewnym momencie, gdy zostaliśmy upoważnieni do wypowiedzenia się, że dobrze będzie dla podtrzymania nastroju powiedzieć coś żywszego i gorętszego, niż to zrobił Żuliński i pozwoliłem sobie na krótkie przemówienie, za które Żuliński podziękował mi po zakończeniu formalnej odprawy i zatrzymał na rozmowę poufną, w której — upewniony już widocznie co do mojej wytrzymałości ideologicznej — dodał mi szereg informacji, na odprawie przemilczanych. Na drugi dzień zaś zaprosił mnie na rozmowę we trójkę z Bolesławem Czarkowskim, w której rozpatrywaliśmy już całkiem nieformalnie polityczną stronę sytuacji i specjalnie stosunki warszawskie. W tej rozmowie dopiero dowiedziałem się, że w związku z październikową ofensywą na Dęblin i Warszawę — ta ostatnia miała być zajęta przez Niemców — zostało nawiązane porozumienie między dowództwem niemieckim a Piłsudskim, w myśl

którego oddziały polskie miały wejść do Warszawy w przedniej straży i dlatego 2 bataliony piechoty strzeleckiej i szwadron Beliniaków były już detaszowane na odcinek niemiecki i podchodziły pod Warszawę od strony Piotrkowa i Grójca. Jednakże porozumienie to zostało następnie zerwane ze względu na polityczne wymagania wysunięte przez Niemców, przy okazji powitania ich wojsk wkraczających do Warszawy. Tę część propozycji niemieckich Piłsudski odrzucił.

Drugą sprawą poruszoną na tej konferencji był stosunek do tworzonych przy armii rosyjskiej — oczywiście w odpowiedzi na Legiony — oddziałów Górczyńskiego. Czarkowski wystąpił z projektem wydania odezwy niesłychanie ostro i wręcz obelżywie traktującej tę imprezę. P.P.S. miała bowiem informacje, że Górczyński jest po prostu byłym agentem Ochrony. Żuliński powołał się jednak na instrukcje Komendanta właśnie świeżo otrzymane, żeby zachowywać się w tej sprawie z całą ostrożnością, ponieważ ochotnicy zgłaszający się do tych oddziałów mogą to być ludzie najlepszej woli i patriotyzmu, których temperament pcha w kierunku wzięcia udziału aktywnego w wypadkach wojennych i którzy prawdopodobnie gdyby się znaleźli po tamtej stronie frontu, zgłosiliby się do szeregów Piłsudskiego. Tak samo jak ci członkowie Związku Walki Czynnej, których wojna zastała we Francji, wstąpili w szeregi Bajończyków. Ci co idą się bić — cytował Żuliński instrukcje Komendanta — są zawsze lepsi niż ci, którzy za wszelką cenę chcą siedzieć w domu.

Instrukcja ta bardzo mi się przydała, bo właśnie w moich Siedlcach sprawa ta była aktualna i zauważyłem, że istotnie kilku bardzo dzielnych i zacnych chłopców spośród moich byłych kolegów gimnazjalnych, wstąpiło do drużyn Górczyńskiego, niewątpliwie dlatego że nie żadne rozumowanie polityczne, ale zdrowy instynkt dyktował im, że w takich czasach trzeba się bić i tak czy owak będzie się biło jakiegos z nieprzyjaciół Polski. Istotnie też, w kilka lat później wszyscy oni byli doskonałymi oficerami w armii polskiej.

W miesiąc później w ostatnich dniach grudnia 1914 roku, po normalnej odprawie komendantów okręgów u Naczelnego Komendanta, zapowiedział on nam wszystkim, że następnego dnia w różnych godzinach i w różnych lokalach mamy się meldować u niego każdy z osobna. Była to normalna ostrożność konspiracyjna, każde bowiem zebranie Naczelnego Komendy i komendantów wszystkich okręgów było ogromnym ryzykiem, grożącym w wypadku nawet przypadkowej „wsypy” sparaliżowaniem całej organizacji. Sądziłszy więc, że Żuliński nie chce przedłużać pobytu całego gremium pod jednym adresem

a chce z każdym z komendantów okręgów omawiać jeszcze szczegóły organizacyjne. Gdy jednak następnego dnia zameldowałem się pod wskazanym adresem, spotkała mnie niespodzianka. Komendant Naczelny poinformował mnie w skrócie o dotychczasowych działaniach oddziału lotnego i zaproponował mi udział w jego najbliższej akcji. Uprzedził mnie, że akcja ta będzie bardzo śmiała i ryzykowna i że nie mam żadnego obowiązku brania udziału w niej, jednak z pewnych względów postanowił umożliwić taki swego rodzaju gościnny występ bojowy wszystkim komendantom okręgów. Po chwili wahania dodał mi nawet informację, że sam zamierza wziąć udział w tej akcji. Podkreślił, że chce bym się namyślił zanim mu dam odpowiedź, oczekuje jej jednak w ciągu 24 godzin, a wtedy otrzymam ewentualnie dalsze instrukcje. Odpowiedziałem, że mogę mu dać od razu decyzję pozytywną. Wobec tego powiedział mi Żuliński, że w przeciągu 10 dni otrzymam w drodze umówionej depeszy, lub przez kuriera polecenie do stawienia się w jednym z większych miast, pod wskazanym adresem, że tam dopiero otrzymam broń i amunicję, muszę sobie jednak przygotować odpowiednie ubranie, o ile możliwości ciepłe, ale nie krępujące ruchów i nie zwracające uwagi na terenie mniejszego miasta, w dzień targowy. Powołując się na moją przeszłość i pewną praktykę konspiracyjną, poprosiłem Żulińskiego o pozwolenie na nieco bardziej szczegółowe omówienie sprawy. Przede wszystkim, poprosiłem go czy nie mógłby mi od razu wskazać owego większego miasta, w którym mógłbym sobie zapewnić ewentualnie bezpieczną kwatery; jeśli mam tam znajomości to będę mógł o moim przybyciu uprzedzić i upozorować. Żuliński zgodził się na to i powiedział mi, że miastem tym będzie Lublin. Ta informacja okazała się istotnie bardzo ważna praktycznie, bo właśnie w Lublinie miałem dobrego przyjaciela księdza, mieszkającego samotnie przy poklasztornym kościele, u którego mogłem się bezpiecznie i wygodnie zakwaterować i który o nic pytać nie będzie. Następnie, powiedziałem otwarcie Żulińskiemu, że jego decyzja wydaje mi się niezmiernie ryzykowna na wypadek niepowodzenia akcji, szczególnie zaś jego osobisty udział w niej wydaje mi się wręcz sprzeczny z podstawowymi zasadami konspiracji i ze zwykłą rozważą wobec fatalnych konsekwencji, które mogłaby pociągnąć za sobą jego śmierć, lub uwięzienie. Jest on bowiem jedynym człowiekiem reprezentującym po tej stronie frontu osobisty autorytet Komendanta i posiadającym jego bezpośrednią nominację. Gdyby jego zabrakło P.O.W. musiałaby czekać na przysłanie kogoś innego z I. Brygady, a w międzyczasie mogłoby dojść do poważnej rozterki i dezorganizacji. Żuliński przyznał mi, że istotnie moje uwagi mają

głębką podstawę, że liczył się z tym stanem rzeczy sam i pod słowem honoru wtajemniczył mnie w powody swojej decyzji. Poinformował mnie, że od pewnego czasu zauważył i stwierdził ponad wszelką wątpliwość ferment wśród oddziału lotnego; niechęć do niebojowej części organizacji, tendencję do nieuznawania żadnych władz oprócz komendanta oddziału lotnego, a nawet coś w rodzaju nieufności, czy lekceważenia w stosunku do niego samego jako Komendanta Naczelnego. Doszedł więc do przekonania że taki krok, jak wzięcie udziału w akcji bojowej przez niego samego i przez komendantów okręgów, może zbawiennie wpłynąć na ten stan rzeczy, zaciśnąć węzły organizacyjne i powstrzymać malkontentów z oddziału lotnego, wobec których trudno mu pójść normalną drogą dyscyplinarną, gdyż są oni jednocześnie ludźmi wysokiej wartości z punktu widzenia odwagi, sprawności bojowej i głębokiej ideowości.

Powiedziawszy swoje nie mogłem w ramach dyscypliny wojskowej zrobić nic więcej; polegałem też na tym, że Żuliński lepiej niż ja zna stosunki, o których mówił. Powróciwszy do Siedlec, skompletowałem sobie z łatwością odzież, odpowiadającą instrukcjom Żulińskiego, krótki kożuszek szaraczkiem kryty, z barankowym kołnierzem, spodnie do konnej jazdy i długie buty, co razem tworzyło całość bardzo pospolitą, w której wyglądałem jak młody ekonom, lub praktykant rolny z jakiegoś majątku ziemskiego. W określonym czasie otrzymałem telegraficzną instrukcję, udałem się do Lublina i zająłem kwatere u mego przyjaciela księdza, który wprowadził mnie z ciekawością popatrzył na mój strój, ale — jak przywydzałem — przyjął mnie z otwartymi ramionami, nie zadając żadnych kłopotliwych pytań. Kwatera była idealna, bez potrzeby meldowania się i bez ciekawych oczu pana dozorczy. Zameldowałem się pod wskazanym adresem; zastałem tam już Żulińskiego, komendanta oddziału lotnego, znanego mi tylko ze słyszenia pod pseudonimem Mykita, oraz kilku bojowców z oddziału lotnego, między innymi nieznanego mi przedtem Mariana Kościółkowskiego. Otrzymałem instrukcję, aby nie wychodzić już na miasto i czekać na miejscu. Na stołach i tapczanach w kilkopokojowym mieszkaniu były rozłożone w imponującej ilości brauningi i mauzery, pudła z amunicją, kilka niepokaźnych pudełek na osobnym stole z napisem: nie dotykać, w których bez trudu rozpoznałem bomby; zwoje sznura Bickforda, zapalniki, a nawet krótki, kawaleryjski karabinek wojskowy. W przeciągu kilku najbliższych godzin lokal zapełnił się, co kilkanaście minut bowiem, pojedynczo, przybywali nowi uczestnicy projektowanej akcji. Gdy zebrali się wszyscy, Żuliński rozpoczął odprawę; poinformował nas, że udamy się na przygotowanych bryczkach i wozach do

odległego na 15 czy 20 kilometrów miasta powiatowego Lubartowa, i że naszym zadaniem będzie zająć je na okres kilku godzin. Po zniszczeniu urzędu powiatowego i wojskowego urzędu poborowego, wycofamy się według planu, który będzie nam podany dopiero na miejscu; wycofamy się grupami w różnych kierunkach. Po Żulińskim zabrał głos Mykita, który podzielił nas — piętnastu — na grupy, wskazał kto z kim jakim pojazdem i skąd ma wyruszyć; rozłożył plan miasteczka Lubartów, wskazał na nim punkty, w których znajdują się budynki policji i żandarmerii miejscowej, które mają być opanowane oraz posterunki osłonowe, które każdy z nas ma zająć. Wskazał też na mapie dom w którym przygotowana jest dla nas kwatera, z której przystąpimy do akcji i gdzie dostaniemy ostatnie instrukcje, włącznie z planem wycofania się. Każdy po kolei otrzymał szczegółowe pouczenie, jakie jest jego stanowisko, jakie zadanie i jaką bronią będzie rozporządzał. Odprawa ta zajęła sporo czasu, każdy z uczestników musiał bowiem z planem w rękę zdać egzamin z tego, że rozumie swoje zadanie, że będzie wiedział jak i którędy dojść na swe stanowisko, jak i którędy się z niego wycofać po zakończeniu akcji, skąd się ma spodziewać nieprzyjaciela, kiedy i z jakiej odległości otwierać ogień i co robić w razie interwencji ludności cywilnej. Oczywiście, wszystko to dotyczyło głównie tych kilku członków wyprawy, którzy nie należeli do stałego składu oddziału lotnego.

Po skończeniu odprawy kilka obecnych Peowiaczek, należących do składu oddziału lotnego, zajęło się nakarmieniem nas przygotowanymi zawczasu w ogromnych ilościach kanapkami oraz herbatą. Jedna z nich miała wziąć udział w akcji; właśnie jej zadaniem było przetransportowanie pod długim płaszczem jesiennym kawaleryjskiego karabinka. Wkrótce popołudniu zaczęliśmy opuszczać lokal małymi grupkami, odpowiadającymi pojemności czekających na nas sanek i wozów.

Moim towarzyszem podróży był Marian Zyndram-Kościółkowski. Pod wskazanym adresem, na wylotowej w kierunku Lubartowa ulicy Lublina, czekały na nas wygodne saneczki, z ciepłym kożuchem do otulenia nóg, zaprzężone w parę doskonałych koni. Dzień był piękny, słoneczny, ale bardzo mroźny i od południa zaczęło się wyraźnie oziębzać jeszcze bardziej; było ponad 20 stopni mrozu. W drodze zaczęliśmy rozmawiać z Kościółkowskim, ustaliliśmy wspólne zamiłowanie do myślistwa i kniei i już po kilkunastu minutach czuliśmy się tak, jakbyśmy się znali od lat. Kościółkowski był stałym członkiem oddziału lotnego; miał już za sobą udział w kilku akcjach. Obaj jednak byliśmy ożywieni i podnieceni myślą o tym, co stoi przed nami w najbliższych

kilku godzinach. Obaj przeżywalismy to, co znałem tylko z opowiadań starszych konspiratorów i bojowców PPS — pewnego rodzaju radosne uniesienie na myśl o czekającej chwili otwartej walki.

Akcja lubartowska była obliczona na pół godziny trwania. Czekający już w Lubartowie przy wylotach linii łączności „specjaliści” z oddziału lotnego, odpowiednio wyekwipowani, mieli na dany sygnał po naszym przyjeździe przeciąć wszystkie linie telegraficzne i telefoniczne. Rozstawienie posterunków osłonowych i zaatakowanie lokalów naczelnika powiatu i powiatowego urzędu wojskowego miało nastąpić w tempie piorunującym. Oddział lotny był już kilkakrotnie w Lubartowie, zaobserwował i uplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Po zniszczeniu dokumentów, zabranii książeczek paszportowych i pieczęci i zostawieniu pokwitowań podpisanych przez Oddział Lotny Wojska Polskiego, mieliśmy się wycofać do szeregu punktów w odległości od kilku do kilkunastu kilometrów od Lubartowa, skąd bądź natychmiast w ciągu nocy, bądź po kilku dniach — tam gdzie obecność nasza dała się upozorować — mieliśmy się udać każdy do siebie.

Akcja miała nastąpić tuż przed zachodem słońca, w momencie kiedy na wszystkich drogach będzie tłumny ruch, rozjeżdżającej się z jarmarku ludności okolicznej. Gdy wjeżdżaliśmy do miasta, Kościółkowski pokazał mi stojących koło słupów telegraficznych i telefonicznych młodych ludzi, mających przy sobie skrzynki z narzędziami, zwoje drutu i robiących do złudzenia wrażenie mechaników z urzędu pocztowo-telegraficznego. „To nasi”, rzekł Kościółkowski, wymieniając z nimi znaki porozumiewawcze; „za chwilę przetną druty”. Kilka domów dalej, zobaczyliśmy dwie pary sanek i wóz i rozpoznaliśmy przy wejściu do niewielkiego domku mieszczańskiego dwóch naszych towarzyszy z odprawy w Lublinie. Była to kwatery, z której mieliśmy się rozejść do akcji i gdzie mieliśmy otrzymać instrukcje co do odwrotu, trzymane w tajemnicy do ostatniej chwili. Ze zdumieniem zauważyliśmy, wysiadając z sanek, że przed domem stoi grupka osób nie należących do nas, rozmawiających z ożywieniem i gestykujących oraz patrzących w okna naszej kwatery. „Coś nie w porządku” — powiedział do mnie Kościółkowski. Dwaj bojowcy z osłony stojący przy wejściu, polecili nam wejść przez drzwi na prawo od przedpokoju. Po wejściu tam zobaczyliśmy Żulińskiego pochylonego nad leżącym na kanapie wyraźnie nieprzytomnym Mykitą, i zajętego lekarskim badaniem (Żuliński był doktorem medycyny). Mykita zabity lub ranny — pomyśleliśmy obaj z Kościółkowskim, co się mogło stać przed rozpoczęciem akcji. Po-

deszliśmy z pytaniem do Żulińskiego, który niecierpliwym ruchem odesłał nas na bok. Tymczasem, nadjechali inni uczestnicy akcji, pokój się zappełnił, a jednocześnie zauważyliśmy przez okno, że coraz większa grupa miejscowych obserwatorów zbiera się przed domem i przygląda się temu niezwykle zgromadzeniu obcych ludzi i pojazdów. Ktoś nam wyjaśnił, że przechodnie widzieli przed chwilą, gdy nieprzytomnego Mykitę wynoszono na rękach z sanek i wprowadzano rzucającego się i opierającego do domu.

Żuliński wezwał nas wszystkich abyśmy się zbliżyli do niego i przyciszonym głosem wydał niespodziewane rozkazy: „Ściągnąć natychmiast ludzi rozesłanych do cięcia drutów”. „Akcja odwołana”. „Natychmiast zająć miejsce w czekających wozach i sankach, tym razem w dowolnym porządku. Wracać do Lublina, każdy do swojej kwatery. Na drugi dzień o 10-tej rano stawić się na odprawę. Żadnych zapytań. Wykonać”. Wyszliśmy na ulicę; nasze wygodne sanki zostały już zajęte i odjechały; weszliśmy na pierwszy z kolei drabiniasty wóz w sześciu, włącznie z Haliną Chełmicką i ruszyliśmy w milczeniu w drogę powrotną. Słońce właśnie zaszło, mróz był siarczysty, dzwoniliśmy zębami w naszych krótkich kożuszkach, zaś biedna Chełmicka w swym jesiennym płaszczyku, który istotnie osłaniał karabinek, ale bynajmniej nie osłaniał jej od mroźnego wiatru — już po kilku kilometrach jazdy była zielona i dzwoniła zębami tak, że słowa wymówić nie mogła.

Tak się złożyło, że wśród grupy, która się przypadkowo znalazła na tym wozie, nie było nikogo kto by wiedział co się stało z Mykitą i dlaczego akcja została odwołana.

Gdy na drugi dzień stawiałem się u Żulińskiego na tej samej kwaterze co dnia poprzedniego, dowiedziałem się od niego o przebiegu zdarzeń. Mykita gorączkowo zajęty przez ostatnie 24 godziny, miał bowiem niespodziewane trudności z najtrudniejszą i najważniejszą częścią akcji, tj. organizacją odwrotu — nie miał po prostu czasu spać ani jeść. Gospodarze dwóch spośród pięciu umówionych kwater odwrotowych przelekli się i pod tym czy innym pozorem odmówili swych usług w ostatniej chwili. Trzeba było znaleźć punkty zastępcze, co w owych czasach nie było tak łatwe. W drodze do Lubartowa Mykita — skądinąd znany z żelanej wytrwałości — zmarł i osłabł i chcąc się doprowadzić do formy należytej, pociągnął raz i drugi głęboko z flaszki spirytusu, którą miał w kieszeni. Poważna doraźna dawka alkoholu na pusty żołądek i przy 20-stopniowym mrozie podziałała niespodziewanie silnie. Przed samym wjazdem do Lubartowa Mykita stracił przytomność, zaczął rzucać się i bredzić, a następnie popadł w kateleptyczny sen. Mniejsza już o to, że wynoszenie go z sanek i prowadzenie do domu zwróciło uwagę i oczywiście groziło

zdekonspirowaniem kwatery i jej właścicieli, ale Mykita jeden tylko znał plan odwrotu, adresy kwater, marszrutę do nich i hasła rozpoznawcze. Żuliński nie miał więc innego wyjścia tylko akcję odwołać i zarządzić jak najszybszy odwrót, tym bardziej, że druty telegraficzne i telefoniczne na jednej z linii zostały już przecięte i lada chwila musiał nastąpić alarm.

Żuliński był tak przybity i głęboko poruszony, że stracił zwykłą swą sztywność i zapytał się mnie o zdanie, czy decyzja jego była słuszna. Odpowiedziałem mu, że zdaniem moim nie może być żadnej wątpliwości, że innego wyjścia nie było. Widząc, że jest w ciężkiej rozterce, starałem się go pocieszyć, mówiąc, że rzecz mogła się skończyć znacznie gorzej; że nieprzewidziane wypadki muszą się czasem zdarzać i że po prostu należy podsumować sprawę jako szczęśliwie zlikwidowaną, tak że w moim przekonaniu nie powinien się zbytnio przejmować. Pół żartem dodałem, że właściwie najbardziej pokrzywdzony i zawiedziony jestem ja, jako że gościnny występ bojowy, na który się tak bardzo szykowałem, nie doszedł do skutku. Żuliński odpowiedział mi na to, że zapominam o drugiej części tej sprawy, o konieczności wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do Mykity, co spadło na niego. Po chwili wahania i pod pieczęcią najściślejszej tajemnicy, poinformował mnie Żuliński, że był zmuszony tegoż właśnie rana, gdy Mykita powrócił do przytomności, postawić go pod sąd wojenny, w skład którego oprócz niego samego weszli dwaj członkowie oddziału lotnego. Mykita sam uznał się winnym i przyjął bez protestu wyrok śmierci. Mówiąc ze mną zupełnie szczerze i powołując się na poprzednią rozmowę w Warszawie, Żuliński przyznał mi się, że z ciężkim sercem wydawał ten wyrok, a poza tym, znając ogromną popularność Mykity w oddziale lotnym i licząc się z tym, że jego osobisty autorytet nie był bynajmniej tak powszechny — oddział lotny może się zbuntować przeciwko jego wyrokowi. Mykita po zakończeniu sądu zwrócił się do Żulińskiego z prośbą o przyznanie mu jednej tylko ulgi, na którą zasłużył sobie, jak sądzi, przed swoją dotychczasową służbą — nianowicie że wolno mu będzie wyrok sam na sobie wykonać. Żuliński dał mu na to swą zgodę. Mykita rozstał się z Żulińskim serdecznie i bez żalu, rozmawiał z nim jeszcze przez dłuższą chwilę i opowiedział mu nawet swój sen przed tragicznym przebudzeniem, ostatni sen jego życia, jak mówił. Z pewnych względów, nie będę tutaj tego snu powtarzał.

Nie wiadomo w jaki sposób Mykita zakończył swe życie. Faktem jest, że od tego dnia, nikt go już więcej nie widział. Kilkakrotnie rozchodziły się wiadomości, że go gdzieś widziano, lub też znaleziono jego ciało. Ani jedna z tych wiadomości po spraw-

dzeniu nie okazała się prawdziwa. Nie mam najmniejszej wątpliwości jednak, że Mykita — człowiek twardy i mocny — słowa swego dotrzymał. Niejednokrotnie też dochodziły mnie później wiadomości pochodzące nawet od członków oddziału lotnego, o rzekomym wykonaniu wyroku na Mykicie przez nich samych; uważałem je i uważam dotychczas za fantazję i wykluczam każde rozwiązanie sprzeczne z wersją podaną mi przez Żulińskiego, który ani nie potrzebował, ani nie umiał mówić nieprawdy.

Wróciłem do Siedlec w dość ponurym nastroju; nie tylko nie miałem wymarzonej satysfakcji wzięcia udziału w otwartej walce, ale zaciążyła nade mną bardzo silnie tragedia Mykity. Małą pociechą było mi przekonanie, do którego doszedłem analizując wszystkie okoliczności niedosłej akcji lubartowskiej, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie przesłaby ona bez ciężkich strat. Opanowanie powiatowego miasta przez dywersantów na tyłach potężnego frontu armii rosyjskiej posuwającej się na Przemysł i Kraków, wywołałoby z całą pewnością energiczną akcję ze strony „kontr-rozwiadki” rosyjskiej. W samym Lublinie stało wówczas kilkanaście tysięcy wojska i kilka wyższych sztabów. Nie było między nami prawie nikogo, kto by mógł się wylegitymować z najmniejszym prawdopodobieństwem z tego co robi na tym terenie, czyli każdy wypadek zatrzymania i wylegitymowania był równoznaczny z katastrofą. Jeśliby więc nawet sama akcja się udała wycofanie się z niej nie miało większych szans sukcesu.

Jednakże z udziału w tej akcji wynikły dla mnie dwa nieprzewidywane plusy. Jednym z nich była zawiązana w drodze do Lubartowa i trwająca potem przez lat parę dziesiątków przyjaźń z Marysiem Kościalkowskim. Drugim, zdecydowany zwrot w stosunku Żulińskiego do mnie; jak już wspominałem był on na początku wręcz niechętny, mimo późniejszej znacznej poprawy wciąż jeszcze odczuwałem wyraźną rezerwę z jego strony. Gdy jednak wkrótce zostałem wezwany do Naczelnej Komendy do Warszawy, Żuliński przyjął mnie z prawdziwą serdecznością, przyjaźnią i zaufaniem, mówił ze mną o wszystkim najzupełniej otwarcie, zwierzał się ze wszystkich swoich trudności, a nawet wtajemniczył mnie w swoje najpoufniejsze sprawy i stosunki osobiste. Uprzedził mnie, że zamierza ściągnąć mnie z Siedlec do Warszawy, że chce mieć przy sobie kogoś ze „starej wiary” jak mówił, tym bardziej że zapadło już postanowienie, że Adam Koc uda się okólną drogą północną, przez Finlandię i Szwecję z raportem do Komendanta, i zostanie w Brygadzie. Następnie, zaproponował mi Żuliński, abym się udał w charakterze inspektora Komendy Naczelnej do Petrogradu i ewentualnie do Moskwy, dla nawiązania ściślejszego kontaktu z tamtejszą P.O.W. Na moje

zastrzeżenie, że może by lepiej było posłać tam kogoś z poważniej wyszkolonych wojskowo oficerów, Żuliński odpowiedział mi, że potrzebuje raczej kogoś wyrobionego politycznie, umiejącego mówić; ma bowiem wiadomości, iż na tamtejszym terenie zarysowują się pewne rozterki wewnętrzne i osłabienie kręgosłupa ideologicznego organizacji. Rzeczą została postanowiona. W przeciągu tygodnia, wyekwipowawszy się nie bez trudu na petrogradzką zimę, udałem się na północ.

Był to luty 1915 roku. Franciszek Skąpski, wybitny inżynier i dyrektor olbrzymiej firmy budowlano-konstrukcyjnej, do którego zostałem skierowany, dał mi wszystkie informacje i wszelką potrzebną pomoc. Zamieszkałem w jego willi w Carskim Siole, skąd codziennie przyjeżdżałem do stolicy na rozmowy i zebrania, poznając ludzi ze wszystkich środowisk politycznych i przeprowadzając nieskończoną ilość konferencji i dyskusji. Zetknąłem się tam po raz pierwszy z ludźmi o wybitnym intelekcie, znacznym wyrobieniu politycznym, jak późniejszy ambasador Juliusz Łukasiewicz i Stanisław Fedorowicz, który zginął w I. Brygadzie w czasie kampanii wołyńskiej.

Franciszek Skąpski był dla mnie wręcz nieocenionym oparciem. Miał olbrzymie stosunki zarówno w Petrogradzie, jak w Finlandii, co mało dla nas wartość szczególną ze względu na możliwości nabycia materiałów wybuchowych, broni i amunicji, której Organizacja, a szczególnie Oddział Lotny, niezbędnie potrzebowała. O dostaniu ich na terenie Kongresówki mowy nie było. Za każdym razem, gdy odwiedzałem Skąpskiego we wspólnych apartamentach jego firmy, miał on dla mnie w którejś z szuflad swego biurka kilka pistoletów automatycznych, kilkanaście paczek amunicji, lub też elegancki neseser podróżny szczególnie wyładowany pakietami dynamitu, pyroksyliny wraz z detonatorami i lontami. Jego firma bowiem, posiadająca kopalnie i prowadząca prace fortyfikacyjne w portach bałtyckich, miała te rzeczy w obfitości w swych składach. Odsyłałem to wszystko przez kurierów dostarczonych mi z organizacji miejscowej Żulińskiemu do Warszawy. Potrafił też Skąpski na kilku prywatnych przyjęciach w gabinetach luksusowych restauracji petrogradzkich, po dobrym obiedzie obficie zakropionym, puścić w ruch listę składków zatytułowanych dyskretnie na cele narodowe, którą otwierał poważną pozycją ofiary własnej, do której następni ofiarodawcy musieli się dostosować, co przeważnie czynili bez mrugnienia okiem, pieniądze bowiem w tym czasie w nadnewskiej stolicy płynęły jak woda.

Gdy wróciłem później do Warszawy, Żuliński zapytał mnie z zaniepokojeniem w jaki sposób pokryłem wydatki nie tylko na

moją podróż i kosztu pobytu, ale i na nadesłane transporty broni i amunicji — na co wyasygnował mi łącznie z kasy organizacyjnej rubli 50, uspokoiłem go, że mam jeszcze skromną resztę z tej sumy i wyłożyłem na stół rubli 5.000.

Miałem jednak ciężkie dni podczas mego pobytu w Petrogradzie; w tym właśnie czasie Przemysł, uchodzący za niezdobytą fortecę, poddał się wojskom rosyjskim. Zdawało się, że otwarta została droga na Kraków i Śląsk. Zwolniona została od groźby oskrzydlenia droga przez Karpaty na Budapeszt i Wiedeń. Chodząc ulicami Petrogradu, co chwila musiałem zbaczać, aby nie być zmuszonym do odsłaniania głowy przed portretami carskimi niesionymi na czele manifestacji patriotycznych tłumów. Gdy wieczorem znalazłem się w Klubie Polskim wszystkie rozmowy obracały się koło tego decydującego rzekomo zwycięstwa. Posłowie do Dumy i Rady Państwa obliczali już niemal na dnie a nie tygodnie datę zajęcia Wiednia przez wojska rosyjskie. Siedzący koło mnie przy tym samym stoliku generał Babiński, przerwał im nagle te obliczenia z pewnym zniecierpliwieniem, mówiąc: „Nie tak prędko, nie tak prędko Panowie. Popatrzcie na mapę, tam są jeszcze takie górki — Karpaty”. Istotnie w kilka miesięcy później okazało się jak wielką miał on rację.

Mimo tych nastrojów politycznej góry, wśród społeczeństwa polskiego w Petrogradzie nastroje były dalekie od hysterii braterstwa polsko-rosyjskiego w Warszawie czy Siedlcach. Tamtejsi Polacy za dobrze znali Moskali i dalecy byli od entuzjazmu i zaufania; w ogromnej większości pochodzili z kresów i nie mieli żadnej wątpliwości co do tego, że w razie zwycięstwa rosyjskiego będą one stracone bezpowrotnie i nawet w razie wątpliwego dostrzymania obietnic Mikołaja Mikołajewicza, co do samorządu i kulturalnych swobód narodowych, nie przekroczą one linii Bugu, a co gorsza i Sanu. Prasa rosyjska nie pozostawiała pod tym względem najmniejszej wątpliwości.

Ten brak zaufania do Rosji obejmował nie tylko sfery ulegające wpływom obozu postępowo-niepodległościowego; dał się on wyraźnie zauważyć również w kołach obozu narodowego. Miałem tego najlepszy dowód, gdy po wieczorze spędzonym na rozmowie z kilkoma działaczami Sokoła petrogradzkiego, zostałem przez nich zaproszony jako gość, na ich najbliższe niedzielne zebranie, mimo że w czasie rozmowy nie tylko nie ukrywałem moich poglądów i mego związku z Legionami i Piłsudskim, ale wyraźnie i otwarcie wyłożyłem im historię przedwojennych prac Piłsudskiego i opowiedziałem wszystko co wiedziałem o Legionach i ich pierwszych bojach.

Mój pobyt w Petrogradzie zbliżał się do końca. Udało mi się zlikwidować całkowicie tarcia wewnętrzne wśród Piłsudczyków miejscowych, powstałe głównie między ich socjalistycznym odłamem i całą resztą, stojącą na gruncie narodowym raczej niż klasowym. Nie było to trudne, albowiem chodziło raczej o zagadnienia urządzania przyszłej Polski. Ludzie dali się z łatwością przekonać, że możemy swobodnie odłożyć te rzeczy na później. Pomogło mi bardzo w moich rozmowach to, że przed samym moim wyjazdem z Warszawy, przybyły kurierki peowiackie, które przewiozły cały szereg szczegółowych relacji o akcji wojennej Piłsudskiego, o bojach pod Dęblinem, Uliną Małą, Marcinkowcami i Łowczówkiem, o sławie bojowej, którą zdobyli sobie strzelcy Piłsudskiego i on jako ich dowódca, o rozroście sił strzeleckich z początkowego batalionu w formalnie uznaną brygadę, a naprawdę dywizję, złożoną już z trzech rodzajów broni. Mogłem im podać cały cykl opowieści o bohaterskich epizodach poszczególnych ludzi i oddziałów; dostarczono już nam bowiem w tym czasie wiele z tych rzeczy w druku, opracowanych przez świetne pióra, Struga, Sieroszewskiego, Kadena-Bandrowskiego. Słuchano moich opowiadań i z najgłębszym wzruszeniem i przejęciem.

Zamierzałem właśnie wyjechać do Moskwy, gdy Żuliński przysłał mi rozkaz niezwłocznego powrotu do Warszawy. Opuściłem więc Petrograd i zameldowałem się w Warszawie, jak się okazało w sam czas, albowiem moje zamieszkanie w Carskim Siole było poważną nieostrożnością z punktu widzenia konspiracyjnego. Każdy mianowicie kto się tam meldował podlegał specjalnemu sprawdzaniu jego personalnych dat. W wypadkach nie budzących specjalnego podejrzenia szło to dość powoli, tak więc w mojej gminie rodzinnej zasięgano opinii o mnie dopiero w kilkanaście dni po moim przybyciu do Carskiego Sioła. Wynik badań jednak widocznie zaniepokoił ochronę, ustalono bowiem, że nie stawiałem się w swoim czasie do służby wojskowej i że byłem studentem we Lwowie i Krakowie; na skutek tego, chociaż prawdopodobnie wywiad w Siedlcach mógł ustalić coś więcej, policja zaczęła mnie szukać początkowo w Carskim Siole, na szczęście w kilka dni po moim wyjeździe, następnie zaś u moich rodziców na wsi, oraz u mego teścia w Siedlcach. Ostrzeżony na czas zostałem już w Warszawie, zmieniwszy oczywiście paszport i pozostając od tego czasu już na stopie nielegalnej.

Żuliński był bardzo zadowolony z wyników mojej podróży i mianował mnie komendantem okręgu Warszawa na miejsce Adama Koca, który wyjechał już do brygady okrężną drogą, przekraczając koło polarne. Ten wybitny awans przeraził mnie po prostu. Organizacja nasza w Warszawie była naprawdę dość po-

ważna, podczas gdy mój okręg siedlecki był jednym z najsłabszych na całym terenie. Poza tym stosunki w Siedlcach znałem znakomicie, o warszawskich natomiast wiedziałem bardzo niewiele; orientowałem się, że były dość skomplikowane.

Żuliński na wyrażone przeze mnie obawy odpowiedział, że istotnie tak jest, że zauważył poza tym pewne oznaki rozluźnienia dyscypliny w organizacji warszawskiej i będzie ode mnie wymagał zastosowania silnej ręki; obiecał mi swoją pomoc pod tym względem, oczekując natomiast mojej pomocy w dziedzinie politycznej, w której — według jego zdania — będę sobie na pewno dawał radę lepiej niż on sam. Będę miał zresztą pomoc w osobie mego zastępcy (według nomenklatury P.O.W. — szefa sztabu) Wacława Jędrzejewicza.

Przyjąłem tę nominację z ciężkim sercem, obawiając się że nie podołam zadaniu. Warszawa była podzielona na szereg obwodów, obsadzonych dość mocno, z tym jednak że jeden z komendantów obwodów odznaczał się skłonnością do warcholstwa i wątpliwą dyscypliną. Od wzięcia go w karby Żuliński polecił mi zacząć mą pracę. Gdy na jednej z konspiracyjnych kwater o wyznaczonej godzinie spotkałem się z owym „rebeliantem” i zacząłem z nim rozmowę, zjawił się niespodziewanie Żuliński. Przywitawszy go, wróciłem do rozpoczętej odprawy. Zażądałem raportu od komendanta obwodu, który odpowiedział mi dość ogólnikowym i wyraźnie nieprzygotowanym sprawozdaniem, na co zwróciłem mu w surowym tonie uwagę, że na przyszłość musi mi składać raporty ścisłe i szczegółowe, z dokładnym sprawozdaniem ze swych czynności. Moja uwaga została przyjęta z jakąś wyraźną opieszałością i niechęcią; gdy ze swojej strony dałem mu szereg instrukcji, rozpoczął ze mną dyskusję. Wtedy postawiłem go na baczność, zbeształem ze szczerą pasją i odprawiłem z rozkazem stawienia się za tydzień z należyтым raportem, przestrzegając go, że jeśli jeszcze raz zachowa się w sposób nie odpowiadający ścisłej dyscyplinie wojskowej, komenda obwodu zostanie mu odebrana. Obywatel M., o którym będę mówił jeszcze później, był wyraźnie zaskoczony moją ostrością, zapomniał języka w gębie i odszedł jak zmyty. Muszę powiedzieć, że później nie miałem z nim — przynajmniej pod względem form — żadnych kłopotów.

Gdy zostaliśmy sami z Żulińskim byłem zaskoczony jego reakcją, mianowicie zaczął się śmiać do rozpuku i powiedział mi: „Słuchajcie, Świtek, bardzo dobrze żeście go tak zbesztali za brak dyscypliny i nieregularne zachowanie się, ale przecież Wy sami zachowaliście się jak cywil. Nie wolno Wam było w mojej obecności zacząć inaczej, niż od służbowego zameldowania się mnie i poproszenie o moje pozwolenie na zaczęcie odprawy. Nie

zrobiliście tego i potraktowaliście mnie, jak sędzia gminny niepotrzebnego świadka. Musicie na przyszłość zwracać uwagę na zachowanie elementarnych form wojskowych, ale w zasadzie zrobiliście to o co mi właśnie chodziło”. Tłumaczyłem się Żulińskiemu, przyznając się do winy, że moje przeszkolenie wojskowe jest stosunkowo niewielkie i że nigdy mi się przecież nie zdarzyło, ani w Strzelcu krakowskim ani w Związku Łwowskim, czymkolwiek dowodzić, albo jakkolwiek pełnić władzę. Obiecałem na przyszłość poprawę, ale — o ile pamiętam — nie bardzo tej poprawy dotrzymywałem. Gdy zacząłem brać udział w odprawach Komendy Naczelnej pod przewodnictwem Żulińskiego najspokojniej w świecie zacząłem się zwracać do niego przez „Panie Generale”, zamiast przepisowego „Obywatelu Komendancie”. W pierwszej chwili Żuliński zachnął się na mnie, ale zorientował się, że nie ma w tym z mojej strony żadnej złej woli i że w gruncie rzeczy jestem całkowicie zdyscyplinowany i autorytet jego w pełni uznaję — zaczął więc do mnie mówić „Panie radco” i tak już zostało. Mam wrażenie, że przyczyniło się to bardzo do serdecznego i przyjaznego nastroju, który od tego czasu w Komendzie Naczelnej zapanował.

Stosunki moje z Żulińskim nabrały formy głębokiej zażyłości, spotykaliśmy się często na stopie zupełnie prywatnej i przyjacielskiej, co przynosiło wyraźnie ogromną ulgę Żulińskiemu, który znalazł się w Warszawie na terenie zupełnie sobie obcym i przez długie miesiące nie miał po prostu nikogo z kim by mógł swobodnie mówić i głośno myśleć, nie ukrywając swych trosk i wątpliwości.

Wkrótce po moim przybyciu do Warszawy, miałem możliwość sprawdzenia bezpośrednio, że obawy Żulińskiego dotyczące stosunków w Oddziale Lotnym i nastawienia jego członków wobec Komendy Naczelnej, były słuszne. Gdy bowiem któregoś dnia odwiedziłem Marysia Kościółkowskiego, z którym od czasu wyprawy lubartowskiej byliśmy w coraz serdeczniejszych stosunkach — spotkała mnie sensacyjna niespodzianka. Mianowicie, powiedział mi on, że stosunek Oddziału Lotnego do Żulińskiego jest w wysokim stopniu niechętny, że wprawdzie zarysowała się pewna poprawa w momencie kiedy postanowił on wziąć udział w akcji lubartowskiej, ale jej tragiczne zakończenie pogorszyło sprawę i szereg ludzi ma głęboki żal do Żulińskiego za zbyt bezwzględne potraktowanie Mykity. Krótko mówiąc, Kościółkowski zaproponował mi coś w rodzaju zamachu stanu, opartego na Oddziale Lotnym: złożenie z Komendy Naczelnej Żulińskiego z tym, że Oddział Lotny chciałby widzieć mnie na tym stanowisku. Mimo moich braków w zewnętrznych formach dyscypliny wojskowej,

byłem jednak tak przesiąknięty już rzeczywistą istotą tej dyscypliny, że pomysł Kościątkowskiego wprowadził mnie po prostu w zdumienie. W pierwszej chwili chciałem zareagować bardzo ostro, powiedziałem sobie jednak, że przecież Kościątkowski nie ma za sobą tak jak ja szeregu lat w Z.W.C. i Strzelcu i, co ważniejsze, osoba Piłsudskiego jest dla niego raczej legendą i nie może on mieć w sobie tego bezwzględного uznania dla jego autorytetu, jakie mają ci z nas, którzy wypróbowali na sobie wpływ jego potężnej indywidualności i na podstawie doświadczenia powzięli niezłomne przekonanie o trafności jego decyzji i rozkazów. Dla mnie wówczas krok taki o jakim myślał Kościątkowski, był czymś nie do pomyślenia. Jakiegokolwiek przeciwstawienie się Komendantowi mianowanemu bezpośrednio przez Piłsudskiego, w tych warunkach szczególnie w jakich znajdowaliśmy się, nie nadawało się nawet do dyskusji. Ochłonawszy więc z pierwszego zdumienia, potraktowałem rzecz raczej lekko i humorystycznie, na gruncie jednego naszych wspólnych z Kościątkowskim zamiłowań. Odpowiedziałem mu zacytowaniem słów Wołodyjowskiego czy też Skrzetuskiego do Zagłoby: „A w Waszmości zawsze stary woleńtarz siedzi”. Postarałem się wytłumaczyć mu absolutną niedopuszczalność tego rodzaju pomysłów. Poza wszelkimi innymi argumentami, użyłem jednego który — jak się okazało — najbardziej podziałał. Wtajemniczyłem Kościątkowskiego pod słowem honoru w to, kim jest naprawdę Komendant Naczelny Roman Barski (pseudonim Żulińskiego). Kościątkowski, wychowany na tradycjach 63 roku, znający dobrze historię Powstania (wybrał sobie jako pseudonim nazwisko Rogińskiego (dowódcy oddziałów powstańczych na Podlasiu), wzruszył się po prostu na wiadomość, że Żuliński jest bratankiem członka Rządu Narodowego, powieszonego wraz z Trauguttem. Zarysowałem Kościątkowskiemu znaną mi od lat sześciu postać Żulińskiego w najcieplejszych barwach i postawiłem mu przed oczyma imaginacyjny obraz tego jak przyjąłby Piłsudski wiadomość o buncie przeciwko jednemu z najbardziej zaufanych z jego oficerów i co pomyślałby o tych, którzy to sprawili. Przegadaliśmy z sobą długo w noc. Opuściłem Kościątkowskiego całkowicie przekonanego; z właściwą mu bezpośredniością przyrzekł mi on, że nie tylko porzuca bezpowrotnie wszelką myśl o akcji przeciw Żulińskiemu, ale zrobi wszystko wśród swoich przyjaciół w Oddziale Lotnym, aby uprzedzenia w stosunku do niego wykorzenić. Rzeczywiście też ani w P.O.W., ani później przez lat trzy dziesiątki, nigdy nie zauważyłem u niego najmniejszego odchylenia się od ścisłego posłuszeństwa w stosunku do Piłsudskiego, zaś w stosunku do Żulińskiego, gdy wkrótce potem Kościątkowski zaczął brać udział w pracy Komendy Naczel-

nej i poznał go bliżej, rozwiała się bez śladu dawna nieufność na rzecz nie tylko bezwzględnej dyscypliny, ale i serdecznej przyjaźni. Oczywiście, ani Żulińskiemu ani nikomu innemu, nigdy tej rozmowy z Kościółkowskim nie powtórzyłem.

Tymczasem, przebieg wypadków wojennych zbliżał się do drastycznej zmiany. W maju przyszedł przełom pod Gorlicami. Przełamany front armii rosyjskiej zaczął się zwijać w głębokim odwrocie strategicznym; wkrótce ruszyły naprzód oddziały strzeleckie znad Nidy, biorąc udział w szeregu walk i posuwając się przez całe południe Kongresówki, aż na brzegi Styru, gdzie się nowy front stopniowo ustabilizował. W związku z tymi ruchami otrzymaliśmy znowu w Warszawie cały szereg wiadomości z tamtej strony frontu.

Nastroje w Warszawie i w zaborze rosyjskim w ogóle zaczęły się zmieniać na nieco przytomniejsze i lepsze, jeszcze przed przełomem gorlickim. Wizja Moskali w Krakowie nie była jednak ponętna dla serc polskich, niezależnie od wszelkich rozumowań politycznych. Otwarte i entuzjastyczne głosy prasy rosyjskiej wszystkich odcieni, traktujące Małopolskę Wschodnią aż po San jako ziemię czysto rosyjską, trudne były do przełknięcia. Polityka Narodowej Demokracji, ze Stanisławem Grabskim na czele we Lwowie, budziła niesmak i największe wątpliwości oraz obawy nawet wśród tych, którzy początkowo zachwycali się perspektywami roztoczonymi w październikowej odezwie Mikołaja Mikołajewicza. Dusząca atmosfera, w której P.O.W. pracowała dotychczas w przymusie konspirowania się, nie tylko przed Moskalami, lecz przed własnym społeczeństwem, uległa znacznej zmianie. Znajdowaliśmy coraz więcej zrozumienia tam nawet, gdzie jeszcze nie znaleźliśmy akceptacji. Szeregi organizacji rosły licznie, łatwiej było o pomoc. Napływające coraz częściej z drugiej strony frontu wiadomości o Legionach, o tym że jest jakieś wojsko polskie, walczące pod własnym dowództwem i własnymi sztandarami, zyskujące sobie sławę wojenną, trafiały do sentymentów patriotycznych; coraz częściej rodziny Legionistów, którzy zaciągnęli się w szeregi Piłsudskiego pod groźbą klątwy rodzicielskiej i których postępek był starannie ukrywany, zaczęły się przyznawać z odcieniem dumy do tego faktu i szukać kontaktu z P.O.W.

Przerwanie frontu pod Gorlicami w maju 1915 roku, oczywiście klęska armii rosyjskiej i jej odwrót z ziem polskich wpłynął na coraz radykalniejszą zmianę poglądów; ludzie przyjmowali z ulgą tę zmianę sytuacji, w której przestały już Wawelowi grozić armaty rosyjskie. Wkrótce przeniknęły wiadomości o bojach legionowych w Lubelskim, o wejściu ułanów Beliny do Lublina. Z dru-

giej strony zastosowana w czasie odwrotu przez dowództwo rosyjskie taktyka pustoszenia opuszczanych terenów, palenia stert i stodół, wywożenia urządzeń i szlachetnych metali z fabryk, cukrowni i gorzelni, zaś wkrótce potem próby przymusowego usuwania ludności i pędzenia jej w głąb Rosji przed cofającymi się armiami rosyjskimi, wywołały podrażnienie, rozgoryczenie i gwałtowne załamanie się sentymentów pro-rosyjskich i bratania się z wojskiem moskiewskim.

Nasz Oddział Lotny, który w czasie poprzednich akcji musiał ciągle brać pod uwagę niebezpieczeństwo interwencji ludności cywilnej, zaczął spotykać się z jej pomocą i przychylnym nastawieniem, gdy dowiadywali się, że akcja dokonywana jest z ramienia wojsk polskich.

Przebywałem już stale w Warszawie. Żuliński włączył mnie do grupy oficerów, którzy tworzyli jego sztab, jako Komendanta Naczelnego P.O.W. Skład jego był nieliczny: Konrad Libicki, ja, Tomaszewski-Wysocki, Marian Kościalkowski, reprezentujący Oddział Lotny. Pierwsze starszeństwo po Żulińskim miał Konrad Libicki, następnie szedłem ja, którego Żuliński uważał za swego politycznego doradcę. Przyszło kilka miesięcy gorączkowego oczekiwania na zajęcie Warszawy, co, jak orientowaliśmy się, będzie równoznaczne z opuszczeniem całej Kongresówki przez armię rosyjską, co najmniej po Bug, jeśli nie po Berezynę. Byliśmy wszyscy tak strasznie zmęczeni naszą konspiracją, niepopularną wśród własnego narodu, i tak spragnieni wejścia do szeregów, otwartej walki w mundurach, że oczekiwaliśmy tego momentu jako decydującego odwrócenia karty, jako nowej beztroskiej epoki. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej skomplikowana; mieliśmy się wkrótce przekonać że stoją przed nami tylko nowe komplikacje, nowe niewiadome i cięższe jeszcze przejścia niż dotychczas, chociaż w walce z innym już wrogiem.

Gdy na skrzydle południowym walki toczyły się szybciej, odwrót rosyjski szedł w gwałtowniejszym tempie — tenże odwrót na północ od Pilicy szedł znacznie wolniej i spotykał się ze znacznie cięższym oporem rosyjskim. Już w lipcu jednak zaczęliśmy słyszeć nocami w Warszawie pomruk ognia artyleryjskiego; ze szczytu wysokich domów widać było na horyzoncie zachodnim dymy pożarów, coraz częściej przybywały do Warszawy pociągi przepełnione uchodźcami z terytoriów zajmowanych przez Niemców. Nasze obserwacje notowały dzień po dniu przepływające transporty ewakuacyjne, których rodzaj świadczył o tym że odwrót rosyjski nie zatrzyma się na Wisle, lecz pójdzie znacznie dalej. Rozeszły się wiadomości potwierdzane przez to co się działo

na południowej części frontu, że cofający się Moskale jeśli nawet nie będą próbować pełnej ewakuacji ludności, co — niezależnie od względów politycznych — nie było do przeprowadzenia z powodu szczupłości sieci kolejowej i szosowej przeciążonej już i tak odwrotowym ruchem wojsk i taborów oraz zaopatrywaniem walczącej armii — spróbują jednak w ostatnim momencie wywiezienia szeregu roczników mężczyzn jeszcze nie zmobilizowanych. Na taki wypadek Komenda Naczelna P.O.W. zdecydowała pokuszenie się o poważną dywersję w samej Warszawie i rozpoczęcie w szeregu punktów walki, która, jeśli będzie to już w ostatnim etapie odwrotu, może tak zakłócić jego porządek że Moskale będą musieli zaniechać ewakuacji poborowych. Braliśmy pod uwagę to, że w ostatniej fazie odwrotu, który miał się przecisnąć przez wąskie szyje mostów na Wiśle, czas będzie liczony na godziny i na minuty pod groźbą odcięcia i wzięcia do niewoli jednostek osłaniających odwrót; że zagrają jak zawsze w takich wypadkach i nerwy w dowództwie rosyjskim; że zatem za cenę pewnych strat — może nawet poważnych jak na nasze siły — ewakuację uniemożliwimy.

Decyzja ta spadła na mnie jako na Komendanta Okręgu Warszawa poważnym ciężarem. Zaledwie kilkuset zorganizowanych ludzi mieliśmy w Warszawie; jak zawsze musieliśmy liczyć na to, że w określonym czasie i na wyznaczonych miejscach tylko część ich da się zmobilizować. Jako broń mieliśmy wprawdzie dość karabinów zebranych na polach bitew, sporo rewolwerów i kilka dziesiątków skonstruowanych własnymi środkami bomb, ale mogło to oczywiście wystarczyć zaledwie na krótką walkę na najbliższą odległość. Przystudiowaliśmy uważnie drogi i ulice, którymi każdej nocy przesunął się już przez Warszawę rosyjski ruch odwrotowy. Dla naszej dywersji musieliśmy wybrać punkty leżące przy tych właśnie ulicach, przez obsadzenie których i nagłe otwarcie ognia wśród nocy można by było wywołać alarm i zamieszanie oraz łatwe w tych warunkach pozory, że oddziały niemieckie przeniknęły już do miasta i odcinają przejście przez mosty. W tym celu też wybraliśmy na tych szlakach szereg domów niezamieszkałych, będących jeszcze w budowie i otoczonych drewnianymi rusztowaniami i postanowiliśmy w tych miejscach wznieść pożary, potęgując efekt przez użycie specjalnych środków chemicznych oraz nafty i benzyny. Operacja ta była niewątpliwie wysoce ryzykowna. Główne niebezpieczeństwo polegało na tym, aby nie omylić się w wyborze czasu — ostatniej nocy odwrotu mieliśmy ogromne szanse wywołania paniki i osiągnięcia naszego celu. Gdybyśmy się jednak omylili o jedną noc tylko, nasze grupy dywersyjne mogły być otoczone i zniszczone doszczętnie.

Muszę się jednak przyznać, że mój instynkt szeptał mi — jak się okazało trafnie — że do tej potrzeby nie dojdzie, że Moskale mają istotnie zbyt wiele trudności z przepuszczeniem odwrotu i swych ciężkich i długich konnych taborów przez wąski przelot Warszawy, aby mogli obarczyć się jeszcze ewakuacją poborowych. Wymagałoby to zresztą uprzednich przygotowań, na które bacznie zważaliśmy i których nie było. Wszystko jednak zostało zrobione i przygotowane. Wywiad nasz określił bez błędu noc z 4-go na 5-ty sierpnia jako termin przejścia ostatnich sił rosyjskich przez Warszawę. Na 24 godziny przedtem Żuliński, ściśle wykonując rozkaz Piłsudskiego zlecający mu do ostatniej chwili pracę na tyłach armii rosyjskiej, opuścił Warszawę z tym, że będzie się przesuwiał na wschód dopóki nie stwierdzi ponad wszelką wątpliwość przesunięcia się odwrotu rosyjskiego tak daleko na wschód, że niemal całość podległej mu organizacji znajdzie się już po drugiej stronie frontu. Na ostatniej odprawie Komendy Naczelnej zwróciłem się do Żulińskiego z tym, żeby wobec nieokreślonego czasu jego nieobecności i możliwości strat w walkach jeżeli będziemy musieli je rozpocząć, wyznaczyć kolejność w jego zastępstwie. Uznał to za słuszne i potrzebne. Wyznaczył na swego bezpośredniego zastępcę Konrada Libickiego, potem mnie, potem Kościłkowskiego, a następnie Wacława Jędrzejewicza i Wysockiego-Tomaszewskiego. Muszę tu nadmienić, że już poprzednio w czerwcu 1915 roku, Piłsudski po otrzymaniu raportów Żulińskiego i na jego wniosek, przysłał przez kurierkę nominację czterech wyżej wymienionych oficerów P.O.W. na podporuczników I. Brygad. Było to dla nas niesłychaną niespodzianką, przyjętą z niezmierną radością; nigdy w życiu żadna nominacja nie sprawiła mi tyle radości i nie napełniła taką dumą, jak ta właśnie.

Libicki i ja spędziliśmy ostatnią noc w Warszawie w jednym z domów przeznaczonych na akcję dywersyjną; był to dom Banku Współdzielczego na ulicy Jasnej, wysoki gmach wybudowany już do końca, włączniew z potężnymi orłami zdobiącymi jego szczyt, ale jeszcze nie wykończony i osłonięty siecią rusztowań od zewnątrz i od wewnątrz. Panował nad jedną z arterii, prowadzących do mostów na Wiśle, przez którą przesuwali się noc w noc kolumny rosyjskie. Mieliśmy tam oddział złożony z kilkunastu dobranych Peowiaków i zorganizowano łącznie ze wszystkimi innymi ewentualnymi ośrodkami dywersji, dowodzonymi przez komendantów obwodów. W ostatniej chwili, około godziny 10-tej wieczorem, gdy udawałem się na tę placówkę, zdarzył mi się przypadek, który mógł się źle skończyć. Wychodząc z domu, ubrałem się już o ile możności po wojskowemu w spodnie i kurtkę kroju strzeleckiego i podobnego materiału i buty wojskowe;

na to jednak naciągnąłem zwyczajne cywilne spodnie i lekki płaszcz zapięty pod szyję. Granatowa maciejówka, tak popularna na przedmieściach Warszawy, nie zwracała uwagi. Licząc się jednak z zatrzymaniem przez jakiś patrol na przepełnionych już w tym momencie wojskiem ulicach, co musiałyby spowodować konieczność przebijania się z bronią w rękę, umieściłem swoje dwa brauningi i kilkaset sztuk amunicji do nich w kieszeniach spodni cywilnych, gdyż kieszenie płaszcza były za słabe i byłyby zanadto uderzająco wypchane. Gdy na jednym ze skrzyżowań czekałem na lukę w maszerującej kolumnie rosyjskiej, aby przejść przez ulicę, guziki od spodni nie wytrzymały obciążenia, moje cywilne spodnie opadły z trzaskiem na chodnik zanim zdążyłem je podtrzymać i wysypało się z nich sporo amunicji, ku niesłychanemu zdumieniu przyglądających się przechodniów. Na szczęście nie zwróciło to uwagi ani maszerującego wojska, ani stojącego na skrzyżowaniu żandarma, który wskazywał drogę kolumnom. Zdążyłem więc zgarnąć co mogłem do kieszeni płaszcza i trzymając oburącz spodnie, przebiegłem kilkanaście kroków i we wnęce bramy jakiegoś domu przeładowałem pistolety i naboje do wojskowych spodni, zewnętrzne cywilne umocowując jakoś agrafkami. Oczy wszystkich obecnych na ulicy były na szczęście zwrócone na sensacyjne widowisko uchodzącego wojska i moje podejrzone manewry nie zostały dostrzeżone.

Krótką noc sierpniową spędziłem wraz z Libickim na szczycie naszej wojennej kwatery, przeważnie stojąc na skrzydłach zdobiących je orłów. Łącznicy donosili ze wszystkich kolejnych punktów, że odwrót moskiewski odbywa się w ciszy i spokoju i nie ma żadnych prób ewakuacji ludności cywilnej. Z nadejściem wczesnego świtu ulice koło nas opustoszały, najwidoczniej ariergardy na tej trasie już przeszły. Ewentualność walki nie nastąpiła; mieliśmy już tylko zagadnienie zmobilizowania całości organizacji warszawskiej, skupienia jej w odpowiednim miejscu i nawiązania kontaktu z przednimi strażami niemieckimi, których oczekiwaliśmy lada chwila, spodziewając się że jeśli nawet nie wkroczą do Warszawy jakiś oddział legionowy, to znajdzie się na pewno jakiś oficer łącznikowy, który załatwi sprawę naszej zbrojnej obecności z władzami niemieckimi oraz przekaże nam rozkazy od Komendanta. Punkty mobilizacyjne poszczególnych obwodów P.O.W. w Warszawie były z góry wyznaczone. Libicki, zastępujący Żulińskiego, udał się na inspekcję niektórych z tych punktów, na inne kierując mnie. Zrzuciłem moje cywilne ubranie i nadmierny już teraz zapas amunicji, przełożyłem jeden z moich brauningów do wojskowego futerału na pasie, przypiąłem do maciejówki legionowego orzełka, jednego spośród kilku przemy-

conych przez nasze kurierki i ruszyłem pustymi ulicami w kierunku Placu Zamkowego do najbliższego punktu zbornego. Po chwili wstrząsnął miastem potężny huk od strony Mostu Poniatowskiego. Gdy dochodziłem do końca Krakowskiego Przedmieścia, jeszcze potężniejszy huk rozległ się od Mostu Kierberdzia, a w chwilę, potem od Mostu Kolejowego przy Cytadeli.

W kilka godzin później sprawdziliśmy pomyślny przebieg mobilizacji organizacji warszawskiej w punktach zbornych i postanowiliśmy skoncentrować nasze siły w jednym z gmachów w śródmieściu. Wybór nasz padł na Pałac Namiestnikowski na Krakowskim Przedmieściu, późniejszą siedzibę Prezydium Rady Ministrów. Oczywiście, wszystkie lokale zajęte poprzednio przez urzędy rosyjskie były już ewakuowane i puste. Zarządziliśmy przemarsz wszystkich naszych oddziałów, które ulokowały się w lewym skrzydle tego gmachu. Około godziny 8-mej czy 9-tej rano otrzymaliśmy meldunek, że oddział kawalerii niemieckiej osiągnął Plac Teatralny i że kilku wyższych oficerów znajduje się w Magistracie Warszawskim. Udaliśmy się tam wraz z Libickim w naszych improwizowanych mundurach, z szablami przy boku. Na ulicach obejmowała już służbę zorganizowana w ostatnich dniach za zezwoleniem władz rosyjskich Milicja Obywatelska. W budynku Magistratu zbierał się właśnie Komitet Obywatelski, któremu w ostatniej chwili przekazana została władza porządkowa w mieście przez ustępujących Moskali. Na czele tego komitetu stał książę Zdzisław Lubomirski. W jednej z sal zobaczyliśmy starszego pana w mundurze majora gwardii pruskiej, który z ożywieniem mówił po polsku i dopytywał się niecierpliwie o księcia Lubomirskiego. Powiedziano mu, że książę jest już w drodze i za chwilę przybędzie. Miał przy sobie kilku wojskowych niemieckich, nie dojrzelśmy jednak pośród nich oczekiwanego przez nas oficera łącznikowego Legionów. Ktoś nas poinformował, że ów major pruski to hrabia Hutten-Czapski ze sztabu króla bawarskiego, dowódcy armii zajmującej Warszawę. Libicki i ja podeszliśmy do niego, przedstawiliśmy się jako oficerowie znajdującego się w Warszawie oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej, podlegającego rozkazom Komendanta J. Piłsudskiego. Hr. Hutten-Czapski powitał nas wręcz nieprzychylnie. Zwrócił nam cierpką uwagę, że nie zna mundurów które mamy na sobie, zaś na nasze zapytanie jak możemy nawiązać łączność z naszym dowódcą odpowiedział: „pan Piłsudski jest dla mnie takim samym austriackim generałem, jak każdy inny” i że nic więcej nam powiedzieć nie może. Na nasz meldunek, że mamy zmobilizowany oddział wojskowy i chcielibyśmy się porozumieć co do zakwaterowania go i uznania przez wkraczające do Warszawy wojska — odpowiedział nam

niecierpliwie, żebyśmy się z tym zwrócili do kapitana przedniej straży Hanta, który jest w Bristolu zajęty przez sztab armii bawarskiej. W tej chwili przybył książę Lubomirski, z którym Hutten-Czapski przywitał się niezmiernie uprzejmie, a nawet wręcz serdecznie i rozpoczął rozmowę o warunkach stawianych przez armię okupacyjną i jej wymaganiach w stosunku do Komitetu Obywatelskiego Miasta Warszawy. Udaliśmy się więc do Bristolu, gdzie wskazano nam owego kapitana Hanta, który był oczywiście oficerem wywiadu. Ten był najwidoczniej poinformowany o możliwości spotkania się z nami i oświadczył, że szef sztabu króla bawarskiego, płk von Massow, w tej chwili nas przyjmie. Płk Massow, elegancki oficer pruski, przyjął nas niezmiernie kurtuazyjnie, rozmawiał z nami po francusku, udzielił wszystkich bieżących wiadomości z frontu, obiecał wszelką pomoc w porozumieniu się z naszym dowódcą i obiecał wydać temuż kapitanowi Hantowi polecenie załatwienia wszystkich potrzebnych formalności. Gdy wędrowaliśmy po korytarzach hotelowych pełnych oficerów i żołnierzy, zajętych rozlokowaniem sztabu, nie mogliśmy zrazu znaleźć tego kapitana, którego w dodatku nazywaliśmy — źle dosłyszawszy jego nazwisko — Hundem. Ale w pewnym momencie spotkaliśmy znowu hr. Hutten-Czapskiego, który musiał już tymczasem otrzymać instrukcję, zrobił się niezmiernie grzeczny i usłużny, przestrzegł nas żebyśmy broń Boże Hanta „Hundem” nie nazywali i zaprowadził nas do jego gabinetu. Gdy, załatwiwszy swe sprawy, wychodziliśmy z hotelu, w hallu zastaliśmy grupę wyższych oficerów i generałów, otaczających jakąś naczelną oczywiście postać. Był to, jak się potem okazało, król bawarski. Zwrócił na nas uwagę, zawołał do siebie odprowadzającego nas kapitana, zamienił z nim parę słów i po chwili zostaliśmy mu przedstawieni i usłyszeliśmy kilka uprzejmych komplementów pod adresem Legionów i Brygadiera Piłsudskiego.

Pierwszy dzień w wolnej od Moskali Warszawie był niezmiernie dla nas kłopotliwy, dość nieopatrznie bowiem zakwaterowaliśmy się w Pałacu Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu. Linia frontu była jeszcze na Wiśle, tylne stráže rosyjskie zajmowały jeszcze Pragę, przez Krakowskie Przedmieście przeciągały wciąż nowe oddziały niemieckie; patrole krążące ze zdumieniem patrzyły na oddział nieznanego im wojska, na pół lub wcale nie umundurowanego, a zakwaterowanego o kilkaset kroków od linii frontu. Coraz jakiś oficer niemiecki wkraczał, by sprawdzić co to jest takiego, zaś nasi chłopcy trzymający wartę krzyżowali przed nim karabiny i z gorliwością neofitów bronili wstępu do gmachu. Kilkakrotnie doszło do ostrej awan-

tury, z trudem łagodzonej przez niewielu z naszych podoficerów, znających język niemiecki i odwołujących się w razie potrzeby do pobliskiej niemieckiej komendy placu, która była poinformowana i dawała należyte wyjaśnienia zaniepokojonym oficerom i patrolom. Trudno zresztą dziwić się gdy jakiś oficer pruski, butny jak zawsze i upojony momentem zwycięstwa tej miary co osiągnięcie Wisły i zajęcie Warszawy, wpadał w pasję, gdy jakieś uzbrojone cywile w zdobytym mieście nie wpuszczały go do gmachu, na co warty niemieckie nie miałyby prawa sobie pozwolić. Przypuszczam, że musieli oni otrzymać specjalne instrukcje przed wejściem do Warszawy, zmierzające do tego, by się kaliskie wypadki nie powtórzyły. Przypuszczenie to potwierdza całokształt zachowania się oddziałów niemieckich w Warszawie, ich niesłychana ostrożność i po prostu kurtuazja w stosunku do ludności.

Gdy późnym wieczorem tego dnia siedziałem we frontowej sali na parterze wraz z kilkoma z moich ludzi, odbierając raporty o przebiegu dnia, przed oknami od Krakowskiego Przedmieścia opustoszałego już o tej porze, zatrzymał się patrol niemiecki pod dowództwem feldfebla, który przez pewien czas przypatrywał się przez okno temu co się wewnątrz dzieje. Znad Wisły dochodziły echa nieregularnej strzelaniny karabinowej przez rzekę. Po chwili feldfelbel dał mi znak, żeby wyjść do niego; odpowiedziałem gestem zapraszającym go do środka, jednocześnie posyłając jednego z moich ludzi z rozkazem do warty, aby go wpuszczono. Miałem przy sobie kogoś mówiącego po niemiecku i gdy Niemiec ów wszedł do pokoju, prosząc o wyjaśnienie co to za wojsko się tu znajduje i z jakiego tytułu — mogłem go poinformować. Był to inteligent, student uniwersytetu, zachowywał się uprzejmie, niemniej jednak rozejrzawszy się dokoła i zobaczywszy herbatę na stole, przymówił się o poczęstowanie go herbatą. Tymczasem jednak wydał po cichu jakieś instrukcje jednemu ze swoich ludzi, który natychmiast odszedł, sam zaś zaczął z nami rozmowę, opowiadając o kolegach Polakach, których miał na uniwersytecie w Lipsku. Po chwili otrzymałem meldunek, że wszystkie drzwi i okna zostały przez Niemców obsadzone, zaś jeden z nich odszedł w kierunku komendy placu. Po upływie kwadransa, czy dwudziestu minut łącznik ów powrócił, nasz „gość”, przeprosił mnie uprzejmie, odebrał od niego meldunek na boku i dopiero wtedy ze szczerem już uśmiechem poprosił mnie o wybaczenie za najście, tłumacząc, że przecież jako wojskowy muszę rozumieć jak dalece był on zaskoczony widokiem nieznanego mu siły zbrojnej tuż na tyłach frontu i że obowiązkiem jego było fakt ten zameldować i uzyskać instrukcje. Wkrótce po odejściu tego patrolu zameldowano mi, że komenda miasta wystawiła koło wej-

cia do naszej kwatery posterunek, który udzielał wyjaśnień innym przechodzącym patrolom.

Następnego dnia rano, Libicki i ja otrzymaliśmy ponowne zaproszenie do pułkownika Massowa, który zwrócił nam uwagę, że w związku z planem zakwaterowania w Warszawie, gmach Pałacu Namiestnikowskiego jest przeznaczony dla jednej z poważnych instytucji niemieckich i byłoby rzeczą prawdopodobnie niewygodną dla nas zajmować część tego gmachu, gdy reszta będzie zajęta przez nich. Zaproponował nam więc abyśmy wybrali sobie na rozłożonej mapie Warszawy jakiś gmach mniejszy, który by mógł być oddany całkowicie do naszej dyspozycji, i gdzie nie bylibyśmy niepokojeni, tak jak to miało miejsce w ciągu ostatniej doby. Wybraliśmy narożny dom na ulicy Wielkiej, będący poprzednio kwaterą generała Uthoffa, szefa żandarmerii rosyjskiej na Generał-gubernatorstwo warszawskie. Jednocześnie Von Massow udzielił nam znowu bieżących informacji o stanie rzeczy na froncie i zawiadomił, że lada chwila mają się zjawić w Warszawie przedstawiciele Komendy Legionów z informacjami i instrukcjami, dotyczącymi naszego oddziału. Pomaszerowaliśmy tedy na nowe miejsce postoju. Gmach dostatecznie dla nas obszerny, położony był na uboczu, gdzie mieliśmy już zupełny spokój i swobodę.

Wiadomość o przybyciu oficerów z Komendy Legionów nieco nas zaniepokoiła, albowiem wiedzieliśmy już dość dużo o stosunkach między tą komendą, a I. Brygadą i obawialiśmy się, ewentualnego konfliktu wobec naszej decyzji, że rozkazy będziemy przyjmować tylko od Piłsudskiego.

Tegoż dnia doczekaliśmy się nareszcie spodziewanych łączników z I. Brygady. Byli nimi Wacław Sieroszewski w mundurze wachmistrza ułanów Beliny i Medard Downarowicz, ubrany po cywilnemu, mnie osobiście znany ze słyszenia od dawna jako jeden z najwybitniejszych bojowców P.P.S. z 1905 roku. Przybyli oni pośpiesznie, chcąc uprzedzić Komendę Legionów.

Byliśmy rzeczywiście wzruszeni tym spotkaniem i mimo uprzedzenia nas że Sieroszewski jest tylko wachmistrem, a Downarowicz szeregowcem I. Brygady, oświadczyliśmy im, że odkładamy na bok nasze szarże podporucznikowskie wobec ich autorytetu jako emisariuszy Komendanta. Spotkała nas jednak niespodzianka, której bylibyśmy uniknęli, gdybyśmy zamiast pozwolić im mówić wprost do naszych Peowiaków, przeprowadzili z nimi przedtem rozmowę i ustalili wzajemnie sposób postępowania.

Sieroszewski i Downarowicz przekroczyli szczelną zaporę, którą tworzył od początku wojny front walczących armii i nie

zorientowali się, że znaleźli się w innym świecie, w którym inne zagadnienia dominowały i odmienny był front polityczny. Byli pochłonięci i rozgorączkowani zagadnieniami, które nam, kierownikom P.O.W., były zaledwie z grubsza znane, zaś szeregowym Peowiakom niezbrane zupełnie. Oni, po tamtej stronie frontu, prowadzili nieustanną i coraz bardziej zaostrzającą się walkę z N.K.N.em i jego departamentem wojskowym, przesiąkniętym lojalizmem w stosunku do Austriaków, byli zaangażowani po uszy w akcję prowadzoną przez Piłsudskiego o odrębność i możliwie największą niezależność polskich formacji wojskowych. My, po rosyjskiej stronie frontu, mieliśmy do czynienia przez cały czas z rusofilskim nastawieniem opanowanego przez endecję społeczeństwa, szerzyliśmy hasło samodzielnego polskiego czynu wojennego, musieliśmy się na każdym kroku przeciwstawiać oczernianiu Piłsudskiego i Legionów, traktowaniu nas jako „pruskich pachółków” i w najlepszym razie szkodliwych szaleńców, jeśli nie zdrajców narodu. Musieliśmy więc w naszych szeregach podtrzymywać aż do przesady entuzjazm dla Legionów, jako wojska polskiego. Tymczasem Sieroszewski i Downarowicz, zabrawszy z kolei głos, wypowiedzieli namiętne przemówienia, których treścią było to, że żadnego wojska polskiego nie ma, że Austriacy chcą mieć z Legionów swoje powolne narzędzie, że N.K.N. ich w tym popiera, że Piłsudski i I. Brygada w tragicznym odosobnieniu prowadzą swą walkę i spotykają się na każdym kroku z szykanami i prześladowaniami. Że — wreszcie — w tej sytuacji nie trzeba iść do Legionów.

Wszystko to było prawdą, ale zostało podane naszym ludziom niespodziewanie i w sposób w najwyższym stopniu niezręczny i oszałamiający. Widzieliśmy, jak ludzie w szeregach mienia się na twarzy, jakim zdumieniem i wstrząsem są dla nich te rewelacje przychodzące w chwili, kiedy zdawało im się że nadszedł wymarzony przez nich moment ruszenia nareszcie do otwartej walki, w upragnionych mundurach, z bronią w rękę, pod polskimi sztandarami...

Gdy później przystąpiliśmy do rozmowy poufnej z Sieroszewskim i Downarowiczem, podali nam ostatnie wiadomości z przebiegu zdarzeń po tamtej stronie frontu. Dowiedzieliśmy się od nich o wszystkich trudnościach przez jakie przejść musiał Piłsudski, o zmuszeniu Strzelców do przysięgi, o odmowie nowoczesnej broni i amunicji, o usiłowaniu sprowadzenia do minimum sił jemu podległych; o tym jak Piłsudski dostał początkowo tylko jeden pułk pod swoje dowództwo, jak z trudem i *ex post* zostało zaakceptowane to, że rozwinął ten pułk w brygadę; jak w dalszym ciągu Piłsudski „nielegalnie” tworzy z tej brygady korpus złożo-

ny z trzech rodzajów broni; jak I. Brygada szykanowana jest na każdym kroku przez złożoną z austriackich oficerów Komendę Legionów, jak departament wojskowy N.K.N., zamiast walczyć o samodzielność polskich formacji i osłaniać Piłsudskiego, łączy się raczej w tej akcji. Powiedzieli nam wreszcie, że Piłsudski wysunął żądanie wyraźnego określenia stosunku państw centralnych do sprawy niepodległości Polski z chwilą, gdy Warszawa i Królestwo Kongresowe zostaną zajęte przez ich armię i że zagrożił powstrzymaniem dalszego werbunku do Legionów na terenie zaboru rosyjskiego, jeśli to stanowisko nie będzie niezwłocznie wyraźnie określone. Przestrzegli nas też, że już od wiosny tego roku Austriacy i Komenda Legionów — aby ograniczyć rozrost I. Brygady — stworzyli nową brygadę trzecią, do której kierują nie tylko nowych ochotników, choćby nawet zgłaszali się oni specjalnie do I. Brygady, ale nawet chorych i rannych żołnierzy I. Brygady po wyzdrowieniu kierują wbrew ich woli do drugiej i trzeciej brygady. Z tego ostatniego wynikała dla nas, P.O.W., nowa trudność: jeżeli zgłosimy nasze zmobilizowane siły w normalnej drodze werbunku ochotniczego będą one prawdopodobnie skierowane nie do oddziałów Piłsudskiego, lecz do drugiej i trzeciej brygady. Trzeba więc naszych ludzi skierować wprost na front, do I. Brygady, a zatem trzeba ich wyekwipować, umundurować i obuć własnymi środkami i jako gotowy już oddział na front „przemycić”.

Zwróciliśmy się o pomoc do naszych sympatyków w Warszawie, do przyjaciół z obozu niepodległościowego i do rodzin peowiackich. Spadł na nich już i tak ciężar niemały, nie chcieliśmy bowiem ze zrozumiałych względów nic brać od Niemców i zorganizowaliśmy naszą własną intendenturę, która karmiła nasz batalion. Doszedł do tego jeszcze kosztowny ciężar umundurowania i obucia kilkuset ludzi. Z niezwykłym poświęceniem i ofiarnością szczupły stosunkowo obóz niepodległościowy Warszawy wziął na siebie to zadanie i wykonał je.

Do wszystkich naszych kłopotów doszedł jeszcze inny. Mianowicie, na skutek przemówienia emisariuszy, szereg żołnierzy z batalionu warszawskiego P.O.W., których przygotowywaliśmy do wymarszu na front, zaczął zgłaszać się do mnie jako Komendanta Okręgu do raportu, meldując że w związku z niewyjaśnioną sytuacją Legionów i niepewnością co do polskiego ich charakteru, proszą o tymczasowy urlop aż do wyjaśnienia sytuacji. Byłem w trudnym położeniu, gdyż cytowali w swych meldunkach autentyczne słowa Sieroszewskiego i Downarowicza. Odmawiałem im wprowadzić urlopu, ale trudno mi było dać definitywną decyzję; zwlekałem więc do powrotu Żulińskiego. Nastąpił on po kilku

dniach. Żuliński cofał się etapami w miarę odwrotu armii rosyjskiej, aż do Niemna. Po czym, stwierdziwszy z całą pewnością że odwrót idzie dalej i że olbrzymia większość podległej mu sieci organizacyjnej została już po drugiej stronie frontu, powrócił szczęśliwie do do Warszawy, i z nieopisaną radością przywdział mundur i przypasał szablę. Wydał rozkaz rozwiązujący P.O.W. i kierujący wszystkich jej członków do szeregów I. Brygady. Minęło jednak dni niewiele, gdy otrzymaliśmy wreszcie dokładne instrukcje Komendanta, polecające rozkaz ten cofnąć, P.O.W. utrzymać w dalszym ciągu, zaś do szeregów skierować tylko tych członków organizacji, których nastawienie psychiczne wyklucza po prostu trzymanie ich dłużej w konspiracji i powściągnięcie od udania się na front. Jednocześnie z tym, departament wojskowy N.K.N., z Władysławem Sikorskim i Stanisławem Kotem na czele, zapowiedział organizację werbunku do Legionów na całym okupowanym obszarze zaboru rosyjskiego. Nastąpił otwarty konflikt między Piłsudskim a N.K.N.'em i Komendą Legionów.

(c.d.n.)

Bogusław MIEDZIŃSKI

Józef JAKLICZ

ŻOŁNIERZ 2-giej RZECZPOSPOLITEJ

Życiorys gen. Józefa Jaklicza jest w pewnym sensie kłamrą obejmującą historię walk o niepodległość: poczynszy od 1919 roku, kiedy walczy jako młody oficer sformowany przez Legiony Piłsudskiego, aż do kampanii wrześniowej, gdzie był zastępcą Szefa Sztabu do spraw operacyjnych. Listy do żony, p. Stanisławy Jakliczowej, pisane z frontu w latach 1919-1920, świetnie oddają ówczesny klimat walk powstającego państwa, jakże zalatujący „Trylogią” Sienkiewicza i Żeromskim. Po klęsce wrześniowej gen. Jaklicz — którego krótkowzroczna polityka gen. Sikorskiego nie tylko odsunęła od czynnej służby wojskowej, ale nie chciała wykorzystać jego doświadczeń i wniosków z kampanii — spisał z pamięci, w najbardziej niesprzyjających warunkach, odcięty od materiałów i dokumentów, zarówno plan operacyjny Naczelnego Wodza, jak i chronologię kampanii, dając swoje wnioski i oceny. Notatki, spisane w dwóch zeszytach brulionowych, których Generał

nie miał czasu ani możliwości przepracować, zostawił żonie wraz ze swymi papierami. Zamieszczamy je mimo ich szkicowej formy uważając, że są one cennym przyczynkiem historycznym.

Pani Stanisławie Jakliczowej Redakcja dziękuje za udostępnienie tych materiałów, a przede wszystkim za żmudne opracowanie wyciągów z listów Generała pisanych do niej z frontu w latach 1919-1920.

LISTY DO ŻONY

W polu, Bartatów 15. 1. 1919

Różnorodne są przeżycia nasze i niejednokrotnie tak silne, że w niektórych chwilach przetrzymanie nerwowe wydaje się niemożliwe. Jednak gdy opanowaniem, siłą woli i inteligencją zawładniemy nad narzuconą nam sytuacją, wtedy wychodzimy z niej silniejsi i upewnieni w swojej mocy.

Nabieram wielkiego zamięłowania do prowadzenia wojny podjazdowej, tej wzorowej partyzantki, jaką obecnie prowadzimy. Zmanierowana ona nieco na skutek działań operacyjnych zakreślonych na zbyt wielką skalę przez nasze dowództwa i wielu nawet dość tęgich oficerów, którzy zapomnieć nie mogą, iż brali udział w wojnie europejskiej prowadzonej na wzorach nowoczesnej taktyki i ze wszystkimi możliwymi środkami technicznymi. Zamiast rwać i szarpać nieprzyjaciela tak jak on szarpie nas ze wszystkich stron, my marzymy o wielkich sukcesach nieosiągalnych w dzisiejszych warunkach dla braku odpowiednich sił.

Kocham wojnę, lecz mam może nazbyt wygórowane ambicje i nie zawsze mogę się dostosować do otaczającej mnie atmosfery. Pełnię chwilowo funkcję szefa sztabu w grupie płk. Sikorskiego. Nie odpowiada mi jednak to stanowisko, bo narażanie życia to samo, prowadzenie akcji wspólne, a odpowiedzialnego dowództwa nad oddziałem nie posiadam. Od kilku dni prowadzimy silną akcję, wypierającą przeciwnika z okolic Lwowa. W dniu 12. 1. zarzuceni zostaliśmy lawiną pocisków armatnich i krwawo odpieraliśmy przez dzień cały niezwykle silne i uporczywe ataki. W nocy z 12-go na 13-ty niespodziewanie zaatakowani z tyłu straciliśmy 12 armat, które w dwie godziny potem odbiliśmy, zdobywając ponadto 9 karabinów maszynowych i rozliczny tren nieprzyjaciela. Nie obyło się jednak bez ciężkich ofiar z naszej strony. Zwycięstwo okupione zostało kilkudziesięcioma zabitymi i tyluż rannymi...

Z zamięłowaniem wielkim studiuję wojnę i w długie noce,

gdy sytuacja nie pozwala na sen a nie ma akcji, ślęczę nad mapami i rozwiązuję zagadnienia taktyczne, kombinuję ofensywne plany. Czuję moją wartość jako żołnierza i pozostałbym nim na stałe, gdyby wojna trwała w nieskończoność. Hulać po tych niezmiernych lasach i polach, wpadać nocami do wsi, podkraść się, rwać i szarpać. Mając do dyspozycji żołnierza pewnego, wyprobowanego, zdecydowanego, przygotowanego na wszystko, cudów dokazać by można. Czasem wpaść na godzin parę do „ogniska domowego” i pójść znowu.

Nie zajmuję się już nic sprawami publicznymi, żyję utyliarnie, kwateruję w rozmaitych, często niechlujnych domach, lecz to tylko szczegóły, które nie psują całości. 36. pułk, który wyjechał dzień przede mną z Warszawy, jest pod Lwowem, straty wedle nieoficjalnych zawiadomień podobno bardzo znaczne.

W polu, Bartów 18. 1. 1919

Dorwałem się wreszcie po ciężkich cierpieniach samodzielnej wyprawy, którą poprowadzę osobiście jutro, a raczej dziś, bo to już po północy. Trudno było, bo Sikorski wziął mnie w swoje kleszcze i ani rusz nie chce puścić. Obiecuje mi lampasy sztabu generalnego, wolę jednak szturmowy baon. Chodzą głuche wieści, że 36. pułk z Warszawy ma straty bardzo poważne. Byłem wczoraj na pogrzebie męża mojej sanitariuszki. Głupia to historia patrzeć na łzy kobiece, ale co robić.

Kraków, 8. 3. 1919

Tęsknię za frontem. Każde choćby najmniejsze działanie, zranienie lub śmierć któregoś z moich żołnierzy przeżywam silnie. Przed kilku dniami doniesiono mi o śmierci ppor. F., któremu w przeddzień wyjazdu z frontu osobiście przypinałem gwiazdkę do jego podchorążowskich epoletów. Jego śmierć to druga śmierć Podbipięty. Poszedł na patrol i bezpośrednio przed placówką ukraińską porwał się z czterema żołnierzami — trzech zginęło na miejscu, czwarty ranny uszedł. On sam dopadł do stodoły i, widząc się osaczonym, bronił honoru oficera polskiego, który nie hańbi się niewolą. Oparł się o ścianę i strzelał aż do wystrzelenia magazynka. Gdy chcieli go wziąć żywcem, toczył młynka karabinem i siekł kolbą, aż wreszcie padł przeszyty kulami i zakłuty bagnetami. Nawet pogrzebać go nie można było, bo ciało pozostało po tamtej stronie frontu...

30. 4. 1919, grupa operacyjna płk. Sikorskiego, poczta polowa 11
6. 5. 1919, godz. 12.15 w nocy

Mieszkam prawdziwie po europejsku w pokoju z łóżkiem i

pościelą (jednak śpię w ubraniu) na plebanii ruskiej. Jestem wielkim *komandirem* na 10 km, frontu, dowodzącym czterema batalionami, dzięki czemu mam tak komfortowe mieszkanie. Brnę codziennie w bagnie, błocie i wodzie dosłownie po kolana. Smutnie tu u nas i pięknie na przemian. Przed godziną sypały się lawiną „kuferki” (granaty i szrapnele) większego kalibru i mniejszego, teraz tylko strzały karabinowe się odzywają, wieczorem rozlegają się śpiewy i tony klawicymbału i taka wszędzie przepyszna rozlewność, że wojna staje się najmiłą kochanką, zawsze wierną, nigdy zawodną...

8. 5. 1919 św. Stanisława

W południe było nam bardzo ciężko. Wieś w której stoję z częścią baonu spłonęła w części pod ogniem artylerii. Wyjątkowo wieś polska. Chłopcy mimo morderczego ognia rzucili się do ratunku nie płonących jeszcze chałup i dzięki ich nadludzkim wprost wysiłkom ogień zdołaliśmy zlokalizować.

15. 5. 1919, godz. 2.00 po południu

Za godzinę rozpoczynam atak, ofensywa zakreślona wielką, której punkty skrzydłowe Kowel i Karpaty. Jeśli pójdzie, a pójść musi, w dniach najbliższych powinniśmy owołać Samborem, a w następstwie — całym zagłębiem naftowym, o które właściwie wojnę z Ukraińcami prowadzimy. Gdy to nastąpi, przyjdzie kolej na Gdańsk i Śląsk, wtedy staniemy się najbogatszym państwem w Europie. Czekaliśmy na tę ofensywę z utęsknieniem, oby tylko spełniła swe cele.

Jestem dowódcą pułku z gażą podpułkownika. Ciekaw tylko jestem, czy nie przyślą mi jakiego starego pryka austriackiego, pułkownika, co jest prawdopodobne.

15. 5. 1919, godz. 9 wieczór

Dzień przeszedł w znoju ciężkim, ale owocnym. Sukces znaczny, jednak i straty bardzo poważne. Padł major Stroński, jeden z najdzielniejszych oficerów. Włączono jego grupę do mojej i jestem panem na batalionach piechoty i dwóch bateriach armat. Zmęczony piekielnie idę spać.

25. 5. 1919

Przeszliśmy już 65 km. ziemi galicyjskiej. Jutro ruszamy dalej. Okolice cudowne, kilometrami ciągną się bory, żyję cudownym snem ofensywy. Mijamy dwory zrabowane i zniszczone, niektóre

całe, dzisiaj ofiarował mi właściciel jednego z nich przepyszną klacz — Ledy, pół-krwi.

Żytomierz, 8. 5. 1920

Z 15. dywizji przeniesiono mnie do Naczelnego Dowództwa, czemu przypisać to przeniesienie — nie wiem. Objąłem tzw. Sekcję Wschód, tj. operacje na froncie bolszewickim. Jeszcze nie rozpatrzyłem się dobrze w sytuacji, a już dano mi funkcje inne — szefa komisji ukraińskiej, którą dopiero trzeba zorganizować. Osobiście po tysiącokroć wolałbym zostać w 15. dywizji, tu jednak dla przyszłości wojskowej widoki korzystniejsze. Naczelne Dowództwo do końca maja pozostanie w Żytomierzu, w tym czasie i moje losy się rozstrzygną.

Żytomierz, 17. 5. 1920

Rozmowa z gen. Hallerem, chciał mnie wpakować na szefa oddziału tworzącego się w Dowództwie Głównym na Ukrainie. Na zapytanie, czy czuję się na siłach, odpowiedziałem że nie. Dyskwalifikując w ten sposób przypisywane mi zdolności wojskowe, miałem na względzie to, że są pewne szanse dostania się po końcu ofensywy do Warszawy. Wolę świadomość owocnej pracy na froncie, niż wieczne siedzenie na tyłach i wewnętrzne przeświadczenie swego małowartościowego bytowania.

Winnica, 30. 5. 1920

Od trzech dni jestem w Winnicy... Zdecydowane było, iż jadę do Warszawy. Prawie w ostatniej chwili przyszedł rozkaz, i to z Belwederu, który przeniósł mnie do Winnicy. Nie mogę pogodzić się z tym, że w kwestiach dotyczących mnie osobiście decyduję nie ja, a ktoś inny. Stawałem do raportu z prośbą o przeniesienie mnie na front z funkcją dowódcy baonu i zwymyślano mnie. Jest wojna i w czasie jej trwania zrozumiałe jest, iż osobiste wole i chęci muszą przemieścić się na plan drugi...

Bardzo ciekawie układa się sytuacja wojskowa w naszym pobliżu. Tworzymy skład wysokiego sztabu „Dowództwa Etapów Wojsk Polskich na Ukrainie”. Zdawałoby się, że jako etap jesteśmy tysiąc km. za frontem, tymczasem przed dwoma dniami bolszewicy, przerwawszy front, znaleźli się o 40 km. od Winnicy, o czym dowiedzieliśmy się dopiero dzisiaj. Żartownisie powiadają, że można obudzić się w objęciach pięknej komunistki i posyłać do Warszawy na wszelki wypadek po cywilne ubrania. Ja ograniczam się do wysłania cenniejszych książek.

Kiedyś opiszę polityczne historie i układanie się stosunków polsko-ukraińskich. Wydaje mi się, że przeliczyliśmy się z siłami

i poszli na wielką politykę z angażowaniem militarnych sił, nie mając należytego zabezpieczenia. Odcięty od świata — gdyż nawet łącznością telefoniczną z armiami nie rozporządzamy — nie wiem, co się dzieje, zwłaszcza na północy, nad Dźwiną, tam nie jest dobrze.

Winnica, 5. 6. 1920

Poznanie martyrologii dziejów naszych porozbiorowych pozwala zrozumieć psychikę naszych lepszych oficerów, pozwala zrozumieć dlaczego w czasach dzisiejszej wojny ginie tak wielki procent oficerów z naszej strony. Nasuwa mi się ta refleksja na skutek wiadomości o śmierci kilku moich szkolnych kolegów, m.in. Szula Brożka, który otoczony zastrzelił się. Cała młodzież oficerska, zwłaszcza legionowa, wyrosła na pierwiastkach konspiracji i bezwzględnej walki, zwłaszcza z Moskwą, na sprawie powstańczej 31 i 63 roku. Młodzież ta odrodzona dziś jest jądrem, rdzeniem państwowości polskiej. Dlatego też krwawią się pola Litwy, Białej Rusi, Ukrainy. Z Szulem siedziałem na ławie szkolnej od dziecinnych lat. Przewijały się przez jego głowę koncepcje konspiracyjnej walki, myśl jego nie spoczywała ani chwili, aby wydobyć z rodzącego się pokolenia zasoby sił, których użyć by można na zrządzenie jarzma. Takich jak on jest setki. Setki te zdobyły siłę z popiołów powstańców. I smutkiem musi napawać świadomość, że duża część naszego społeczeństwa, która wyrosła na tejże samej podstawie, jest jednak uczuciowo tak odmienna.

Płoskirów, 11. 6. 1920

Po przerwaniu frontu naszego przez bolszewików bezpośrednio zagrożeni w Winnicy ewakuowaliśmy się gwałtownie nocą właśnie w rocznicę mojej klęski czortkowskiej. Sprawowałem funkcję szefa sztabu Dowództwa Etapów. Otrzymałem dokładne wiadomości od zaufanych naszych agentów, że wsie okoliczne przy naszym opuszczaniu Winnicy mają nam urządzić noc św. Bartłomieja. Miały one w tym wprawę, bo poprzednio uczyniły to samo z Niemcami. Myślałem wtedy, że noc ta będzie trudniejsza od zeszłorocznej w Czortkowie. Wtedy miałem jeszcze oddział dzielnych i uzbrojonych żołnierzy, teraz prócz stu żołnierzy kompanii sztabowej, złożonej z ordynansów i łazików, nikogo ze zbrojnych. Równocześnie przyszła wiadomość o zajęciu przez kawalerię bolszewicką Berdyczowa, wycięciu szpitala i załogi. To przyspieszyło naszą ewakuację i ewakuację rządu ukraińskiego. Odbędzie się wszystko w porządku. Dzisiaj bezpiecznie siedzimy w Płoskirowie.

13. 6. 1920 w drodze ze Starokonstantynowa do Zwiahla

Jadę do Zwiahla, po czym z oddziałem partyzanckim mam operować na tyłach konnej armii bolszewickiej. Czuję się w swoim żywiole. Wiadomości będą teraz mniej częste ze względu na trudności komunikacji.

Kowel, 9. 7. 1920

Siedzę już dwa dni i jutro posiedzę trzeci dzień niepotrzebnie, a powinienem raczej siedzieć w Warszawie. Oto jest właśnie to niewykorzystywanie oficerów mimo ich braku i marnowanie ich bezczynnością. Mam niepełną nadzieję, że jutro już wreszcie odjadę. Jadę objąć dowództwo pułku w 7. dywizji, nie wiem tylko jeszcze, którego, dlatego właśnie czekam w Kowlu... Wiem tylko, że pojadę do Maniewicz, następnie nad Styr pod Rafajłówkę, więc na pozycję, na której przesiedziałem cały rok w 1916 r. za czasów Legionów jako wielki wódz i dowódca plutonu. Z tej nowej funkcji jestem niezwykle rad — wolność i swoboda ruchów, ciągły ruch i powietrze, faktyczne dowodzenie samodzielne, co da mi pełne zadowolenie, naturalnie jeśli pułk mój nie będzie podobny do 101-szego. Mimo, że nasza sytuacja wojskowa jest bardzo poważna, nie oceniam jej jednak bardzo krytycznie. W dniu dzisiejszym zajęliśmy Równe, jednak celem skrócenia i skonsolidowania frontu cofamy się na linię Zbrucza i Styru. Jak będzie na północy nie wiem. Linia Zbrucza i Styru jest linią bardzo obronną, na której wojska niemiecko-austriackie trzymały się przez cały rok. Sądzę, że powinniśmy się na tej linii a w najgorszym razie na linii Stochodu, utrzymać. W przeciwnym razie pomaszujemy chyba do Warszawy. Jestem jednak optymistą pełnym nadziei. Nie podobałaby mi się jednak ta linia jako nasza granica wschodnia, bo uważam że moglibyśmy się udusić z powodu ciasnoty.

10. 7. 1920

Wczoraj wieczorem przyjechał do Kowla gen. Zieliński i chciał mnie natychmiast zabrać, nie mogli mnie odszukać. Odjeżdżam więc dzisiaj.

Maniewiczze, 11. 7. 1920

Piszę w warunkach nieszczególnych leżąc w łóżku, nie ma bowiem w izdebce mojej stołu, a światło łojówki żydowskiej zaćmiewa to co piszę. Czekam połączenia telegraficznego z 7. dywizją...

12. 7. 1920

Jeszcze nie wiem, który pułk obejmę, jest to do pewnego

stopnia niezaradność naszych sztabów. Wyjeżdżam w każdym razie dzisiaj w nocy lub jutro rano. Będę na odcinku wzdłuż Styru między Rafajłówką, Czartorysiem a Kołkami. Wyjeżdżam do Czartoryska, gdzie stoi 7. dywizja.

...Zamiary Brusilowa: w połowie lipca ośwładnąć Królestwo, stanąć kwaterą w Warszawie i zaprowadzić rządy okupacyjne. Kierownictwo jego sztabów jest dobre, lepsze od naszego. Naszym sztabierom dużo brakuje.

Rafajłówka, 18. 7. 1920, godz. 12.300 w nocy

Więc mam 25. p.p. od dni pięciu. Być dowódcą dobrego pułku na froncie to chyba najmiłsza funkcja w wojsku, naturalnie w czasie wojny. Urządziłem już dwa ataki, teraz oczekuję ataku bolszewickiego. Dlatego nie śpię, bo normalnie o 10-tej już śpię, wstaję natomiast o 3-ej. Mam odcinek 14 km. i bodaj najważniejszy na odcinku Zielińskiego. Walą do mnie bolszewicy z czterech dział, a ja do nich z szesnastu. Cały dzień włóczę się po okopach, w nocy wyczyniam ataki, gadam z żołnierzami, jedynym słowem czuję się w swoim żywiole.

Godz. 3.15 rano. Przed 20 minutami rozpoczął się atak bolszewicki. Wieś Babki 200 m. przed naszą pozycją cała w ogniu, biedni ludziska, zdaje się nie zostanie ani jedna chałupa. Strzelanina pierwszorzędna: artyleria nasza — ich — kaemy, wszystko w cudownie pięknym rozgwarze, ale koniec, bo muszę telefonować.

Godz. 4.50 atak odparty. Godz. 5.30 na lewym skrzydle atak odparty, dla urozmaicenia zaczął się teraz na prawym. Godz. 6.40 atak był krwawy, 1-sza kompania zwiątała, przeprowadzony kontratak naprawił sytuację, teraz spokój.

Rafajłówka, 18. 7. 1920, godz. 23.30

W czasie bitwy byłem już w silnym niepokoju, bo bolszewicy wdarli się do okopów, przerwali zasieki druciane, kontratakami jednak zostali odparci. Straty mają bardzo ciężkie. Siekliśmy i gnaliśmy artylerią i kaemami, przykro było patrzeć jak to bractwo kładło się na ziemi... Placówka na cmentarzu, ciemno, poprzewracane groby, przed cmentarzem dogasa wieś spalona dziś rano. Obrazek z Sienkiewicza, mający dużo uroku i potęgę.

Zgnębiony jestem wiadomościami, jakoby Rada Obrony Państwa przyjęła warunki Lloyd George'a, których podstawą jest linia Zbrucza i Bugu. Jeśli to prawda, to chyba przyjdzie sobie w łeb strzelić. Na to człowiek wojuje lat tyle, karku ochotnie nadstawia, bije się w Białej Rusi, Litwie, wschodniej Galicji, aby w rezultacie wszystko to oddać. Myśląc o tym zdaje mi się

że oszaleję, albo rozniecę rokosz w wojsku i będę się bił do upadłego.

Jest cisza. Bolszewicy okopali się pół km. od nas. Przypuszczam, że jutro ataku nie będzie.

20. 7. 1920

Ataku rzeczywiście nie było, sytuacja jest jednak ciężka z powodu przerwania frontu na sąsiednim odcinku.

23. 7. 1920

Byłem z dowódcami baonów na pozycji i wydawałem im dyspozycje w sprawie naszego ataku, który ma nastąpić pojutrze. Być może, że bolszewicy zobaczyli nas, bo pada szrapnel, potem granat na lewo od nas. Major Wir, dowódca 1. baonu chce zejść za górkę, powiadam, że zostaniemy, a tu chlast granat 50 kroków w lewo, bęc szrapnel 20 m. nad głowami, wiem że dowódcy baonów — starzy oficerowie legionowi a jeden dawny rosyjski — są doskonałymi oficerami o niepośledniej odwadze, ale wszyscy trzej przyklapli na ziemi, a ja nie drgnąłem. Widzę, że siedzenie w Warszawie nie zepsuło mnie jeszcze. Schodzimy z góry, bęc znowu dwa szrapnele i znowu to samo. Bolszewicy zapowiedzieli nam na jutro tzn. na dzisiaj generalny atak. Ludność bojąc się ich wejścia zakopuje rzeczy do ziemi lub chowa do piwnic. Ciekaw jestem co będzie i czy będzie. Jeśli oni mnie jutro nie zaatakują, to ja ich zaatakuję pojutrze, bo jutro dostaję sześć tanków. Jeszcze tanków nie prowadziłem, ciekaw jestem, jaka to będzie zabawa. W komunikacie, zdaje się z 17-ego, jest o moim wypadzie na Suchowolę, nie wiem, czy umieścili też o odparciu ataku 19-ego. Co się dzieje w kraju nie wiem, zaś o froncie północnym przychodzą potworne wieści. Poza tym podobno Budienny jest już w Galicji. Nie chcę w ogóle myśleć o tym i aby zapomnieć w dniu spokojne pracuję cały dzień. Pchły mnie nie-ludźko gryzą, a ani rusz nie mogę się nauczyć ich łapać. Pod tym względem już lepsze blondynki, bo nie umieją skakać.

Stobychwa, 30. 7. 1920

Cofnęliśmy się nad Stochód i obecnie bronimy linii Smolary-Stobychwa-Wielki Olzyr. Mam wrażenie, że cofniemy się jeszcze dalej. Jestem w takiej depresji z powodu ogólnej sytuacji politycznej i wojskowej, że chwilowo więcej pisać nie mogę. Posyłam odezwę bolszewickie podrzucone przez ich patrole.

Stobychwa, 31. 7. 1920

Trudno dać jasną i ścisłą odpowiedź, co jest przyczyną nie-

powodzeń naszych na froncie. Zapewne przeważające siły rosyjskie, dobrze zorganizowane i prowadzone. Ale to nie jest powód zasadniczy. Ten zaś wiąże się z naszą psychiką. Nasz żołnierz jest dobry i bitny, choć za krótko jest w polu, żeby stał się zahartowany na ogień taki, jaki miał miejsce w wojnie światowej. Jednak wytrzyma on wszystko, jeśli będzie miał pewność że czuwa nad nim oficer, będący przy nim stale i dzielący z nim wszystko, a takich oficerów jest może 20-30 %. Reszta to hołota, niewartamiana oficera. Widziałem oficerów, którzy w największym ogniu prowadzili swoje kompanie na koniu, kompanie rekruckie, demoralizowane 400 kilometrowym odwrotem, które normalnie przy pierwszym strzale armatnim powinny pierzchnąć. A jednak te kompanie były się świetnie i przeprowadzały krwawe kontrataki, a to dlatego że ich dowódca prowadził ich na koniu, że widzieli go wśród siebie narażonego na te same niebezpieczeństwa, uśmiechniętego, pełnego energii, woli i wiary. Takich oficerów jest niewiele, większość czeka pierwszej sposobności, aby opuścić szereg. ... Przyjechawszy do pułku, zastałem kilku oficerów bez dystynkcji i stwierdziłem, że zdjęli je ze strachu, bo bolszewicy wziętych do niewoli oficerów rozstrzelują. Czy żołnierz może mieć do takiego oficera zaufanie?... Mam w pułku kompanie po 120 ludzi prowadzone tylko przez jednego oficera, w innych pułkach prowadzą kompanie nawet sierżanci. Normalnie powinno być czterech oficerów na kompanię. A jednak falangi oficerów kręcą się beczynnie na naszych tyłach, po etapach i improwizowanych szkołach i o nich Naczelne Dowództwo w dzisiejszym rozgardiaszu nic nie wie i nie może ich zmusić aby poszli na front. Ich psim obowiązkiem jest pójść, choćby uciec na front, dziś nikt nie zatrzymuje oficera w sztabie, ale oni wczepili się jak wesz kożucha dobrego dekunku i wolą żyć w państwie, którego granicą będzie Bug, wolą nawet gnić w jarzmie pruskim czy rosyjskim, byle tylko nie zginąć, albo nie być rannym... Mam więcej szacunku dla głupiego umysłowo oficera czy szeregowca, który czynem stwierdza, że jest Polakiem wolnym i bije się o wolność i chce za tę wolność zginąć, niż dla wielce wykształconego inteligenta, który wygłaszać będzie mądre i długie sentencje, sprzeczać się i krytykować rząd czy Naczelne Dowództwo czy dyplomację, zamiast wziąć karabin, stulić głowę i iść się bić...

Nasze czynniki kierujące nie troszczą się o zaprowiantowanie wojska. Odkąd prowadzę pułk, nie było dnia, żebym otrzymał wszystko, co się żołnierzowi należy. Chleb w 80 % jest tak spleśniały, że muszę go wyrzucać. Meldunki moje i groźby nic nie pomagają. Stale z dowództwa dywizji otrzymuję odpowiedź: to nie my, to armia winna. Dajcie żołnierzowi jeść to będzie

się bił. Słota, wszy, pluskwy — nic nie znaczy, ale jeść, i to dobrze, musi.

Następny powód, to już bardzo wysoko stojące w wojsku czynniki kierujące, które nie przewidywały i nie liczyły się z odwrotem i nie przygotowały nam linii obronnych.

A następny powód — to naród nasz. Bolszewicy stoją na Narwi, dwa kroki od Warszawy i tylko jedna linia obronna. W takiej sytuacji kto ma silne dłonie i choć iskrę ambicji idzie do wojska. Dziś nie czas krytykować, czy wyprawa na Kijów była potrzebna czy nie. Czas najostatniejszy, aby obwarować Wisłę okopami i drutem i nie oddać jej póki żyje chociażby jeden mężczyzna, a jeśli będzie wzięta to jak Lwów winna bronić się wewnątrz murów. Nie wierzę w rokowania i jestem ich przeciwnikiem, wierzę w oręż, wierzę w to, że skoro bolszewicy weszli już na ziemie rdzennie polskie, to dla nas walka łatwiejsza, bo na ich tyłach winny powstać powstania, zasadzki, napaść na tyły z bronią czy bez, wszystko jedno, oni nie mają takiej siły militarnej, aby obsadzić zdobyte etapy. Rokowania przyniosą nam szereg upokorzeń, przemocy, hańby jak to już nota Tuchaczewskiego stwierdziła. A nam wolno zginąć, spodlić się nie wolno. My się jednak spadlamy i hańbimy...

2. 8. 1920

Spodziewałem się generalnego ataku dzisiaj w nocy, był, ale słaby i odparty, sąsiedni pułk natomiast cofnął się. Przypuszczam, że znów cofniemy się. Brześć podobno już atakowany. Boję się myśleć o Warszawie. W tej chwili otrzymałem telefoniczne awizo: dzisiaj wieczorem cofamy się za Bug. Nie wiem jeszcze, gdzie będzie stanowisko mojego pułku. Boję się coraz więcej o Warszawę.

Urusk, 5. 8. 1920

Odbyliśmy 160-kilometrowy odwrót jednym tchem. Przed dwoma godzinami przybyłem na miejsce, nie wiem jednak, czy tutaj pozostaniemy, bo dotychczas żadnych rozkazów nie otrzymałem. Skonani jesteśmy marszem do niemożliwości. Co słysząc z frontem całym i ofensywą bolszewicką na Warszawę pojęcia nie mamy. Ostatnią gazetę czytałem z 28. 7. Idę spać.

6. 8. 1920

Odchodzę dziś w nocy do rejonu Włodawa między Brześciem a Chełmem. Nic konkretnego nie wiem, a to co wiem jest przerażające. Łomża podobno padła. Bolszewicy podobno pod Ostro-

wią. Gdzież jest nasza armia ochotnicza? Ja dostałem zaledwie 40-tu ochotników.

8. 8. 1920

Z radości chciałem zginąć na pierwszym wypadzie, z radości, bo przyszły wiadomości, że ofensywa bolszewicka pod Warszawą wstrzymana, że zaczęła się nasza ofensywa, że Łomża, Brześć odbite, że posuwamy się naprzód.

Przez dwie doby piłem z gen. Bałachowiczem. Jest to człowiek bez ideologii, zbój i morderca i takich samych ma towarzyszy-podkomendnych. Jest to dywizja, która swego czasu przeszła na naszą stronę, składająca się z Rosjan, Szwedów, Finów. Nie znają pardonu i przypominają barbarzyńców... Przy mnie rzucali mu pod nogi (Batce, jak go nazywają) głowy bolszewików ścięte szablami. Jeśli coś mu się nie podoba u jego oficerów lub żołnierzy, to osobiście ich strzela przed frontem, lub każe się samym wieszać. Spełniają to bez oporu, patrzą mu w oczy jak psy.

Piłem z nim całą noc dzisiejszą, a rano on z grupą swoją, a ja z pułkiem poszliśmy na wypad. Masakra bolszewików była straszna. Pięciokrotnie większe zmasowane siły bolszewickie rozbiliśmy i zmusiliśmy do ucieczki. Po południu przyszedł rozkaz odwrotu, rozkaz o opuszczeniu linii Bugu. Jestem skamieniały z bólu i męki.

14. 8. 1920

Od czasu pisania ostatnich słów upłynęło sześć dni pod względem wojskowym niesłychanie ciekawych, fizycznie ciężkich szalenie i wyczerpujących. Początkowo, tj. 9 sierpnia, zamknęła się 7. dywizja w Chełmie, już jednak, następnej nocy wysłana została 13. brygada, tj. 26. p.p. i mój pułk, na tyły bolszewickie. Bezpośredni dowódca mój, dowodzący brygadą, był to człowiek zajęczego serca, który na wiadomość o obchodzeniu nas przez bolszewików mdlał trzykrotnie. W czasie bitwy nie był zdolny do wydania ani jednego rozsądnego rozkazu. Nic więc dziwnego, że wziąłem go pod swoją komendę. Robił wszystko, co mu dyktowałem. Operowaliśmy na tyłach bolszewików do 12-go bm., rozbijając ich wszędzie i czyniąc wśród nich popłoch i panikę nadzwyczajną. Jedna z moich kompanii sama w czasie kontrataku wzięła 4 kaemy. 13-go bm. wysłany zostałem z dwoma baonami nad Bug, wyrzuciłem 173. brygadę bolszewicką i siedzę tutaj otoczony prawie ze wszystkich stron, nie mając żadnego kontaktu z naszymi oddziałami, które znajdują się gdzieś o 30 km. ode mnie. Ale mam dobrych i pewnych oficerów i żołnierzy i

muszę wytrwać na stanowisku aż do sformowania armii ochotniczej i rozpoczęcia ofensywy, tj. do 17. 8. Szarpany ze wszystkich stron przez patrole kozackie mam niezłomną wolę zwycięstwa i wolę tę przelewam na słabnących oficerów i upewniam w nich hart i siłę i honor żołnierski.

Czytałem gazetę z 5. 8. — czyż prawdą jest, że wzięty został Radzymin? Ale niechaj padnie i Warszawa, ja wierzę w nasze zwycięstwo. Gdyby wszyscy oficerowie mieli tę wolę, to zaparcie, tę niezłomną chęć walki, to zwyciężylibyśmy już dzisiaj bez czekania na sformowanie armii ochotniczej...

16. 8. 1920

Połączyłem się z naszymi oddziałami. Równocześnie dzisiaj rozpoczęliśmy ofensywę. Nie uwierzysz jak bardzo cieszę się z niej, jestem pewny zwycięstwa i spokojny już o Warszawę. Dzisiaj w akcji nie biorę udziału ze względu na całotygodniowe bitwy i ważność odcinka, którego bronię. Dlatego mam zamiar rozebrać się po raz pierwszy od tygodnia i wyspać. Czekam dnia, kiedy bolszewicy znajdą się gdzieś za Słuczą, aby zjechać do bezpiecznej Warszawy. Przypuszczam że do jutra rana wezmą Włodawę.

25. 8. 1920

Czekam chwili, kiedy nareszcie wyrówna się front i ruszymy i my prawdziwie naprzód. Na razie urządzam prawie codziennie wypad i znoszę mniejsze oddziały bolszewickie. I tak wczoraj wykłułem ich 90, przed trzema dniami — 50...

1. 9. 1920

Jestem pełen radości i zadowolenia. Wczoraj urządziłem z całym pułkiem jednodniowy wypad i wziąłem dwie armaty kompletne, ok. 10 kaemów i dużo innej zdobyczy. Ciekaw jestem czy umieszczą mnie w komunikacie. Podobno byłem w komunikacie z 25. 8. Gazet od 10. 8. nie widziałem. Poza tym podany jestem do Virtuti Militari.

Z dniem wczorajszym objął dowództwo 3. armii gen. Sikorski. Był nawet wczoraj w Chełmie, ale ponieważ byłem na wypadzie, więc nie mogłem do niego pojechać. Oczywiście napisałem zaraz do niego czuły list, którego główną mową było to, aby mnie posłał na dwa dni służbowo do Warszawy, więc jeśli czas będzie przez kilka dni spokojny, to może się uda. Gdybym podlegał Sikorskiemu bezpośrednio, nie przez 7. dywizję, to wyjazd byłby pewny.

Batalion, który zdobył armaty, zrobił mi po powrocie z wy-

padu gorącą owację. Są dni, w których przez cały dzień śpię, bo nie mam nic do roboty. Czasem robię wypad, poza tym monotonia beznadziejna.

12. 9. 1920

Jedna doba 9. 9. postarzała mnie o 20 lat. Wążyłem się na wielki czyn, wziąłem na siebie odpowiedzialność, której nie przyjął gen. Szubert, mój dowódca dywizji, której nie przyjął nawet Sikorski — i przeszło to bez echa. Rzecz miała się następująco. Rozpoczęliśmy dnia 9. 9. bitwę na szerokości trzech km. Był to głęboki wypad, w którym brały udział dwa pułki. Ja miałem rozpocząć atak o godz. 3.00 rano. O godz. 11.00 w nocy przysłała do mnie delegacja bolszewicka z uralskiego pułku kozaków z propozycją przejścia na moją stronę w dniu 10. 9. pod warunkiem, że cały pułk będzie użyty w dalszej wojnie z bolszewikami, że zostanie wyekwipowany i przy sprzyjających okolicznościach zostanie odesłany do Wrangla. Prosimi jednak o pomoc w formie ataku, co ułatwi im przejście. Oto moja sytuacja: bitwa już rozpoczęta, o godz. 3.00 mam atakować (atak obejmowałby również część pozycji tegoż pułku), a u mnie delegacja, która *nota-bene* przyrzeka wyciąć sztab 25. dywizji. Telefonuję do dywizji, przedstawiając sytuację i prosząc o zatrzymanie bitwy, dostaję odpowiedź, że mam atak rozpocząć, z kozakami nie gadać, bo ich propozycja jest nie do uwierzenia. Bierze mnie cholera i przez pięć minut się waham, w końcu wyciągam trzy butelki wódki i zaczynam z nimi pić. Po kilku kieliszkach rozwiązały im się języki i nabieram przekonania, że są to poczcwi ludzie, którzy nie błądzą. Jest godz. 1.30 w nocy. Umawiam się z nimi szczegółowo co do ich przejścia, daję im piśmienną gwarancję w imieniu dywizji i armii, posyłam rozkazy do sąsiednich pułków, nakazując przerwanie bitwy i powołując się na rozkaz gen. Szuberta, sam nie atakuję, ich odprowadzam. Wiem, że jeśli kozacy mnie zawiodą, to za niewykonanie rozkazu i wstrzymanie akcji wbrew rozkazowi pójdę pod sąd i będzie kula w łeb. Rano składam o wszystkim meldunek do dywizji, która ignoruje mnie i nie daje żadnej odpowiedzi. Najbardziej leży mi na sercu zobowiązanie pisemne, jakie im dałem, ponieważ wchodzi tu już w grę czynniki polityczne. O godz. 5.00 popołudniu dnia 10. 9. przepływa Bug kurier kozacki z meldunkiem, że akcja ich została zdradzona i wobec tego zamiast w nocy już są w drodze do mnie. Wysyłam natychmiast batalion na drugą stronę dla osłonięcia przemarszu. O godz. 5.30 wzywa mnie do telefonu gen. Szubert i niezmiernie łaskawym tonem zawiadamia mnie, że ponieważ gen. Sikorski nie mógł na własną rękę przyjąć ich pro-

pozycji, telefonował do Naczelnego Dowództwa, które pozwala mi pertraktować, on zaś nie robi mi wyrzutów za zatrzymanie akcji wypadowej. Pomyślałem sobie pocałuj mnie w nos i zakomunikowałem mu zimno, że trochę późno przychodzi decyzja Naczelnego Dowództwa, bo sam powziąłem decyzję i że za pół godziny przejdzie przez mój odcinek pułk kozacki.

Przeszło ich 700 ludzi z końmi, taborem i całym majątkiem pułkowym. Dowódca pułku zameldował się u mnie, wypiliśmy dwie flaszki wódki, po czym chciał złożyć broń. Telefonuję do dywizji, która mi powiada, żeby broń odebrać, potem im się odda. Teraz już wściekły, broń im zostawiłem i powiedziałem dowódcy pułku, że uważam ich za godnych zaufania i traktuję jak równych sobie żołnierzy. Krzyknęli mi trzy razy hurra, dowódca pułku ofiarował mi kiepską lornetkę, ja jemu starą szablę wziętą jeźdźcowi — i na tym cała parada.

11. 9. rozpoczęliśmy ofensywę. Jestem z pułkiem 15 km. na przodzie, bo ofensywy nie przygotowano, a inne oddziały nawet Bugu jeszcze nie przeszły. Nieudolność sztabów nadzwyczajna, żadnego manewru, żadnego okrążenia, tak po chamsku idziemy naprzód i wypychamy nieprzyjaciela.

Stobychwa, 17. 9. 1920

Jestem na starych pozycjach nad Stochodem, na tej samej kwaterze, na której ostatnim razem zjadały mnie pluskwy. Obecnie tak się do nich przyzwyczaiłem, że nie robią już na mnie żadnego wrażenia. Wreszcie zdobyliśmy się na piękny manewr przy wzięciu Kowla. Grupa automobili pancernych wjechała do Kowla od tyłu. Co się tam działo! Przez ulice nie można było przejechać tak były zawałone trupami ludzkimi i końskimi. Zresztą — powtarzam raz jeszcze — prowadzimy wojnę po chamsku. Przy pierwszej sposobności powiem to Sikorskiemu. Otworzyli urlopy na Stochodzie, prawdopodobnie zatrzymamy się dłużej. Czekam na powrót ze szpitala majora Wirkonasa, mojego zastępcy, jeśli wróci, dostanę urlop. Dochodzą wieści, że w listopadzie otworzą naszą szkółkę — wnoszę podanie.

18. 9. 1920

Bolszewicy bez strzału cofają się, od trzech dni nie mam żadnych rozkazów, nie wiem, co to znaczy, podobno Łuck wzięty.

20. 9. 1920, Lesznewka

We wsi, do której przemaszerowałem dzisiaj, stałem w 1916 roku przez dwa tygodnie. Wówczas nie było tu ani jednego

mieszkańca, wieś była jednak cała. Dzisiaj są wprawdzie nieliczni mieszkańcy, ale jedynie moja chałupa jest możliwa do mieszkania, wszystko spalone, zniszczone, głód i nędza przerażające. W jednej z chałup sześć osób wymarło z głodu.

PLAN OPERACYJNY NACZELNEGO WODZA

Doktorowie wojskowego Pisma Świętego — ci przede wszystkim, którzy już we wrześniu zdążyli sobie tylko znanymi sposobami dotrzeć do Paryża — i ci, którzy ani w przygotowaniach wojennych, ani w samej wojnie żadnego udziału nie wzięli — i ci wreszcie nawet, którzy wspólnie ze mną bezpośrednio nad planem pracowali — i pracowali z pełnym entuzjazmem i oddaniem

podnieśli wszystkie ostrza swej krytyki.

Wydobyli z zanadru pierwsi i drudzy cały arsenał swych przyprószonych patyną czasu wiadomości wojskowych, ci ostatni zużytkowując dawny dostęp do najtajniejszych dokumentów — i rozpoczęli kampanię przeciw Polskiemu Planowi Wojny.

Po przybyciu w listopadzie do Paryża, nie znając jeszcze zdecydowanie wrogich nastrojów tam panujących, przeciwko wszystkiemu i wszystkim, którzy mieli jakikolwiek związek z kierowniczymi władzami dawnego régime'u szukałem kontaktów wojskowych.

Były mi one niezbędne, aby rozproszyć własne wątpliwości, jak również aby walczyć o prawdę. Skoro odmówiono mi przyjęcia do wojska, prosiłem przynajmniej o dopuszczenie do pracy w biurze historycznym. Dn. 4 listopada bezpośrednio po przyjeździe do Paryża, meldowałem gen. Sikorskiemu o zniszczeniu wszystkich aktów dotyczących przygotowań wojennych, lecz o uratowaniu wszystkich operacyjnych aktów wojennych, znajdujących się w obozach rumuńskich. (Podobno akta te ściągnięto). Ofiarowałem się z napisaniem, jak najwięcej obiektywnym, historii naszych przygotowań zbrojnych i przebiegu wypadków. Byłem jedynym oficerem na terenie Francji, a trzecim po Marszałku i Szefie Sztabu w ogóle, który znał całokształt zagadnień natury operacyjnej.

Niezależnie od wszystkich uprzedzeń w stosunku do mnie jako zastępcy Operacyjnego Szefa Sztabu, niezależnie od mojej winy i błędów, które mogłem popełniać i które popełniłem na pewno, przedstawiałem element wiadomości historycznych niezaprzeczalnej wagi i element tragicznego doświadczenia, z które-

go należało wyciągnąć wnioski. Wojna europejska była dopiero w początkowym swym stadium.

Lecz do żadnej pracy nie zostałem dopuszczony.

O głodzie, gdyż pieniędzy osobistych nie posiadałem, a do wojska przez listopad i grudzień 1939 nie zostałem przyjęty, w zimnym i ciemnym pokoiku przy ul. Vaugirard 12, okryty kocem, jedynym osobistym dobytkiem uratowanym w czasie ucieczki z obozu rumuńskiego, w przerwach między gotowaniem kaszy a rozcieraniem zgrabiących od zimna rąk, pisałem sprawozdanie.

Dn. 22 grudnia 1939 roku wręczyłem osobiście 1-szą jego część gen. Sikorskiemu. Zawierała 64 strony maszynowego pisma i dotyczyła: Przygotowań Wojennych i Planu Operacyjnego Nacz. Wodza.

Zakończyłem ją prośbą o danie mi odpowiednich warunków pracy, aby wykonać niezbędne dla niej szkice i napisania 2-giej i 3-ciej części tj. Przebiegu, Wypadków i Wniosków.

Co stało się z tą 1-szą częścią mego sprawozdania nie wiem.

Wiem jednak, że od momentu mego przybycia do Paryża, tj. od 3. XI. 1939 roku, do opuszczenia Francji przez Nacz. Wodza, a więc do końca czerwca 1940, nikt nigdy z władz Régine'y nie wezwał mnie ani nie zadał jednego pytania czy to w sprawie mego sprawozdania czy też w sprawie kampanii Wrześniowej w Polsce.

Natomiast płk Modelski zasypywał mnie pisemnymi pytaniami w rodzaju: Jaka była polityka Sztabu Głównego w stosunku do Czechosłowacji? lub Jaka była opinia Sztabu w sprawie listu prez. Benesza do prez. Mościckiego zawierającego jakoby cesje terenowe na rzecz Polski?

W listopadzie 1939 roku trzykrotnie zwracałem się z prośbą o przyjęcie mnie przez gen. Sosnkowskiego, któremu chciałem zameldować sytuację w Rumunii i sądziłem, że interesować go będzie operacyjny przebieg Kampanii. Przyjęty nie zostałem.

W maju 1940 roku zestany do Obozu Vichy rozpocząłem na prośbę starszych oficerów wykład o Kampanii Wrześniowej. Na jeden z nich przybył Kdt Obozu płk Bogoria-Zakrzewski. Po skończonym wykładzie publicznie wyraził mi swoje niezadowolenie z powodu wykładów. Zakończył: — Plan był zły, czego dowodem jest, że przegraliśmy wojnę.

Przeciwko planowi, którego nikt beze mnie, właściwie prócz mnie, nie znał, bo znać go nie mógł, wytoczono tysiące zarzutów i argumentów. Wszystkie obracały się koło stwierdzenia płk. Bogoria-Zakrzewskiego. Lecz nikt z tych, którzy tak mocno Plan ten krytykowali nie podał własnej koncepcji.

PRZEBIEG WYPADKÓW 1-17 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Okres 1-2. IX: Przerwanie frontu pod Częstochową

1. IX.

Niemcy nacierają o świcie lotnictwem bombowym. Uderzenia niemieckie: Sępólno-Chojnice/Tuchola/Chełmno-Grudziądz.

Na lądzie ostre walki na kier. Tuchola-Wierzchucin naciera Dyw. Panc. (lekka).

Na kierunkach Łódź - Częstochowa i Nowy Targ - Chabówka natarcie rozpoznawcze.

Ocena: Npl przeprowadza rozpoznanie operacyjne i przygotowuje podstawę wyjściową do właściwego natarcia na Armie Kraków, Łódź, Pomorze.

Decyzje własne

Nacz. Wodza: a) 13. DP + ENE Korp. Int. przechodzą do Odvodu N.W. Wyładowania w rejonie Skierniewic.

b) Zebranie odwodów w rejonie Rawa-Koluszki-Kieleccyzna.

c) 22. DP, która miała przejść do rejonu Dębica (w trakcie transportów), oddana została do dyspozycji Armii Kraków, której Dca przedłuża jej transporty do Krakowa i Trzebini.

d) Armie mają przyjąć ugrupowanie wyjściowe.

Dcy Armii Kraków:

Bgda Koło i 12. pp (6. DP) przesunięte zostają do Chabówki.

Decyzja, którą należało powziąć: Armia Poznań winna natychmiast zająć sytuację wyjściową, to znaczy opuścić Poznańskie i przejść na pozycję: jez. Inowrocławskie - Kruszwickie - Warta. Armia ta otrzymała rozkaz przyjęcia ugrupowania wyjściowego Armii tzn. pozostawała na pozycji wysuniętej broniąc Poznania.

2. IX.

Armia „Pomorze”: Dyw. Panc. niemiecka wdzierza się w rejon Wierzchucina. Nasza sytuacja na tym odcinku: 27. DP na płncy w rejonie Szlachty i na wschód, BK Pomorska w rejonie Tucholi — 9. DP w rejonie Koronowa.

W Nacz. Dtwie panuje nadzieja, a że te 3 Wlk. Jednostki koncentrycznym natarciem zniszczą Dyw. Panc. niem.

Popołudniu przychodzi wiadomość, że 27. DP odcięta i prawie całkowicie zniszczona, zaś 9. DP i BK Pomorska bardzo silnie poszarpane.

Armia „Kraków”: Bardzo silne natarcie na całym froncie prócz frontu ufortyfikowanego. Wysiłki npla precyzują się na następujących kierunkach: Częstochowa, Bielsko-Biała, Chabówka. Po południu gen. Szylling prosi o pozwolenie odwrotu. Odмова. Wieczorem (ok. godz. 20.00) po raz drugi prosi o możliwość cofnięcia się wobec stracenia Częstochowy. Pozwolenie to otrzymuje.

Armia „Łódź”: Jedynie na wysuniętych pozycjach pod Wielunem odczuwa się nacisk npla. Gen. Rómmel jest dobrej myśli. Otrzymuje polecenie cofnięcia się na Zasadniczą Pozycję Obronną.

Armia „Poznań”: zaatakowana. Otrzymuje polecenie cofnięcia się na Zasadniczą Pozycję Obronną, na co gen. Kutrzeba zgadza się bardzo niechętnie (moja rozmowa jużowa z gen. Kutrzebą), gdyż nie odczuwa żadnego nacisku npla i nie chce się dlatego wycofać z Poznańskiego.

Armie „Modlin” i „Narew”: spokój.

Rozmowy jużowe Marszałka z Dcami Armii

1-sza z gen. Bortnowskim (Pomorze) przed południem.

Gen. Szylling prosi o upoważnienie do odwrotu, w przeciwnym razie straci Armię.

Marszałek upoważnienie dał.

Charakterystyka dnia 2. IX

Armia „Kraków”, która miała stanowić piwot manewru Nacz. Wodza, pękła. Wskutek jej odwrotu tworzy się luka, która będzie się powiększała z godziny na godzinę, a której nie ma czym zatkać. Ponieważ Nacz. Wódz nie powziął zasadniczej decyzji odejścia całokształtu armii za Wisłę, los Armii „Poznań”, „Pomorze” i „Łódź” został przypieczętowany. Nastąpiło, jak się w nocy wyraziłem do gen. Malinowskiego, podcięcie strategiczne od półnia. W moim przekonaniu, w tym dniu przegraliśmy możliwość prowadzenia dalszej wojny.



W nocy z 2/3 Marszałek odprawił ppłk. dypl. Kowalewskiego, a następnie płk. dypl. Głabisza (jego pierwsi oficerowie) do Kielc, nakazując im zorganizowanie tam obrony z miejscowych garnizonów i ośrodków zapasowych, dla przykrycia wyładowań zgrupowania gen. Skwarczyńskiego i do czasu przybycia tego generała.

Decyzje które należało powziąć w nocy z 2/3 września

1) Nie wolno było dać zezwolenia na cofnięcie głębokie Armii „Kraków”. Armia ta winna była albo pozostać na miejscu i trwać

do końca w oparciu o fortyfikacje „Śląsk”, albo odskoczyć minimalnie pozostawiając przed sobą zamknięty pierścień Fort „Śląsk”, celem umożliwienia przegrupowania się na Wiśle.

2) Jeśli jednak Nacz. Wódz uznał, że dalsze trwanie Armii „Kraków” naraża ją na całkowite zniszczenie, należało powziąć decyzję następującą:

a) Armia „Łódź” i zgrupowanie Dąb-Biernacki trwa na miejscu. Ich zadanie polega na osłonie odejścia Armii „Poznań” i „Pomorze”. W razie potrzeby gen. Dąb-Biernacki kontratakuję (po skoncentrowaniu sił), aby uzyskać czas niezbędny na cofnięcie centrum.

b) Armia „Kraków” cofa się na Nidę i Dunajec, opóźniając możliwie jak najtwardziej i pozostawiając w stanie obrony Fortyfikacje „Śląsk” na swoim przedpolu.

c) Armie „Poznań” i „Pomorze” otrzymują rozkaz natychmiastowego oderwania się od npla i wyzyskując całą wydajność nóg żołnierskich wykonywują odwrót na Wisłę: „Pomorze” na Warszawę, „Poznań” między Warszawą a Pilicą.

d) Wszystkie transporty idące na Kielecczynę (3, 12, 36 D.P.) zatrzymane na Wiśle w rejonie Dęblina i Sandomierza, gdzie organizują Wisłę do obrony.

Decyzję tę zaproponowałem gen. Stachiewiczowi w nocy 2/3 września po wyjściu Marszałka (nie mogę odżałować, że nie zrobiłem tego przy Marszałku, lecz kierowałem się zbytnią lojalnością w stosunku do Stachiewicza) w następującej formie: może uznać tę decyzję za desperacką, lecz w tej sytuacji nie widzę innej. Gen. Stachiewicz uznał ją za przedwczesną. Po jego wyjściu przyszedł do mnie gen. Ujejski (Szef Sztabu Lotnictwa) pytając o sytuację. Po jej wyjaśnieniu podałem mu do wiadomości moją propozycję odejścia na Wisłę. Uznał ją jako jedynie celową. Ponieważ Niemcy podeszli do Wisły dopiero dn. 8. IX, a nawet później, Armie „Poznań” i „Pomorze” miały 6 dni czasu (naciśku na nie nie było), a więc ok. 150 km. swobodnego marszu. Mogły więc jeżeli nie dojść do Wisły to w każdym razie połączyć się z Armią „Łódź” i stoczyć wszystkie trzy, a nawet cztery (Dąb) wspólną bitwę z Niemcami. Pobici zostaliśmy kawałkami, każda armia odrębnie, po kolei.

3. IX

W wyniku sytuacji wieczornej dn. 2. IX Nacz. Wódz pobiera następującą decyzję:

Myśl Przewodnia: Pod osłoną armii „Łódź” na Warcie i Widawce i Armii „Kraków” na Nidzie i Dunajcu doprowadzić do stworzenia dwóch zgrupowań odwodów.

1-sze (w końcowej fazie koncentracji) gen. Dąb-Biernackiego w składzie 19, 29, 13 D.P. i BK Wileńska w rejonie ogólnym Tomaszowa Mazowieckiego (rejon og. Piotrków i na północ).

2-gie (w początkowej fazie transportów kolejowych) gen. Skwarczyńskiego w składzie 36, 3, 12, 39 D.P. w rejonie Kielecczynny.

Te dwa zgrupowania odwodów otrzymają po skoncentrowaniu się zadania ofensywnego działania na npla, który by się wdarł w rejon Piotrków.

W wykonaniu tej decyzji:

Armia „Kraków” otrzymuje rozkaz wycofania się z gros (23, 55, 22 D.P.) na Nidę i osłony zgrupowania gen. Skwarczyńskiego z resztą sił (21, 9* D.P. i Bgda Moto) na Dunajcu.

7. D.P. i BK Krakowska cofnęły się w nieznanym kierunku. Z chwilą dojścia do tych rzek przechodzi Armia „Kraków” pod rozkazy gen. Fabrycego.

Działania dnia 3. IX

Wydaje się, że Niemcy po osiągnięciu sukcesu na płdnie (którego się prawdopodobnie nie spodziewali w tak krótkim czasie), przegrupowują się do dalszej akcji.

a) Bombardowania lotnicze: lotnictwo npla staje się panem sytuacji. Kwatery dowództw, rezerwy, parki materiałowe, składnice, transporty stają się bezbronnym żerem lotnictwa niemieckiego.

b) *Działania ziemne*: rozpoznane dwa wysiłki:

— północ, v. Kluge po opanowaniu Pomorza, przerzuca most pod Grudziądem i uderza na Bydgoszcz.

— płdnie, v. Reichenau po przełamaniu oporu pod Częstochową wysuwa wprzód 2 Dyw. Panc. — jedną kieruje na Piotrków, drugą na Kielce.

v. Blaskowitz podsuwa się pod Armię „Łódź” i przygotowuje się do natarcia.

v. List ściga Armię „Kraków” w kierunku na Oświęcim. Pod Chabówką ciężkie walki, prawdopodobnie w tym już dniu Niemcy wywalczyli sobie przejście. Bgda Maczka cofnęła się na Bochnię.

3. i 4. IX: 22 D.P. została wylądowana w rejonie Krakowa i Trzebini. Tego dnia wskutek zatrucia się tlenkiem węgla (przebywałem w schronie Nacz. Dtwą prawie bez przerwy przez 2 dni) przestałem „funkcjonować” i odwieziony zostałem do domu. Po-

* Chyba 6. D.P. — 9. D.P. była w armii „Pomorze”.

zostałem tam przez 4. i 5. IX. Wróciłem do pracy 6. IX popołudniu.



Decyzja powyżej przytoczona wydaje mi się nierealna. (Byłem wtedy jeszcze w Nacz. Dtwie, lecz leżałem nieprzytomny). Nie została ona powzięta na podstawie kalkulacji i możliwości transportowych:

a) Zgrupowanie gen. Dąb-Biernackiego było prawie gotowe. Brakowało mu jeszcze 1-2 dni dla całkowitej koncentracji.

b) Natomiast zgrupowanie gen. Skwarczyńskiego w tym dniu przedstawiało się następująco:

36. D.P.: 5 baonów, bez Dcy Dyw. było na miejscu. Gros dywizji znajdowało się w swych garnizonach w trakcie mobilizacji powszechnej (Lwów-Czortków).

12. D.P.: całkowicie zmobilizowana (Tarnopol-Złoczów). Lecz 3. IX nie została ona jeszcze uruchomiona z powodu braku taboru kolejowego.

3. D.P.: znajdowała się w trakcie mobilizacji. Linie kolejowe bombardowane. Żadnej pewności czy transporty dojadą. Jeżeli by dojechały, wymagałoby to dobrych kilku dni. Natomiast nieprzyjaciel od rejonów wyładowniczych zupełnie prawie nieosłoniętych był odległy zaledwie o 60-80 km. Tym bardziej więc narzucała się decyzja odwrotu na Wisłę i zatrzymania na niej dla przygotowania obrony wszystkich jednostek, które zdążyły na wschód.

3. i 4. IX: 22. D.P. została wyładowana w rejonie Krakowa i Trzebini.

Uderzenie npla także na wschód Mławy na BK Mazowiecką.

4. IX

Rozpoczyna się bitwa Armii „Łódź” na Warcie pod Sieradem. 10. D.P. pryska na skutek oskrzydlenia jej od północy. Tamże miała ją osłaniać BR „Kresowa”, jednak Bgda ta nie zdążyła na czas (prawdopodobnie transportowo). Popołudniu podchodzą Niemcy na całym froncie Armii „Łódź”. Równocześnie rozpoczyna się bitwa Armii „Modlin” pod Mławą. W nocy z 4/5. IX zostaje pchnięta 8. D.P. do przeciwnatarcia, które się udaje. (Spotyka Dyw. Panc. niemiecką i sama idzie w rozsypkę).

4/5. IX

W nocy z 4/5 następuje pęknięcie Armii „Modlin” na skutek natarcia czołgów niemieckich z reflektorami, z równoczesnym podpaleniem wsi na tyłach piechoty.

Powstaje myśl uderzenia z Narwi 41.1.33, a nawet części 18. D.P. Ruchy tych jednostek zostały zarządzone, lecz uderzenie to nie doszło do skutku. Odwołane podobno z obawy, aby lotnictwo niemieckie nie zbombardowało i nie rozproszyło tych Wielkich Jednostek.

5. IX

Myśl Nacz. Wodza: uderzenie częścią Armii „Łódź” i Armią gen. Dąb-Biernackiego w kierunku na Częstochowę. Wytyczne wykonawcze tej decyzji zostały napisane, lecz nie zdążyły już wyjść. Okazały się spóźnione. Armia „Łódź” po całodziejnej walce przysła pod wieczór. Na odcinku gen. Skwarczyńskiego spokój. Tego dnia została stworzona Armia „Lublin” pod dowództwem gen. Piskora. Skład: 39 D.P. Rez., Bgda Moto płk. Roweckiego, wszystkie jednostki, które będą spływały na Wisłę.

Zadanie: obrona Wisły w pasie działania: Pilica-Sandomierz (wył.) 26. D.P. (prawoskrzydłowa dywizja Armii „Poznań”) zostaje podporządkowana gen. Bortnowskiemu (Armia Pomorza).

Przygotowane zostają uderzenia:

- gen. Dąb-Biernackiego na Piotrków-Radomsko,
- gen. Kutrzeby z rejonu Koło-Turek w kierunku Południowym.

Warszawa zostaje przygotowywana do obrony. Dtwo obejmuje gen. Czuma, szef sztabu płk Tomaszewski. Do jego dyspozycji 5. D.P., która w międzyczasie przybyła ze Lwowa.

Armia Poznań: lekki kontakt z nplem. Decyzja N. Wodza: W związku z pęknięciem 10. D.P. gen. Kutrzeba otrzymuje rozkaz uderzenia 2-ma dyw. z rejonu Koło-Turek na południe. Dzień 5. IX upływa na przegrupowaniu. Natarcie ma wyjść 6. IX. Lecz 5. IX Armia „Łódź” przysła i w nocy z 5/6 odpłynęła. Natarcie nie wyszło. V. List: grupa manewrowa (D.P. panc. + ?) po przełamaniu Chabówki osiągają Dunajec i rozpoczynają marsz na Przemyśl.

Armia gen. Dąb-Biernackiego: Skoncentrowana i gotowa do natarcia była dn. 5. IX. Nie wyszła tego dnia do uderzenia... gdyż „Łódź” pękła. Otrzymuje rozkaz oderwania z celem... na Piotrków. Lecz w międzyczasie sama podlega uderzeniu i przyska. Przestaje istnieć w dn. 6. IX.

6. IX

Natarcie na Armię gen. Dąb-Biernackiego i jej zniesienie. Uderzenie gen. Kutrzeby nie wyszło, armia bowiem gen. Rómmla już odpłynęła, odcinając wojska gen. Skwarczyńskiego od Wisły i Kielecczynny.

Zaznacza się wysiłek niemiecki na Radom (zgrupowanie gen. Skwarczyńskiego).

Decyzje Nacz. Wodza: — odwrotu Armii „Poznań” i „Pomorze” na Wisłę,

— uderzenie 1. i 41. D.P. z Pułtusza,

— przeniesienie Kwatery Głównej Nacz. Wodza do Brześcia.

Wieczorem wyjechał cały Sztab N.W. do Brześcia. Wyjechał również gen. Sosnkowski, któremu zostałem podporządkowany.

6. IX

Armia „Modlin”: Npl opanowuje Rożan, opróżniony dnia poprzedniego przez 41. D.P. Dyw. 20 i 3 cofają się mocno przetrzebione na Wisłę. W Wyszogrodzie spalono most. 20. D.P. musi defilować wzdłuż Wisły.

4-6. IX

Odwód Wyszków przeżywa dziwne koleje. Rozkazy i przeciwrozkazy.

Reasumpcja sytuacji na 6. IX.

Skrzydło południowe: Armia „Kraków”: brak wiadomości. Prawdopodobnie wycofuje się na Dunajec.

Centrum: Armia „Łódź” i Dąb rozbite. — Zgrupowanie gen. Skwarczyńskiego w ciężkich walkach odcinające się od Wisły. — „Poznań” i „Pomorze” wysunięte daleko wprzód prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem.

Skrzydło północne: odrzucone na Wisłę. Narew przerwana.

Decyzja Nacz. Wodza (reasumpcja z dn. 5 i 6. IX):

1) Utworzona zostaje nowa Armia „Lublin” pod dtwem gen. Piskora.

Zadanie: obrona Wisły w pasie działania: Pilica-Sandomierz.

Skład: 39 D.P., Bgda Moto płk. Rowckiego, 3. D.P., wszystkie wojska mobilizujące się na terenie DOK Lublin i spływające na Wisłę.

2) Obrona Warszawy, Dca gen. Czuma (już od 3. IX). Skład 41. pp + 1 dal z 29. D.P., 5. D.P., wojska spływające na Warszawę.

3) Armie „Poznań” i „Pomorze” wykonają odwrót na Wisłę, przy czym zasadniczą myślą jest, aby poszły w kierunku południowo-wschodnim omijając Warszawę.

4) Na południe od Sandomierza obejmuje Dtwo gen. Fabrycy, wchłaniając Armię „Kraków” i przybywające nowe jednostki.

5) Nacz. Dtwo przenosi się z Warszawy do Brześcia. W Warszawie pozostaje chwilowo Szef Sztabu dla zachowania ciągłości dowodzenia i kierowania za Wisłę wycofujących się Armii.

7. IX

36. D.P. rozpoczęła wyładowania w 2 zgrupowaniach:

1-sze w rejonie Tarnowa,

2-gie w rejonie gen. Skwarczyńskiego.

Przychodzi wiadomość, że nieprzyjaciel przeszedł przez Dunaiec. Gen. Rómmel zjawia się w Warszawie.

Gen. Fabrycy objął Dtwo nad Armią „Kraków” z chwilą przejścia na San. Po południu przylatuje do Brześcia od gen. Stachiewicza ppłk. dypl. Marecki z propozycją następującej decyzji:

— Zebrać armie gen. Kutrzeby i Bortnowskiego i uderzyć nimi na Łódź względnie Skierniewice.

— Gen. Thommée, który jak się okazało uratował z Armii „Łódź” 2. i 28. D.P. BK Wileńską i usadowił się z nimi w lasach pod Skierniewicami (prawdopodobnie w Puszczy Mariańskiej) będzie osłaniał to uderzenie i ewentualnie weźmie w nim udział.

— Powierzyć gen. Rómmłowi Dtwo obrony Wisły od Modlina włącznie do Pilicy.

— Gen. Przedrzymirski broni się na Bugu i w razie potrzeby zagina wschodnie skrzydło na Liwiec.

Ppłk Marecki przywiózł równocześnie wiadomość, że gen. Rómmel jest złamany i że powierzenie mu Dtwo obrony Warszawy (Armii Warszawy) zdaniem gen. Stachiewicza podciągnie go pod względem moralnym.

Marszałek Śmigły zaakceptował decyzję i napisał do gen. Rómmla odrębny list wzmacniający jego ducha.

Ppłk Marecki wrócił wieczorem samochodem do Warszawy. (Nie zastał tam już gen. Stachiewicza, który wyjechał do Brześcia gdzie przybył 9. IX).

Po wyjeździe ppłk. Mareckiego Marszałek udał się do siebie (mieszkał w innym forcie razem z gen. Kleebergiem Franciszkiem i gen. Sosabowskim).

Późno w nocy Marszałek przybył do fortu Oddziału III Szt. i zawiadomił mnie, że powziął następującą decyzję:

„Punkt ciężkości przesuwają się na południe do Małopolski Wschodniej. W związku z powyższym całokształt armii musi ulegć przegrupowaniu, a mianowicie:

1) Zostaje zwinięta cała północ i przetransportowana (co się tylko da kolejowo) na południe w rejon Wołynia i Małopolski Wschodniej. Dotyczy to zgrupowania gen. Olszyny Wilczyńskiego.

2) Zgrupowanie „Narew” odejdzie marszem pieszym.

3) 35. D.P. Rez. ma być jak najszybciej załadowana i odjazd na Lwów.

4) Wisła trzyma się najdłużej.

5) San musi utrzymać się jak najdłużej dla osłony odejścia i winien być wzmacniany czym tylko można.



Decyzja ta miała być rozpracowana w ciągu 9. IX natomiast Marszałek polecił zredagować natychmiast rozkaz odejścia z Bugu 1. 41. i 33. D.P. Pozostał następnie w Sztapie czekając na ukończenie redakcji krótkiego zresztą rozkazu, a po jego podpisaniu, osobiście odprawił kuriera (mjr dypl. Napieralski), polecając mu pośpiech i nakazując Dywizjom jak najszybsze wycofanie się za Bug.



Decyzja ta była dla mnie prawdziwym zaskoczeniem. Przy-niesiona ona mi została osobiście przez Marszałka ok. godz. 1.00 w nocy gdy rozstałem się z nim ok. 10-ej po odejździe ppłk. Mareckiego, który wioził do gen. Stachiewicza zatwierdzenie koncepcji uderzenia armii gen. Kutrzeby na flankę npla w kier. na Łódź względnie Radom i w obronie całej armii „Modlin” na Bugu-Narwi i Bugu. Jakie były elementy tej decyzji nie wiem do dnia dzisiejszego. Ponieważ jednak nazajutrz tj. 9. IX gen. Sosnkowski wyjechał do Lwowa, z tym, że jak mi Marszałek zakomunikował ma on przygotować obronę Małopolski Wschodniej, mogę się jedynie domyslać, nie mając żadnej pewności że powzięta ona została w porozumieniu z gen. Sosnkowskim.

Jeśli chodzi o mój osobisty pogląd na sytuację operacyjną to od tragicznej nocy z 2/3 września nie łudziłem się, że klęska zbliża się szybkimi krokami. Obezwładniony w łóżku od 3-go popołudniu, w chwilach przytomności widziałem jedyne rozwiązanie skupienia obrony na Wiśle i Sanie, z tym, że licząc się z przerwaniem Sanu na południu i Bugu na północy, widziałem m.p. Nacz. Wodza w samej Warszawie, względnie bezpośrednio na Wschód. Przewidywałem skupienie wojsk dookoła centrum Polski, tj. dookoła rejonu Warszawy, aby tu wytrzymać do chwili ofensywy Francji i Anglii. W tym duchu pisałem notatkę w łóżku do gen. Stachiewicza, posłaną przez lekarza płk. dr. Cienciare. Bezpośrednio przed opuszczeniem schronu Nacz. Wodza dn. 3. IX wieczorem gen. Stachiewicz poinformował mnie, że przewidując bitwę w rejonie Łodzi, Nacz. Wódz ma zamiar udać się tam, aby bitwą tą kierować. 4. IX lub 5. IX przeprowadziłem kalku-

lacje sił i wykazałem gen. Stachiewiczowi, że Nacz. Wódz musi być tam gdzie znajduje się gros sił i to gros widziałem na samej Wiśle, a nie w rejonie Łodzi. Wyciągnąłem wtedy wniosek, że Nacz. Wódz musi znajdować się w Warszawie, w każdym razie na prawym brzegu Wisły nie zaś na lewym. Pisałem wtedy dalej, że zagadnienie według mego zdania najistotniejsze to nie pozwolić się odciąć od wojsk.

Zaskoczenie moje było całkowite, gdy dnia 6. IX po południu otrzymałem w domu telefon zawiadomijający mnie, że wieczorem Kwaterna Nacz. Dtwa przenosi się do Brześcia. Zwlokłem się z łóżka i pojechałem do Nacz. Dtwa. Zastałem tam już rozkazy palenia wszystkich akt i przygotowania do wyjazdu. Kmdt Kwatery Głównej wyjechał rano do Brześcia, aby przygotować pomieszczenia. Pomijając już fakt, że Brześć nie był zupełnie przygotowany i urządzony na m.p. Nacz. Dtwa, że zrywaliśmy łączność z Armiami, odrywaliśmy się od wojsk, mogliśmy każdej chwili być od nich odcięci i przestać nimi dowodzić. Opuszczaliśmy Warszawę prawdopodobnie dlatego, że Armia „Łódź” pękła, a Niemcy mogli każdej chwili zbliżyć się do Warszawy.

Kiedy Marszałek w nocy z 8/9. IX podyktował mi swoją decyzję widziałem jasno dwie koncepcje:

1-sza: Kontynuować bitwę na Wiśle i Bugu, mając na przedpolu Kutrzebę i Bortnowskiego, przebijającego się na Radom względnie Warszawę.

Lecz w tym wypadku miejsce Nacz. Wodza widziałem nie w Brześciu lecz w Warszawie. Albowiem uderzenie niemieckie z Prus na Bug (na gen. Przedzimirskiego) lub na Narew (na gen. Młota-Fijałkowskiego) wcześniej czy później musiało doprowadzić do przerwania i w tym wypadku musieliby oni zaginać na Warszawę, która przekształcałaby się na rejon warowny.

2-ga: To stworzenie jednego wielkiego rejonu obrony, początkowo otwartego, następnie zamkniętego, tj. rejon Warszawy-Modlina-Bugo/Narwi i środkowej Wisły, powierzając dowodzenie jednemu Dcy, dysponującemu armiami: Kutrzeba, Bortnowski, Przedzimirski, wszystkie zaś inne siły ściągnąć transportami i pieszo z Małopolski Wschodniej i Wołynia.

Przekonanie moje szło w kierunku koncepcji pierwszej z tym że zdawałem sobie sprawę, iż duża ilość sił nie związana z Wisłą musi być dowodzona, a więc musi być wyznaczony Z-ca Nacz. Wodza, który będzie nimi dowodził kierując je na południowy-wschód.

Decyzja Marszałka szła w kierunku tej drugiej koncepcji. Decyzji tej nie dyskutowałem. Marszałka znałem zbyt mało, abym rozpoczynał z nim dyskusję, zwłaszcza, że znałem tylko część

elementów, a Marszałek nie ujawniał mi motywów. Zwróciłem mu niemniej uwagę na dwie okoliczności:

1-sza: odrywając 1. 41. 33. D.P. z Bugu pozostawia prawe skrzydło obrony Warszawy i mającej się rozpocząć bitwy na jej przedpolu w powietrzu.

Marszałek odpowiedział mi, że skrzydło to ma drugorzędne znaczenie dla bitwy na przedpolu Warszawy (z czym całkowicie się zgadzałem), jeśli zaś zostanie zepchnięte na Warszawę to nastąpi w niej zmasowanie sił zbyt trudne dla żywienia. Lecz najważniejsze to, że straci je dla obrony Małopolski.

2-ga: Niepokoiło mnie zabranie 35. D.P., stanowiącej jedyny rozporządzalny odwód na wypadek gdyby stało się jakiekolwiek nieszczenie u gen. Młot-Fijałkowskiego.

Na tę drugą obiekcję otrzymałem powtórzenie decyzji i polecenie przygotowania transportów i załadowania dywizji.

9. IX

Przed południem: rozmowa z ppłk. angielskim, z-cą gen. Carton de Viart. Opisuję ją na innym miejscu.

Po południu przybył gen. Stachiewicz. Nie zgodził się z decyzją Marszałka i zrugął mnie, że dopuściłem do wycofania 1. 41. 33. D.P. Przekonał Marszałka, że decyzję tę należy zmienić i wieczorem wyjechało 3-ch kurierów do 1. 41. 33. D.P. polecając im pozostanie w obronie na Bugu. Kurierzy jak to było do przewidzenia przybyli za późno, kontr-rozkazy spowodowały zamieszanie. Gen. Stachiewicz miał jedną ideę. Doprowadzić bitwę gen. Kutrzeby. Lecz zdaniem moim należało wtedy myśl tę doprowadzić do końca to znaczy przejść na moją koncepcję Nr 1 i wrócić do Warszawy. Bitwa gen. Kutrzeby mogła zacząć się najwcześniej 9-10. IX i musiałyby w najszcześniejszym wypadku trwać 3-4 dni. Pozostawanie Nacz. Wodza w tym czasie w Brześciu to z jednej strony niemożność kierowania tą bitwą, gdyż łączność była nastawiona na Warszawę, nie zaś na Brześć, z drugiej strony uzależnienie się Nacz. Wodza od drobnego nawet patrolu panc. niem., który mógł wpaść do Brześcia, pozostającego całkowicie bez obrony.

Późnym wieczorem przyszła wiadomość, że Dyw. Panc. niem. zniosła Wiznę, rozbiła tamtejsze fortyfikacje i załogę i skierowuje się na południe. W ślad za nią dąży piechota niemiecka.

10. IX

Dyw. panc. nie mogąc przejść Bug pod Brześciem, przechodzi pod Małkinią, skąd kieruje się na Warszawę. Inna Dyw. panc. łamie fort pod Wizną. B.K. Suwalska i Podlaska odrzucone zostają na puszcę Białowieską.

Reasumcja rozkazów wydanych w dniach 9, 10, 11. IX

1. *Zgrupowanie Grodno* (gen. Olszyna-Wilczyński, dotychczasowy Dca OK Grodno).

KOP strzegący granicy litewskiej i bolszewickiej pozostaje na miejscu. Wszystkie inne oddziały, łącznie ze zgrupowaniem Ossowiec i ośrodkami zapasowymi odjeżdżają na południe transportami kolejowymi.

Gen. Olszyna odjeżdża wtedy, gdy gros zostaje załadowane, skieruje się do Pińska, gdzie przechodzi do pomocy i pod rozkazy gen. Kleeberga Franciszka.

Kolejowo miały być transportowane następujące jednostki:

— *Zgrupowanie Grodno*: 7 baonów piech., 2 szwadrony K.M., 1 bat. marszowa, 2 pl. art. plt. 40 m/m półstałej, 3. pułk KOP'u 42. DAL (obrona Puszczy Augustowskiej) — *ładowanie w Grodnie*.

— *Zgrupowanie Ossowiec*: Pułk piechoty, DAL, Obsada fort. Ossowiec (z 33. D.P.) — *ładowanie w Białymstoku*.

Decyzję powyższą przekazałem osobiście gen. Olszynie-Wilczyńskiemu dn. 10. IX prosząc go o dokładne podanie ilości jednostek i transportów, celem ich podstawienia. Albo w nocy z 10. IX albo 11. IX gen. Olszyna wezwał mnie do juza i oświadczył, że dotychczas nie był w walce, nie widzi powodów dlaczego ma wykonać tak głęboki odwrót i rozkaz wykona tylko wtedy jeżeli zostanie mu powtórzony przez Marszałka. Udałem się do Marszałka, który przyszedł do juza i rozkaz swój powtórzył. Świadkiem tej rozmowy po drugiej stronie (tj. w Grodnie) był płk ...

1. *Zgrupowanie Polesie* (Grupa oper. Poleska).

Gen. Kleeberg otrzymał rozkaz (już 9. IX) zorganizowania obrony Polesia od północy i zachodu, z włączeniem do systemu obrony Brześcia.

3. *Grupa Op. „Narew”*, wycofuje się na Brześć-Kałuszyn.

Armia „Modlin” w składzie 1., 41., 33. D.P. wycofuje się na Łuków-Parczew. Obydwie te wielkie jednostki przechodzą pod rozkazy gen. Dąb-Biernackiego, który otrzymuje jako ogólny kierunek odwrotu dla swojej Grupy Armii: Międzyrzec-Włodawa-Hrubieszów. Ostateczny rejon obrony: Hrubieszów-Włodzimierz.

Uwaga: gen. Dąb-Biernacki otrzymał rozkazy dn. 10. IX wieczorem bezpośrednio od Marszałka i Stachewicza. Pierwsze zaś rozkazy otrzymała Grupa „Narew” i Armia „Modlin”, bezpośrednio od Nacz. Dtw.

4. *Obrona Warszawy i Modlina*.

Grupa Armii gen. Rómmła w składzie:
— dotychczasowa Armia „Modlin” 8. i 20. D.P., BK Mazowiecka i Nowogródzka),
— całokształt obrony Warszawy i to co na nią spłynię,
— Zgrupowanie płk. Grobickiego, BK Kresowa, Pułk KOP'u broni Modlina i Wisły od Modlina do Pilicy, jako odosobnione centrum walki.

5. *Armia Wisły* gen. Piskora broni Wisły od Pilicy do Sandomierza siłami wchodzącymi już w O. de B. armii i tymi które się mobilizują na jej terenie.

Gen. Piskor otrzymuje ponadto rozkazy:

a) zbierać wszystko co przechodzi przez Wisłę i nie jest zdolne do walki (bez broni, zdemoralizowane) w rejonie Lubartowa, następnie kierować na Chełm, gdzie postawiona jest do jego dyspozycji kolumna autobusowa,

b) zorganizować punkty zborne w Chełmie i Krasnymstawie,

c) zorganizować na przejściach Bugu punkty zamykające i zatrzymujące cofające się oddziały,

d) podporządkowana mu zostaje „Wołyńska” Bgda Kaw.

Zadanie gen. Piskora polegało na obronie Wisły do czasu odejścia gen. Dąb-Birenackiego. Następnie miał się on wycofać przez Kraśnik-Lublin na Tomaszów. Ostateczny rejon obrony Tomaszów-Rawa Ruska.

6. *Gen. Sosnkowski* obejmuje Dtwo całokształtu obrony Małopolski Wschodniej z podporządkowaniem mu dotychczasowej Armii „Kraków” i „Karpaty”, ponadto wszystkimi jednostkami, które kolejowo i pieszo sływać będą z północy.

7. *Gen. Kutrzeba* kontynuuje bitwę z tym, że przebija się nie na Radom lecz Warszawę.

Geneza zmiany decyzji (przebijania się na Warszawę nie na Wisłę) była następująca: zarówno Marszałek jak i gen. Stachiewicz pragnęli aby gen. Kutrzeba przebijał się na Radom, przekroczył następnie Wisłę i dołączył do zgrupowania południowego. Lecz obaj oni pracowali na mapie 1 : 500.000 i nigdy nie operowali cyrklem, wskutek czego nie posiadali wyczucia odległości. „Na oko” przestrzeń 10 cm. wydawała się niewielka, lecz w rzeczywistości wynosiła 50 km. Ja pracowałem na mapie 1 : 300.000 i z cyrklem. Wymierzyłem więc odległości i zakomunikowałem Stachiewiczowi, że jeśli nawet uda się gen. Kutrzebie przebić przez Radom i dotrzeć do Wisły to przemarsz na południe będzie trwał 2-3 tygodnie. W związku z powyższym gen. Kutrzeba otrzymał decyzję przebijania się na Warszawę i wzmocnienia jej obrony.



W częściowej zmianie decyzji gen. Rómmel otrzymał następnie rozkaz zatrzymania piechoty, zwolnienia zaś kawalerii i skierowania jej na Parczew, gdzie miała przejść pod rozkazy gen. Dąb-Biernackiego. W szczególności Marszałkowi zależało na Bgdzie Nowogrodzkiej gen. Andersa i w jego sprawie poszło kilka depeš *clear'em* nazywając Andersa: Pościgowcem.



10. IX

Wieczorem przybyły do Nacz. Dtwa dwie wiadomości: 1-sza od gen. Kutrzeby: Bitwa rozpoczęła się — „Tadeusz”, 2-ga — Siemiatycze, 60 km. na północny-zachód od Brześcia zajęte zostały przez oddziały pancerne niemieckie.

11. IX

Wieczorem Nacz. Dtwo wyjechało z Brześcia na nowe MP do Włodzimierza.

12. IX

Zameldował się u Nacz. Wodza gen. Skwarczyński i gen. Paszkiewicz.

Dziwne to było zameldowanie dwóch generałów Dców Wielkich Jednostek bez wojsk. Żołnierze w niewoli, dowódcy sami u Nacz. Wodza. W tym dniu (odsyłacz na marginesie „nie wcześniej 10 lub 11. IX, jeszcze w Brześciu”) przybyła pierwsza wiadomość o gen. Szyllingu. Brak wiadomości o nim trwał bodaj od 4. IX. Przeprawił się przez Wisłę pod Baranowem, następnie przez San pod Rozwadowem. M.p. Biłgoraj. Posłana mu została ogólna instrukcja orientująca go w całokształcie decyzji Nacz. Wodza i zawiadomienie o podległości gen. Sosnkowskiemu. Do czasu otrzymania rozkazów od gen. Sosnkowskiego, otrzymał zadanie obrony Sanu.

Wiadomości, że Niemcy przekroczyli Wisłę pod Górą Kalwarią, Dęblinem i Sandomierzem, San pod Rozwadowem.

Do gen. Sosnkowskiego skierowane zostały (na Tomaszów Lubelski) 2 dyony 220 m/m (3-ci Dyon pozostał w obronie Warszawy) i 6. Dyon 120 m/m moto (2 inne Dyony 120 m/m mobilizujące w..., w Modlinie pozostały tamże w obronie Modlina).

O ile mi wiadomo dyony 220 m/m nie dotarły do Lwowa. Ani wiadomości z armii odchodzących, ani pozostających nie otrzymano. Wskutek ciągłych zmian MP Nacz. Dtwa, łączność z armiami przestała funkcjonować.

Gen. Sawicki znajdujący się w Włodzimierzu otrzymuje polecenie przygotowania Włodzimierza do obrony zamkniętej.

13. IX

W tym dniu powstaje koncepcja tzw. „Przedmościa Rumuńskiego”.

Podstawy Planu Koncepcji.

Ciężkie walki na przedpolu Warszawy i kalkulacja wskazywały, że połączonych armii gen. Kutrzeby i Bortnowskiego nie będzie można ściągnąć na południe. Zaawansowanie Niemców na kierunkach: Lwowa, Sanu, (podejście pod Hrubieszów) i Brześć, jak również rozproszenie naszych wojsk, nie dawało gwarancji, że Obrona Małopolski Wschodniej i Wołynia będzie mogła być zorganizowana dosyć wcześnie, aby stawić poważny opór.

W związku z powyższym intencją Nacz. Wodza było stworzenie 3 zasadniczych baz walki:

(wstawka z marginesu: Wiadomość, że Niemcy przekroczyli Wisłę pod Górą Kalwarią, Dęblinem i Sandomierzem, San pod Rozwadowem. Lekkie wysunięte el. pancerne podchodziły już 12-go i 13-go pod Hrubieszów, a nawet Włodzimierz).

1-sza pod Warszawą. Gen. Kutrzeba i gen. Thomme po dojeździe do Warszawy mają stanąć obronnie po obu stronach Wisły, z objęciem Modlina i wytrwać do końca.

2-ga na Polesiu. Gen. Kleeberg Franciszek ma zorganizować zamkniętą obronę Polesia.

3-cia na Pokuciu. Zorganizowane zostaje Przedmoście na linii rzek: Dniestru i Stryj w oparciu o komunikacje z Rumunią.

Niezależnie od tych trzech baz walki miały powstać izolowane rejonu obrony: Lwów, Lublin, Brześć, Włodzimierz (te dwa ostatnie zostały już zorganizowane bezpośrednio przez Nacz. Dtwo: Brześć pod Dtwem gen. Plissowskiego, Włodzimierz pod Dtwem gen. Sawickiego), Przemyśl, Tarnopol, Sokal.

W ciągu dnia 13. i 14. IX wysłane zostały rozkazy do:

1. Gen. Rómmela (przez lotnika i w skrócie przez radio) orientując go w dycyzji Nacz. Wodza i żądając wyprowadzenia przez Wisłę na zachód i skierowanie na południe wszystkich wojsk, które nie są niezbędne dla obrony Warszawy. Chodziło w tym wypadku przede wszystkim o kawalerię, zwłaszcza o Bgdę gen. Andersa, który miał natychmiast dołączyć do skrzydła gen. Przedrzymirskiego i z nim razem odchodzić na południe.

2. Gen. Sosnkowskiego (przez of. samochodem i lotnika) powierające mu zorganizowanie przedmościa i Dtwo i polecające skierowania na nie jak najszybsze 3-ch Dyw. Piech. (11., 24., 38.) znajdujące się na zachód od Lwowa, celem niedopuszczenia npla

z zachodu i południowego-zachodu do województwa Stanisławowskiego.

14. IX

Wieczorem dn. 13. IX Nacz. Dtwo opuściło Włodzimierz Wołyński, pozostawiając tam ośrodek łączności pod dtwem ppłk. dypl. Mareckiego, udając się do nowego m.p. Kołomyja.

Dzień 14. IX spędzono w Młynowie, skąd znowu odleciał samolot w poszukiwaniu gen. Sosnkowskiego.

Dn. 15. IX wczesnym rankiem przybyło Nacz. Dtwo do Kołomyi.

15. IX

Po przybyciu do Kołomyi Plan Nacz. Wodza został w szczegółach opracowany i rozkazy (dokład tylko można było) wysłane.

Przedmoście Rumuńskie

1) *Zarys: Halicz-Zydaczów-Skole.*

Równocześnie rozpracowany, rozpoznany i częściowo obsadzony został zarys przedmościa zmniejszonego, dającego lepsze warunki terenowe do obrony, a mianowicie:

Dniestr-Halicz-Kałuż-Perehińsk — w oparciu o masyw Czarnego Lasu.

Przedmoście Rumuńskie traktowane było jako ostateczny rejon obrony, gdyby nie udało się npla zatrzymać na jego przedpolu. Na przedpolu przewidywano, zależnie od nacisku npla i przybywania wojsk, obronę rejonów:

- masyw górski Gołogóry, łącznie z bramą Złoczów,
- masyw leśny Bóbrka,
- rejon Drohobycz-Borysław.

2) *Spytywanie wojsk:*

Armia gen. Sosnkowskiego: Przechodzi na zachód od Lwowa i obsadza następnie pozycję od Dniestru do Karpat włącznie. Liczono, że z armii tej będzie mogło dojść do przedmościa co najmniej 3 Dyw. Piech.: 11., 24., 38., Bgda Moto, Bgda Górską (Bgda N. Sącz, połączona z Bgdą Sanok).

Armia gen. Piskora, łącznie z armią gen. Przedrzymirskiego i Bgdą Kaw. gen. Andersa. Nastawiona została na wschód od Lwowa na kierunki: Zamość-Tomaszów-Chełm-Hrubieszów-Sokal, po czym zależnie od położenia ewentualnie na Brody-Złoczów. Liczono, że z armii tych będzie można uzyskać wartość 3-ch do 4-ch D.P. i 1-ną Bgdę Kaw.

Armia gen. Szyllinga. Położenie jej było nieuchwytne. Ostatnie wiadomości umiejscowiły ją w lasach biłgorajskich, z tym,

że npl przerwał się przez San w rejonie Rozwadowa. Przewidywano dla niej odejście na zach. Lwowa względnie dołączenie do gen. Piskora.

Liczono, że 1-2 D.P. będzie można z tej armii uratować.

Grupa Oper. „Narew”. Skierowana została poprzednimi rozkazami na Brześć. Wiadomości otrzymane wskazywały, że odchodzi na Puszczę Białowieską. Miała więc pozostać w obronie Polesia, odsyłając na Pokucie kawalerię.

Zgrupowanie „Grodno”. W transportach kolejowych znajdowały się następujące jednostki: 35. D.P. (okazało się, że została wciągnięta do obrony Lwowa).

2 pułki KOP'u + ok. 7-10 Baonów marszowych.

Ośrodki zapasowe. Wreszcie wszystkie ośrodki zapasowe z Wołynia, z Łucka i Małopolski Wschodniej miały spływać na przedmoście.

Art. ciężka i czołgi. 2 dyony 220 m/m + 1 dyon 120 m/m, Baon czołgów R-35.

Razem: obliczano wartość najmniej 10 Wielkich Jednostek. Organizacja przedmościa: gen. Paszkiewicz, gen. Kowski, płk Rudka (kwatery.).

W wykładach w Vichy podzieliłem Przebieg Kampanii Wrześniowej na następujące okresy:

Okres 1-szy — 1-3. IX: Strategiczne podcięcie.

Okres 2-gi — 3-6. IX: Decyzja cofnięcia się za Wisłę.

Okres 3-ci — 7-8. IX: Decyzja bitwy armii „Poznań” i „Pomorze”.

Okres 4-ty — 9-11. IX: Decyzja odwrotu z Bugu i Wisły.

Okres 5-ty — 12-16. IX: Przedmościa Rumuńskiego.



17. IX — W nocy z 16/17 września ambasador Grzybowski (w Moskwie) otrzymał notę rządu rosyjskiego podpisaną przez Mołotowa, w której rząd sowiecki komunikował, że dla zabezpieczenia interesów rosyjskich oraz udzielenia pomocy ludności białoruskiej i ukraińskiej, wojska sowieckie otrzymały rozkaz przekroczenia granicy polskiej dn. 17. IX o godz. 6-tej rano czasu moskiewskiego. Jednocześnie nota stwierdza, że rząd rosyjski wobec konfliktu polsko-niemieckiego pozostaje neutralny, zaś zawarte z rządem polskim umowy wobec faktycznego nieistnienia państwa polskiego, uważa za wygasłe.

17. IX — Zajęte na północy Głębokie i Mołodeczno na południe Równo, Dubno, Tarnopol, następnie Sowiety posuwają się na południe dla odcięcia sił polskich od Rumunii. W dniach następ-

nych zajęty został Stanisławów i Halicz. Przednie straże zbliżają się do Lwowa i Wilna.

22. IX — Wśród krwawej walki zajęto Wilno, Grodno i Białystok, tego dnia kapitułuje Lwów.

Diariusz wydarzeń:

2. IX — Mobilizacja francuska (czy nie 3. IX?).

9. IX — Ambasador francuski Noël sugeruje myśl przeniesienia najwyższych władz do Francji i stamtąd kierowania dalszą wojną.

9/10. IX — Gen. Sosnkowski: minister koordynacji — wicepremier (?).

11. IX — Beck dyskutuje z Noëlem ewentualne przeniesienie władz naczelnych do Francji, która się godzi.

13. IX — Wpływy Faury'ego na Becka w Krzemieńcu celem cofnięcia się na terytorium Rumunii.

17. IX — Rozkaz Śmigłego wyjazdu do Kosowa.

17. IX — Godz. 20.00 premier melduje Marszałkowi, że Sowiety weszły do Śniatynia. Wiadomość okazała się mylna.

18. IX — Marszałek pozostaje na moście w Kutach wobec złego traktowania wojska przez władze rumuńskie.

Błędy pomniejsze:

— Armia Karpaty słaba, właściwie nie istnieje.

— Armia „Kraków” zneglizowała kierunek przez Chabówkę, który wyprowadzał wprost na tyły Armii „Kraków”. Poślany tam w ostatniej chwili 12 pp i Bgda Kaw. były niewystarczające. Ten tak ważny kierunek został przez tę Armię zaniedbany, a Naczelne Dtwo nie wezwało gen. Szyllinga do jego zamknięcia.

2. IX. — Oddanie 22. D.P. do dyspozycji Armii „Kraków” zamiast Armii „Karpaty” odsłoniło całkowicie tyły Armii „Kraków”. Ta ostatnia myślała wyłącznie o froncie, zaniedbała flankę. 22. D.P. posłana została do Chrzanowa. Dywizja ta żadnej roli nie odegrała, natomiast mogła skutecznie zamknąć przejście przez Chabówkę. Szerokość frontu gen. Szyllinga wymagała większej obsady, której Nacz. Wódz dać nie mógł, bo sił nie posiadał.

— Dowodzenie (Nacz. Dtwo) nie armiami lecz poszczególnymi Wielkimi Jednostkami Bgdy Kaw. Suwalska, Podlaska. Poszczególne D.P. np. 33., 41. Brak aktywności natarcia ze strony Nacz. Dtwo.

— *Dowodzenie Naczelne:* Nie zostały przeprowadzone gry wojenne i studia dla sprawdzenia Koncepcji Planu Obronnego i poprawienia systemu dowodzenia. Jeżeli chodzi o Plan Zachodni

to nie było na to czasu, gdyż zasadnicza decyzja powzięta została w marcu a wojna wybuchła już we wrześniu. Gra wojenna musiałaby doprowadzić do stwierdzenia, że: a) Dcy Frontów byłiby się okazali nieodzowni. Nacz. Wódz nie mógł opanować dowodzenia poszczególnymi armiami. Szczególnie jaskrawo okazało się to na skrzydle północnym. Jeden dowódca powinien dowodzić tutaj: Grupą Oper. Narew, Armią Modlin i Odwozem Wyszaków. Nacz. Dtwo kierowało na tym odcinku w dniach 3-10. IX nawet poszczególnymi dywizjami. W mniej jaskrawy sposób dał się odczuć brak Dcy Frontu również na południu.

Prawdopodobnie doszłoby się do wniosku, że Armia „Poznań” powinna być zlikwidowana i rozparcelowana między armie „Toruń” i „Łódź”, którym osłaniała bok i tyły — obawa dekonspiracji poszła tak daleko i w skutkach okazała się zgubna:

a) duchowa: — osobiście nie byłem informowany o zagadnieniach politycznych, znajdowałem się wobec wypadków jak tabaka w rogu. Nie rozumiałem szeregu decyzji np. Mob DOK IX (wynik pierwszego żądania Hitlera), Mob DOK II i przewiezienie wojsk pod Toruń-Bydgoszcz (wynik akcji Gdańskiej).

— Dcy Armii nie zostali wtajemniczeni w dalsze zamiary Nacz. Wodza.

b) Terenowe — Obawa przed dekonspiracją ugrupowania wyjściowego. Konsekwencje: 1., 19., 29. D.P. i B.K. Wileńska spóźnione, nie zostały skoncentrowane na czas.

25. D.P. zaskoczyła wojna w rejonach Mob (Kalisz-Ostrów-Krotoszyn) zbyt blisko granicy, zbyt daleko od swych rejonów wyjściowych).

Przygotowania obronne terenu od marca do września 1939.

1. Fortyfikacje stałe:

a) wykończono całkowicie i obsadzono:

Grupa Op. „Narew”: Ossowiec, Wizna, Nowogród, Augustów, Marynarka Wojenna: zamknięcie Helu od strony lądu;

b) rozpoczęto budowę i obsadzono:

Armia „Kraków”: Brynica, Nikołów, Żywiec;

c) przestudiowano i częściowo rozpoczęto:

Armia „Kraków”: Jordanów, Chabówka,

Armia „Karpaty”: Nowy Sącz.

2. Fortyfikacje pol. stałe (betonowe schrony polowe):

Każda armia otrzymała kredyt, kierownictwo robót i materiały na budowę ok. 200 schronów typu polowego.

3. Fortyfikacje polowe:

- Zasieki, przeszkody ppanc. itd. wykonywały armie indywidualnie otrzymując materiały ze Sztabu Głównego.
4. We wszystkich armiach w pasie przyfrontowym i w głębi kraju przystąpiono do wykonywania komór minowych i załadowano je częściowo jeszcze w okresie pokojowym.
 5. *Zalewy:*
Grupa op. „Narew”: Biebrza, Narew,
Armia „Modlin”: Działdówka, Orzyc,
Armia „Pomorze”: Ossa, Drwęca, Brda,
Armia „Łódź”: Widawka,
Armia „Kraków”: Brynica, Gostynka.
 6. *Budowa mostów:*
Wiśła dzieląca strategicznie Polskę na 2 części posiadała zaledwie nieliczne mosty.
Wybudowano wspólnym wysiłkiem Min. Kom. i Insp. Saperów: na Wiśle: 8 mostów drewnianych, stałych, w tym 6 dla ruchu dwustronnego, 2 dla ruchu jednostronnego, a mianowicie: Modlin, Świder, Góra Kalwaria, Maciejowice, Solec Sandomierski, Baranów, Nowy Korczyn, Mogiła.
Na Warcie: 2 mosty w rejonie Poznania dla celów mob.
Na Pilicy: 2 mosty dla celów manewrowych.

Vichy, 4. 5. 1940

W okresie mej paryskiej bezczynności wojskowej doszły do mnie dwa głosy na temat Planu Operacyjnego i osobistego mego w nim udziału. Głos pierwszy pochodził z cywilnych kół polskich (Prezydium Rady Ministrów — Ullman), głos drugi z kół wojskowych francuskich (Faury).

Obydwa te głosy twierdziły, że jestem twórcą Planu Oper. Wyznaję, że poruszyły one moją ambicję czy też próżność wojskową. Były uznaniem dla mojej indywidualności, która potrafiła narzucić swój autorytet tak wybitnie zarysowanym indywidualnościom jakimi są gen. Stachiewicz i marsz. Śmigły.

Mogą panowie ci się uspokoić. Niestety decyzję i koncepcję ogólną otrzymałem gotową.

Lecz jeśli włożyłem całą duszę i poświęciłem bez żadnej reszty, bez chwili odpoczynku cały mój czas od marca do września w rozpracowanie i wykonanie tej koncepcji, to dlatego, że nie widziałem wtedy i nie widzę dzisiaj koncepcji lepszej w ówczesnych naszych warunkach geograficznych i militarnych.

Nie znaczy to, abym nie widział w Planie tym rys i niedociągnięć:

1. Interwencja Gdańska była szkodliwa. Pozbawiała Nacz. Wodza trzech Dyw. Piech. i jednej B.K. od pierwszego dnia wojny. W razie jej skutecznego odcinała natychmiast cały Korpus Interwencyjny od gros wojska.

Lecz interwencja ta nie była częścią składową Planu.

2. Odwód Główny był za słaby. Można było zaoszczędzić 1-ną D.P. z Armii „Poznań” i 1-ną z Odvodu Kutno, a może nawet 1-ną D.P. z Armii „Pomorze” na korzyść Odvodu Głównego.

3. Brakowało Dców Frontów czy też Grup Armii. Naczelny Wódz nie mógł opanować dowodzenia 11 Wielkimi Jednostkami, które w dodatku nie posiadały swoich organizacyjnych Dców (Odwód Kutno i Wyszków).

4. Między Armią „Łódź” i „Kraków” niezbędną była Sam. Grupa Oper. z kierunkiem odejścia na Świętokrzyskie Góry, przygotowując w ten sposób wejście w akcję Odvodu Głównego.

5. Armia „Karpaty” była zasadniczo za słaba.

Takich niedociągnięć było więcej, lecz są one szczegółami w strategicznej całości. Nie one spowodowały załamanie się Planu.

Niezależnie od dysproporcji uzbrojenia, która kazała się nam bić 2 baonami czołgów przeciwko 28, 400 samolotami przeciw 3.000, niezależnie od Wisły, która dzieliła Polskę strategicznie na dwie połacie i po zniszczeniu na niej mostów mogła uniemożliwić wszelką komunikację i w ten sposób rozzerwać Polskę na dwie niezależne części, niezależnie od braku fortyfikacji stałych, które pozwoliłyby przy tej przewadze jaką posiadały Niemcy, zwiększyć zdolność naszego oporu i przeprowadzić ekonomię sił, niezależnie więc od tych wszystkich czynników z których każdy sam w sobie, w mniejszym lub większym stopniu stawał się przyczyną klęski, widzę trzy zasadnicze przyczyny załamania się Planu. Pierwsza jest natury strategicznej, druga mobilizacyjnej, trzecia motoryzacyjnej.

Pierwsza: Dziwaczna struktura naszej granicy skazywała nas z góry na klęskę.

Prusy Wschodnie wiszące swym ciężarem nad centrum Polski, a wyciągniętym przez polskie Pomorze niemieckim ramieniem nad całą północą stwarzały same przez się koncepcję manewru. Po aneksji Czech i Słowacji powstaje na południu drugie ramię poprzez Śląsk i Słowację.

Te dwa ramiona gotowe do zaciśnięcia się dyktowały manewr niemiecki, lecz równocześnie uniemożliwiały jakkolwiek odpowiedź.

Druga: Sparalizowanie mobilizacji i koncentracji. Gdybyśmy zdołali zmobilizować się i skoncentrować wszystkimi siłami, gdyby Nacz. Wódz dysponował przewidzianymi odwodami i wprowadził je w akcję bojową wtedy — nie ulega najmniejszej wątpliwości byliśmy również pobici — byłyby straty dziesięciokrotnie większe lecz cóż znaczą ofiary ludzkie i krew przelana wobec honoru żołnierskiego, kiedy jaśniałby dzisiaj promiennym blaskiem.

Trzecia: Motoryzacja.

Armia polska nie była zmotoryzowana. Wpłynęło to w sposób kapitalny na Koncepcję Planu, który dostosowywał manewr do pojęć 1914-1920 r. Plan nasz odpowiadał operacjom w r. 1920, jego podstawą były nogi żołnierskie, zdolne do wykonania dziennego marszu 30 km., nie zdolne do przeprowadzenia wyścigu z motorami niemieckimi. Przestrzeń, którą Dywizja polska pokonywała w ciągu całej nocy odrywając się od npla, Dywizja niemiecka wykonywała w ciągu godziny, nie dając żadnej możliwości zainstalowania się na nowej pozycji, ani na odpoczynek.

Zbyt wielka dysproporcja...

Przed wszystkim laicy lecz również wojskowi krytykują dzisiaj Plan Operacyjny. Jest to zupełnie zrozumiałe. Szukamy uspokojenia naszego sumienia, bo nikt z nas — lecz tylko w rozmowie z samym sobą — nie czuje się bez winy.

Lecz ci, którzy krytykują Plan — nie podają recepty na inny, który byłby zbawił Polskę. Krytykować dzieło stworzone, zwłaszcza dzieło obalone — jest i proste i łatwe. Podejmuję się wyznać szereg ujemnych stron w każdym najlepszym planie operacyjnym czy taktycznym, lecz nie podejmuję się stworzenia najprostszego planu, który mógłby być uznany za doskonały.

Plan francuski Joffre'a z 1914 roku koncentrujący 5 armii naprzeciw Alzacji i Lotaryngii, gdy tymczasem Niemcy poszli przez Belgię był planem absurdalnym. Lecz plan defensywy strategicznej gen. Michel'a trzymając gros sił francuskich w centrum, aby z nim pójść i bić się na równinie brabanckiej, gdy Niemcy naruszają neutralność Belgii — jedynie logiczny plan, odrzucony został przez Conseil Supérieur de Guerre, i nie stał się nigdy Planem, tylko projektem planu.

Oto są dziwne koleje wojskowej myśli twórczej, która mogą się stać arcydziełem w tragicznym splocie okoliczności staje się przedmiotem naigrywań i oskarżeń.

Lecz nikt z tych, którzy Plan Śmigłego oskarżają przed sumieniem naszego sumienia wojskowego, nie dał dotychczas żadnej jasnej myśli zastąpienia go innym.

Znane dwie koncepcje nowe:

— 1-sza płk. dypl. Wojciecha Fydy. Żąda on aby gros polskie zamknęło się w Świętokrzyskich Górach i z nich stworzyło polski Piemont. Koncepcję tę dyskutowałem z Fydą. Wynikała ona z jego wojskowego patriotyzmu i ambicji, która żądała polskiego wielkiego czynu w chwili agonii.

Koncepcja fantastyczna, nie do obronienia.

— 2-ga gen. francuskiego Niessel'a (*Revue Belge*). Żąda ona, aby Plan Obrony oparł się na Wiśle, jako pierwszej zasadniczej pozycji. Plan Kampanii jest tylko ekstraktem Planu Wojny i tylko ekstraktem operacyjnym.

Plan Wojny opiera się nie tylko na elementach ściśle wojskowych, lecz w równej mierze, a często w większej musi się liczyć z czynnikami narodowościowymi, gospodarczymi, finansowymi, przemysłowymi, psychicznymi narodu.

Rozpatrzmy je po kolei:

— Czynniki wojskowe: przy oparciu pozycji o Wisłę i Dunajec front wynosi 1.100 km.; przy oparciu o Wisłę i San — 1.200 km.

— Front przyjęty w koncepcji Śmigłego wynosił 1.200 km. do Bielska, w tym 700 km. za przeszkodami rzecznyymi Biebrzą, Narwią i Wisłą.

— 200 km. do Nowego Sącza, 300 km. do Sanoka — front górski.

Przyznaję lojalnie, że atutem koncepcji Niessela jest skrócenie frontu o 200-300 km. i oparcie go za przeszkodami. Lecz jest to atut jedyny, wszystkie inne atuty są w rękach przeciwnika.

b) Operacyjnie skrzydła są identycznie otwarte. Różnica polegałaby jedynie na tym, że Sedan Armii Polskiej dokonałby się na prawym brzegu Wisły, nie na lewym.

Ciągłość frontu, której żąda gen. Niessel, dysponując 39-ma D.P. nie istnieje ani w jednym, ani w drugim wypadku.

c) Mobilizacyjnie:

- na 39 D.P. — 21 mobilizowało się na lewym brzegu Wisły,
- na 11 B.K. — 6 mobilizowało się na lewym brzegu Wisły,
- na 50 Wlk. Jednostek 37 mobilizowało się na lewym brzegu Wisły a więc 2/3 wszystkich sił polskich.

Pragnąc więc zrealizować wariant „Wisła” należałoby od razu zmobilizować, ewakuować i trzymać przez całe miesiące wojsko zmobilizowane na pozycji, bo marsz odwrotowy w momencie ofensywy niemieckiej przy wprowadzeniu w akcję 16 Wlk. Jedn. szybkich i lotnictwa bombowego, nie byłby do pomyślenia.

Wniosek: same względy natury ściśle wojskowej nakazywały odrzucenie tej koncepcji.

Czynniki przemysłowego żywienia wojny

Gen. Malinowski jego elaborat. 7 grup przemysłowych. Węgiel, surowce prócz nafty, cały przemysł na lewym brzegu Wisły.

Czynniki gospodarcze: Gdzie jest śpichrz Polski, na Polesiu, pojezierzu Wileńskim czy w centrum Polski?

Śpichrz poznański można było ewakuować, lecz nie 2/3 najżyźniejszej Polski.

Czynniki narodowościowe

Gdzie jest etniczna Polska — na lewym czy na prawym brzegu?

Czynniki psychiczne: 3 przykłady:

- gen. Kutrzeba a) fortyfikacje Poznańskiego, gdyż nie mógł pogodzić się z jego oddaniem,
b) dyskusja u Szefa Sztabu,
c) już 2. IX nie chciał się pogodzić z opuszczeniem Poznania bez walki.
- gen. Olszyna Wilczyński: już 9. IX żądał osobistego rozkazu Naczelnego Wodza dla opuszczenia Grodzieńszczyzny, również nie mógł się pogodzić z opuszczeniem jej bez walki.



10. V. 1940

Wpływ agresji: Państwo przygotowujące wojnę agresywną panuje nad pierwiastkiem decydującym o pierwszym powodzeniu, trzyma w swych rękach inicjatywę posiadając spokój i czas przygotowań. W ślad za tym dystansuje zaskoczenie. Zarządzenia państwa mającego się bronić opóźniają się do czasu ujawnienia przygotowań przeciwnika, zapadają wtedy gdy przeciwnik już je kończy.

Nawet wtedy, gdy wojny wybuchały dżentelmeńskim wypowiedzeniem (1914) sama technika mobilizacji opóźniła gotowość armii francuskiej o 3 dni w stosunku do armii niemieckiej.

Pomoc sprzymierzonych: Czas w jakim zaczęła działać pomoc angielska w stosunku do napadniętej Norwegii?

Przyszłość kryje szereg niewiadomych, które rozpoczyna dzisiejsza agresja na Belgię i Holandię.

Może kiedyś badacze wojskowi dojdą do innego ujęcia naszej gotowości operacyjnej i może osądzą, że byliśmy lepiej przygotowani od innych.

Józef JAKLICZ

Richard A. WOYTAK

W Y W I A D
Z LITEWSKIM WODZEM NACZELNYM
GEN. STASYS'EM RAŠTIKIS'EM
(ur. 1896)

Wódz naczelny armii litewskiej od roku 1934 do 1941 jest jednym z ostatnich żyjących dowódców okresu międzywojennego. Gen. Raštikis był łaskaw poświęcić mnie nieco czasu i sił, by odpowiedzieć na kilka pytań, które mogą rzucić trochę światła na okres coraz szybciej odchodzący w sferę odległej historii współczesnej. Prowadzący wywiad, prof. historii Monterey Peninsula College, Monterey, Calif., jest przekonany, że poniższe informacje powinny być dostępne innym historykom, stronom zainteresowanym i przyszłym pokoleniom.

Poniższe zapytania i odpowiedzi są treścią korespondencji prowadzonej w ciągu dwóch miesięcy (lipiec-sierpień 1975). Wywiad był przeprowadzony w języku angielskim z uwzględnieniem zmian miejsca pobytu, związanych z konieczności z korespondencją.

Richard A. WOYTAK
Carmel, CA.

1 Pytanie: — Proszę o nakreślenie przebiegu polsko-litewskiego kryzysu granicznego w marcu 1938 ze stanowiska dowódcy armii litewskiej.

Odpowiedź: — Ten ostatni drobny incydent na granicy polsko-litewskiej nie był pierwszym i nie miał żadnego wojskowego znaczenia. Poprzednio mieliśmy kilka tego rodzaju incydentów, nie było więc istotnego powodu dla tak wielkiego politycznego wydarzenia jak polskie ultimatum do Litwy.

W owym czasie nasz Sztab Generalny miał wiadomości o przygotowaniach Niemców do okupowania nie tylko terytorium Kłajpedy, ale również znacznej części Litwy zachodniej (Žmudzi), w razie gdyby armia polska zaatakowała Litwę. Litwa była zmuszona przyjąć polskie ultimatum, aby uniknąć zbrojnego konfliktu.

2 P.: — Kiedy i jak szybko Litwa zawiadomiła Polskę, że gotowa jest pomóc jej w razie niemieckiej inwazji?

Odp.: — Podczas mojej wizyty w Warszawie w maju 1939 powiedziałem marsz. Rydzowi-Śmigłemu i szefowi polskiego Sztabu Głównego, gen. Stachiewiczowi, że w razie inwazji Polski przez Niemcy, rząd i armia litewska nie wezmą udziału ani bezpośrednio ani pośrednio w takiej inwazji i w żaden sposób nie okażą pomocy armii niemieckiej, lecz zachowają najściślejszą neutralność.

3 P.: — Jak i kiedy była powzięta ta ważna decyzja?

*Odp.: — Ta decyzja była powzięta przez prezydenta Smetonę, rząd litewski i Sejm 10 stycznia 1939. Była ona opublikowana oficjalnie w *Vyriausybes Žinios*, Nr 632, 25 stycznia 1939.*

4 P.: — Czy na sformułowanie tej decyzji miał wpływ jakiś czynnik postronny?

Odp.: — Nie.

5 P.: — Jaką rolę odegrała w tej sprawie Rosja Sowiecka?

Odp.: — Rosja Sowiecka nie odegrała żadnej roli w tej sprawie.

6 P.: — Czyją była idea udziału Rosji Sowieckiej w sojuszu Anglii, Francji, Litwy i Polski przeciwko Niemcom?

Odp.: — W roku 1938 Związek Sowiecki próbował zorganizować „Wielką Koalicję” z Francją, Wielką Brytanią i USA na zachodzie i z Polską, Rosją Sowiecką i Czechosłowacją na wschodzie. Według tego planu, Polska miała połączyć z tą koalicją małe państwa centralno- i wschodnio-europejskie pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym.

7 P.: — Czy Moskwa powiadomiła Polskę o tej inicjatywie za pośrednictwem Litwy?

Odp.: — Nie. Dopiero w roku 1939 rosyjski attaché wojskowy w Kownie mjr Korotkich zalecił ten plan polskiemu attaché wojskowemu płk. Mitkiewiczowi w Kownie.

8 P.: — Czy na wypadek ataku niemieckiego na Litwę istniało pomiędzy Litwą a Rosją jakieś tajne porozumienie lub umowa o pomocy wojskowej?

Odp.: — Nie, nie było.

9 P.: — Czy mógłby mi Pan powiedzieć jaka byłaby treść takiego paktu, gdyby on istniał? I czy byłby on skierowany przeciwko Polsce?

Odp.: — Nie było takiego paktu, ani porozumienia.

Uwagi gen. Raštikisa:

a) W roku 1939 istniał plan ministra spraw zagran. płk. Becka p.n. „Trzecia Europa”. Obejmował on blok narodów pomiędzy Niemcami a Rosją Sowiecką: Szwecję, Finlandię, Estonię, Łotwę, Litwę, Polskę, i Bułgarię. (Czechosłowacja była wyłączona).

b) W roku 1938 łotewski Sztab Generalny planował zorganizowanie wojskowego bloku, składającego się z Estonii, Łotwy, Litwy i Polski (choć inicjatywa tego projektu wyszła nie z Rygi lecz z Warszawy);

c) W 1937-38 roku kilkakrotnie zalecałem utworzenie sojuszu wojskowego trzech państw bałtyckich: Estonii, Łotwy i Litwy.

10 P.: — Czy mógłby Pan udzielić mnie trochę szczegółowszych informacji o litewsko-polskich incydentach granicznych — z punktu widzenia armii litewskiej? Na jakich odcinkach granicy było tych incydentów najwięcej? Czy byli w nich zamieszani obcy agenci lub prowokatorzy? Czy ilość tych incydentów zwiększała się w pierwszym półroczu 1938 roku?

*Odp.: — Ostatni incydent na litewsko-polskiej granicy miał miejsce 11 marca 1938 roku o godz. 4.50 rano po litewskiej stronie linii demarkacyjnej, niedaleko wsi Trasnikai, gmina Markinie, powiat Alytus (Olita). O wspomnianej godzinie, litewski strażnik graniczny (policjant graniczny) zauważył jakiegoś człowieka w krzakach i kazał mu stanąć. Nieznany człowiek odpowiedział strzałem. Padło wtedy kilka strzałów z obu stron. W końcu polski żołnierz z KOP (Korpus Ochrony Pogranicza = *Border Security Corps*), nazwiskiem Serafin został poważnie ranny. Ranę opatrzył najpierw litewski felczer, a następnie lekarz, ale o godz. 8.40 tegoż dnia (11 marca) żołnierz zmarł. Następnego dnia, 12 marca ciało zmarłego zostało wydane władzom polskim. Incydent ten wydarzył się na odcinku 23 batalionu KOP. Po stronie litewskiej był to odcinek Alytus Policji pogranicznej, dowodzonej przez oficera Januszkiewicza. Litewska policja pograniczna podlegała Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Dlatego też litewski Sztab Generalny nie zarządził żadnej dalszej akcji bezpieczeństwa.*

11 P.: — Dlaczego tajne rozmowy litewsko-polskie zostały przerwane w końcu lutego 1938?

Odp.: — Dokładnie tego nie wiem.

12 P.: — Powiedział Pan, że litewski Sztab Generalny miał informacje o planowanym przez Niemców okupowaniu terytorium Kłajpedy i dużej części zachodniej Litwy — w razie gdyby armia polska zaatakowała Litwę; wskutek tego Litwa miała być zmuszona przyjąć ultimatum Warszawy. Z jakiego źródła otrzymała armia litewska te informacje? Jak dalece dokładna była ta podówczas ważna informacja?

Odp.: — 18 marca 1938 niemiecki attaché wojskowy w Moskwie, gen. major Koestring (był on jednocześnie niemieckim attaché dla Litwy) powiedział litewskiemu attaché wojskowemu w Moskwie, płk. Skučas'owi, że jeżeli armia polska zaatakuje Litwę, to armia niemiecka natychmiast zajmie terytorium Kłajpedy. W tymże czasie (marzec 1938) oddziały I-szego niemieckiego Okręgu Wojskowego (Prusy Wschodnie) zostały postawione w stan pogotowia. Oddziały SS i SA w Prusach Wschodnich zostały zaalarmowane. Do Tilze (Tylża) przybyły nowe oddziały SS i SA. Niemieckie samoloty nieustannie krążyły nad terytorium Kłajpedy, docierając Mažeikiai (Możejki) i Šiauliai (Szawle). Do Pillau (Piława) przybyły statki floty niemieckiej. O planie niemieckim okupowania części zachodniej Litwy aż do rzeki Dubissy może Pan znaleźć informację w „Akten zur Deutschen Auswärtigen Politik, Serie D (1937-1945), Band V. S. 365.

13 P.: — Dlaczego zezwolono Augustinas'owi Voldemaras'owi wrócić do Litwy podczas kryzysowego roku 1939? Czy miał on silne oparcie u Niemców i jak silna była niemiecka piąta kolumna w Litwie w latach 1938-39?

Odp.: — Wpływy Voldemarasa wśród ludności i armii litewskiej nie były w owym czasie tak znaczne, jak to sądzi wielu ludzi obecnie. W roku 1939 wrócił on z zagranicy bez żadnego pozwolenia i został deportowany do pow. Zarsai (Jeziorosy), wkrótce jednak ponownie wydany za granicę. W roku 1940 powrócił znowu do okupowanej Litwy bez żadnego pozwolenia, został aresztowany przez NKWD i wywieziony do Rosji.

14 P.: — Jak litewski Sztab Generalny reagował na sojusz sowiecko-niemiecki z sierpnia 1939?

Odp.: — Litwa ogłosiła neutralność. Armia została częściowo zmobilizowana. Usiłowałem jeszcze raz stworzyć wspólną obronę z armią łotewską ale w styczniu 1941 zmuszony byłem ustąpić i opuścić armię.

15 P.: — Na czym opierała Litwa swoją koncepcję narodowego

przetrwania w okresie międzywojennym, a zwłaszcza wobec ekspansji niemieckiej po roku 1933 — na jakim sojuszu lub jakiej strategii?

Odp.: — Próbowałem stworzyć sojusz trzech państw bałtyckich, Estonii, Łotwy i Litwy, ale bez rezultatu.

16 P.: — *Dlaczego, według Pańskiego zdania, wojskowy sojusz pomiędzy trzema państwami bałtyckimi nigdy nie doszedł do skutku?*

Odp.: — Głównym powodem były nierozstrzygnięte problemy Kłajpedy i Wilna, polskie intrygi przeciwko Litwie w Łotwie, a szczególnie w Estonii, oraz rosyjskie intrygi we wszystkich tych trzech państwach.

17. P.: — *Jak został przyjęty przez Litwę plan Becka „Trzeciej Europy”? Czy kwestia Wilna wciąż dominowała w polityce litewskiej w takim samym stopniu po polskim ultimatum, jak i przed?*

Odp.: — Plan Becka „Trzeciej Europy” nie był oficjalnie przedstawiony władzom litewskim. Toteż rząd litewski nie mógł go przestudiować ani powziąć o nim decyzji.

18 P.: — *Dlaczego, zdaniem Pana, polityka zagraniczna i wojskowa Litwy, Łotwy i Estonii w okresie międzywojennym wykazywała tak znaczną rozbieżność i brak współdziałania?*

Odp.: — Główny powód polityczny wymieniłem w liście do Pana Nr 16 z 28 lipca 1975. Po stronie wojskowej sytuacja Litwy była pożałowania godna — nie było mianowicie stałego wojskowego dowództwa. Jak już napisałem w III tomie moich pamiętników „Ivykiai ir Žmonės” — „Wydarzenia i ludzie” — w okresie międzywojennym mieliśmy 22-ch ministrów obrony, 22-ch szefów sztabu i 12-tu dowódców armii. To był wielki błąd. Przy tej sposobności, chciałbym odczytać Panu wyjątek z artykułu prof. Edgara Andersona (Uniwersytet stanowy San Jose) w kwartalniku litewskim *Lituanus* z 1974 r., Nr 2, str. 32-33:

„12. IX. 1934 Estonia, Łotwa i Litwa podpisały traktat o sojuszu dyplomatycznym, lecz sojusz wojskowy między nimi nigdy nie został zawarty. Dowódca naczelny armii litewskiej, gen. Stasys Raštikis dwukrotnie, w roku 1934 i ponownie, po rozpoczęciu II wojny światowej, sugerował zawarcie sojuszu wojskowego przez trzy państwa bałtyckie, lecz ta sugestia została

odrzucona przez rządy wszystkich tych trzech republik. Bałtyccy przywódcy obawiali się, że sojusz wojskowy może spowodować wielkich sąsiadów państw bałtyckich do inwazji. Polska była również kategorycznie przeciwna wojskowej kooperacji Litwy z jej północnymi sąsiadami. Dopiero kiedy Sowiety już stworzyły bazy wojskowe na terytorium państw bałtyckich, w październiku 1939, zaczęli przywódcy bałtyccy poważnie myśleć o wojskowym współdziałaniu. Było na to jednak już za późno. Sowiety już nie życzyły sobie, aby państwa bałtyckie współdziałały ze sobą militarnie”.

19 P.: — *Gdyby Pan był ponownie szefem Sztabu Litewskiego, co by Pan zrobił, aby przeprowadzić w Litwie zmiany, lub, szczególnie, poprawić stosunki Litwy z Polską, Niemcami i Związkiem Sowieckim?*

Odp.: — Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie. Krytykować *post factum* byłoby bardzo łatwo, ale czy byłoby to słuszne? Nie sądzę. Pan rozumie lepiej ode mnie bardzo trafne polskie przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie”. To jest bardzo prawdziwe.

Kazimierz OKULICZ

KILKA UWAG DO WYWIADU

Wywiad p. R. A. Woytaka z gen. Stasysem Raštikisem, naczelnym wodzem sił zbrojnych Litwy w latach 1934-1941, dotyczy głównie incydentu granicznego z 11 marca 1938, w którym poniósł śmierć żołnierz polski; pociągnęło to za sobą ultimatum polskie do Litwy i w końcu nawiązanie stosunków dyplomatycznych i innych, nie istniejących od powstania tych państw, czyli od roku 1918. Niektóre pytania sięgają jednak wstecz, do okresu kiedy oficjalnych stosunków pomiędzy Litwą a Polską nie było.

Gen Raštikis nie myli się, mówiąc, że w razie wkroczenia wojsk polskich do Litwy (co w żadnej chwili w Warszawie nie było zamierzone), w Auswärtiges Amt w Berlinie istniał projekt zajęcia Kłajpedy. Projekt ten jest obecnie znany z opublikowanych w Ameryce niemieckich dokumentów dyplomatycznych (memo zast. dyr. Depart. Polit Ausw. Amt'u hr. Bismarcka).

O dalszym marszu w głąb Litwy, aż do rzeki Dubissy, mowa jest tylko w nocie szefa Nacz. Dow. sił zbrojnych Rzeszy do ministra spraw zagr. von Ribbentropa z dn. 18. III. 1938, jako o projekcie wojska na wypadek okupowania przez Polskę terytorium Republiki Litewskiej poza terenem ze stanowiska rządu litewskiego spornym. Na załączonej do noty mapie była wykreślona linia rzeki Dubissy w górze jej biegu aż do równoleżnika ca. 40, załamująca się pod prostym kątem i idąca wprost na zachód do morza w pobliżu Kretyni. Miała ona stanowić linię demarkacyjną pomiędzy niemiecką a polską okupacją Litwy. Gen. Keitel zastrzegał w nocie, że dla ewentualnego wykonania tego planu konieczna jest zgoda Hitlera. Nota była wewnętrzna i czynnikiem polskim nieznaną. Po przyjęciu przez Litwę żądań polskich projekt ten stracił aktualność również w Nacz. Dow. niemieckim.

Istotnym powodem przyjęcia przez Litwę polskiego ultimatum była odmowa rządów głównych mocarstw europejskich interwencji w tej sprawie, o co zabiegali w Paryżu, Londynie, Berlinie i Moskwie posłowie litewscy. Wprowadzie ambasador francuski Noël zjawił się w polskim MSZ z ofertą pośredniczenia w normalizacji stosunków polsko-litewskich, lecz spotkał się z odprawą w dość ostrej formie. Była ona skutkiem otrzymywanych przez Warszawę wiadomości, że przeciwko porozumieniu litewsko-polskiemu działają w Kownie wpływy sowieckie i francuskie. Niemcy, honorując wówczas traktat polsko-niemiecki z 1934 roku, oraz będąc zajęci *Anschlusssem* Austrii, nie chcieli czynić trudności Polsce i doradzali Kownu przyjąć jej żądania. W notatce wewnętrznej z 17. III. 1938 Ribbentrop określił stanowisko Niemiec hitlerowskich wobec konfliktu polsko-litewskiego: 1) utrzymanie *status quo* pomiędzy Polską a Litwą leży w interesie Niemiec, ponieważ: a) Niemcom, po załatwieniu sprawy Austrii, zależy na pokojowej sytuacji międzynarodowej; b) nie leży w interesie Niemiec aneksja Litwy przez Polskę, ponieważ Litwa przestałaby wtedy być obiektem wymiennym w zamian za zwrot przez Polskę Korytarza...

Odmowa interwencji na rzecz Litwy spotkała posłów litewskich również w Paryżu i Londynie. Wskazywano im, że żądanie nawiązania stosunków dyplomatycznych jest naturalne i tylko forma jest dość niezwykła. W konkluzji doradzano Litwinom przyjęcie tego żądania polskiego. Gen. Raštikis te powody ustępliwości litewskiej pomija, wysuwając motyw unikania przez Litwę zbrojnego konfliktu. W rzeczywistości, obie strony takiego obrotu rzeczy zupełnie nie przewidywały.

Rozdmuchać sprawę ultimatum polskiego próbował jedynie Litwinów, który zaprosił do siebie ambasadora Grzybowskiego

i inkryminował rządowi polskiemu, że za żądaniem nawiązania stosunków kryją się inne złowrogie zamiary. Żądanie pisemnego wyjaśnienia celów kroku polskiego Beck zbył celowo opóźnioną wymijającą odpowiedzią, na co Litwinów ograniczył się do oświadczenia, że nie pochwała metod, do których uciekła się Polska, oraz że ZSSR będzie pilnie śledził dalszy rozwój stosunków polsko-litewskich.

(Nawiasem mówiąc, cele rosyjskie względem wschodnich wybrzeży Bałtyku musiały być znane politykom Estonii, Łotwy i Litwy, były bowiem niezmiennie od czasów Piotra Wielkiego, a nawet Iwana III. W roku 1918 jasne już było, że cele ekspansywne cesarstwa zostały przejęte, a nawet rozszerzone przez państwo sowieckie. Ale polityka trzech państw bałtyckich zdawała się nie zdawać sobie sprawy z tej ciągłości polityki *rosyjsko-imperialnej*, albo liczyła na zneutralizowanie jej przez rywalizację niemiecką, co po klęsce cesarstwa niemieckiego w roku 1918 było złudzeniem, a po nastaniu III Rzeszy Hitlera mogło okazać się w najlepszym razie zamianą sowieckiego sierpa i młota w herbie na hitlerowską swastykę. Sowieckie cele nad Bałtykiem najwyraźniej określiły w dniu 25. XII. 1918 *Izwiestija* pisząc w artykule wstępnym m.in. „Ten wał przedzielający rewolucję robotniczą w Rosji i w Niemczech musi być obalony i zniszczony... Wojska sowieckie powinny okupować Litwę, Łotwę i Estonię.. Podbój Morza Bałtyckiego i jego wybrzeża umożliwi Rosji Sowieckiej wyrzucić wpływ na kraje Skandynawskie w interesie rewolucji socjalistycznej... Morze Bałtyckie musi stać się Morzem Sowieckim. Wszystkie wysiłki muszą być skierowane do osiągnięcia tego ważnego celu politycznego”. Nie udało się w roku 1918, ale zostało całkowicie zrealizowane w 22 lata później. Imperialna polityka Rosji, carskiej czy sowieckiej, była zawsze cierpliwa, mogła stawać na długo w miejscu, a nawet cofać się, ale zawsze ze wzrokiem utkwionym w ustalony cel).

Nie otrzymawszy zachęty do oporu w czterech stolicach głównych mocarstw europejskich, Litwa przyjęła ultimatum polskie w żądanym terminie. Utraciła jednak te koncesje terytorialne (w okolicy Sejnu i Świecian), które były jej obiecane w dochodzącym do skutku, ale w ostatniej chwili zerwanym przez prez. Smetonę dobrowolnym porozumieniu z Polską.



Innym ważnym tematem wywiadu jest stosunek Litwy do trzech ówczesnych zagadnień, które ze względów geopolitycznych

musiały podówczas zaprzętać uwagę polityków i rządu litewskiego, którym kierował faktycznie prezydent Smetona, skrajny nacjonalista, ale człowiek bezwzględnie uczciwy i patriotyczny.

Gen. Raštikis zgodnie z rzeczywistością mówi, że na podstawie decyzji prezydenta i rządu litewskiego dał zapewnienie marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu i szefowi sztabu, gen. Stachiewiczowi, podczas swej wizyty w Warszawie w maju 1938 roku, że w wypadku konfliktu polsko-niemieckiego Litwa zachowa ścisłą neutralność. Nie wypowiada się natomiast o stosunku Litwy do lansowanych w owym czasie projektów sojuszków defensywnych w stosunku do Niemiec (próby sowieckie wielkiej koalicji mocarstw zachodnich z udziałem Rosji Sowieckiej i Polski), oraz do luźnych projektów Becka „Trzeciej Europy”, twierdząc, że Litwa o tych projektach, nie wyszłych zresztą ze stadium eksploracyjnego, nie była oficjalnie zawiadomiona a więc nie potrzebowała zajmować wobec nich stanowiska.

Ale w kołach rządowych litewskich ustawicznie dyskutowano co ma zrobić Litwa, odkąd ujawniły się plany niemieckie dalszych zaborów. Nazajutrz po przyjęciu przez Litwę żądań polskich, Ribbentrop zaprosił do siebie ministra spraw zagranicznych Litwy Urbšysa i oświadczył mu wręcz, że Litwa musi zwrócić obszar Kłajpedy Niemcom dobrowolnie; w przeciwnym razie, armia niemiecka zrobi to sama. W tym czasie w kancelariach dyplomatycznych kursowały już pogłoski o zbliżeniu niemiecko-sowieckim i o agresywnych zamiarach tych dwóch dotychczasowych wrogów względem Polski i Państw Bałtyckich. Rzecz jasna, że o tym wszystkim gen. Raštikis musiał wiedzieć i z rządem litewskim rozmawiać, jak to zresztą wynika ze „Wspomnień kowieńskich” płk. Leona Mitwiewicza — pierwszego (i jak dotąd ostatniego) attaché wojskowego polskiego w Kownie. Jeszcze na początku marca gen. Raštikis rozmawiał z nim o konieczności porozumienia wojskowego Litwy z Polską wobec zagrożenia niemieckiego. W dwa tygodnie po zajęciu Kłajpedy przez Niemców, otrzymał zaproszenie do Berlina na 50-lecie urodzin Hitlera. Po powrocie stamtąd oświadczył płk. Mitkiewiczowi, że w razie konfliktu zbrojnego Polski z Niemcami, Litwa będzie musiała zachować bezwzględną neutralność. Ta zmiana była oczywistym skutkiem rozmów generała w Berlinie. O tych rozmowach berlińskich i o przebiegu swej o miesiąc późniejszej wizyty w Warszawie, gen. Raštikis składał sprawozdanie prezydentowi Smetonie i Radzie Ministrów w Kownie. Był więc jedną z głównych figur w toczących się na „szczytach” litewskich rozważaniach nad wyborem drogi dla polityki Litwy. W wywiadzie uchyla się po prostu od wypowiedzi zarówno

o martwej już przed urodzeniem koncepcji Becka „Trzeciej Europy”, jak też o sugestiach sowieckich „wielkiej koalicji” antyniemieckiej mocarstw zachodnich, Polski, państw bałtyckich (z Finlandią, lecz bez Litwy!) i Rosji Sowieckiej. Chociaż opuszczenie Litwy było formalnie uzasadnione brakiem wspólnej granicy litewsko-sowieckiej, wzbudziło w Litwie podejrzenie co do zamiarów sowieckich. Natarczywość Sowietów włączenia do koalicji Łotwy, Estonii i Finlandii nie wydała się również w tych państwach zasługującą na zaufanie. Wszystkie te państwa wołały w nadchodzącym konflikcie „wielkich” pozostać na uboczu, jako neutralne. Zagadka tej natarczywości rozwiązała się sama, gdy w dalszych, półgębkiem zresztą prowadzonych, rozmowach Anglii i Francji z Sowietami okazało się, że istotnymi warunkami Moskwy dla zawarcia „wielkiej koalicji” antyniemieckiej są: 1) korytarz przez Polskę i Litwę dla przejścia armii sowieckiej na Niemcy; 2) prawo Sowietów zabezpieczenia terytorium państw bałtyckich na wypadek zagrożenia ich ze strony Niemiec. Oznaczało to w zwykłym języku prawo okupacji tych państw, gdy według swego widzimisie Moskwa uzna je za „zagrożone”. Ani Polska na przemarsz wojsk sowieckich, ani trzy państwa bałtyckie na okupację ich pod pretekstem ochrony przed Niemcami, nie zgodziły się. Dalsze rozmowy z Anglią i Francją stały się dla Moskwy bezcelowe. Przerzuciła je od razu na Berlin (z którym od wiosny toczyły się wstępne tajne rozmowy). Koniec jest znany: wystrychnięcie na dudków Paryża i Londynu i podpisanie w Moskwie paktu Ribbentrop-Mołotow w sierpniu i wrześniu 1939 roku o podziale Polski i państw bałtyckich.



Parokrotnie zaznacza generał — m.in. na pytanie jaka była jego koncepcja „narodowego przetrwania” — że w latach 1937-1938 kilkakrotnie zalecał utworzenie sojuszu wojskowego trzech państw bałtyckich, Estonii, Łotwy i Litwy, w przeciwieństwie do planu łotewskiego (rzekomo inspirowanego przez Warszawę) wojskowego bloku tychże 3-ch państw z Polską. Trudno przyjąć na serio te opinie od człowieka zajmującego wówczas tak wysokie stanowisko. Generał nie mógł nie wiedzieć, że każdy sojusz wojskowy trzech państw bałtyckich, niezależny od Niemiec lub ZSSR, byłby przez te mocarstwa uznany za prowokację a militarnie wobec Rosji Sowieckiej czy Niemiec nie miałby znaczenia. Zdaniem generała, nie doszedł on do skutku głównie z powodu „polskich intryg przeciwko Litwie w Łotwie i Estonii, oraz rosyjskich we wszystkich 3-ch państwach bałtyckich”.

„Polskimi intrygami przeciwko Litwie” nazywa zapewne generał opinie polskie, wypowiedane w Rydze i Tallinie, że sojusz wojskowy *tylko* trzech państw bałtyckich nie może stworzyć dostatecznej siły przeciwko agresji ZSSR lub Niemiec, natomiast może sprowokować interwencję któregoś z nich pod pretekstem, że jest skierowany przeciwko niemu. Polskie ostrzeżenie było słuszne, ponieważ nawet kolejne konferencje ministrów spraw zagranicznych trzech państw bałtyckich, odbywane na podstawie traktatu „o porozumiewaniu się i kooperacji” z 12. IX. 1934, zostały w roku 1940 użyte przez Sowiety jako pretekst do inwazji (punkt 2 ultimatum sowieckiego z 14. VI. 1940). Wprawdzie w warunkach wytworzonych przez pakti rozbiórcze niemiecko-sowieckie z sierpnia i września 1939 udział Polski w sojuszu wojskowym trzech państw bałtyckich nie dodałby mu wiele znaczenia, ale o tym udziale była mowa wtedy, kiedy nikt jeszcze paktu Ribbentrop-Mołotow nie przewidywał.



O tajnych rozmowach polsko-litewskich na początku roku 1938 gen. Raštikis twierdzi, że „dokładnie o nich nie wiedział”. Trudno uwierzyć, aby nikt go o ich przebiegu nie informował, zwłaszcza że jednym z argumentów, którym usiłowano wpłynąć na prezydenta Smetonę w sensie przerwania rozmów, było rzekome niebezpieczeństwo oporu ze strony wojska. Rozmowy polsko-litewskie odbywały się nieoficjalnie przez cały czas od zerwania oficjalnych rokowań. Brali w nich udział ze strony polskiej ludzie wyznaczeni przez Marszałka Piłsudskiego, w którego rękach sprawa polsko-litewska znajdowała się od początku (Prystor, Hołówko, Mühlstein, przez dłuższy czas Katelbach, jako korespondent *Gazety Polskiej* i in.). Ze strony litewskiej: J. A. Herbaczewski, hr. Zubow, Łozoraitis, Szaulys, Narutowicz i wielu innych). Bardziej obiecującymi stały się te rozmowy po traktacie polsko-niemieckim ze stycznia 1934, który zaskoczył i zdziwił Litwinów, oraz po zarysowaniu się niemieckich zamiarów rewindykacyjnych względem Kłajpedy. W lutym 1938 roku Beck spotkał się z Łozoraitisem w Genewie z okazji posiedzenia Ligi Narodów. Ustalono wówczas zasadnicze punkty porozumienia, które miały być opracowane i paraflowane w Cannes. Jak poprzednio wiele razy, do spotkania nie doszło. Litwini się ekskuzowali, że nie mogli przybyć. Wyznaczono nowe spotkanie w Gdańsku, lecz i to nie doszło do skutku. Twierdzono, że podczas choroby premiera litewskiego Tubelisa przeważały u prezydenta Smetony wpływy przeciwnie ugodzie i grożące, że nastąpi gwałtowna reakcja społec-

czeństwa, karmionego nieustanną propagandą antypolską. Beck, będąc w Rzymie z oficjalną wizytą, dowiedział się o ponownym zerwaniu rozmów, oraz o incydencie granicznym z 11 marca. Na żądanie marszałka Rydza-Śmigłego przyspieszył powrót i, po radzie „wielkiej czwórki” (Mościcki, Składkowski, Śmigły-Rydz i Beck), „ciężkiej i trudnej” — jak się wyraził do Szembeka — zdecydowano wystosować do Litwy żądanie nawiązania normalnych stosunków dla uniknięcia na przyszłość podobnych incydentów i normalnej wymiany ludzi i towarów pomiędzy tymi państwami.

Wydane tylko po litewsku pamiętniki gen. Raštikisa są trudno dostępne dla nieznających współczesnego języka litewskiego. Ale zarysowana w pamiętniku płk. Mitkiewicza sylwetka generała prezentuje człowieka bardzo rozgarniętego politycznie, zręcznego dyplomaty i inteligentnego rozmówcy. Jego rola na litewskim „szczyście” była tak poważna, że musiał on wiedzieć o przebiegu spraw polsko-litewskich, a w ostatnim ich stadium uczestniczyć w decyzjach rządu i prez. Smetony. Jednakże, nawet po upływie 37 lat od tamtego czasu, woli uchylić się od rozważania ówczesnych polsko-litewskich perypetyj, być może, aby nie „wywoływać wilka z lasu”, czyli nie wznawiać jałowej dyskusji na ten temat wśród zgorzkniałej emigracji swego pokolenia.



O Augustynie Voldemarasie, kilkakrotnym premierze litewskim, naczelnym delegacie litewskim na Konferencję Pokojową w Wersalu, następnie rzeczniku spraw litewskich na posiedzeniach Ligi Narodów, szefie delegacji litewskiej podczas oficjalnych pertraktacji z Polską w Brukseli i Królewcu, wyraża się gen. Raštikis bardzo oględnie: przyczyn jego wydalenia, a następnie aresztowania po nielegalnym zjawieniu się w Litwie podczas okupacji sowieckiej nie wymienia. Przeczy tylko jakoby Voldemaras miał znaczne wpływy w społeczeństwie i wśród wojska. Wysłany przez NKWD z Litwy w głąb Rosji, mieszkał w Władykaukazie (obecnie Ordżonikidze), ale umarł w roku 1942 podobno w więzieniu w Butyrkach w Moskwie. Istnieją obecnie wśród emigracji litewskiej niezbite dowody, że A. Voldemaras był od początku swej kariery politycznej agentem sowieckim. Jeżeli znalazł się na „zsyłce”, jakoby zmarł w więzieniu sowieckim, to znaczy, że podzielił los innych komunistów czy agentów sowieckich zlikwidowanych wskutek silnego „nacjonalistycznego odchylenia”, którym niewątpliwie się odznaczał.

Gdy mowa o końcu kariery A. Voldemarasa, który do roku

1934 odegrał pierwszoplanową rolę na litewskim politycznym Olimpie, przychodząc na pamięć analogiczny wypadek z drugim wybitnym politykiem litewskim, J. Gabrysem, który już przed I-szą wojną światową działał w Paryżu w dziedzinie litewskiego odrodzenia narodowego, a podczas wojny, mając duże stosunki w kołach ówczesnego świata politycznego, zebranego dokoła Konferencji Pokojowej, wstawiał się energicznie i nieraz skutecznie za interesami litewskimi podczas tej konferencji. Miał ambicje zajęcia w formującej się Republice Litewskiej stanowiska szefa rządu, lecz to mu się nie udało, gdyż krajowi politycy litewscy nie obdarzali go dostatecznym zaufaniem. Po pokoju wersalskim napisał po francusku bardzo ciekawą książkę pt. „Ku niepodległości Litwy”. Polskich delegatów na konferencji pokojowej, którzy często się z nim spotykali, uderzały duże zmiany, które cechowały jego stanowisko w sprawach polsko-litewskich. Obecnie jest dowiedzione, że Gabrys już w listopadzie 1915 roku zawarł z Auswärtiges Amt kontrakt dotyczący działania na rzecz interesów niemieckich. Ale ponieważ wówczas Niemcy popierały dążenia litewskie dla przeciwdziałania polskim tendencjom zorganizowania państw bałtyckich wspólnie z Polską (Konferencja w Helsinki w roku 1920) działalność Gabrysa nie przeczyła ogólnej linii wąsko pojmowanych tendencji polityki Kowna. (*Pamiętnik Wileński*, str. 27, przypis 1, Londyn, Polska Fundacja Kulturalna, 1972).



W sumie, wypowiedzi gen. Raštikisa na pytania p. Woytaka nie wnoszą nic nowego w sprawy polsko-litewskie lat 1938-40. Robią wrażenie chęci nie ujawniania wewnętrznych szczegółów polityki litewskiej, poszukującej wyjścia z sytuacji, kiedy jej podstawa — dobre stosunki z dwoma wielkimi sąsiadami, Niemcami i Rosją Sowiecką — runęła jak domek z kart, wraz z całym rozkruszonym Międzymorzem. Wobec Polski lat międzywojennych gen. Raštikis, kawaler orderu *Polonia Restituta* I klasy, jest powściągliwy, lecz nieufny i gorzki.

Kazimierz OKULICZ

W OBCYCH OCZACH

Dominique DESANTI

POLSKA... POCZĄTEK WSZYSTKIEGO

Z książki p. Dominique Desanti pt. „Stalinowcy — doświadczenie polityczne 1944-1956” wybraliśmy fragmenty dotyczące Polski, które znajdowały się w różnych miejscach. Niewątpliwie te fragmenty nabierają pełniejszego znaczenia w całości opracowania, do którego odsyłamy naszych Czytelników, którzy znają język francuski (Librairie Arthème Fayard, 1975).*

Od Polski — o której nie wiedziałam prawie nic, tyle że jest „bohaterska” (ale czyż to nie należy do tradycji?) — nie spodziewałam się wiele. A tu, jak w piosence o dojrzewaniu czereśni, „zostawiła mi w sercu niezagojoną ranę”. Żyliśmy wszyscy w owym czasie w stanie rozpaczliwego chaosu. A ta równina brzydka i płaska, te ruiny najokropniejsze i najniewinniejsze z całej Europy, były wylęgarnią nadziei.

W samolocie z ustawionymi wzdłuż drewnianymi ławkami, przeznaczonymi dla spadochroniarzy, było nas coś dziesięć osób lecących do Polski w październiku 1945. Trzy kobiety: Louise Wurmser, siostra Jean Cassou; powieściopisarka Suzanne Normand — i ja. Skala mężczyzn rozciągała się od przyjemnego grubasa z *Figaro*, Georges Ravon’a, inteligentnego ale nigdy nie złośliwego bo typowego Bretończyka, Rolanda Diquélou (którego ochrzciłam przezwiskiem „bolszewickiego łomu żelaznego”) z *Humanité*. Między nimi był Louis Parrot, naczelny redaktor

* *Nous avons extrait de l'ouvrage de Dominique Desanti „Les Staliniens — une expérience politique 1944-1956” les passages concernant la Pologne, que nous avons sortis de leur contexte. Il est certain que ces passages prennent toute leur signification dans l'ensemble de l'ouvrage auquel nous renvoyons ceux qui lisent le français. (Librairie Arthème Fayard 1975).*

Lettres Françaises, błyskotliwy przedstawiciel *Franc-Tireur'a*, chudy jak nitka sangwinik, Jean-François Armorin (który wkrótce potem miał zginąć w katastrofie samolotowej, kto wie czy nie spowodowanej zasadzką), uśmiechnięty i spokojny Sevry z *Mon-de'u...* Nie pamiętam innych. Rozumieliśmy się wszyscy doskonale. To pierwsze zbiorowe zaproszenie polskie było wynikiem serii artykułów Dominique Pado, ogłoszonych w *L'Aurore* pt. „Czerwone noce Warszawy”.

Jak miasto, które w zwałach gruzów więzi dotąd zwłoki i gdzie ruiny pokryte są jeszcze sadzą pożarów, może wywołać miłość od pierwszego wejrzenia? Dlaczego odczułam ją właśnie tutaj a nie gdzie indziej? W Niemczech uważałam ruiny za *zasłużone*, ale u nas? Ale w Dieppe, albo w Caen, w Rouen czy w Breście? Niewątpliwie brakło nam tej przelewającej się tutaj chęci przetrwania, tego intensywnego przywiązania do życia, które Polska wyniosła z wielokrotnych rozbiorów.

Warszawa zredukowana do parterów, szczerzyła ku szaremu niebu ślepe oczodoły wybitych okien i chwiejące się na wietrze puste fasady.

Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć o rozbiorze w Jałcie i niedotrzymanych zobowiązaniach wobec Polski (50 : 50). Tłumaczyłam sobie na swój sposób — tj. na wzór mych polskich towarzyszy — wolne deptanie w miejscu Czerwonej Armii na jednym z brzegów Wisły, podczas gdy na drugim dogorywali w kanałach powstańcy.

W rozklekotanym autokarze — najlepszym jaki był — zarezerwowanym dla nas, przypadek posadził mnie koło gospodarza, który nas witał, wielkiej figury w świecie dziennikarskim i dyrektora spółdzielni wydawniczych, Jerzego Borejszy. W trzy lata później był on organizatorem I Kongresu Pokoju Intelktualistów. Nasza przyjaźń datuje się od tej pierwszej chwili na ziemi polskiej. Zdołał on, ruszając uszami i czołem, rzucając spod okularów pozbawione iluzji spojrzenia niebieskich oczu, poruszyć nas do głębi wymową cyfr.

„95 % domów zniszczonych; 300.000 zwłok wydobytych z gruzów, w których spoczywają dotąd dalsze”. Wskazywał nam wybrzuszenia murów falujących jak pełne morze w jesiennym wietrze. Czasem jakaś tapeta w kwiaty, jakaś półka z książkami, kawałek kafłowego pieca uratowane cudem przypominały z irytującą dokładnością *codzienne życie bez dramatów*, dawno już zapomniane.

Niespodziewanie z pola spalonych cegieł wyrósł splot pokręconego żelaziwa i porzuconych czołgów. Ani jeden dom nie

ocalał... informował nas głosem zawodowego przewodnika Bo-rejsza.

„Getto. 200 hektarów gruzu. 400.000 zmarłych na miejscu i miliony wytraconych w obozach zagłady. Ale naród postanowił odbudować Warszawę tutaj, na tym samym miejscu. Naród. Władze myślały o wzniesieniu nowej stolicy gdzie indziej. *Tech-nicznie byłoby to łatwiejsze ale nie żyje się samym chlebem*”. Ale naród nie chciał tego. Stoimy po dwie godziny w ogonku po wiadro wody, ale na Zachodzie zaczynamy już zaludniać na nowo 100.000 km.² Ziemi Odzyskanych. Szkoły zaczęły już funk-cjonować w piwnicach i barakach”.

Nocowaliśmy po trzy osoby w pokoju w starym hotelu Po-lonia, z grubsza wyłatanym, w którym na parterze mieściły się rzędy sklepów. Panie z najlepszego towarzystwa, sepleniące po francusku, sprzedawały na legalnym czarnym rynku w białej dzień ciastka z kremem i resztki dawnych wspaniałości. W tej samej witrynie flaszka wódki sąsiadowała z futrami; wyposażenie skle-pu przekraczało możliwości jednego sprzedawcy wobec czego two-rzono spółki. Na ulicy nie tylko chłopcy ale i panie z wydeli-kaconymi rękami sprzedawały papierosy amerykańskie i angielskie. Jak mogły one docierać tutaj, do kraju okupowanego przez Rosjan jeśli nie drogą kontrabandy, w której armia miała swój udział? Kupcy *comme il faut* szeptali po francusku: „Zarekw-irowane bez odszkodowania przez bolszewików”. Starsi wiekiem odzyskiwali paniczną odwagę, która ongiś sprawiła, że w roku 1920 zatrzymali Czerwoną Armię u wrót Warszawy. Te niepo-wodzenia ludzi z dobrego towarzystwa wywołały we mnie uczucie plebejskiego tryumfu. Nasz luksusowy przewodnik nafaszerował mnie już cyframi: majątki większe niż 50 hektarów są parcelo-wane, przedsiębiorcy zatrudniający ponad 50 pracowników — wywłaszczeni. Przedtem już Niemcy wywłaszczyli wielkich prze-mysłowców. Ex-właściciel mianowany dyrektorem swego włas-nego przedsiębiorstwa odnosił wrażenie, że robiono mu łaskę.

Pisałam więc najzupełniej szczerze:

„Nie, Polska to nie jest chaos, Polska — to jest Początek (Genesis). Podpalana dzień po dniu przez 63 doby, ta stolica-krematorium odżywa na skalę ludzką”.

Pierwszego wieczora, wążając się po nieoświetlonych uli-cach z korespondentem *L'Humanité*, Rolandem Diquélou, byłam świadkiem niemal szekspirowskiej sceny. Po dwu stronach sze-rokich Alej Jerozolimskich, obrzeżonych pustymi terenami i przez to jakby jeszcze szerszych, stało dwu mężczyzn w obszarpanych mundurach z przewieszonymi przez ramię karabinami. Nic ich nie odróżniało, chyba jakieś subtelności gwiazdek czy pasków,

których nie mogliśmy dostrzec. Między nimi ogłuszający terkot tramwajów obwieszonych „winogronami” ludzkimi lub ciężarówek z ludźmi stłoczonymi na platformach. W chwilach cichszych jeden z żołnierzy ryczał „Armia Krajowa!”; „Armia Ludowa!” odkrzykiwał mu drugi; dwie armie stały oko w oko, wymyślając sobie. Krajowa, ta z kanałów i oporu niekomunistycznego nie przestawała zarzucać tej drugiej, „Ludowej”, tej z I-szej Dywizji Polskiej uformowanej w ZSSR, że z bronią u nogi przeczekiwała masakrę, oddzielona od powstańców tylko rzeką, tak jak tutaj ci dwaj żołnierze rozdzieleni byli jezdnią.

„Nie wyszli z knajpy w dobrej komitywie” — zauważył Diquélou, gdy dołączaliśmy się do reszty towarzystwa w jakiejś piwnicy-restauracji. Orkiestra zagrała na nasze powitanie *La Madelon* (będą ją grać co wieczór; czyżby mieszała ją z *La Marseillaise* czy też był to przebój danej chwili?). Po północy wkoło nas sprzedawcy i wysocy urzędnicy płakali cklawie przy dźwiękach sentymentalnej piosenki: „Warszawa, kochana Warszawa”. „Rozwodniona szopeniada” — szepnął Louis Parrot. „Po scenie szekspirowskiej — kolej na replikę emigracji rosyjskiej w Paryżu, widzianej oczyma Joseph’a Kessela, albo na scenę z berlińskiego powieściadła przedhitlerowskiego”. „Dekadencja na całego” — mruczał Diquélou.

Kraj oglądany w rytmie podskoków autokaru. Włókiennicza Łódź. Urok niemal nienaruszonego Krakowa; żaden demiurg, żaden Prometeusz nie objawił jeszcze z nicości planu nowego miasta: Nowa Huta, obłęd megalomaniacki, który przecież stanie się rzeczywistością. To miasto będzie wzniesione o 12 km. od Krakowa, aby podwoić rozmiary królewskiej stolicy potężnym tchem proletariatu. Będę poznawać, z roku na rok, wszystkie stadia tego procesu. Na razie jesteśmy u początków.

Kopalnie Śląska. Oddech wielkich pieców, które właśnie wtenczas uruchamiano. Spotkanie — w sztolniach kopalni, bardzo wysokich, w odróżnieniu od Francji pracuje się tu na stojąco — chłopców przybyłych z Pas-de-Calais, prekursorów wielkiego powrotu. Później, około 1947, zaczną się powroty masowe, którymi będzie zajmować się Gierek, przyszyły Nr 1 Polski z lat 70-tych, niskie zarobki, deputaty w naturze aby trzymać w karbach inflację. Malowane przez robotników afisze wołają: „Węgiel — nasze złoto” i „Jesteśmy krajem czarnych diamentów”.

W Katowicach biskup, Monsignor Adamski, mówi nam o kolonizacji miast. Mężczyźni i kobiety z żółtymi opaskami, których się spotyka, to Niemcy „importowani” po roku 1921; odsyła się ich do Niemiec w wagonach towarowych typu „40 ludzi — 10 koni”, ale wyposażonych w piece. Ach! te żółte opaski

koloru gwiazd żydowskich... To podobieństwo budzi we mnie uczucie wstrętu. Diquélou starał się daremnie, naśladowując głos Pétain'a, przekonać mnie, że ja, Francuzka, mam krótką pamięć; kolor tych opasek był wstrętny... „Wsi nie tyka się zupełnie, mówił biskup; to są Polacy”. Wędrowka ludów już się zaczęła. Na 100.000 km² Ziemi Odzyskanych na Zachodzie przenoszono Polaków zepchniętych ze 150.000 km² przyłączonych do ZSSR.

Wieczorem w Katowicach i we Wrocławiu nie radzono nam zapuszczać się za daleko poza hotel. *Wehrwolfy* niemieckie nie były jeszcze zupełnie wytępione. A w dwa lata potem polscy „chłopcy z lasu” zabijają bohatera wojny w Hiszpanii i w Chinach — generała Waltera.

Po powrocie, w Warszawie, spotykamy „Górę”, poczynając od patetycznego przywódcy resztek Gminy Żydowskiej ocalałych z pogromu, aż po „zjednoczeniowego” socjalistę Osóbkę-Morawskiego, który wygłosił formułkę godną zapamiętania.

„III Międzynarodówka jest martwa; II-ga już się nie zbierze a IV-ta była zawsze bezsilna. Zjednoczmy się więc na platformie narodowej, skoro nie ma innej”.

Minister Spraw Zagranicznych Modzelewski, kiedyś mieszkający we Francji, który stanie się moim wielkim przyjacielem, przyjął mnie kilkakrotnie i właśnie u niego spotkałam wyższych oficerów I Dywizji Polskiej sformowanej w ZSSR. Zwięźle ujmowali swoje przejścia: „W roku 1939 szliśmy do Lwowa na spotkanie Rosjan. Tam nas skupiono i przetransportowano za Ural. Tam — staranna selekcja, a w jej wyniku wielu z nas, po zaatakowaniu ZSSR przez Niemców w czerwcu 1941 roku zdołało wstąpić do Czerwonej Armii, czekając na uformowanie naszej Dywizji”.

Nic więcej. Nic o swych prawdziwych przeżyciach. I dopiero w roku 1953, jak to zobaczymy, Modzelewski np. wyzna mi prawdę o sobie samym. Już przed wojną spędził siedem czy osiem lat w obozie w ZSSR.

Ale w owej chwili piłam po rosyjsku, to jest jednym haustem, wszystkie te bojowe optymizmy.

Pamiętne spotkanie z Gomulką, sekretarzem generalnym Partii. Krągła łysa czaszka, oczy wiślane, wydawał się niezmienny — jak Polska. Wszystko dokoła niego było proste, formalne, wyrównane. Poczęstował nas rarytasem: prawdziwą kawą. Ponieważ wspomniał o reformie rolnej, zapytałam go z całą naiwnością jak będą zorganizowane kołchozy.

Dlaczego tłumaczka, osoba dojrzała i doświadczona, zdawała się mieć trudności przy tłumaczeniu mego zapytania?

Wiślane oko spiorunowało mnie, usta zacisnęły się w bliznę, słowa zdawały się skrzypieć...

„W Polsce nie będzie nigdy kołchozów. Żadnych kołchozów”. Ośłupienie. Po czym, wracając do poprzedniego sposobu mówienia i dawnej uprzejmości Gomułka ciągnął dalej...

W trzy lata później przypadek sprawił, że znalazłam się w Polsce we wrześniu 1948 roku, gdy Gomułka był pozbawiony wszystkiego. Przypomniałam sobie jego „Żadnych kołchozów” i powiedziałam sobie: psia krew! wciąż te nawroty sentymentalizmu polskiego. Nie wiedziałam o jego aresztowaniu i odmowie składania zeznań.

Bolesław Bierut, przyszły prezydent PRL'u i przyszły następca Gomułka w kierownictwie Partii, przyjął nas w jeszcze niezupełnie odbudowanym Belwederze. Fakt, że odsiadywał więzienie w Polsce, oszczędził mu konsekwencji „czystki” sowieckiej, w ZSSR znalazł się jako uchodźca, i był stamtąd zrzucony w 1943 roku do Polski, na spadochronie. O ile Gomułka był przedstawicielem krajowego ruchu oporu, Bierut miał za sobą podwójny prestiż. Zasługą jego będzie, że uchroni Polskę od wielkich procesów.

Gdy Ravon z *Figaro* poruszył sprawę Ziemi Odzyskanych i ziem przyłączonych do ZSSR, Bierut tłumaczył mu łagodnie: „Naszą wadą jest skłonność do sentymentalizmu. Jeśli jednak zamienimy się w realistów, okaże się że zarobimy na tej zamianie. Na Zachodzie surowce. Na Wschodzie — nic z tego. Poza tym tamte ziemie były ongiś ruskie, tak jak Ziemia Zachodnie były ongiś polskie”.

Pozyskawszy przyjaciół — w tym kilku na całe życie — byłam przekonana, że zrozumiałam również jakimi drogami kroczy demokracja ludowa i wracałam pełna entuzjastycznego podziwu dla odwagi, wytrwałości i upartej woli życia. Cechy te przypisywałam nowemu człowiekowi, bolszewikowi, człowiekowi komunizmu, podczas gdy, być może, wszystko to było odwiecznym dziedzictwem polskim.

Na zakręcie

W pobliżu Wrocławia, na ziemiach odzyskanych przez Polskę, w kraju przemysłu szklarskiego, w Szklarskiej Porębie, w jakimś zamku, miało miejsce przez pełny tydzień ciekawe spotkanie. Od 22 do 27 IX. 1947 Partia Sowiecka, partie wszystkich demokracji ludowych Europy oraz francuska i włoska, które dołączyły się na ostatku, obradowały wspólnie.

Przebieg tego spotkania znam z książki, którą mu poświęcił Eugenio Reale po wystąpieniu z włoskiej Partii Komunistycznej, a także z aluzji Duclos'a z okazji afery jugosłowiańskiej. Znam je także pośrednio poprzez scenę, którą opiszę a w toku której Tito powiedział mi, w obecności Dymitrowa, znamienne zdanie. Przez kilka ocen (Jugosłowian ale także i Żdanowa, który zmarł w międzyczasie) zakomunikowanych mi przez Gemindera, członka Sekretariatu Partii Komunistycznej Czeskiej (straconego ze Slansky'm, któremu towarzyszył na tym zebraniu). Wreszcie z krótkiego opisu satyrycznego, napisanego przez pewnego tłumacza, którego nazwisko przemilczę, ponieważ przebywa nadal w jednej z demokracji ludowych i niewątpliwie pracuje ciągle dla partii. Oficjalnie ogłoszono tylko sprawozdania bez przebiegu dyskusji. Aby przedstawić uczestników zebrania posłużę się w pierwszym rzędzie moimi wspomnieniami.

.....

Włosi (Reale i Longo) i Francuzi (Duclos i Fajon) przybyli ostatni, spotkani na granicy przez przywódców polskich. Dom otoczony brzozaami i łąkami był dawną posiadłością jakiegoś junkra pruskiego. Delegaci spali po dwu w pokoju. Wygłodzona Polska przyjęła ich kawiozem, winami i tropikalnymi owocami. Prawie wszyscy znali się: Międzynarodówka, emigracje, kongresy... Na pewnym szczeblu trzeba zaiste bardzo gwałtownych awansów, aby spotkać kogoś nieznanego.

Gdy w pierwszej kolejności Włosi a następnie Francuzi usadowili się przy stole ustawionym w podkowę, uznano iż rozmowy mogą się zacząć. Czyżby istniały dwie grupy? Tych przy władzy i tych w opozycji? Reale został wyznaczony na dwa dni przed wyjazdem. A Togliatti oświadczył, że dopiero 13 lub 14 września miał spotkanie z tow. Ostapem Dłuskim, kierownikiem Biura Zagranicznego Partii Polskiej, który miał polecenie zaproszenia go.

Wyobrażam sobie Dłuskiego, starego kominternowca, poliglotę, bardzo dumnego ze swej francuszczyzny — ze swobodnym sposobem bycia. (Uważałam go za mało energicznego; obecnie rozumiem, iż był po prostu rozczarowanym sceptykiem, jak wszyscy dawni członkowie Międzynarodówki). Dłuski znał zbyt wielu ludzi, którzy już zeszli z tego świata, widział za wiele rzeczy, o których nie można było mówić i miał zbyt mały wpływ na bieg wypadków. Chudy, z garbatym nosem, z szerokim uśmiechem, czy zdołał podszeptać Togliatti'emu, iż może dojść do scysji? Czy wiedział coś o tym? Jeśli idzie o Togliatti'ego, nie uszły zapewne jego uwagi manewry tego ostatniego w łonie

Międzynarodówki Komunistycznej przeciwko swoim, tym z Partii, którzy skończyli śmiercią... Lecz takiego zakończenia na pewno nie życzył sobie tow. Ercoli.

O posiedzeniu Kominformu Dłuski powiedział mi kiedyś kilka słów na zebraniu Ruchu Pokoju, po „schizmie jugosłowiańskiej”: „Wie pani, gdy partia u władzy oskarża *en bloc* Partię, która jeszcze walczy, nigdy nie oznacza to nic dobrego”. Nie zrozumiałam podówczas, że była to aluzja do przywódców polskich zwabionych w 1938 roku do Moskwy, oskarżonych o szpiegostwo i niemal w stu procentach zlikwidowanych. Pewnego dnia Dłuski powiedział mi również na wesoło o Togliattim: „Ach, tak, tow. Ercoli zużył już swój cały zapas żółci; został mu tylko miód... W każdym razie w stosunku do cudzoziemców...”.

Aktorzy

Eugenio Reale: znałam go w Warszawie w 1945, gdy był tam ambasadorem włoskim. Kształt głowy, uśmiech i spojrzenie świadczyły o makiawelicznej subtelności. Chodziliśmy długo wzdłuż brzegów Wisły. Odważyłam się zapytać go, czy rzeczywiście Czerwona Armia nie mogła przekroczyć rzeki, ocalić miasta od zniszczenia i powstańców od masakry? Odsłonił mi fragment prawdy, zanedo jednak zawołowany na moją ówczesną łatwowierność: „A jeśli Rosjanie uznali, że stracili już dość ludzi? I jeśli uważali, że Polacy z wnętrza kraju byli zanedo antysowieccy by być pewnymi sprzymierzeńcami?”...

Dziś wiemy przez kogo byli zmasakrowani. W 1957, Reale będzie mówić w swojej książce o Katyniu, tej rzeźni polskich oficerów. Podówczas mordercami byli dla nas Naziści... Czyż Reale wiedział już w roku 1945 że byli nimi Sowietarze?

Jeszcze więcej: w książce swej Reale przypisuje Togliattiemu poważną rolę w machinacjach z 1938 roku przeciwko przywódcom polskim. „To tow. Ercoli otrzymał polecenie udowodnienia 'odchylenia luxemburgistowskiego' Polaków”. („Luxemburgizm” był w owych czasach symbolem zdrady głównej). Zapewne Togliatti nie wiedział, że likwidując politycznie Polaków, skazywał ich na śmierć fizyczną, na zamordowanie... Ale czy Reale, znający te fakty już w 1947 roku mógł przez dalszych dziesięć lat kierować Biurem Zagranicznym Włoskiej Partii Komunistycznej, zasiadać w Politbiurze, żyć w cieniu szubienicy Wielkiego T.?

.....

We wrześniu 1947 roku Polacy, doskonali gospodarze, zda-

wali się odnosić z rezerwą do Sowietarzy. Jest to bardzo prawdopodobne w odniesieniu do Gomułki. W rok później wpadnie w niełaskę i pozna co to więzienie. Mniej prawdopodobne jest to w stosunku do Hilarego Minca, ekonomisty, przyszłego wicepremiera. Ten mieszcuch żydowski, urodzony w 1905 roku, założył we Francji, zanim został z niej wypędzony, organizację młodych komunistów polskich. Podczas wojny był profesorem na Uniwersytecie w Samarkandzie.

Polska, rok III

W tym roku jeździłam wielokrotnie „za Kurtynę” a w szczególności do Polski z ramienia *Démocratie Nouvelle* w trakcie pisania broszury pt. *Bomba czy Pokój atomowy* (koszmar milennium atomowego przeciwstawiony użyźnianiu pustyń przy pomocy energii atomowej tak, jak przewidywał to Joliot-Curie i nadzwyczajny „plan Dawydowa” przekształcenia Syberii). Bardzo szybko przestano o tym mówić i nie wiem nic o osobie ani dalszych losach owego Dawydowa. Siłą rzeczy w toku tych podróży poznałam dość dobrze pewne koła partii komunistycznych Europy Wschodniej a zwłaszcza Polski. Tych, którzy po Wyzwoleniu odnaleźli się, nieliczni — jak w Rumunii, po spędzeniu długich lat młodości w więzieniach swych krajów. (Podówczas nie wiedziałam, że wielu z nich zginęło w obozach i więzieniach sowieckich).

.....

Pobierali decyzje będąc między młotem instrukcji z Moskwy, udzielanych telefonicznie za pośrednictwem doradców sowieckich lub w toku bezpośrednich rozmów (otrzymywało się wezwanie do Moskwy tak jak naczelnik wydziału bywa wzywany do szefa) a kowadłem trudnych do odmienienia faktów. W tej sytuacji rzeczywistość stawała się dla nich coraz bardziej abstrakcją. Dopuszczalne były tylko dyskusje polityczne, to jest strategia. Niewątpliwie jednak nawet człowiek tego typu, co Jakub Berman, odpowiedzialny za odcinek intelektualistów i za „porządek”, tj. za policję, był głęboko przekonany, że „polonizował” w granicach możliwości otrzymywane (z Moskwy) dyrektywy, łagodząc je jak mógł najbardziej. (I w rzeczywistości Polska nie poznała ani procesów swych przywódców ani wyroków śmierci).

.....

Byłam więc w Warszawie, gdy Jerzy Borejsza, ten sam, który

witał całą naszą grupę dziennikarzy podczas pierwszej podróży, w 1945, mówił mi o „swoim” Kongresie...

„Chciałbym, żebyś mi pomogła we Francji fabrykować moją bombę atomową pokoju”.

Tak więc od początku 1948 roku zajmowałam się tą sprawą. Dobrowolnie, to jest bez otrzymania wyraźnych zleceń od Partii. Podówczas nie wiedziałam jeszcze, że nie należy nigdy podejmować się zadań, które nie są mi z góry przydzielone. Mój wstręt do tytułów i funkcji, które krępują, które ograniczają, które nakładają więzy sprawiał, iż unikałam takich zadań. Ale w Partii Komunistycznej trzeba być upoważnionym do mówienia, zanim się zabierze głos. Nie można przemawiać we własnym imieniu i reprezentować tylko samego siebie; czyjeś zachowanie implikuje dalszy ciąg — i może skompromitować Partię.

Dowiem się także później, że nie należy palić na trybunie w czasie zebrań masowych, ponieważ w owych czasach kobiecie-proletariuszce nie wypadało palić publicznie... Tak przynajmniej zapewniano mnie w Kierownictwie Partii.

Przygotowywaliśmy więc „przeciw-UNESCO”, na którego pierwszym posiedzeniu przewodniczyć będzie Julian Huxley, sekretarz generalny UNESCO, po to, by odlecieć w popłochu i przerażeniu.

Pionier pokoju

Korpulentny, podniecony, rozgorączkowany, o niebieskich oczach i pociągłym spojrzeniu, o ruszających się uszach i twarzy przedwcześnie porytej zmarszczkami, Jerzy Borejsza obdarzony był od natury cechami, które tworzą aktorów i polityków i których zespół nazywać zwykliśmy prezencją. Ciężki w biodrach, o zmierzwionych włosach, zdejmujący raz po raz szkła bez oprawy by wymachiwać rękami; trzymając szkła w mięsistych palcach, rozplýwał się po prostu w jednym wielkim uśmiechu. Człowiek nie znający odpoczynku, zdolny do wszystkiego z wyjątkiem zachowania spokoju. Było ich więcej, jemu podobnych w gronie mych przyjaciół z demokracji ludowych. Identyfikowali oni szczęście ze „służbą” tj. z władzą — i tracili sens szczęścia od chwili gdy go zakosztowali. Wieczni Maratończycy Historii.

Takim człowiekiem był właśnie Jerzy Borejsza. Z chwilą, gdy wchodził gdziekolwiek, temperatura podnosiła się.

W sejmie uważano go za niebezpiecznego przeciwnika „w debacie na sposób amerykański”; tak przynajmniej twierdzili Rosjanie, którzy nie znali Ameryki (podobnie zresztą jak on sam).

Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Goldberg, podczas gdy Borejsza był pseudonimem jednego z dziadków, dziennikarza żargonowego. Znał więzienia polskie, wojnę domową w Hiszpanii, a gdy Naziści pokonali Polskę — ucieczkę do Czerwonej Armii via Lwów i obozy zbiorcze Polaków za Uralem. On także mógł mi mówić o masakrze kierowników polskiego ruchu komunistycznego w 1938 roku; nigdy jednak tego nie uczynił, tak samo jak nigdy nie ujawnił mi swego rzeczywistego nazwiska czy też faktu że był Żydem. Czy ukrywał to? To były po prostu sprawy, których komuniści nie poruszali. Na odwrót opowiedział mi o ucieczce z obozu za Uralem i przejściu (tak jak to zrobił także jego przyjaciel Borkowicz) przez cały ZSSR, bez dokumentów. Odyseja nie do wiary w państwie najbardziej policyjnym na świecie, gdzie trzeba było pozwolenia na to, by wsiąść do pociągu albo przenocować w jakimś mieście, ale w którym włóczędzy bez papierów krążyli we wszystkich kierunkach. Opowiadał mi — z prawą ręką w kieszeni i ze szklanką herbaty w lewej, podczas gdy przemierzał wielkimi krokami swój gabinet, w jaki sposób dotarł aż do Dymitrowa. Czekał trzy dni i trzy „północy” w korytarzu jego biura zanim otrzymał prawo wstąpienia do Armii Sowieckiej w randze prostego żołnierza. Wkrótce potem został kapitanem a potem majorem w I Dywizji Polskiej. Kilku z nich przeszło tę drogę: on sam, Borkowicz — szeroko znany propagandysta, i gen. Grosz, odpowiedzialny za stosunki z prasą zagraniczną...

Ci, którzy go nie lubili — a było ich wielu — z powodu jego sarkazmów, zmiennego usposobienia i żądzy władzy — wskazywali na jeszcze inną wrodzoną wadę, za którą jednak nie ponosił odpowiedzialności: na jego przyrodniego brata. Przyznał mi się do jego egzystencji po kilku latach przyjaźni w zdaniu rzuconym od niechcenia wobec świadka, którego obecność uniemożliwiała stawianie pytań: „Mój brat, rodzaj lokalnego małego Berii...”.

Ten przyrodni brat, Jacek Rosiński (wymawiało się Rózański) kierował policją polityczną do spółki z tym, który później miał uciec na Zachód — Światłem, pod zwierzchnictwem nieusuwalnego ministra, członka Politbiura, Radkiewicza. Rózański walczył także w szeregach Armii Czerwonej, gdzie wykształcono go w „wydziale specjalnym”.

Milczenie brata — męża stanu na temat brata w cieniu a o tyle bardziej wpływowego, symbolizowało stosunki pomiędzy komunistami z demokracji ludowych i nami, aktywistami na Zachodzie. Chorobliwy brak zaufania wyniesiony z ZSSR? Obawa, by nas nie zniechęcić, by — jak to zwykliśmy mawiać — „nie zdemobilizować Billancourt”, ujawniając mało atrakcyjne kulisy

reżymu? Czy też zażenowanie komunistów u władzy, których decyzje mają istotny wpływ na wypadki i ludzi, w stosunku do bojowników opozycji bez wpływu na swoje społeczeństwa? Jakże musieliśmy ich równocześnie wzruszać, przypominając im ich własną przeszłość i irytować naszymi naiwnymi wymaganiami, gdy zwracaliśmy uwagę na jakąś niesprawiedliwość czy nieporządek? Żądaliśmy od nich, by naprawili takie „odchylenie” w imię naszych wspólnych ideałów... a oni, prezydenci, ministrowie, dyplomaci, cóż mogli na to odpowiedzieć, skoro jakiś kaprys ich partii lub Sowietów mógł stracić ich w otchłań ciemności?

Szara eminencja Polski

Na wiosnę 1948 roku Borejsza przedstawił mnie „towarzyszowi Jakubowi” (Bermanowi). Siwe włosy, wyrozumiały wyraz twarzy mędrca, a przecież ten mały człowieczek o niesłychanie skromnym wyglądzie był tutaj bezpośrednim wykonawcą woli Stalina, kontrolującym kadry partyjne, kulturę i zachowanie porządku. Na jego biurku to co później nazwano „czerwonym telefonem”: aparat telefoniczny połączony bezpośrednio z Moskwą z pominięciem normalnej centrali międzymiastowej. Z kim porozumiewał się w Moskwie? Stalinem, Berią, z jakimś niższym funkcjonariuszem? Obecnie wmawiam sama sobie, że on w Polsce, jak ongiś Dymitrow w Kominternie, starał się uzyskać to, co było najmniejszym złem.

Gdy „tow. Jakub” przyjął nas, był właśnie w trakcie śniadania. Jadł jakieś mięso w mało apetycznym sosie, przy czym nalegał, byśmy koniecznie skosztowali tego przysmaku. Polecił mi, bym im pomogła „w zrealizowaniu pewnego pomysłu Jerzego (Borejszy), pomysłu polskiego tj. poniekąd narwanego... pomysłu na miarę rozpędu socjalistycznego...”. Dodał, iż „w Moskwie” pomysł ten wzbudził, na szczęście, duże zainteresowanie.

Gdyśmy się spotkali znowu przy biurku z pięcioma telefonami, Borejsza wytłumaczył mi, że w Moskwie Żdanow aprobował jego pomysł zwołania Światowego Kongresu Pokoju Intelktualistów... Żdanow wahał się zrazu, niedowierzał i poddał go prawdziwemu przesłuchaniu, ale w końcu dał się przekonać, mruczając pod nosem: „Tak, we Wrocławiu, na Ziemiach Odzyskanych od Niemców, to dobry symbol, to dobry pomysł...”.

„Ale z Francji zaprosisz wszystkie wielkości? Łącznie z niekomunistami? Sartre, Camus, Malraux?”

— Żartujesz chyba? Malraux, gaullista? Ach, tak, naturalnie! Znam to na pamięć: *La condition humaine* i *L'Espoir*, ale...

I Camus, który szczuje Europę przeciw tzw. obozom sowieckim? I Sartre, który założył to *Rassemblement Démocratique Révolutionnaire*, tę Trzecią Siłę, tak jakby mogła istnieć trzecia siła. — Pomyśl sobie, że dla Żdanowa, Sartre jest obecnie...”.

Telefon przeszkodził Bermanowi powiedzieć, czym był Sartre dla dyktatora kultury. Nie wiedziałam o tym, że Żdanow miał się chwalić przed Dżilasem tym, że po skrytykowaniu satyryka Zoszczenki, kazał mu odebrać kartki żywnościowe, by mu je potem zwrócić, jako łaskawy gest Rządu i Partii...

Hiena pisząca na maszynie...

I oto jesteśmy we Wrocławiu, mieście które świadczy naraz o pokoju i wojnie, w którym kobiety odgruzowują jeszcze ruiny.

Kongres, który my, aktywiści francuscy i włoscy, pojmowaliśmy po prostu jako sposobność do kontaktów, spotkań, dialogów, rozgrywał się na trzech płaszczyznach. Pierwsza — to płaszczyzna jednostek (rozciągająca się od Picasse’a, przeciwnika podróży, do Juliana Huxley’a, który sądził, iż w ten sposób wzmoże promieniowanie UNESCO), artystów, uczonych, intelektualistów, którzy wierzyli, iż zainicjują ruch porozumienia i tolerancji. Druga — to płaszczyzna partii komunistycznych, dumnych z tego, iż potrafiły zestawić delegacje „o szerokim wachlarzu i dobrze zrównoważone”. I wreszcie płaszczyzna ZSSR, który montował swoją ofensywę pokojową, ale miał ją rozpocząć atakiem, którego nie spodziewał się nawet architekt tej ceremonii, autor pomysłu, Jerzy Borejsza. Nie spodziewał się go tak dalece, iż sprowadził nawet delegację jugosłowiańską, która skądinąd, nie natrafiła na nic innego jak tylko na lodowate milczenie.

O ile sam Kongres odbywał się w olbrzymiej sali, z całą aparaturą mikrofonów, zsynchronizowanych tłumaczeń, obsługi prasowej (codzienny biuletyn w pięciu językach), wielkich ogrzewaczy, zakulisowych szeptów, to nieformalne spotkania odbywały się w starym hotelu „Monopol”. Ponieważ przygotowywałam książeczkę z sylwetami uczestników Kongresu (pod tytułem, który był programem, mało zresztą pociągającym: „Wybraliśmy pokój”), miałam prawo do „kurierskiego pokoju”, jak to się kiedyś nazywało. Zbudowane dla niemieckich *Kommerzgeheimrat*, te salony z ciemnymi boazeriami, te zakurzone tandety cudem zachowane od zniszczenia, te krzesła w stylu z przełomu XIX i XX w., przypominały burżuazyjne i prowincjonalne jadalnie z czasów mego dzieciństwa. W przeciwieństwie do nich bar

o łukowatych kanapkach i neonowym oświetleniu, świeżo urządzony, reprezentował współczesność.

Pierwszego dnia Kongres pod przewodnictwem Juliana Huxley'a i Ireny Joliot-Curie (Frédéric, podówczas jeszcze tajny członek Francuskiej Partii Komunistycznej, wołał aby Irena, bezpartyjna, reprezentowała tę dostojną parę), odbywał się zgodnie z planem. Chciano zmusić rządy do zezwolenia uczonym na swobodne komunikowanie sobie nawzajem swych wynalazków i odkryć (żądanie to sformułowało po upływie ćwierćwiecza na nowo Światowe Stowarzyszenie Uczonych zwane „Pugwash”). Postanowiono powołać do życia w każdym kraju komitety mające za zadanie jednocześnie intelektualistów wokół tej idei. Erenburg wygłosił piękną mowę w stylu „frontowym”, jak się to kiedyś mawiało w Międzynarodówce: „Gdy zapowiedziano ten Kongres sceptycy wzruszali ramionami — jeszcze jedna gadanina intelektualistów! Otóż nie. Pięciuset uczestników, 45 krajów...”

.....

Pierwszego wieczora, lub raczej podczas pierwszej nocy — bo kto by spał tutaj — potworzyły się szybko grupy na podstawie wzajemnych sympatii. Chodziłam od jednych do drugich, zbierając materiały do mojej książeczki. Był to, tego pierwszego wieczoru, załazek jakiegoś przyszłego braterstwa, niezależnego od sporów rządów. Byłam poruszona pięknem tego nastroju. Nawet Eluard ogarnięty jeszcze wspomnieniem śmierci Mush'a, niczym pokryte lodem drzewo, wyzwał się ze swej „stolicy bólu”, pił mniej niż zwykle i ręce trzęsły mu się mniej niż zazwyczaj.

Mówiono głośno, podczas gdy jakaś orkiestra z nieprawdziwego zdarzenia siekała przestarzałe melodie. Erenburg żartował nonszalancko, rzucając sceptyczne spojrzenia: „Cóż to za zbrodnia ta orkiestra! Gdyby komunizm był taki jak go malują, powinno się tych ludzi zesłać na Syberię”. Śmieliśmy się wszyscy ale dopiero dziś ten żart wypowiedziany właśnie przez niego wydaje mi się makabryczny. Przy stole Erenburga 80-letni Duńczyk odznaczony nagrodą Nobla, z twarzy podobny do Beethoven'a, Martin Andersen-Nexö, słuchał. Przyjaciół Gorkiego, ten drwał-filozof, ciosał powieści leśne i naturalistyczne. U jego boku, ptak o sokolim oku, Vercors śledził wszystko okiem rysownika. Irytowało go, iż występował tu tylko jako autor „Silence de la mer” („Ciszy morza”) powieści ogłoszonej w podziemiu, zwalczającej okupanta pogardą, tłumaczonej na wszystkie języki. W ciągu siedmiu lat wydał osiem tomów i szedł pewnym krokiem ku sławie dyskretnej ale pewnej.

.....

Nieco dalej, przy jednym stole, dwu Rosjan: Leonid Leonow, którego powitałam wylewnie i Szołochow, który wypróżniał karafkę po karafce wódki. Czyżby pili obaj, razem z Korniejczukiem i jego Wandą, ponieważ „wiedzieli”?

Wszystko układało się dotąd dobrze; początek idylli. Burza miała wybuchnąć dopiero nazajutrz.

Atak Żdanowa na Sartre'a

Nazajutrz siedziałam w gronie delegatów francuskich — Picasso, Éluard, Vercors, Léger — wszyscy w doskonałych humorach pomimo bezsennej nocy. Ze słuchawkami na uszach darzyliśmy tłumaczenia przemówień pobieżną uwagą, przyjmując z góry, iż są monotonne i spokojne.

Na trybunę wszedł Fadiejew. Ten powieściopisarz sowiecki, którego znałam od czasu procesu oprawców z Bergen-Belsen, miał cerę jeszcze czerwienią, oczy jeszcze bardziej przekrwione, włosy jeszcze bielsze, ale w sumie pozostał sobą. Wydał właśnie nową powieść: „Młoda Gwardia”, w której podobno „rola kierownicza Partii była niedoceniona”... Nie zauważyłam tego, czytając książkę. Rozpoczął przemówienie i nagle...

Nie przypominam już sobie tekstu przemówienia; wracają mi do głowy tylko słowa kluczowe: wojna błyskawiczna przeciw dekadencji literatury i sztuki na Zachodzie; pojawienie się nowego człowieka przynoszącego socjalizm realistyczny i uszeregowanego na pozycji klasy robotniczej. Każdy intelektualista godny tego miana powinien przeciwstawić się tej dekadencji...

Vercors, Éluard, Picasso i ja wymieniliśmy ironiczne spojrzenia: Ach, ci sowieciarze i ich dogmaty! Czuliśmy się bezpieczni w naszej francuskiej muszli. Aż nagle: „Sartre, ta hiena pisząca na maszynie, ten szakał uzbrojony w wieczne pióro...”. Picasso zrywa słuchawki, podczas gdy rozlega się odgłos tupania. Éluard zdejmuje swoje powoli i zaczyna coś notować. Vercors i Léger trwają w bezruchu.

Dla mnie jest to wstrząs. Mówiliśmy zawsze o „wyrwaniu z siebie starego człowieka”? Otóż dla mnie jest to operacja bez znieczulenia. Sartre? To od niego nauczyliśmy się tego głębokiego niekonformizmu, odmawiania zgody, stałego kwestionowania spraw tego świata, stawiania sobie samemu wymagań, wiecznego niepokoju moralnego. Od niego nauczyliśmy się, że życie prywatne powinno wypracować w niekonformizmie swoje własne reguły tak samo jak i w życiu publicznym; że jest się związanym

danymi przyrzeczeniami, ale że w każdej chwili jest się buchalterem swojej wolności. Nie w teorii tylko i w słowach lecz w uczynkach każdego dnia. On był, poza polityką, naszym nauczycielem, jak należy żyć... Porzuciliśmy go dla komunizmu. Ale dziś...

Patrzę przed siebie. Na trybunie Irena Joliot-Curie i Julian Huxley wymieniają zapisane karteczki; Borejsza z ustami na pół otwartymi wygląda jak akrobata, któremu wbito sztylet. Poniżej trybuny wszyscy, nawet Pierre Daix, wydają się zmieszani. Fadiejew przemawia dalej. Wstaję — mniejsza o to, czy tego się nie robi — i wychodzę do kuluarów. Z sali dochodzą mnie odgłosy przerywane oklaskami; Fadiejew zapewne skończył mówić.

Widzę Borejszę samego, idącego ze spuszczoną głową. Gdy dochodzi do mnie, mówi: „Otóż to; rozpieprzyli mój kongres. Więc po to przyjechali? A uprzedzili mnie: „Mamy do powiedzenia rzeczy twarde i konieczne: wszystko jest grzaskie jak bagno. Trzeba to wyjaśnić. Myśmy nie przyjechali aby to klajstrować”. Byłem więc od początku zaniepokojony... ale to? Na prawdę ani ja, ani nikt inny nie mógł się tego spodziewać”. Oddala się, po czym nagle zawraca.

„Słuchaj, być komunistą w kraju, w którym komunizm jest u władzy, to także i to. Ty to rozumiesz? Trzeba to przyjąć albo być tchórzem. Odwaga komunistyczna wymaga, by przyznać rację Fadiejewowi. Odmówić mu racji, to łatwo, zwłaszcza tobie na Zachodzie”. Odchodzi, rozmawia długo z różnymi grupami polskimi i wraca do mnie, gdy łykam ortedrinę (środek podniecający, podczas gdy należało zażyć coś uspakajającego: przez cały czas trwania Kongresu żyłam ortedriną i maxitonem, jak gdybym stawała do jakiegoś konkursu). Mówi mi:

„Słuchaj. Jeżeli jesteś prawdziwą aktywistką, zapobież temu, by Irena Joliot odjechała razem z Huxleyem, który odlatuje najbliższym samolotem”.

Odpowiadam mu pytaniem: „Z jakiej racji ja właśnie i jakimi argumentami ja, która nie mam żadnego wpływu na tę kobietę, najbardziej niezależną ze znanych mi, mogłabym na nią wpłynąć”. Borejsza odpowiada mi, że Irena lubi mnie, że Frédéric mnie lubi i że... „Zrób to jakoś. Jeżeli ona odleci, stracimy naukowców; nawet nasi będą grymasić”.

Antycyklon

Z kuluarów dochodziły już odgłosy kroków i głosów. Jakiś publicysta angielski zbierał podpisy pod jakimś protestem. Więk-

szość sygnatariuszy oświadczyła, iż nie godzi się na ogłoszenie tego protestu a tylko życzy sobie przedyskutowania go na posiedzeniu. Richard Hughes chciał wywołać antycyklon, wzywając wszystkich mówiących po angielsku do natychmiastowego wyjazdu razem z Julianem Huxleyem, jako ich przywódcą. Prasa brytyjska ogłosiła następnego dnia protest i podpisy z wielkimi nagłówkami o szakalu i hienie.

Po wznowieniu posiedzenia Julian Huxley oświadczył swym głosem z akcentem typowym dla angielskiej arystokracji uniwersyteckiej: „Większość Kongresu nie chce traktować mniejszości na zasadzie równości. Jest obecnie modne, by dowodzić, że wszelka kultura jest upolityczniona, ale UNESCO jest przykładem, że to nie jest konieczne: tam Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki koegzystują na zasadzie równości...”.

Profesorowie i uczeni brytyjscy: J. G. Growther, Sir John Boyd Orr, fizycy Haldane i J. Bernal odpowiedzą: „UNESCO nie jest bynajmniej takim sukcesem...”. Fizyk brytyjski W. A. Wooster, profesor krystalografii, oprze się Richardowi Hughes’owi, wychodząc z siebie, i odmawiając pozostawiania polityki specjalistom. Każdy uczony — mówił Wooster — jest przede wszystkim członkiem społeczności ludzkiej, jak każdy inny człowiek i powinien walczyć. Nic nie zachwiało Julianem Huxley’em; odleciał.

Znalazłam Irenę Joliot-Curie w małym gabinecie, który dla niej zarezerwowano. Szarpana wątpliwościami, z twarzą w której odbijały się jej myśli, powiedziała mi: „Nie często bywam zakłopotana, ale tym razem naprawdę nie wiem, co robić. Czy zostawić Rosjan, by się pograżyli w swej głupocie? Czy nie byłoby wskazane dać im do zrozumienia przez nasz wyjazd, że nie można przekraczać pewnych granic?”.

I oto stanęłam wobec pierwszego prawdziwego zadania zleconego mi przez Partię. Wszystko, co było dotąd, nie miało znaczenia: musiałam sprzeciwić się tylko przeciwnikom ale nie przyjaciółom. Próbuje wszystkich argumentów: czyż gdy przybyła do Stanów Zjednoczonych Amerykanie nie popełnili również głupstwa zamykając ją w kwarantanie na Ellis-Island? Rosjanie postąpili źle, z pewnością. Ale pozostając może wpłynąć na rezolucję końcową, podczas, gdy wyjeżdżając zatrzaskuje drzwi za sobą. Odpowiedziała westchnieniem:

„Nie lubię polityki”. I jak zawsze w wielkich chwilach zaczęła mówić o swym ojcu. Pierre Curie stał się politycznym postępowcem, ponieważ palono kawę i topiono zboże, by zapobiec spadkowi cen światowych. Gdy rozmowa zaczęła się nawiązywać, zaproponowałam, by zatelefonowała do Frédéric’a Joliot

w Paryżu i poszłam zawołać Borejszą: „Trzeba uzyskać natychmiast połączenie... Prędko...”. Być może, że odwołał się do pomocy „lokalnego Berii”. Irena dostała Paryż prędzej, niż gdy telefonowała ze swego mieszkania w Sceaux. Stręciła sytuację tak zwięźle, że aż niezrozumiale. Po czym powiedziała równie nonszalancko jak ironicznie: „Oddaję telefon komuś kto ci to zapewne wytłumaczy politycznie”. I podała mi słuchawkę. Przypominam sobie, że pomyślałam w tej chwili o komisarzach politycznych z czasów bolszewizmu. Niestety, miałam przede wszystkim trudności w przekonaniu samej siebie, ale mówiąc spostrzegłam, że nabiera się pewności, przekonując kogoś innego. Mówiąc do człowieka, którego podziwiałam, nie miałam poczucia iż działam w złej wierze. We Francji utworzyliśmy właśnie z Fargue, d’Astier i Joliotem stowarzyszenie „Bojowników Pokoju i Wolności”. Jeżeli ta walka nie stanie się walką międzynarodową, straci wszelkie znaczenie. Jakże więc zrezygnować przy pierwszym spotkaniu Zachodu ze Wschodem? Głosem, w którym wyczuwałam więcej zaskoczenia niż drwiny Frédéric Joliot odpowiedział: „Ależ ja nie wiedziałem, że pani tak bardzo zależy na Sartrze?”. Odpowiedziałam, że między Sartrem a obroną światową pokoju... Nawiązałam: „Rosjanie cierpią na przerost słownictwa surrealistycznego: „Pan zna to doskonale, Fred: śliska żmija, ośliszy szczur...”. Głos zazwyczaj tak czysty był zniekształcony na skutek odległości: „Można jednak było oczekiwać, że to należy już do przeszłości...” (myślałam dokładnie to samo). „Ależ oczywiście, że to należy do przeszłości: to są zapewne ostatnie przejawy”. Telefonistka zaawizowała, iż mamy już tylko minutę. Krzyknęłam: „Fred, to jest sprawa Partii, oddaję telefon Irenie”. Podałam słuchawkę uczoney i wyszłam z pokoju. Na zewnątrz Borejsza chodził tam i z powrotem jak oszalały: „A więc?”. Wzruszyłam ramionami. Irena otworzyła drzwi: „Zostaję. Chodźmy jednak domagać się od Rosjan, by zrezydowali rezolucję umiarkowaną. Przyjmijmy, że ten powieściopisarz wypowiedział opinię osobistą...”.

Czy Irena byłaby zrozumiała, gdyby jej powiedziano, że członek Sowieckiego Komitetu Centralnego nie może przemawiać w imieniu własnym?

Kongres podzielił się na dwie epoki: przed i po przemówieniu Fadiejewa.

Wieczorem w barze przy stole Picasso’a i Eluard’a rozmówcy zmieniali się ciągle i wódka przynosiła zapomnienie. W pewnej chwili Picasso oświadczył iż mu za gorąco i że tych sowieckich brodatych malarzy, którzy „malują włosy jak gdyby były z kamienia ma w d....”.

I zdjął gwałtownym ruchem koszulę, ukazując tors koloru terrakoty, jędrny i muskularny. Bar w hotelu „Monopol” i wstydliwa nowa Polska nie widziały nigdy takiego zuchwalstwa. Ten człowiek z gliny przesyczonej sokami życia wdał się z nami w starą grę surrealistyczną, poddaną przez Éluarda „banał na wywrót”:

„Mam 67 lat i jestem z tego dumny. Następnym razem, gdy będę miał sto lat, zdobędę się na coś więcej. Przekornemu los sprzyja: jaki dobry rok: miałem syna, poleciałem samolotem, zobaczyłem Polskę, zabrałem się do ceramiki. Toczący się kamień zbiera śmietankę z pracy”.

„Jak może pan nie lubić podróży” — zapytała jakaś ładna Polka.

— Odkąd tam mieszkam, a to już okres generacji, Francja, jak każdy inny kraj, jest co chwila różna. Po co ruszać się z kraju, który sam jest w ruchu. Jakiż widok jest bardziej niespodziany od widoku karafki, na którą pada zmienne światło? Podróżowanie jest zasadniczo stratą czasu. Ale tutaj idee nabierają kształtów.

— Co myśli Pan o Kongresie? — zapytał jakiś dziennikarz. Grobowa cisza, podczas gdy Éluard skierowuje, sama nie wiem dokąd, swe lotne spojrzenia. Picasso mógłby jednym słowem rozwalić cały ten kongres, po prostu opowiadając jak zerwał był swe słuchawki i rzucił je na stół, tak jak inni depcą coś nogami lub tupią. Ale Picasso umie lawirować:

„Pytam się samego siebie jak bym mógł żyć bez kongresu. Czas jest ściśle wymierzony. To jedyny sposób w jaki można się obejść bez pracy”.

Żdanow nie żyje? Ale żdanowizm nie umarł

W Warszawie trwały nadal przyjęcia oficjalne i rozmowy nieoficjalne, podczas gdy cała Polska stawiała sobie pytania co ją czeka w przyszłości. W tym samym czasie Bierut zajął w kierownictwie Partii miejsce Gomułki (który na krótki okres zachował jeszcze jeden z portfeli ministerialnych) a na najwyższym szczeblu potępiono „nacjonalizm” i planowano kolektywizację ziemi. Ten ostatni zabieg, tak niesłychanie ważny, oceniałam tak, jak był mi podawany: od 1945 roku wiedziałam, że Gomułka był przeciwnikiem „kołchozów”.

31 sierpnia w nocy siedziałam przy kolacji z Fadiejewem, Korniejczukiem, towarzyszami z południowej Ameryki i malarzem włoskim Renato Guttuso. Dziwna kompania. Dla delegatów z Ameryki Łacińskiej Sowietciarze reprezentowali za jednym za-

choдем inny świat — i socjalizm. Poprzez zupełny brak zrozumienia cywilizacji diametralnie odmiennych byli oni złączeni pewnością, że socjalizm „marksistowsko-leninowsko-stalinowski” jest najwyższym dobrem wszystkich narodów, dającym się zastosować wszędzie. Łączyła ich także suma doświadczeń z krajów niedorozwiniętych. Dyskusja na temat zacofania, zabobonów, powolnego myślenia chłopów miała niewątpliwie więcej sensu między Amado a Korniejczukiem, mimo że jeden mówił mając na myśli osiadłych Kozaków a drugi — plantatorów kakao, niż... przyjmijmy, tym samym Korniejczukiem a np. Jean Guéhenno, który miał na myśli swego ojca, szewca. Przynajmniej tak długo, jak codzienna rzeczywistość była ukryta za powszechnie znanymi słowami, jak bieda, ignorancja, obskurantyzm, wydawało się tym pisarzom, że prowadzą dialog, podczas gdy w rzeczywistości monolog każdego z nich dotyczył rzeczywistości niedostępnej dla drugiego. Amado miał się o tym przekonać, gdy mu wypadło zamieszkać w tych krajach... A Pablo Neruda z chwilą, gdy tam przybył.

Jest pół do trzeciej rano. Nagle wpadł do nas Francis Crémieux, radioreporter. Jak baran prujący wiatr.

„Wracam ze studia. Moskwa donosi, że Żdanow umarł”.

Fadiejew poszarzał. Przez jego przekrwioną twarz przebiega się olów przerażenia. Co przebiegało mu przez myśl, gdy ręce ściskające kieliszek drżały? „Czy niszczyłem daremnie?” — czy też: „To mój koniec?” — czy też, wyrażając się łagodniej, poczuł się sierotą, przestawszy być synem, który zaangażował wszystko w przedsiębiorstwie ojca? Przez moment starał się odsunąć od siebie ten puchar goryczy, zadając pytanie: „Czy nie chodzi tu o „jakiegoś innego Żdanowa, wszak mamy ich kilku?”. Potem załamuje się i przyznaje: „Tak, Żdanow był chory na serce od dłuższego czasu” (Dżilas wspomina w swej książce, że Żdanow pokazywał mu jakieś pigułki i odmawiał udziału w pijatykach, jakimi były z reguły przyjęcia u Stalina).

Idziemy na górę do pokoju Korniejczuka (z racji Wandy — Wasilewskiej — nazywano go „zięciem polskim”: mieli oni prawo do najpiękniejszego apartamentu w Bristolu, najbardziej luksusowego w 1948 roku). Korniejczuk telefonuje do Ambasady Sowieckiej; o 3-ej rano nikt nie położył się spać.

„A więc to prawda? Prawda? Prawda?” — bełkocze Korniejczuk. Jego podłużne zielone oczy zdają się wychodzić z orbit. Idzie na balkon.

Ten powieściopisarz ukraiński, którego książki uzyskują ogromne nakłady, ma w swym realizmie epicką siłę, ale żądza władzy (przejawiająca się w sposób dobroduszny) pchnęła go na drogę stanowisk oficjalnych. Żdanow zrobił z niego faworyta Stalina,

a jego żona, niezmordowana aktywistka, wplątała go we wszystkie wewnętrzne intrygi. Jeżeli śmierć Żdanowa oznacza koniec żdanowizmu, dla Korniejczuka będzie to niewątpliwie trudny moment.

Fadiejew siedzi na łóżku zdeprymowany. Guttuso i ja siedzimy na fotelach, nie wiedząc co lepiej: opuścić zebranych czy zostać. Fadiejew mówi do siebie:

„Ale kto by mógł go zastąpić? Kto? Co poczniemy bez niego?”.

Czyżbyśmy byli świadkami końca świata? Dla nas dwojga, ludzi Zachodu, Żdanow symbolizował taki układ stosunków, w którym polemiki kończyły się na zlecenie władzy. Żdanow zmuszał nas zawsze do odsuwania dalej granic naszego zaangażowania. Po raz pierwszy zdaliśmy sobie sprawę z tego, że ten układ spraw miał za sobą kogoś, kto go firmował. Na pytanie Guttuso'a Fadiejew wyrzucił z siebie panegiryk.

„Myśmy byli tam zawsze, radząc się go bez ustanku, zabierając mu czas — i oto... Nie lubił dawać rad, mówił: „Wyciągnij wnioski sam; człowiek sowiecki musi umieć brać na siebie odpowiedzialność”. A gdy wreszcie wyrzucał z siebie radę dodawał: „Ale, przede wszystkim, przemyśl to jeszcze”.

(Obraz ojca, dobrego wychowawcy, stał zakazu ukryta pod rękawicą odpowiedzialności osobistej).

„On, syn artystki i sam także artysta muzyk, przychodził na dyskusje o muzyce z patefonem i płytami i przegrywał kwestionowane utwory. Zasiadał potem do pianina i grał... Mussorgskiego, zdaje mi się, komentując: „Słyszycie? To prawie ten sam temat a jednak jaka różnica! Słuchajcie jak ten nasz przodek zdawał sobie sprawę z subtelności uczuć i jak współcześnie aplikuje gimnastykę dla techników gry. Istne igraszki z nutami...”. Oto cały Żdanow: nie dopuszczał, by jakaś kultura odcinała się od swego społeczeństwa i wiedział, że rzutuje ona na społeczeństwo. Wyobraźcie sobie, jak było nam wesoło, gdy ludzie Zachodu oskarżali Żdanowa, że nie bierze kultury na serio!”.

Niebieskie jezioro oczu Fadiejewa rozplywa się; Fadiejew napętnia sobie kieliszek... kazał sobie przynieść butelkę wódki. Wychyla kieliszek do dna i zaczyna wspominać Żdanowa z okresu obłędzenia Leningradu.

Jako korespondent wojenny Fadiejew przebił się przez pierścień oblegający Leningrad jakimiś niezwykle trudnymi drogami — ostatnie kilometry czołgając się. Złodowaciały, przemarznięty, ten Syberyjczyk przybył wczesnym rankiem do biura Żdanowa, który jeszcze czuwał. Zaczęli rozmawiać. Niewątpliwie była to

jedna z tych chwil, gdy padają zeszytniałe bariery hierarchiczne. Żdanow powiedział: „Mija dzień po dniu i noc po nocy a mnie wciąż gnębi to samo pytanie: co 24 godziny padają tu z wyczerpania setki obywateli sowieckich (w rzeczywistości: 3.000 na dobę). Czy my, komuniści, mamy prawo godzić się z takim stanem rzeczy? Jak osądzi nas historia? — Otóż to! choć to wszystko może się wydawać sprzeczne z naszymi celami, Historia, jak sądzę, przyzna nam rację. Co więcej: Historia nie darowałaby nam, gdybyśmy poddali ten bastion socjalizmu jakim jest Lenin-grad...”.

Fadiejew patrzy na nas, świadom, że wyrzył w nas obraz Żdanowa.

Ta moralność oficera spadochroniarzy, która by mnie oburzyła albo pobudziła do śmiechu u każdego innego np. u jakiegoś generała zachodniego, w tej sytuacji otoczona była nimbem arystokratycznej wielkości prawdy bolszewickiej. Ani Guttuso, ani ja nie mieliśmy ani chwili wątpliwości, że podpis Fadiejewa, za podniętą Żdanowa, który z kolei był inspirowany przez Stalina, pogrążył w nędzę, niełaskę lub skazał na deportację czy śmierć wielu intelektualistów. A jednak między nim a nami, których zaszczycał pewnym rodzajem koleżeństwa i mną w szczególności („Ona i ja byliśmy razem tej nocy, gdy umarł Żdanow”), mur lodu nie topniał. Co więc zmusiło mnie do skreślenia jego portretu w mojej małej książeczce o Wrocławiu? Dlaczego skończyłam ją słowami „mój przyjaciel Sasza Fadiejew?” Czy aby mu pochlebić? Nawet w otoczce hiperboli ta poufałość musiała mu się wydawać przesadna. Czy aby pochwalić się moimi „stosunkami na wysokim szczeblu”? Autor *L'hyène dactylographe* nie cieszył się dobrą opinią ani nie-komunistów, którzy widzieli w nim groteskowe monstrum, ani komunistów, uważających go za wyniosłego i stroniącego od innych właśnie wskutek tych abstrakcyjnych okrucieństw, o których nie wiedzieli. Postępowałam tak, jak sądzę, rzucając wyzwanie i prowokując do śmiechu burżuazję i tych spośród moich towarzyszy, którzy uważali się za bardziej „uświadomionych” ponieważ należeli do klanu Aragon-Erenburg. A także, żeby samej sobie dać dowód, że w sposób stanowczy odrzuciłam wszystkie przesady małomieszczańskie. Tego rodzaju ambicje były przyczyną zbędnych ekscesów wielu z nas.

.....

Lecz wróćmy do Fadiejewa: po odwilży i bombie raportu Chruszczowa, Fadiejew popełni samobójstwo. Według tego, co Aragon powiedział mi o Drieu, ta śmierć winna odkupić jego przeszłość. Fadiejew uświadomił sobie, że życie jego załamało się

i czuł że „swoi” odzegnują się od niego. A może zrozumiał, że to określenie „nasi”, tak bardzo cenione przez Rosjan, straciło dla niego sens. Nie należał już do żadnej grupy. Z chwilą gdy stalinizm uległ procesowi demistyfikacji, Fadiejew stracił korzenie i stał się symbolem Zła. Ludzie sowieccy z więzień i obozów chwyтали się słowa „nasi” i rzutowali je w przeszłość. Fadiejew zabił się, bo nie umiał sobie wyobrazić z kim miałby solidaryzować się w przyszłości. Drieu zabił się, ponieważ kochał tych, którzy uważali go za wroga.

Nazajutrz z Guttuso i malowniczym senatorem rzymskim, członkiem Politbiura Partii Komunistycznej Włoskiej, Emilio Sereni, który znał dziewięć języków i wiedział wszystko o wszystkich, chodziliśmy po nocnej Warszawie. Sereni, przysadzisty i ponury, z kapryśnie spadającym pasmem włosów i pełnym brzuchem, westchnął: „I pomyśleć, że gdyby Żdanow powrócił do Lenina trzy dni wcześniej, uniknęlibyśmy, być może, *„hyène dactylographe”*... Wszystkich nas porwał śmiech, bez wesołości. Sama zadawałam sobie pytanie, czy ten problem nie prześladował Fadiejewa owej nocy? Czy nie wydał się sobie porzuconym przez wirtuoza instrumentem, niepotrzebnym, pozbawionym mocy wydawania dźwięku?

Byłam pod wpływem tego groźnego człowieka śniegów, ale o jego przeszłości nie wiedziałam rzeczy najważniejszej — pewnego rodzaju współczucia.

.....

Sprawa Kostowa

Późnym wieczorem Borejsza telefonuje z Warszawy. Jest bardzo podniecony sprawozdaniami korespondentów polskich i pragnie usłyszeć moją wersję wypadków. Nareszcie mogłam mu powiedzieć o mojej dezorientacji. Przybrał ton „starszego brata”. Moja książka? Ależ nie, to nie zmienia niczego. Poza tym już ją otrzymał i dał do tłumaczenia. „Jesteś śmieszna z całą tą dostojewszczyzną; prowadzimy zażartą walkę”. „To nie ja reprezentuję tu dostojewszczyznę: to albo Stefanow albo Kostow, nie wiem, może obaj. W każdym razie sytuacja trąci Dostojewskim”. Wobec tego zaproponował mi, abym po objeździe Bułgarii, którego miałam dokonać z Hervé, wracała przez Warszawę. Gotów jest zarezerwować dla mnie miejsce w samolocie. Zorganizuje mi spotkanie z bratem, a ten da mi wyjaśnienia na temat procesu

[Kostowa]. Ta propozycja, bym przedstawiła moje wątpliwości „lokalnemu Berii” wytrąciła mnie zupełnie z równowagi.

„Czy nie sądzisz, że widziałam już tutaj dość policjantów?”.
Zaśmiał się: „Ale nie takich jak on. Sama zobaczysz różnicę”.

.....

Śmieciarz komunizmu

Odetchnęłam w Polsce.

Wydana na łaskę stalinizmu, z Rokossowskim, marszałkiem sowieckim na czele, obolała od reperkusji Afery, z Gomułką oskarżonym o titoizm i stojącym na progu aresztowania, Polska, mimo trudnych warunków bytowania i gróźb, zachowała żywotność swego humoru.

Oczekujący mnie na lotnisku Borejsza zakomunikował mi na wstępie, że będzie zajęty do 10-ej wieczorem, i że brat jego odwiedzi mnie. W przejeździe pokazał mi betonowe monstrum ofiarowane przez ZSSR: „Nasz Pałac nie-Kultury... Każdemu miastu należy się jakaś Piazza Venezia... Mussolini wzniosł (w Rzymie) fortecę ze smalcu a u nas wzniesiono tort weselny”. Nazajutrz pewien architekt powiedział: „Słuchaj, oto ludzie, którzy roztrwonili nasze ruble, żeby pokazać czego nie powinni robić architekci, a tu nikt nawet nie jest im za to wdzięczny”.

Gdy tylko zainstalowałam się w pokrytym patyną, niewygodnym ale kochanym hotelu Bristol, telefon oznajmił mi, że „płk Różański chce ze mną mówić”. Czyż miałam prosić, by przyszedł do mego pokoju? jego, szefa policji politycznej — w hotelu, w którym każda rozmowa telefoniczna, każdy odwiedzający był skrupulatnie inwigilowany? Czy miałam spotkać się z nim w hallu pełnym ludzi z całego świata, komunistów i sympatyków z kongresów, kolokwiów i zebrań międzynarodowych, przemieszanych z „współpracownikami Komitetu Centralnego”, „funkcjonariuszami Partii”, znającymi to oblicze?

Moje wahania są nowym świadectwem trudności odczuwanych przez komunistów z Zachodu, gdy wypada godzić się z oznakami władzy tych innych komunistów, którzy w teorii są ich braćmi. Uznanie władzy w ściśle określonym zakresie tych wszystkich ministrów, dyplomatów, prezesów czy dyrektorów „nowego typu”. A cóż powiedzieć o władzy tajnej, budzącej przerażenie i zawsze odczuwanej jako coś wstydliwego przez intelektualistów francuskich: władzy policji — zwłaszcza politycznej — lub wywiadu? Wiem, że w Anglii sławni profesorowie nie robią tajemnicy z tego, że wracając z pewnych podróży składają sprawozda-

nia dla „Intelligence”. Ja jednak trwałam na moim stanowisku „łapsofobii” w dzieciennym wstręcie do donosiciela, który składa raporty. Nawet we Francji, minister spraw wewnętrznych, taki jak Jules Moch, absolwent Ecole Polytechnique, lub profesor uniwersytetu, socjalista, członek Ruchu Oporu, absolwent Ecole Normale Pierre Bertaux, który zgodził się być dyrektorem Sûreté, stwarzali dla mnie problemy psychologiczne nie do rozwiązania...

To pierwsze spotkanie z przyrodnim bratem Borejszy, wysokim dygnitarzem policji politycznej, było dla mnie takim przeżyciem, że opisałam je w mojej powieści *Les grands sentiments*, w której Różański występuje jako jedna z postaci.

Rzeczywiste spotkanie było mniej dramatyczne.

Otworzyłam drzwi człowiekowi szczupłemu, o zakrzywionym nosie, o cerze żółtawo-czerwonej, spozierającemu z dołu do góry a mimo to górującemu. Ten pułkownik w granatowym ubraniu, sili się na postawę wojskową — a to godzi się źle ze zgarbioną sylwetą urzędnika. Twarz wydaje mi się niepokojąca (Rajka również uważałam za mefistofelicznego ponieważ był ministrem spraw wewnętrznych). Po upływie ćwierćwiecza, sędzę, że Jacek Różański (czy Rosiński) robił wrażenie wiecznie podglądającego — charakterystyczne dla wychowawców szkolnych i kiepskich psychiatrów. Miał jednak przy tym ruchliwość i niepokój ludzi szukających przygód. Przeprosił mnie za to, że mnie kompromituje odwiedzając w pokoju.

„Ale skompromitowałbym panią jeszcze bardziej, przyjmując ją w moim biurze. Tu można nas posądzać o kontakty... osobiste. To mniej kompromituje”.

Wybrał hotel, by usiąść pod światło — deformacja zawodowa, która zmusiła mnie do pokazywania się w pełnym świetle. Kręcąc palcami, owłosionymi aż po paznokcie, przystępuje z miejsca do ataku:

„Brat mówił mi, towarzyszeko, że proces bułgarski stworzył dla pani problemy natury ideologicznej?”

Opowiadał w kilku słowach: to sprawa tego odwołania zeznań przez świadków.

Tym razem uśmiech jest istotnie mefistofeliczny... lub po prostu jest to uśmiech dobrego ucznia twórcy Czeke? Ostatecznie Feliks Dzierżyński, skrzypek, przyjaciel Róży Luxemburg, który założył Czekę, był także Polakiem. „Nie pojmuję jak Feliks może to robić” — mówiła Róża do Radka na dwa tygodnie przed swoim zamordowaniem — a człowiek, którego kochała, Leo Jogisches, odpowiedział: „Gdyby los rewolucji od tego zależał, robiłabyś to samo”.

Pułkownik odpowiada wolno, po rosyjsku, źle akcentując:
„To nie do wybaczenia! Nie ryzykuje się publicznej rozprawy, póki nie ma się pewności! Co za idioci!

— Pewności czego?

Drgnięcie twarzy od powieki po kącik ust:

„Oczywiście winy”.

Powiedział to bardzo szybko. Czyż wyniosłam z tego procesu odwagę pesymizmu? Czy też chciałam skorzystać z tak niezwykłego rozmówcy? Pytam go, jak oskarżony może wycofać podpisane przyznanie się do winy? Czy przyznał się po to, by mieć sposobność publicznego odwołania na rozprawie? Czy też zmuszono go do pójścia poza granice prawdy? I czy ci, którzy przyznają się, są komunistami którzy zbłądzili i którzy, kając się, wracają na właściwą drogę?

Niewątpliwie podrażniony pułkownik wyrzuca z siebie zdanie z pewnością szczere. Nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że podważa ono dalsze rozumowanie:

„Ten oskarżony to łobuz, szkodliwy i siłący się na dowcipy... jeśli pozostawi mu się furtkę do ucieczki, korzysta z niej...

— Furtkę w czym?

Powieka i wargę drży; to jego sposób mrugania.

„W dialektyce, towarzyszek. To jest najniebezpieczniejsza broń — obnaża wszystkie sprzeczności.

— Ależ oskarżony typu Kostowa ma praktykę w dialektyce co najmniej równą pańskiej? Proszę pomyśleć: dawny członek Międzynarodówki...

Na ruchliwej twarzy obserwuję punkt wygrany przeze mnie: Różański przechodzi do zwierzeń:

„No tak, oczywiście, mamy nasze metody. Pracujemy na zmianę. On jest sam. Wobec nas i w absolicie. Szpiega nie pokrywa nigdy jego mocodawca, to należy do gry. Jeśli jest to agent podwójny, to znaczy jeśli tkwią w nim resztki komunizmu zapisanego w komórkach mózgowych w przeszłości, to wie, że jest tak samo potępiany przez komunistów. A więc coś mu zostaje?...

(Po śmierci Stalina, podczas odwilży, pułkownik Jacek Różański będzie z kolei uwięziony i niewątpliwie przesłuchiwany... Czy będzie się czuł wówczas „sam w absolicie”?).

W tym pokoju hotelowym ciszę, która zapanowała między nami, przerywa tylko jakaś ciężarówka na ulicy. Pułkownik opowiadał się, wrócił do swej roli, poucza:

„Samotność, towarzyszek; jest się zdolnym do wszystkiego, byle móc z niej wyjść... Wszystkiego... Chcę powiedzieć, że woli się powiedzieć prawdę, byle tylko się od niej uwolnić”.

Zmiana tonu między początkiem a końcem tego zdania jest niepokojąca. Odpowiadam mu, że nie potrafię wytłumaczyć na Zachodzie tego, co mi powiedział. Napisałam książkę, opartą na zeznaniach Kostowa, w której — oczywiście — odwołanie zeznań nie figuruje. Książka ukazała się w księgarniach na sześć dni przed odwołaniem zeznań. Będę musiała wytłumaczyć to wszystko w artykułach dziennikarskich lub w żywym słowie. To wszystko co opisał: przesłuchiwanie przez ekipę na zmianę, doprowadzenie oskarżonego do zeznań — nawet mnie to szokuje. A co mówić o innych?...

Bierze sobie i częstuje mnie papierosem o kartonowym ustniku i zapala z uśmiechem, od niechcienia:

„Śledztwo może trwać miesiące, lata. Moralnie zmusza się oskarżonego do odtworzenia zbrodni, otaczając go świadkami — których w miarę potrzeby zamyka się od czasu do czasu; tak, to prawda. O oskarżonym trzeba wiedzieć wszystko, nawet o jego życiu prywatnym. Szokuję panią? Obyczaje miłosne ujawniają bardzo wiele...Ale lepiej zrezygnować z procesu, niż się ośmieszyć. Uważam, że policja polityczna bułgarska fatalnie się skompromitowała...”

Ten oryginalny punkt widzenia zaniepokoił mnie. Pułkownik kazał mi powiedzieć przez brata, że Gomułka „trzyma odtąd swój los w rękach”... Po raz pierwszy pytałam się sama siebie czy miało to znaczyć, że przeciw niemu toczyło się śledztwo i że miano go aresztować. Poruszyłam sprawę tortur:

„A tak zwany trzeci stopień?”

Powieści amerykańskie zaznająmiły cały świat z *third degree*: nawet w tłumaczeniu na rosyjski jest to jasne. Towarzysz pułkownik posuwa się do półuśmiechu:

„Proszę was, towarzyszek; przecież pani wie doskonale, że wobec dialektyki marksistowskiej te gruboskórne metody są już przestarzałe...”

Ironia w głosie, w oku, w grymasie pozostawiają mi swego rodzaju posmak... W dalszym ciągu rozmowy pułkownik opowiada mi koleje swego życia, o co go nie prosiłam. Komunista od lat szkolnych, jak jego przyrodni brat, aresztowany, gdy był studentem prawa... (Przez głowę przebiegła mi myśl: w aktach oskarżenia bardzo często odnosi się do tego pierwszego aresztowania datę rekrutacji w charakterze donosiciela burżuazyjnej policji państwowej; w dalszym ciągu przejmuję „faceta” wywiad zagraniczny). Na wojnę poszedł, jak wielu innych, by dołączyć do Rosjan we Lwowie, ale znalazł się, jak wielu innych w obozie zbiorczym za Uralem... wyszedł z niego jako oficer wywiadu. Jak, dzięki komu? Nie mam odwagi pytać. I oto widzimy go

zrzuconego na spadochronie do Polski, z przydziałem do „bezpieczeństwa” w podziemiu komunistycznym — Armii Ludowej (A.L.), będącej, jak sam przyznaje w mniejszości wobec armii narodowej (A.K.), kierowanej z Londynu przez gen. Andersa. Jest ich dwu; jego towarzysz pracuje razem z nim od dni Stalingradu. Są oto razem w lesie, śpią na tym samym sienniku, dzielą się konserwami, wódką, machorką... Depesza (on jeden zna szyfr radiowy) zawiadamia go, że jego towarzysz jest posądzany o pracę dla Andersa. Przez sześć tygodni szpieguje swego towarzysza we śnie i na jawie, nadal dzieląc się z nim tym samym papierosem — jedno pociągnięcie dla jednego, drugie — dla drugiego. Tak. Jego nierozłączny towarzysz pragnie, aby Polska była uwolniona przez sprzymierzeńców zachodnich a nie przez I Dywizję Polską. Gdy jest tego pewny — zabija go własnoręcznie.

Opowiedział to bardzo szybko, a spoglądając badawczo, uśmiecha się drwiąco.

„Parszywe zajęcie? Jesteśmy kloaką dyktatury proletariatu. Ale jaki reżym może się obejść bez śmietnika? My jesteśmy na straży tego, co nie daje się ujawniać. Bez nas nie można by budować socjalizmu nigdzie. Oczywiście, że nas nie pokazują: jaki reżym zapraszałby na zwiedzanie terenów przeznaczonych na wywózkę śmieci?”

Wstaje, bije obcasami, pochyla się w postawie bardzo wojskowej.

„Jestem śmieciarzem komunizmu”.

Z kolei mówi o „białym” podziemiu, o ludziach z lasu:

„Po niedawnej amnestii 30.000 'maquisardów' Andersa powróciło do domów. Bezpieka straciła 15.000 ludzi, wśród nich bohatera wojen w Chinach i Hiszpanii gen. Waltera zabitego w 1947. (Walter był dla mnie legendarnym bohaterem). On, Różański, zawiadomiony w ostatniej chwili, przybył na miejsce za późno: Walter już nie żył. „To jest temat do powieści, którą powinna pani napisać...”.

(Co w tym najciekawsze, że w roku 1952 napiszę na ten temat felieton policyjny pt. „Le matou dans le neige” („Kocur w śniegu”), który ukaże się w *Ce Soir* na krótko przed zamknięciem tego pisma. Przetłumaczony na polski, felieton ten był oparty w jednym z dzienników następującą ciekawą notatką: „Autorka zna zbyt dobrze Polskę Ludową, aby nie opisywać tej walki w sposób uproszczony, a tym samym bardziej pasjonujący”).

Nie zrozumiałam aluzji, gdyż dla mnie sytuacja była jasna. Z jednej strony polski Wehrwolf, marionetki na usługach wy-

wiadów zachodnich; naprzeciw nich ci, którzy mają za sobą naród.

Pułkownik chciał mnie zaprosić na kolację. Udałam zmęczenie a on udał, że je rozumie. Pożegnał się, mówiąc:

„Pewnego dnia zaproszę panią na rozprawę sądową, na której nawet najbardziej złośliwi z waszych, ci w *Figaro* aż po *L'Aurore* będą mogli wszystko sprawdzać. Oskarżeni nie odważą się odwoływać swoich zeznań”.

W zimie 1950 sprawozdawcy sądowi wszystkich dzienników francuskich zostali rzeczywiście zaproszeni do Polski, do Szczecina, na proces francuskiego szpiega, małoletniego cherlaka, pracownika Konsulatu, schwytanego na gorącym uczynku. Został on skazany na karę więzienia i, o ile sobie dobrze przypominam, natychmiast wymieniony. Pułkownik Jacek Różański działał za kulisami wraz z ze swymi „chłopcami”. Zaprosił nas na kolację, mnie i przyjaciółkę, która reprezentowała *L'Humanité* i która w *maquis* wyszła za Polaka walczącego w podziemiu francuskim (M.O.I.) — małżeństwo wojenne, które się szybko rozleciało, ale w międzyczasie mieszkała z nim w Polsce we wczesnym okresie powojennym. Ex-mąż „znikł” — Różański bez ogródek wywalił mojej przyjaciółce, iż był uwięziony, podejrzany o utrzymywanie stosunków z wywiadem zachodnim. Ona zaniósła się płaczem... Po procesie dziennikarze zwiedzali Polskę w odbudowie. Nas, komunistów, napawały optymizmem gigantyczne budowle Nowej Huty na przedpolach Krakowa. Budowano tyle szpitali, szkół, mieszkań... Jeśli nawet brak było artykułów pierwszej potrzeby — był to skutek tego, że Polska wyszła z wojny niemal zupełnie zniszczona.

Warszawski „Człowiek Zachodu”

W Warszawie, zabiegany dzień zszedł mi na wysłuchiwanie górnolotnych marzeń o przyszłości Hilarego Minca, oficjalnego specja gospodarczego, nadętego grubasa, a następnie planów bardziej przyziemnie wyłożonych przez Jakuba Bermiana, szarą emnencję rządową. Gdy jeden z przyjaciół zdołał mnie wreszcie zabrać na kolację, było już za późno na zwykłe restauracje. Wylądowaliśmy w końcu w przyjemnej piwnicy na Starym Mieście (odbudowanym kamień po kamieniu według planów Canaletta, który je projektował (sic!)). Ten nocny lokal służył rządowi do „wysuszania” — na modłę ZSSR — bajecznie wysokich honorariów artystów, filmowców, wirtuozów cieszących się powodzeniem. Tej północy byli tam tylko reżyserzy, aktorzy i karykatu-

rzyści, bardzo pijani i hałaśliwi, co dało nam pretekst do izolowania się, ułatwionego jeszcze tym, że mówiliśmy po angielsku. Mimo to mój towarzysz wyjął z kieszeni jakiś tajemniczy przyrządek, który włączył do małej lampki stojącej na naszym stole. Sprzedawane w Stanach Zjednoczonych spod lady, były to, jak mi powiedział „zagłuszacze” mikrofonów podsłuchowych; używało ich wielu dyplomatów — dodał — zwłaszcza w pobliżu O.N.Z. Przyjęłam śmiechem to, co uważałam za objaw deformacji dyplomatycznej i maniakalnego strzeżenia sekretów a co nie było niczym innym, jak wyciąganiem nauki z doświadczenia.

Przyjaciół, o którym mowa, Juliusz Katz-Suchy, zmęczony tygrys, był dyplomatą i co więcej — funkcja poufna i niebezpieczna — doradcą Wyszyńskiego, szefa delegacji sowieckiej w O.N.Z., wiceministra spraw zagranicznych ZSSR w sprawach dotyczących Anglosasów. Czyżby Wyszyński, dawny „pomieszczyk” rosyjski, rewolucjonista z przekonania, ale stalinowiec dla kariery, dyrygent czystek z 1938, morderca Bucharina i Zinowiewa, nie mógł znaleźć między Rosjanami nikogo, kto by znał od wewnątrz tajemniczy Zachód? Juliusz Katz-Suchy żył więc stale na dwu stołkach w bezustannej półprawdzie. Wobec Wyszyńskiego — co do którego nie mógł mieć złudzeń — zmuszony był do najwyższej ostrożności. Ale wobec swych kolegów z O.N.Z. i dziennikarzy odgrywał rolę błyskotliwego intelektualisty, serwującego mordercze riposty z gatunku tych, które dostarczają materiału do dobrego artykułu („Katz-Suchy makes news” — mówiono na trybunie prasowej). Ta podwójna gra kryła się u podstaw jego tragicznej ironii; wielka dzika bestia schwyтана w siatkę — ale mądra, umiejąca się wyrwać w toku widowiska. Jego dziwna twarz — mniej czoła, więcej ust — drwiące nostalgiczne spojrzenie spoza szkieł krótkowidza, wielka sylweta o ciężkim chodzie, składały się na obraz siły, której zaprzeczał nieuleczalnie melancholijny uśmiech i podbita rozczarowaniem łagodność w stosunku do zachodnich entuzjastów komunizmu. Później, w roku 1956, po XX Zjeździe ale przed powstaniem w Budapeszcie, powiem mu: „Ale teraz to się zmienia?” A on mi odpowie: „To zawsze to samo” (*It's all the same*). Beznadziejność tonu tej wypowiedzi dała mi więcej niż moje analizy sprzecznych informacji.

Życiorys Juliusza Katza jest niejako podsumowaniem dróg komunistów polskich sprzed wojny, często Żydów, którzy tworzyli pierwsze kadry Polski Ludowej.

Urodzony w 1912 w Galicji, wyszedłszy ze sklepiku w Sano-ku, był już komunistą jako 15-letni. „Nie potrzebowałam się zastanawiać, była to jedyna rzecz do zrobienia”. Jako student

prawa próbuje sił w dziennikarstwie rewolucyjnym, ale — aresztowany — musi się wkrótce potem schronić do Czechosłowacji, gdzie czeka go „boskie odkrycie”: spotkanie z demokracją. A więc wolność istniała jeszcze? Nie na długo. W roku 1938 trzeba było uciekać. Ważka lekcja: „demokracja burżuazyjna — to szkło opalizujące, piękne, zachwycające, ale tłukące się przy najbliższym uderzeniu”. Katz wybiera Anglię, którą wybrali Marx i Engels. Podczas wojny spędził krótki okres w obozie dla cudzoziemców, z którego wychodzi, by pracować w jakiejś fabryce. „Okres dla mnie krytyczny; uczyłem się co to proletariat, nie „idąc między lud” ale należąc *de facto* do klasy robotniczej, i to jako cudzoziemiec, robotnik-emigrant. Wyniosłem stamtąd wysoki szacunek dla Anglików”. Równocześnie, żeby nie zostawić rządowi gen. Andersa monopolu na patriotyzm, zaczyna wydawać dla Polaków w Anglii pismo, w którym podpisuje się „Suchy”, przybierając odtąd nazwisko: Juliusz Katz-Suchy.

W roku 1946 komuniści z Rządu Polskiego posłali go na zgromadzenie, które powołało do istnienia Organizację Narodów Zjednoczonych. Naturalnym biegiem rzeczy został przedstawicielem Polski w O.N.Z. w Nowym Jorku. W tym właśnie czasie uwiódł Wyszyńskiego subtelnością swoich analiz, kosztownością odpowiedzi i zręcznością w manipulowaniu ludźmi Zachodu. Umiał słuchać... ale nie zawsze. Dyskusje między tym, który powiódł na hańbiącą śmierć dawnych towarzyszy Lenina a tym człowiekiem ustawicznie rozdwojonym między Wschodem a Zachodem — trwały nieraz przez całe noce. „Musiałam argumentować trzy noce aby osiągnąć to zwycięstwo: zmianę jednego przecinka...”. (Te fakty, podówczas zresztą bardzo dla niego zaszczytne, ujawni mi dopiero w 1969, przy kieliszku, gdy fala antysemityzmu w Polsce pozbawi go katedry na Wydziale Prawa — jedyne stanowiska jakie mu pozostało — i zmusi do wyemigrowania — aż do śmierci — 28. X. 1972 w Jutlandii, w Danii).

W roku 1952 członek Nr 1 Delegacji Polskiej przy O.N.Z. został odwołany: był niewątpliwie zbyt zachodni, zbyt popularny wśród delegatów państw kapitalistycznych, zbyt dowcipny w stóskach z dziennikarzami. Powierzono mu kierownictwo Akademii Dyplomatycznej, pozostawiono mu prawo udziału w zgromadzeniach ogólnych O.N.Z. w Nowym Jorku i jeżdżenia do Genewy, by brylować na Europejskiej Komisji Ekonomicznej, której wice-przewodniczącym zostanie w 1955. Będzie także błyskotliwym ambasadorem polskim w Indiach.

Katz-Suchy pozwolił mi zjeść, zanim przystąpił do dzielenia się ze mną nowinkami, poczynając od tych, które mnie najmniej obchodziły.

W Rumunii minister skarbu, Vasile Luka, niewątpliwie fanatyk, ale bohater więzień przedwojennych, tych „czerwonych uniwersytetów”, został postawiony w stan oskarżenia za „sabotowanie gospodarki socjalistycznej” do spółki z Anną Pauker. Wybuchnęłam:

„Czyż to się nigdy nie skończy? Jednego dnia jest się bohaterem a wszystkie poczynania świadczą o przywiązaniu do socjalizmu. Nazajutrz jest się zdrajcą i przyznaje się, że się było od zawsze agentem zagranicznym. Jakżeż to może być? Czy partiom brak elementarnego rozeznania? Jedynym tryumfatorem będzie w końcu policja?”

Katz-Suchy powiedział mi to, co w Paryżu miał mi powtórzyć inny Żyd polski, inny komunista „od zawsze”, wspaniały bojownik, dawny więzień Oświęcimia, człowiek bezgranicznej dobroci, który nazywał się Wiktor Menzel:

„Rewolucja nie jest stworzona ani dla ciebie, ani dla mnie, ale dla wymiataczy. Walka klas jest wojną — a wojna rzadko daje zadowolenie, nawet moralne...”.

Juliusz Katz-Suchy wypił wódkę jednym łykiem i dorzucił:

„Czy wiesz że w Pradze twój przyjaciel Gerard alias Artur London jest aresztowany? Tak jak Slansky, jak Geminder, jak Clementis... i jak... Oh! jeszcze jeden znany we Francji, mój imiennik Otto Katz, którego znasz jako André Simone’a... Syjonizm, odchylenie, zdrada...”.

Tym razem i ja wypilałam do dna kieliszek wódki, nie znajdując w tym żadnej pociechy. Gerard? To znaczyło dla mnie coś innego, niż Rajk, którego widziałam tylko raz, lub nawet Kostow, mimo jego protestów. Gerard to był nasz bohater; doskonały aktywista, który wrócił tak chory z tortur i obozów, że musiał się leczyć w Szwajcarii przez długi czas.

Rok 1953

Teraz już wiem: „Odwilż” była pierwszym objawem tego, co miało nadejść. Podówczas mówiłam sobie, że Erenburg był zbłażowany, nieczuły na pragnienia prostych ludzi, przelewający w bohaterów swej powieści własne zawody, swój wieczny „bovaryzm”. Moja recenzja w *L'Humanité-Dimanche* dawała wyraz memu rozczarowaniu, że autor może kłaść taki nacisk na cienie, zapominając o jaskrawym świetle.

I właśnie wtedy, podczas pełnego strajku komunikacyjnego, wyjechałam do Polski w towarzystwie fotografa, by przygotować radosny numer specjalny *Regards* (ilustrowanego miesięcznika

Partii) o Polsce, kraju, który wyłonił się z chaosu w ciągu ośmiu lat.

W Warszawie czekała mnie niespodzianka, która zaczęła się od herbaty u dawnego ministra Spraw Zagranicznych, Modzelewskiego, który przed wojną był aktywistą Partii Francuskiej. Poszłam tam z Juliuszem Katzem-Suchym, „ulubionym komunistą prasy amerykańskiej”. Po zwyczajowej rozmowie na temat Paryża, Katz-Suchy opowiedział ministrowi o moich zastrzeżeniach co do „Odwilży” Erenburga. Modzelewski czytał już mój artykuł. Prasa w demokracjach ludowych była tak ciężkostrawna, że *L’Huma*, jedyny dziennik francuski, który tam docierał bez przeszkód, uchodził za lekturę rozrywkową. Minister zapytał mnie czy uważam postacie tej książki za zbyt schematyczne czy też samą fabułę za nieprawdopodobną? Powiedziałam:

„Niewątpliwie w ZSSR, jak i w innych krajach, zdarzają się pomyłki w wymiarze sprawiedliwości, ale rzadziej, niż to się mówi... I czy są one typowe”. (To było naszą troską: postacie powieściowe musiały być „typowe” czyli reprezentacyjne).

Modzelewski, przygarbiony na skutek choroby serca, głośkał białego kudłatego psa. Odpowiedział powoli łagodnym głosem:

„Liczne? Typowe? Sądzę, że tak. O tyle o ile aby być typowym winno się być w większości? Co zresztą nie zmienia niczego. Związek Sowiecki jest moją drugą ojczyzną, jeżeli nie pierwszą... a jednak spędziłem tam w sumie siedem lat w więzieniach i obozach”.

Oślupiałam. Skuliłam się w fotelu przywiezionym z Francji. Piesek przyszedł mnie obwąchiwać. Oniemiałam.

W tym momencie wszedł jeden z „bywszych ludzi”: Jerzy Putrament, rewolucjonista, syn obszarnika (to się często w Polsce zdarzało). Powieściopisarz, poeta, był ambasadorem w Paryżu, jego arystokratyczna pewność siebie przebiła przez ideologię krytycznymi płomieniami w sposób graniczący z sadyzmem. W szaryżynie przedstawicieli demokracji ludowych ambasador polski (zrazu Putrament potem Stanisław Gajewski) był szczęśliwym wyjątkiem.

O skrzącym spojrzeniu w zimnej, chudej ale ruchliwej twarzy [Modzelewski] wyliczył mi dobry tuzin przyjaciół, którzy przed lub podczas wojny poznali więzienia sowieckie, po czym zaserwował mi z pasją historię Politbiura Polskiej Partii Komunistycznej, które wezwane w komplecie do Moskwy na rzekomą konferencję zostało w całości wytępione około 1938 roku pod zarzutem „luxemburgo-trockizmu”. Dodał mi wreszcie, że pewien chłopak, którego dobrze znałam, siostrzeniec jednego z aktywistów polskich, odsiedział właśnie dwuletnią karę więzienia za próbę przejścia gra-

nicy z żoną Włoszką, ogarniętą nostalgią. Żonę wypędzono; on, po zwolnieniu błakał się bez posady. Przypomniat mi nieuzasadnioną niełaskę Borejszy, twórcy Ruchu Pokoju, który umarł niewątpliwie w wyniku choroby — ale także z rozpaczy. „Sielankowe poglądy” naiwniaków w rodzaju pani, moja droga, — pozwolił pani, że jej to powiem, na nic się nam nie przydają... Dziwiła się pani zawsze temu, że nasi najlepsi pisarze piją tak dużo a piszą tak mało? To po prostu dlatego, że wyżej cenią wolność niż sławę. To jest także powód pobudzającej do torsji słabizny twórczości sowieckiej”.

Odzyskałam głos, aby spytać Modzelewskiego: „Ależ dlaczego w ciągu ośmiu lat naszej przyjaźni nigdy mi pan o tym nie powiedział?”

— Ależ po cóż podcinać odwagę tych, co walczą na Zachodzie?” — odpowiedział mi z ironicznym i zwiędłym uśmiechem. Porwała mnie wściekłość.

„Pan nie chciał demoralizować naszych szeregów? Wolał pan oprzeć nasze stosunki na bezustannym kłamstwie? Chciał pan pokazać nam bojowników potiemkinowskich bez głębi, bez cienia?” Wszyscy zaczęli mówić, jeden przez drugiego, żeby mi powiedzieć już sama nie wiem co, ale ja zakończyłam: „A więc to jest ZSSR? No tak? Wszyscyśmy się pomylili, otóż tak...”.

Z kolei Modzelewski wpadł w pasję, mówiąc tak głośno jak tylko choroba mu pozwalała:

„Zapłaciłem zbyt drogo za prawo wypowiadania sądów o ZSSR i nie pozwolę nigdy, żeby mówiono o nim źle — przy mnie, który zdobył prawo mówienia dobrze. Wszystko to więc było niesprawiedliwe i podłe. Tak. A reżymy zachodnie, czy są sprawiedliwe? Wojna w Wietnamie, kolonializm — czy to oznacza sprawiedliwość? Wybór jest prosty: budować w znoju nowy odmienny świat lub tchórzliwie tolerować ustrój, który się rozpada. Nie znam trzeciej alternatywy”.

I dodał: „Oczywiście u was można sobie powiedzieć: „Co za szanse! Nie jestem ani muzułmaninem z kolonii ani amerykańskim Murzynem ani pod-proletariuszem”. Można skłaniać się ku czystemu sumieniu burżuazji”.

Wyszliśmy. Katz-Suchy zabrał mnie do spokojnego baru na Starym Mieście, naszego zwykłego lokalu do prowadzenia zasadniczych dyskusji

„Dlaczegoś mi nigdy o tym nie mówił?” — „Ależ ty mi nigdy nie zadawałaś konkretnych pytań. Czy kiedykolwiek pytałaś mnie o obozy sowieckie? Albo: czy znałem ludzi, którzy przez nie przeszli?”.

Kiedy wróciłam do hotelu Bristol, postarzała w oczach, w hallu

zjawiła się sylwetka Erenburga. Mierzając mnie spojrzeniem od stóp do głów, z niedopałkiem papierosa w ustach, pełen pogardy, przywłókł się do mnie i zamiast przywitania dał do zrozumienia, że czytał wiadomy artykuł:

„Czy pani nigdy nie będzie dorosła?”. Odpowiedziałam: „Właśnie się nią stałam”. Dodając: „Dzisiaj byłoby mi trudno wytłumaczyć panu, dlaczego pańska książka tak mnie zabolęła, ale po tym, co właśnie usłyszałam na temat rzeczywistości oczywiście bohaterka pańskiej książki, pańska doktorka, wydaje mi się wprost idylliczna”.

Zaprosił mnie i Katza-Suchego do swojego pokoju. Erenburg korzystał z tego przywileju, jak Neruda, Amado i kilku innych: mógł przyjmować w swoim pokoju po północy i nawet kobiety. Wzorując się na ZSSR hotele w demokracjach ludowych (jak zresztą także w małych pensjonatach angielskich) miały na każdym piętrze dyżurną, która czuwała nad ruchem i kontrolowała nie tylko gości z zewnątrz ale także mieszkańców hotelu. Pozycja Erenburga sprawiła, że podano nam nawet herbatę: „A więc, pani także dzisiaj odtajała?”.

Obserwował mnie, podczas gdy niedopalony papieros sypał popiół na klapę marynarki z angielskiego tweedu. Mówiąc po rosyjsku poprawnie, ale ze złym akcentem, Katz-Suchy opowiedział o naszej wizycie u Modzelewskiego. Erenburg zaśmiał się: „A niechże mi pani powie, kochana marksistko, jaka jest cecha wspólna Modzelewskiego i mojej doktorki?”. Zaryzykowałam odpowiedź, że oboje byli komunistami. Erenburg dorzucił: „I Żydami”.

Zaprotestowałam: mimo wszystko... Antysemityzm w ZSSR? Czyż więc „wróg” miałby rację? Erenburg uważał, że inteligencja powoli pracuje u kobiet trzydziestoletnich i po trzydziestce i zapytał mnie, czy liczyłam, ilu jest Żydów pośród oskarżonych w procesie Slansky’ego. Odpowiedziałam, że ani Rajk ani Kostow nie byli Żydami i że poza tym nie interesowałam się tym, jakie wyznanie przynieśli ze sobą na świat poszczególni aktywiści komunistyczni. Erenburg przypomniawszy, że w paszportach sowieckich figuruje określenie „Żyd” w rubryce przewidzianej na narodowość i to pomimo tego, że Żydzi w ZSSR nie mieli własnego terytorium. Wiedziałam o tym — bardzo nas to szokowało, ale usiłowałam to tłumaczyć tym, że niektórzy Żydzi nalegali usilnie by ich za takich uznawano. W ten sposób na procesie Bergen-Belsen w 1945 roku świadkowie podawali „Żyd z Polski”. Erenburg odparował: „Ale Meyerhold i pisarze w żargonie zostali deportowani jako Żydzi...”.

Ciężki dzień.

Likwidacja wiary

Nazajutrz po burzliwym zebraniu mojej komórki partyjnej, na którym rozważano sprawę pełnomocnictw specjalnych, a więc w tygodniu około 12 marca a w każdym razie zanim istnienie tajnego raportu doszło do mojej wiadomości za pośrednictwem *New York Times'a* z 16 marca i zanim Hentgès (korespondent *L'Humanité* w Moskwie) wspomniał o nim z Moskwy w *L'Humanité* z 17-ego, miałam odwiedzin, jednego po drugim, dwu moich polskich przyjaciół: Borkowicza i Juliusza Katza-Suchego. Borkowicz zjawiał się pierwszy, wąsaty, w owych czasach „świata bez brody”, o błyszczących oczach obramionych szklami w oprawie z szyldkretu. Życiorys jego był typowy: członek Partii od 14-ego roku życia, aresztowany, dołączył do Rosjan w 1939 roku, by znaleźć się w obozie za Uralem i uciec stamtąd równocześnie z Borejszą i przejść przez ZSSR bez papierów, posługując się jako przepustką imieniem Wandy Wasilewskiej „jego kuzynki”. Cudak, sarkastyczny, zgorzkniały — ale ortodoksyjnie stalinowski w poglądach. Zapowiedział mi przybycie Katza-Suchego. Zaledwie rozgościł się w moim mieszkaniu, ciemnym i zagraco-nym, przy ulicy du Bac, oświadczył mi, że „komitet moich przyjaciół w Warszawie” zlecił mu zadanie mi „pierwszego ciosu”.

„Czy wiesz, że Chruszczow zredagował tajny raport? Przetłumaczę ci wyjątki z polskiego tłumaczenia znów na rosyjski. Tekst, którym dysponuję jest dokładnie tym, który obiega związki i kierownictwa organizacyjne w Polsce.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że w Polsce mówi się o tym raporcie zwykłym aktywistom partyjnym?”

Odpowiada potakująco i — zwolennik błyskawicznego działania — zabiera się do tłumaczenia. Wstaje, żeby wziąć coś do pisania.

„Uważaj — powiedziano mi — twój przyjaciel ambasador — że jeśli wspomnisz komu o tym raporcie tutaj, wyrzucą cię z Partii a my będziemy mieli kłopoty. Poza tym oficjalnie tyś mnie w ogóle nie widział...”

Po czym zaczyna tłumaczyć, wybierając najdrastyczniejsze tematy: deportacje, aresztowania, skazywanie dobrych aktywistów, bezprawia, niepewność w kadrach...

W pierwszej chwili te rany nie bolą: najlepszy dowód, że istnieją ludzie, którzy dalej posuwają się naprzód choć przyłożono im do pleców, między łopatki, sztylet, od którego zginą. Przypominam sobie dziś jeszcze, że przez myśl przebiegło mi

właśnie takie porównanie, idiotyzm w gruncie rzeczy. Zapytałam go, co zamierza robić:

„Jak to? Co będziemy robić? U nas intelektualiści szaleją. To, co jest najważniejsze w tej chwili: nie wylać dziecka razem z kąpielą czyli socjalizmu razem ze stalinizmem. Zadaniem raportu jest oczyścić komunizm a nie zabić go. Intelektualiści, którzy nie chcą już leninizmu muszą odejść. My nie będziemy ich zatrzymywać...”

Miał odlecieć tego samego wieczoru. Nazajutrz przybył Juliusz Katz-Suchy, który leciał na zebranie jakiejś komisji O.N.Z. w Genewie. Byłam szczęśliwa, że zdołał zboczyć do Paryża. Usiadł ciężko w fotelu, oczy miał bardziej zielone i smutniejsze niż kiedykolwiek a uśmiech bardziej sarkastyczny. Czułam, że w rozmowie z nim trzeba maskować emocje humorem.

„A więc? Ambasador powiedział mi, że jesteś na granicy depresji? Chwila nie jest po temu. Jesteśmy w toku batalii. I, zapewniam cię, sytuacja twoja jest łatwiejsza od mojej”.

Przetłumaczył mi na nowo niektóre ustępy raportu. Tym razem po angielsku.

Odpowiedziałam mu pośpiesznie, o czym myślałam tej nocy:

„Mówiliśmy nieraz o zbiorowej odpowiedzialności narodu niemieckiego za zbrodnie Hitlera. Teraz przyszła kolej na zbiorową odpowiedzialność ludu komunistycznego za zbrodnie Stalina.

— Nie mów: Stalina. To jest maniera rosyjska. Oni mają zwyczaj zrzucania odpowiedzialności na jednego człowieka. Stalin lub Beria, jak ongiś złe zbiory były winą Trockiego lub Bucharina. Zawsze jakiś kozioł ofiarny... Oczywiście wszyscy zawiniłiśmy. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność. Jak rozbijająca się na pył wodny kaskada. A zwłaszcza winni tego, że milczeliśmy.

— Ale w moim wypadku nie jest to nawet milczenie. Jeśli idzie o Tito, pięknie, on ma się zresztą dobrze, chodzi tylko o błędy, mijanie się z prawdą, ale w wypadku Rajka czy Kostowa... aprobowałam mordowanie niewinnych ludzi i to komunistów...

— Proszę cię bardzo. Nie jesteśmy w grupie publicznego pokajania ani pod ścianą płaczu.

— Ależ słuchaj. Zaangażowałam w walce, o której myślałam, że jest walką o prawdę a okazała się — walką o kłamstwa, mój jedyny kapitał: sumienie pisarza”.

Katz-Suchy patrzy na mnie spode łba; rozpacz jego dociera do mnie.

„A cóż ja mam do powiedzenia? Ty wiesz przecież, że w O.N.Z. przygotowywałam pewne wystąpienia Wyszyńskiego;

dla Rosjan byłem ich zabezpieczeniem: człowiekiem Zachodu, którym mogli manipulować dowolnie. Ich rzecznik. Rzecznik ich kłamstw.

— Ty przynajmniej broniłeś jakiegoś reżymu. Ale czego broniłam ja? Wiatru, burzy, huraganu...

Opowiadał mi długo o sytuacji w Polsce. Tworzyła się grupa stalinowców; przewano ich Natolińczykami, ponieważ Natolin, osiedle podwarszawskie był siedzibą wielu kierowniczych postaci Partii i Rządu. Ci ludzie w obronie własnej pozwolili na rozhulanie się najstarszego z polskich środków odwracania uwagi: antysemityzmu. Przeciwnieństwem tego był antysowietyzm intelektualistów, a ten przeradzał się często w antykomunizm. Zawsze ta sama sprawa dziecka i kąpieli...

„U Natolińczyków ci, którzy nosili nazwiska żydowskie, zmienili je. Już od 1945 widzieliśmy, że w Polsce nie można wytrzebić tego zarazka i że trzeba iść na ustępstwa... Muszę dodać, jeśli o mnie chodzi, że nie uległem temu prądowi i zachowałem moje nazwisko, choć byłem zawsze i jestem nadal zwolennikiem asymilacji. Ale to nie jest jedyny powód, by wstydzić się swego pochodzenia. Rozumiem tych innych: w Stanach Zjednoczonych anglicyzacja stanowi część asymilacji. Ostatecznie ma się prawo wyboru. I ci, co pozostali w Polsce, uczynili tak z miłości do tego kraju i tej kultury... Wiesz, że w 1955 Chruszczow, spotkawszy naszych Natolińczyków, zapytał ich znacząco: Jakub Berman, Hilary Minc, Mazur"... „Ale gdzie są wasze kadry narodowe?“. Ktoś odważył się odpowiedzieć mu: „W więzieniu i to z waszej woli“. Dlatego Gomułka, Spychalski i inni odzyskali wolność”.

Zbyt wiele do połknięcia w jednej dawce — i to na dobitkę w relacjach tych samych towarzyszy, tych najpewniejszych, tych, których przeszłość była najlepszą gwarancją żarliwej wierności. Poznaniu rozmiarów zbrodni stalinizmu (od tej pory odrzucałam przypisywanie tych zbrodni jednemu „autokracie”, krwiożerczemu demonowi komunistycznych zboczeń) towarzyszyło uświadomienie sobie, że antystalinizm zwracał się przeciw ofiarom najgorszego ludobójstwa — Żydom, zaledwie w 12 lat po ich masowym tępieniu przez Hitlera. Wkrótce potem Gajewski, ambasador polski w Paryżu, który nie był ani sędzią ani stroną w tym sporze, potwierdził, iż rzeczywiście, gdy okoliczności historyczne zawiodły do Partii wielu Żydów, przedstawiciele uciskanej mniejszości, niektórzy uważali za przesadnie wysoką proporcję ich udziału w kadrach partyjnych, w prasie, w radio, w filmie czy teatrze...”. „Zresztą, westchnął Gajewski, który w owych czasach nie był członkiem Partii, trzeba przyznać, że stalinowcy zrobili, co mo-

gli w 1938, by zmniejszyć ten odsetek w naszych kadrach... tworząc pustkę”.

Katz-Suchy poświęcił wiele czasu i miał cierpliwość, by streścić artykuły, które wznęciły cały ten spór. Zwłaszcza pisane przez subtelного ironistę Jana Kotta, marksistowskiego urwisa znad Wisły. Widywałam go w stanie podniecenia, dowcipnego — ale raczej trzymającego się linii. Teraz analizował wielkie „złodowacenie” z 1949 roku. Uczni, artyści, pisarze z Zachodu znaleźli się w ogniu sprzeczności pomiędzy nowatorstwem w ich nauce i sztuce a tym co narzucano im pod przebraniem jako rzekomy nakaz ducha rewolucyjnego. To, cośmy stracili — mówił — to przede wszystkim przekonanie, iż powinniśmy służyć nie jakiejś abstrakcyjnej „ludzkości” ale całkiem konkretnemu Człowiekowi. „Wyrażaliśmy naszą moralną zgodę na pokrywanie niesprawiedliwości i zbrodni. I z tego mamy niewątpliwie obowiązek się wytłumaczyć”.

To zdanie nurtowało mnie w sposób nieubłagany.

To, co działo się w Polsce przeobraziło się w przykład po dotarciu do świata robotniczego. Wezwani do potępienia „Poe-matu dla dorosłych” Adama Ważyka, który zamiast wychwalać ich pracę obnażył jałowy zamęt ich harówki codziennej, ich nocy spędzonych na pijaństwie czy żalosnej miłości fizycznej — robotnicy Nowej Huty odmówili swego potępienia. „Przynajmniej raz jest coś ciekawego w dziennikach” — mówili. Robotnicy fabryki samochodów w Żeraniu pod Warszawą i ci z zakładów Zispo w Poznaniu mruzcili pod nosem wczoraj, a głośno mówili dzisiaj, o źle zbudowanych mieszkaniach, o tandetnych materiałach, o faworytyzmie politycznym. Czytywali *Po Prostu*, organ młodych, czasopismo, które ujawniało skandale, nie obawiając się odpowiedzialności.

Odnajduję małe memorandum dotyczące owej rewolty, które podyktował mi wówczas Katz-Suchy. W czasie trwania XX Zjazdu 19 października *Trybuna Ludu*, organ centralny Partii, rehabilitowała polskich przywódców komunistycznych zmasakrowanych w Rosji w 1938 roku. Podobnie 21 lutego, na trzy dni przed „raportem wewnętrznym” w Budapeszcie, organ centralny partii węgierskiej *Szabad Nép* rehabilitował Belę Kuhna. 10 marca w Warszawie organ centralny krytykował Stalina. W dwa dni potem Bierut, prezydent Republiki umarł. Zastąpił go (ale stanie się to już po mojej rozmowie z Katzem-Suchym) centrowiec Ochab, który 6 kwietnia zwolnił Gomułkę z więzienia.

„W praktyce odwilż, którą wyczuwałaś w 1953 ujawniła się w pełni w Partii na III Plenum (Zjeździe) w lutym 1955. Aż do lipca Natolińczycy będą zabiegać o powstrzymanie tego prądu

demokratyzacji, rzucając hasło nie dające się zrealizować, demagogiczne: „Podwyższyć płace o 50 %”. Lecz mimo tej próby przelicytowania umysły rozpałały się. Teraz robotnicy, studenci i intelektualiści, na tę okazję zjednoczeni, żądali „zmiany”...

Poznań: powstanie robotnicze

Podczas gdy członkowie francuskiego Politbiura wymuszali na sowieciarzach uspakajające rezolucje, w Poznaniu wybuchły rozruchy.

Od kwietnia w Warszawie, w fabryce samochodów na Żeraniu rozpoczęły się ożywione dyskusje. Sekretarz Komitetu Partyjnego na Warszawę Stefan Staszewski, jeden z moich przyjaciół, uczestniczył w tych dyskusjach i rozumiał, iż nadszedł moment, w którym zasadnicze zmiany w kierownictwie Partii były konieczne pod grozą utraty poparcia ze strony robotników. Buntowali się oni przeciwko obecności Rokossowskiego, Polaka z pochodzenia, być może, ale marszałka sowieckiego działającego w tym charakterze. Mieli też dosyć Natolińczyków.

Sekretarz partyjny tej fabryki, Gozdzik, sympatyzował w pełni ze swymi towarzyszami. Staszewski opowiadał mi, że pewnego dnia jakiś małowówny człowiek, komunista, członek komunistycznego Ruchu Oporu, krzyknął: „A Gomułka, a Spychalski i ich towarzysze? Wsadzono ich do więzienia dlatego że byli Polakami. Otóż my także jesteśmy Polakami i chcemy Polaków”. Staszewski chodził całą noc po mokrych od tającego śniegu ulicach, wałkując w myśli pojęcia: nacjonaści-patrioci-komuniści. Nad ranem doszedł do wniosku, że konieczna jest także polska droga do socjalizmu...

W kwietniu odbyło się w zakładach na Żeraniu zebranie partyjne, na którym zaczęła się wielka dyskusja, a z niej wyłoniło się żądanie, którego Staszewski nie przewidywał: Rady Robotnicze. Powrót do Rad, do sowietów. Hasło to rozeszło się po Kraju jak ogień. Inne fabryki przyjęły je za swoje. Począwszy od maja toczyły się burzliwe dyskusje w fabrykach włókienniczych Łodzi i stoczniach okrętowych Gdyni, w zakładach stalowych Nowej Huty i w Zagłębiu Śląskim oraz w fabryce samochodów Zispo w Poznaniu.

W całej Polsce zaczęto lekliwie rewindykować postulat tajnego głosowania we wszystkich instancjach partyjnych: wolne i tajne wybory i pluralizm partii socjalistycznych.

7 maja dygnitarz Nr 2 Polski, Jakub Berman, był zmuszony do podania się do dymisji a 4 czerwca zwolniono 28.000 więź-

niów — 28.000 niekryminalistów. 23 czerwca robotnicy poznańscy wysłali do Warszawy delegację. W tym samym czasie otwarto w Poznaniu Targi Międzynarodowe z napływem licznych przemysłowców z Zachodu. 28 czerwca — w przeddzień otwarcia — powróciła z niczym delegacja z Warszawy. Fabryka i miasto obwołały strajk, z manifestacjami ulicznymi. 29 czerwca przybył do Poznania Cyrankiewicz, prezydent Republiki (*sic!*). Na zwołanej przez niego konferencji prasowej dziennikarze przypuścili istny szturm, bez obaw i starania o zachowanie respektu. Stosunek władzy i opinii zmienił się nagle o 180°.

30 czerwca pewien Polak, przejazdem w Paryżu, doręczył mi list od jednego z przyjaciół:

„Jestem w Poznaniu, gdzie kręcę kronikę filmową o Targach. Nagle o świcie 28 czerwca — dzień nastaje tu wcześnie — wyrywają mnie z łóżka odgłosy maszerującego tłumu. Biegnę rozpytując się: ci ludzie w robotniczych ubraniach wyszli z przedmieścia przyzwyczajonego od pół wieku do manifestacji masowych. Mówią mi, że zaraz po otwarciu Zakładów Zispo postanowiono obwołać strajk. Ogólnie oczekuje się strajku powszechnego. Telefony międzymiastowe są już nieczynne.

„Okrzyki, śpiewy, hasła — ale porządek. Manifestanci maszerują po dwunastu w rzędzie niczym na defiladzie 1 Maja. Wznoszą okrzyki: „Chleba, demokracji, wolności!” i „Precz z bonzami!”. „Precz z drętwą mową!”. Krzyczą także: „Wiesław! Wiesław!” — to imię Gomułki. Pracownicy i robotnicy tramwajów i transportu publicznego dołączają się do nich, tłum rośnie bez przerwy. Znacznie później, w połowie przedpołudnia, nadbiegli chłopcy w *blue jeans*’ach na modłę zachodnią, kupionych na ciuchach — chłopcy, których niesłusznie nazywa się często chuliganami, ale z których na pewno nie wszyscy są łobuzami. Niosą karabiny, chorągwie i wznoszą te same okrzyki.

„Inny tłum rozbił już arsenał i dołącza się, wymachując karabinami, rewolwerami i mitrajetkami. Przed więzieniem rozpalono ognisko, niczym na św. Jana, a dokoła kręcą się ni to duchy w szarych płótniankach i o siwych głowach: to więźniowie palą archiwa. Naprzeciw Bezpieka. Policja polityczna odpowiada tak jak w Paryżu w 1848 odpowiedział Cavaignac, polewając przeciwników z sikawek straży pożarnej.

„Nagle lekki wybuch, strzał karabinowy. Później będzie się twierdzić, że padł z tłumu. Odpowiadają na to czołgi. Jak można stwierdzić w tym chaosie, w tych krzykach, w tej gmatwaninie ciał, do którego obozu należy pierwszy trup? Później będzie się mówić, że to był policjant i że mszczące jego śmierć czołgi

zostawiły na placu — wedle danych urzędowych — 38 zabitych i 200 rannych. W rzeczywistości trzeba te cyfry powielić, ale ile razy? W każdym razie było ponad 300 aresztowań”.

Gdy delegacja Politbiura Francuskiego powróciła z Moskwy wiedziałam — i wiele osób wiedziało — że robotnicy najbardziej uświadomieni politycznie w kraju socjalistycznym, robotnicy przemysłu metalowego zaatakowali więzienie i policję i że strzelano do nich.

Ale 2 lipca usłpiono nas uspakajającą rezolucją: Nie, wbrew temu co sugeruje Togliatti, kult jednostki nie jest cechą istotną „systemu socjalistyczno-sowieckiego”, ale perwersją. Nie ma więc powodu, by stawiać znak zapytania nad centralizmem demokratycznym. Skończyć z dyskusjami na ten temat.

2 lipca dzienniki komunistyczne w różnych krajach ujawniły dziwne sprzeczności. *L'Unità* ogłosiła artykuł Di Vittorio, sekretarza Centrali Włoskich Związków Zawodowych, tłumaczący, iż gdy robotnicy mają zaufanie do swych syndykatów, prowokatorzy mogą być zawsze umiejscowieni.

W przeddzień ta sama *L'Unità* informowała swych czytelników, że we wszystkich fabrykach polskich zwołano meetingi z poparciem dla Poznania. Tego samego dnia *Prawda* w imieniu Centralnego Komitetu Sowieckiego zwałała odpowiedzialność za rozruchy w Poznaniu na sabotażystów na żołdzie amerykańskim (to ci chłopcy w *blue jeans*) i dezawuowała wywiad Togliatti'ego w *Nuovi Argumenti*.

Nazajutrz Togliatti w *L'Unità* dezawuował z kolei Di Vittorio, który „zapomniał o istnieniu nieprzyjaciela”.

Przerzucając różne dzienniki komunistyczne z tego okresu widzimy jak napięcie wzrasta z tygodnia na tydzień.

Tak więc 18 lipca, podczas gdy w Le Havre otwierał się Kongres twardej ręki i zamykania oczu na rzeczywistość, w Budapeszcie Rakosi musiał podać się do dymisji a w Warszawie, w Komitecie Centralnym stalinowcy z Natolina zostali pokonani. Ale francuska Partia Komunistyczna uznała, że jej to nie dotyczy. I rzeczywiście tak było, ponieważ nic się w gruncie rzeczy nie zmieniło.

Polski październik

W Partii francuskiej nic się nie działo. *Unir* ogłosiło wywiad Togliatti'ego. Koła intelektualne zwalczały się wzajemnie w próżni. Komórki robotnicze zajmowały się — w najlepszym razie — zwalczaniem „pacyfikacji” Algierii i — jeszcze częściej — iluzo-

ryczną jednością działania z socjalistami, którzy na każdy awans odpowiadali przypomnieniami XX Zjazdu, tajnego raportu Chruszczowa, zbrodni Stalina, oskarżając francuską Partię Komunistyczną o zupełny zanik autokrytycyzmu. Ekonomiści kpili otwarcie z tezy o „powszechnym zubożeniu”, wskazując na liczbę pralek sprzedanych na raty w osiedlach górniczych.

19 października w nocy zbudził mnie telefon z Warszawy (moi przyjaciele polscy dawali dowód wzniosłej wierności i równie wielkiej pogardy dla normalnego rozkładu godzin). Nigdy, nawet na wiosnę, żaden Polak zajmujący stanowisko urzędowe nie mówiłby z Zachodem tak swobodnie.

Poprzedniego dnia mówiono w Warszawie o zamachu stanu Rokossowskiego i o nowym aresztowaniu Gomułki. Tego dnia (19 października) VIII Plenum Partii przywróciło Gomułkę i Spychalskiego do składu Komitetu Centralnego, podczas gdy Politbiuro natolińskie podało się *en bloc* do dymisji. W tej właśnie chwili dowiedziano się, że był w drodze do Warszawy samolot sowiecki, wiozący Chruszczowa, Bułganina, Mołotowa, Mikojana, Kaganowicza i dwu marszałków ze światą oficerów. „Brygada zastraszenia” — powiedział mi mój informator.

Samolot wylądował. Towarzysz Chruszczow, człowiek który wstrząsnął posadami komunizmu, znalazł się oko w oko z grupą polską i patrzył natarczywie na człowieka łysiego, chudego, stojącego nieco na uboczu, którego nie znał: „A ten kto to jest?”. Człowiek wystąpił naprzód:

„Jestem Gomułka, którego wasza policja wsadziła do więzienia i chciała zakatrupić. Jestem jednak tutaj — i zamierzam tu pozostać...”.

Wszyscy oni zamknęli się w sali Rady Państwa, podczas gdy Staszewski, szef partyjny Warszawy i Goździk, szef partyjny Żerania, objeżdżali fabryki. Robotnicy w kilka godzin zaopatrzyli się w broń. Milicja trwała w pogotowiu. Wielki amfiteatr Politechniki zapełnił się spontanicznie uczestnikami wiecu. Staszewski informował bieżąco zebranych o pracach Plenum, sztafety krążyły stale między fabrykami, Politechniką i Radą Państwa, przewożąc rezolucje. Z miast robotniczych i uniwersyteckich napływały delegacje. Nigdy jedność pracowników umysłowych i fizycznych nie była tak organiczna. Staszewski zmierzał do tego, by „dać masom ludowym instrument kontroli”. Natolińczycy odpowiadali, że łamał dyscyplinę a tym samym rdzeń pacierzowy Partii. Na meetingach zauważano, że „aparaczczy” źle się czuli w zetknięciu z masami.

Mój rozmówca polecił mi w najwyższym podnieceniu, bym

„przekonała moją Partię”, że Polacy potrzebują poparcia przeciw Rosjanom. Pomimo tragizmu tych godzin — gdy Komar otaczał Warszawę, by chronić ją przed wojskami sowieckimi, o których mówiono, że się przegrupowują — o mało nie wybuchnęłam śmiechem: „Moja Partia jest tak samo nieufna w stosunku do waszej Partii jak w stosunku do swoich własnych intelektualistów”.

Od następnego dnia Polska wypełniała kolumny aktualności. Październik polski, wiosna w październiku — jakże bym chciała przeżywać je na miejscu. Ambasador ofiarowywał mi wizę... Moi towarzysze walki sprzed XIV Kongresu ostrzegali mnie, że spowoduję wykluczenie z powodu naruszania dyscypliny, stawiając sama siebie w złym świetle. A tego właśnie życzyło sobie kierownictwo partyjne...

W imię solidarności grupy zrezygnowałam z tej manifestacji wspólnoty z komunizmem demokratycznym. Poza tym wyjazd do Polski oznaczałby — zważywszy mój zawód — pisanie... w dzienniku, który oczywiście nie byłby kontrolowany przez Partię... Powiedzmy *France-Observateur*: pismo wrogie... Byliśmy pomiędzy „wrogami” z lewej i prawej...

20 października Kierownictwo sowieckie odleciało a Gomułka złożył sprawozdanie na Komitecie Centralnym, poparte meetingami w całym Kraju, nawet po wsiach, co było, po nieprzyjaznym milczeniu wsi, zasadniczym zwrotem. 22 października Gomułka został I Sekretarzem Partii a Rokossowski opuścił Politbiuro.

Radio Warszawa rozgłaszało wiosnę w październiku: „Polska przekroczyła Rubikon”. Zebrania ludowe zmuszały kierownictwa lokalne do składania dymisji. Spychalski został ministrem obrony. Wiele wieców, zwłaszcza w Gdańsku domagało się odejścia wojsk rosyjskich.

Moi przyjaciele telefonowali lub pisali, przysyłając ostatnie anegdoty: „Fabryki polskie, np. Żerań, produkują bardzo złe samochody ale proletariat bez konkurencji”. Albo: „Chruszczow Kukuruznik wdycha: Na co mi było burzyć pomnik Stalina, skoro Polacy go stopili, by ułać pomnik Gomułki”.

24 października Gomułka wygłosił przed pół milionem rozentuzjasmowanych słuchaczy swą pierwszą mowę od chwili powrotu do władzy. Zaprzeczył wszystkim zarzutom, które *Prawda* i *L'Humanité* kierowały pod adresem agitacji w Poznaniu i gdzie indziej. Nie, klasa robotnicza nie protestowała przeciwko socjalizmowi lecz przeciw jego wypaczeniom. „Klasa robotnicza — to my. Bez niej i bez jej zaufania nie reprezentowalibyśmy niczego prócz własnej osoby. Agenci i prowokatorzy mogą istnieć zawsze

i wszędzie. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej”.

Tego dnia tańczono na jesiennych ulicach.

L'Humanité w przeciwieństwie do *L'Unità* nie ogłosiła tej mowy.

Postanowiliśmy wówczas wysłać depezę do Gomułki, aby go zawiadomić o naszej solidarności i zebraliśmy kilkaset podpisów, gdy ktoś zawiadomił o tym Casanovę. I wtedy Laurent, pełen namaszczenia — jak kardynał — podnosząc w górę ramiona i wznosząc ręce do nieba, wzywał do siebie indywidualnie „agitorów propolskich” (w tej liczbie i mnie) i aplikując pochlebstwa, potakiwania i groźby, zapewniając o swym zrozumieniu, ale przestrzegając przed brakiem dyscypliny (to była typowa „robota frakcyjna”) żądał od nas, byśmy przynajmniej zaczęli do zebrania Komitetu Centralnego. Nie czekaliśmy na nie długo. Billoux i Fajon oświadczyli, że pewne ustępy „mowy tow. Gomułki... są sprzeczne z tezami naszego XIV Kongresu”. To był powód, dla którego ta mowa nie została ogłoszona w prasie komunistycznej Partii francuskiej.

Po tym potępieniu większość komunistów wycofała swe podpisy...

Ambasador polski, Gajewski, mówił mi, rzucając jasne spojrzenia: „Jakże prędko przeszliście z egzaltowanej młodzieńczości do dojrzałości przeszyconej rozpaczą. Pewnego dnia będziecie wszyscy sceptykami”.

Sceptykami? Po dniach rozpacz będzie nam do tego potrzeba jeszcze wielu lat...

Tymczasem jednak w Polsce, na krótko, klasa robotnicza potrafiła czynnie rozbić „centralizm biurokratyczny”, który w demokracjach ludowych — a właściwie we wszystkich partiach, zajął miejsce centralizmu demokratycznego. Jak widać, aby dokonać tego cięcia, tej przemiany, trzeba albo gwałtu powstania lub, przynajmniej, udowodnienia, że można użyć siły. Aparat stalinowski nie wypuszcza nigdy władzy z rąk dobrowolnie.

Październik polski odbył się pod hasłem: „Władza dla Rad Robotniczych”. Po raz pierwszy robotnicy walczący u dołu, już nie tylko działacze pochodzenia robotniczego ale wtopieni w sprężynę władzy, interweniowali na zebraniach. Zapamiętajmy także, że był to moment stałego organicznego porozumienia robotników i pracowników umysłowych. A także moment, w którym prasa — a w szczególności organ młodzieży nowatorskie *Po Prostu* — odegrała właściwą rolę.

Tak. Chwila ta była krótka. Dwaj ludzie, którzy grali pierwsze skrzypce przy odnowie partii zostali usunięci przez Gomułkę

z chwilą, gdy opanował aparat partyjny. Goździk, kierownik partyjny w Zakładach na Żeraniu, wybrany do Sejmu, został usunięty w cień w styczniu 1957 a w następnym miesiącu, w lutym, Stefan Staszewski, kierownik partyjny na Warszawę i sprawca tryumfu Gomułki, został pozbawiony swych funkcji.

Dominique DESANTI

(Tłumaczył z francuskiego Z.)

KSIĄŻKI BIBLIOTEKI „KULTURY” (JESZCZE NIE WYCZERPAŁE) ILUSTRUJĄCE I POGŁĘBIAJĄCE SPRAWY POLSKIE W KSIĄŻCE DOMINIQUE DESANTI

	Str.	F.
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i>	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i>	128	12,00
G u z y, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Hirszowicz, M.: <i>Komunistyczny Lewiatan</i>	132	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i>	176	10,00
M a d e j, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Orłóś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i>	288	18,50
Staliński, T.: <i>Cienie w pieczarze</i>	368	30,00
Staliński, T.: <i>Romans zimowy</i>	208	24,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Tarniewski, M.: <i>Ewolucja czy rewolucja</i>	288	40,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i>	240	16,50
Znasz-li ten kraj?	348	24,00

RECENZJE

Kazimierz GLABISZ

KRYTYCZNA MONOGRAFIA O GENERALE GAMELIN

Nakładem „Presses de la Cité, Paris” pojawiła się na początku 1975 roku książka pod tytułem *Le mystère Gamelin*, naświetlająca wszechstronnie zalety i wady, osiągnięcia i zaniedbania tego w 1958 roku zmarłego generała francuskiego, który — jako szef sztabu wojska, od 1931, jego inspektor generalny od 1935 a generalissimus w latach 1939/40 — wprawdzie nie ponosi wyłącznej winy za kolejne katastrofy Czechosłowacji, Polski i Francji, jednak niewątpliwie zaważył bardzo na szali ówczesnych wydarzeń tragicznych.

Książka ta, obejmująca 371 stron tekstu i ponad 20 fotografii, podzielona jest na 6 części i 22 rozdziały. Jej autor, mjr Pierre le Goyet, kierownik sekcji studiów w wojskowym biurze historycznym, nie znał Gamelina osobiście i widział go tylko trzy razy. Toteż nie ma w tej książce tego, co Anglik nazywa *personal touch*, choć jej autor próbuje nakreślić także zewnętrzną sylwetkę, usposobienie, stosunek do otoczenia, sposób wyrażania się itd. tego nieszczęsnego wodza, którego autorytetu nawet Londyn do czasu nie kwestionował.

Na bogatszym materiale oparł się autor książki, naświetlając jego poglądy i decyzje oraz jego stosunek do czynników politycznych i sojuszników. Jak wynika z podanego wykazu źródeł, przekopał się przez liczne archiwa wojskowe i rządowe oraz kilkadziesiąt książek i relacji, niestety niemal wyłącznie francuskich autorów. Ze źródeł polskich, sowieckich czy czechosłowackich w ogóle nie korzystał, a z niemieckich, brytyjskich czy belgijskich bardzo skąpo. Mało tego, nieraz przytacza inne dane niż zawarte w źródłach, na które się powołuje.

Toteż, o ile opis błyskotliwej kariery i późniejszego upadku i poniżenia Gamelina (proces w Riom, więzienia francuskie i niemieckie, niemal zakonspirowany pogrzeb) jest mniej więcej pełny, o tyle niektóre wnioski i sądy opierają się na zbyt jednostronnych danych. Ich większość jest jednak uzasadniona i, o ile to mogę ocenić, słuszna.

Książkę tę przestudiowałem z tym większym zainteresowaniem, że już przed ćwierć wiekiem napisałem na temat fatalnej roli Gamelina w wykonaniu sojuszniczych zobowiązań w stosunku do Polski długi artykuł pod tytułem „Niebezpieczny sojusznik”, umieszczony w londyńskich *Wiadomościach* z 26 lutego 1950. Ciekawiło mnie, czy jej autor, sięgający w swych badaniach bez porównania szerzej i głębiej, podziela moje ówczesne, zresztą ciężkie i ostro sformułowane zarzuty, czy też je podważa i pośrednio odpiera. Już po przeczytaniu kilku części książki upewniłem się, że idzie on w swoich zarzutach, podejrzeniach lub oskarżeniach jeszcze dalej, bo swoją analizą obejmuje wielokrotnie większy krąg zagadnień i sytuacji. Dalsze rozdziały książki potwierdziły to wrażenie, wykazały bowiem, że jest ona niejako polemiką z trzytomowym dziełem Gamelina „Servir”, w którym ten zdegradowany wódz, nazwany przez Jouvenala „talentem bez kręgosłupa”, próbował brzemień odpowiedzialności przerzucić niemal wyłącznie na innych, a siebie całkowicie zrehabilitować.

Polemizując z tą próbą, autor omawianej książki wysunął bez liku konkretnych zarzutów lub mniej czy więcej uzasadnionych podejrzeń czy wymownych niedomówień, ale drastycznych sformułowań unikał. Nawet między wierszami nie można doszukać się w niej choćby cienia podejrzeń o zdradę, czy o świadome działanie na szkodę Francji czy o inne plamiące honor poczynania. Można jedynie powiedzieć, że tu i tam krytyczne nastawienie autora idzie za daleko, że nie rozdziela odpowiedzialności całkiem sprawiedliwie, nie podkreślając dostatecznie wywrotności i słabości rządów, pacyfistycznych nastrojów w masach, niezależności prasy itd. Zaskoczyła mnie więc wiadomość o wycofaniu tej książki z księgarni wobec zagrożenia procesem o zniesławienie.

W ramach krótkiej recenzji nie mogę oczywiście przytoczyć i skomentować wszystkich zarzutów wysuniętych przez Goyeta. Jest ich zbyt dużo, nie mówiąc już o tym, że dla oceny niektórych brak mi danych i że czytelników *Kultury* niewątpliwie najbardziej interesują te, które dotyczą stosunku Gamelina do sojuszników Francji, a zwłaszcza do sojusznika polskiego.

Goyet oczywiście nie obarcza Gamelina odpowiedzialnością za grzech pierworodny, który niebawale obniżył zwłaszcza wartość armii francuskiej, mianowicie za skrócenie w 1928 roku

obowiązkowej służby wojskowej do jednego roku. Wszak Gamelin był wówczas tylko dowódcą korpusu w Nancy. Za to zarzuca mu, bodaj słusznie, że później niedostatecznie twardo walczył o cofnięcie tego nieszczęsnego zarządzenia, o zwiększenie obcinanych kredytów i zrealizowanie reform zatwierdzonych jeszcze pod wpływem Weyganda,

- że wołał uzgadniać niż rozkazywać,
- że zaniedbał wzmocnienie artylerii ciężkiej i broni pancerniej,
- że, będąc przeciwnikiem doktryny Douheta, przeszkadzał w rozbudowie lotnictwa bombowego, domagając się przede wszystkim wzmocnienia lotnictwa współpracy i myśliwskiego,
- że był od początku zdecydowanym zwolennikiem fortyfikacji i obrony, działań w otwartym polu obawiał się, a o kontrofensywie myślał tylko po załamaniu uderzenia agresora,
- że był wobec sojuszników nieszczerzy, a w stosunku do współpracy z Sowietami niezdecydowany,
- że przeceniał potencjał brytyjski i, przynajmniej początkowo, także niemiecki,
- że na odrzucenie swych postulatów tylko raz zareagował podaniem się do dymisji, ale nazajutrz to podanie wycofał,
- że nadmiernie (w stosunku do istotnego zagrożenia) dbał o bezpieczeństwo kolonii i rozpraszał swoje siły a dostatecznie ruchliwych odwodów nie wydzielił,
- że w styczniu 1940 fatalnie zreorganizował dowodzenie operacjami,
- że w zwalczaniu demoralizujących skutków *drôle de guerre* ograniczył się do półśrodków,
- że (gwoźli pokrzepienia rządu czy sojuszników) wysuwał tak nierealne koncepcje — jak uderzenie przez Bałkany i na Kaukaz albo zaminowanie Dunaju lub bombardowanie rumuńskiego zagłębia naftowego, natomiast przeciwstawił się brytyjskim planom bombardowania Niemiec lub choćby tylko mostów na Renie,
- że nie umocnił i nie obsadził dostatecznie odcinka Sedan-górna Moza, choć doceniał jego kluczowe znaczenie.

Tę długą litanię zarzutów Goyeta, częściowo już wysuniętych przez innych podczas procesu w Riom, który, jak wiadomo, został przerwany w 1942 decyzją Pétaina, można by jeszcze przedłużyć, ale chyba nie warto. Zwłaszcza, że Gamelin został szefem całości sił zbrojnych dopiero na początku 1938 i że ogłoszenie przez

Belgię neutralności w październiku 1936 niezmiernie utrudniło planowanie, a wpływ Gamelina na rozkręcenie produkcji przemysłu zbrojeniowego mógł być tylko pośredni.

Nie może natomiast ulegać wątpliwości, że główna wina za brak reakcji na *wkroczenie „Wehrmachtu” do strefy zdemilitaryzowanej w marcu 1936* obarcza (obok Londynu, a zwłaszcza Edena) Gamelina. Była to — jak sam Gamelin przyznaje — ostatnia okazja do okiełznania hitlerowskiej bestii — prawdopodobnie bez wojny, do której III-cia Rzesza wówczas jeszcze nie była zdolna, choć już w 1934 rozpoczęła trojenie ilości dywizji a w rok później wprowadziła obowiązkową służbę wojskową. „Wehrmacht” miała wprowadzić wówczas już 29 dywizji, częściowo jeszcze się organizujących, ale rezerwowych jednostek tworzyć nie mogła, a jej siły powietrzne i morskie były ilościowo i jakościowo słabe. Choć do strefy zdemilitaryzowanej wkroczyło zaledwie 19 baonów piechoty i 13 dyonów artylerii, które miały natychmiast się wycofać, gdyby w odpowiedzi wkroczyły choćby słabe oddziały francuskie, Gamelin liczył się tylko z dojściem do wojny, która (w razie niedołączenia sojuszników) mogłaby się przeciągnąć i źle dla Francji skończyć. Wobec tego zażądał wstępnej mobilizacji. Traktując paramilitarne i policyjne jednostki hitlerowskie niemal na równi z wojskiem regularnym, wypowiedział się przeciw obsadzeniu Kehl i Saarbrücken, sugerowanemu przez premiera Sarrauta, a za tymczasowym wejściem do Luksemburgu, o ile jego rząd się zgodzi. Nie dziwi, że po długich naradach rząd zrezygnował z wojskowej interwencji, jako kosztownej i rzekomo ryzykownej. Zwłaszcza, że Londyn nie chciał do niej dołączyć a Eden wysunął kompromisowe rozwiązanie, które Hitler, już usztwytniony, odrzucił. Tak samo jak potępiającą rezolucję Ligi Narodów. Że to bezkarne (mimo pozytywnej dla Francji deklaracji Warszawy) obsadzenie strefy zdemilitaryzowanej rozzuchwiliło Hitlera do reszty i niemieckie zbrojenia bardzo ułatwiło, dodawać nie potrzeba.

Toteż sytuacja strategiczna Francji była w chwili *Anschlusu* Austrii w marcu 1938 daleko gorsza. Wprawdzie przygotowywanie dywizji rezerwowych „Wehrmachtu” dopiero się zaczynało, ale wojsko regularne składało się już z 38 dywizji piechoty i 3 dywizji pancernych, niemiecki przemysł zbrojeniowy rozkręcił się na dobre i budowa umocnionej linii Siegfrieda była już zaanwan-sowana. Reakcja Gamelina na to nowe bezprawie ograniczyła się do wzmocnienia osłony i ulepszenia linii Maginota. Wobec biernej postawy Wielkiej Brytanii i Włoch oraz braku jakichkolwiek zobowiązań do interwencji zbrojnej nie można się temu dziwić. Dziwić może natomiast kompletne zaskoczenie wkroczeniem, tłumaczone zasięgiem wywiadu tylko po Osnabrück i Augsburg.

Reakcja na zagrożenie Czechosłowacji

Gdy z kolei Hitler zażądał inkorporacji czeskich krajów sudetkich, sytuacja była dla Francji, a w szczególności dla Gamelina, bardziej kłopotliwa i drażliwa. Nie tylko dlatego, że (podług oceny francuskiego Oddziału II) Niemcy rzekomo już mieli 56 dywizji i silniejsze od francuskiego lotnictwo, ale także dlatego, że Francja była związana z Czechosłowacją sojuszem obronnym z 1924 roku a szefowie jej misji wojskowych (zwłaszcza gen. Mittelhauser i ostatni Faucher) odgrywali w Pradze daleko większą rolę niż ich koledzy w Warszawie. Gdy po *Anschlussie* sytuacja strategiczna CSR uległa radykalnemu pogorszeniu, zarówno Gamelin jak szef lotnictwa gen. Vuillemin przedstawiają rządowi możliwości niesienia jej pomocy w bardzo czarnych barwach. Tym bardziej, że ewentualni sojusznicy (Wielka Brytania, Polska, Rumunia i Jugosławia) są bardzo niepewni, lotnictwo francuskie słabe, a linia Siegfrieda i Ren „mogłyby dopiero po pewnym czasie” być forsowane. Na SOS z Pragi w dniu 18 września Gamelin, zaniepokojony jej przygotowaniami do stawienia oporu, przerzuca decyzję na ministra obrony i rząd, radząc na razie tylko wzmocnić osłonę, a na ostry protest gen. Fauchera reaguje naganą i żądaniem, by „spełniał obowiązki francuskiego generała, który winien przypominać Czechom wysiłki Francji, by ich ratować”, choć *de facto* ich nie było. Po Godesbergu Gamelin przedstawia przesadnie w Londynie militarną potęgę Francji i słabizny niemieckie, równocześnie zapewniając Brytyjczyków, że armia czechosłowacka, mająca 30 dywizji, świetne uzbrojenie i silne fortyfikacje, może się bronić długo, o ile wycofa się do Moraw i Słowacji. Zwłaszcza, gdyby w razie interwencji Węgier przyszły z pomocą wojska rumuńskie i jugosłowiańskie, a Sowiety pomagały choćby tylko lotnictwem. 27 września daje „dobre rady” gen. Syrovemu, który przejął przejściowo władzę po Beneszu, interweniuje w Warszawie, by odwieść Polskę od jej zamiaru przyłączenia Zaolzia i nakreśla Daladierowi linię możliwych koncesji terenowych wobec Niemiec i Węgier, bo koncesji na rzecz Polski nie popiera.

Oczywiście nie do Gamelina należała ostateczna decyzja, ale jego naświetlenie sytuacji i stanowisko Londynu ją poniekąd narzuciło. Czy w razie zdecydowanej postawy Francji i uzyskania jej pomocy Czechosłowacy stawiliby opór, nie wiadomo. Może odnośne wątpliwości odegrały także rolę w niespełnieniu zobowiązań sojuszniczych. Z pewnością większą niż rzekome znalezienie się Polski w przeciwnym obozie. Tak czy inaczej doszło do monachijskiej kapitulacji, a w pół roku później do ujarzmienia reszty

Czechosłowacji i całkowitego okrażenia Polski, która — wbrew ocenie Gamelina — bynajmniej nie przeszła do obozu przeciwnego próbując uchronić Cieszyn, Karwinę, Trzynieć i nawet Bogumin przed inkorporacją do III-ciej Rzeszy. Jak głęboki uraz do mocarstw zachodnich, a zwłaszcza do Francji sojuszniczej, pozostawiło Monachium w masach czechosłowackich, dowodzą przytoczone przez Goyeta meldunki gen. Fauchera i głosy czeskiej prasy.

Stosunek gen. Gamelina do Polski

Gdy Gamelin objął po gen. Weygandzie inspektorat generalny wojska, zawarty w 1921 sojusz polsko-francuski był niemal tylko fasadą zasłaniającą pustkę. Zwłaszcza po wyjeździe wojskowej misji francuskiej z Warszawy w 1928 roku. Istniała wprawdzie, zresztą nie całkowita, współpraca wywiadów i kontynuowano wizyty i staże, ale współpracy operacyjnej nie było. Stan ten był spowodowany przez obie strony, a nie tylko — jak pisze Gamelin — przez zbyt samodzielne nastawienie marszałka Piłsudskiego. Wszak, jak stwierdza Bonnet w pamiętniku „Fin d'une Europe”, sztab francuski szukał (na równi z Quai d'Orsay) nie tylko w Warszawie swojego punktu oparcia i próbował doprowadzić w latach 1927 i 1934 do mniej wiążącej konwencji. Przejściowe ożywienie współpracy nastąpiło dopiero w 1936, gdy na życzenie rządu, zaniepokojonego wzrostem niemieckiej potęgi i czelności, Gamelin udał się do Warszawy a późniejszy marszałek Śmigł rewizytował go po kilku miesiącach w Paryżu. Doszło wówczas nie tylko do udzielenia Polsce pożyczki, ale także do zacieśnienia współpracy, choć zatrzymanie się Śmigłego w Wenecji i utrzymanie się Becka wywołało w Paryżu obawy. Stosunki popsuły się ponownie, gdy Warszawa zażądała Zaolzia, choć jeszcze w maju 1938 Daladier i Bonnet byli (podług Gamelina) zdania, że Praga nie powinna być nieustępliwa także w sprawie Cieszyna. W połowie września Gamelin wysłał list do marszałka Śmigłego — przetrzymany do 29-go przez Noëla i Musseta — w którym próbował odwieść go od „proniemieckiej” polityki Becka i wytknął mu zapomnienie o deklaracjach z 1936 roku, zgodnych z sojuszem. Dotknięty początkowo brakiem odpowiedzi a następnie jej treścią i tonem, Gamelin przesłał jej kopię ministrowi obrony Daladierowi, sugerując, że mimo zarażenia się Śmigłego nastawieniem Becka, wprawdzie nie należy jeszcze umowy zrywać, ale trzeba unikać wszystkiego, co by mogło wywołać w Polsce wrażenie, że Francja szuka jej pomocy, choć jej potencjał militarny

jest wcale poważny i ważny. Zwłaszcza, że współdziałanie Sowietów jeszcze nie jest pewne. Radził także zastanowić się nad tym, czy nie wstrzymać aż do zmiany nastawienia Polski dalszej dla niej pomocy pieniężnej i sprzętowej, która osłabia własne pogotowie. Nieco później zastanawiał się nawet, czy nie należałoby poddać rewizji francuskich sojuszków, zwłaszcza sojuszu z Polską, by nie mieć zobowiązań przerastających możliwości Francji. Przed sudeckim konfliktem takich skrupułów w stosunku do Czechosłowacji nie miał. Że w tym konflikcie rola Francji była daleko ważniejsza i wstydliwsza niż rola Polski, ani Gamelin ani Goyet oczywiście nie przyznają. Goyet przynajmniej przytacza ów inkryminowany list marszałka Śmigłego z 3 października, który m.in. podkreślał, że Polska zgłosiła swoje żądania co do polskiego Zaolzia dopiero, gdy sprawa mniejszości w CSR stała się zagadnieniem międzynarodowym, a Francja w zasadzie zgadzała się na okrojenie obszaru swego sojusznika. Przypomniął również, że współpraca Polski z CSR nie była warunkiem przyznania pożyczki i że nie Polskę trzeba winić za bezkarne zajęcie strefy zdemilitaryzowanej przez Hitlera, bo była gotowa Francji pomóc. Ponadto marszałek Śmigły zapewnił, że podtrzymuje swoje deklaracje z 1936 roku i rozciąga je na każdego sojusznika, który sojuszu nie zrywa.

Goyet wprawdzie nie polemizuje z tymi argumentami, ale wkroczenie Polski tłumaczy sobie jedynie jej nadmierną dumą, krótkowzrocznością i tradycyjnymi kompleksami w stosunku do Francji i Czechosłowacji. O antyniemieckich powstaniach w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku i o ubiegnięciu Niemców w zajęciu Bogumina oczywiście nie wspomina, natomiast wytyka mocarstwu ciągotki Polski do zamorskich kolonii i sterroryzowanie Litwy. Dobrze, że przynajmniej uznaje heroizm Polski i niemożność ufortyfikowania jej bardzo długich granic, doradzanego przez Gamelina, ale ani dla niego ani dla Gamelina Polska nie była „natchnieniem narodów”. Czechosłowacja była im bliższa.

Gdy po zajęciu w marcu 1939 jej jeszcze wolnej części przez wojska niemieckie sytuacja Francji i Polski jeszcze bardziej się pogorszyła, nastąpiło między obu tymi krajami ponowne zbliżenie. Mimo to — jak sam napisał — Gamelin był przeciwny przyjazdowi polskiej delegacji, prowadzonej przez gen. Kasprzyckiego, bo „wolał nie mieć rozmów z Polakami i uściślenia współpracy przed rozmowami ze sztabem sowieckim, albowiem było dla niego jasne, że dłuższy opór Polaków nie był możliwy bez pomocy Rosji”. O tym, że Polska słusznie liczyła nie na rosyjską, lecz francuską pomoc, którą jej następnie przyobiecał, oczywiście nie wspomina.

Autor omawianej książki nie przedstawia przebiegu owych majowych rokowań wyczerpująco i całkiem ściśle, jednak piętnuje dostatecznie wybiegi, kruczki i dwuznaczne sformułowania Gamelina oraz jego niezgodną ze zobowiązaniami instrukcję z 31 maja dla gen. Georgesa, dowódcy frontu północno-wschodniego. Myli się jednak, twierdząc, że równoległa umowa polityczna, opracowana przez Bonneta i ambasadora Łukasiewicza, nigdy nie weszła w życie, wobec czego umowa wojskowa formalnie nie zobowiązywała, bo owa umowa polityczna została ostatecznie 4 września przyjęta. Goyet mimo to piętnuje niewykonanie zobowiązań Gamelina po ostatecznym wejściu Francji do wojny, przypominając, że zamiast odciążającego uderzenia „większości sił francuskich”, które miało nastąpić 15 dnia mobilizacji, a więc 15 września, Gamelin kazał już 9 września zatrzymać oczyszczanie przedpola linii Siegfrieda a 21 września je opróżnić, nie mówiąc już o cofnięciu po kilku godzinach rozkazu podjęcia bombardowań lotniczych nawet w razie niedołączenia lotnictwa brytyjskiego. Mimo ówczesnej słabości zarówno naziemnych jak powietrznych sił niemieckich na froncie zachodnim oraz niewykończenia linii Siegfrieda! Wystarczy przypomnieć, że tamtejsze trzy armie niemieckie składały się jeszcze 9 września z zaledwie 7 do 11 regularnych oraz 20 rezerwowych i fortecznych dywizji piechoty i mogły być wzmocnione do połowy października tylko przez kilkanaście dywizji III-ciej fali. Nie było tam ani jednej dywizji pancernej, lekkiej czy zmotoryzowanej a dywizje przerzucane z Polski po zakończeniu kampanii mogły dopiero w drugiej połowie października wejść do akcji. Przewaga francuska była więc do tego czasu ogromna i nie groziło obejście ani przez Belgię ani przez Szwajcarię. Gamelin nie wykorzystał tej przejściowej przewagi bądź dlatego, że niewzruszenie wierzył w przewagę defensywy, bądź dlatego, że przeceniał odporność umocnień niemieckich (o forsowaniu Renu w ogóle nie myślał), może dlatego, że nie dowierzał bojowości żołnierza i lotnika francuskiego. Tak czy inaczej nawet nie próbował wykorzystać tej jedynej okazji do odciążenia Polski i podniesienia sukcesami nastrojów we francuskich siłach zbrojnych i masach. Na początku listopada Niemcy mieli na zachodzie już około 80 dywizji, a w kwietniu nawet 138 oraz rzekomo 6.000 do 7.000 czołgów i około 5.000 samolotów. Gamelin wołał biernie czekać na to nieuchronne odwrócenie stosunku sił, szczególnie groźne w broni pancernej i lotnictwie, które Niemcy potrafili śmiało i celowo wykorzystać, jak wykazała to już kampania w Polsce. Ta jego bierność prawdopodobnie skłoniła Sowiety do przyspieszenia wkroczenia do Polski i — co dla Francji ważniejsze — naraziła ją i jej zachodnich sojuszników na wojnę manewrową,

do której ich wojska nie były przygotowane sprzętowo, psychicznie ani taktycznie. Na domiar złego długa *drôle de guerre* zdemoralizowała zwłaszcza francuskiego żołnierza zaś doświadczenia z kampanii wrześnieowej nie zostały wykorzystane — jako „nie-miarodajne”.

Neutralność Belgii niewątpliwie skomplikowała położenie i możliwości Gamelina, ale w stopniu nie mniejszym skomplikowała je jego nadmierna przezorność, która doprowadziła do tego, że jeszcze w maju 1940 trzymał aż 24 dywizje z dala od przeciwniemieckiego frontu w Europie, Afryce i Indochinach (a w potężnej linii Maginota na południe od Sedanu uwięził 39 dywizji, gdy Niemcy mieli na tym odcinku zaledwie 20 dywizji drugorzędnych). Nie małą rolę odegrała także nieuporządkowana zależność dowództw sojuszniczych armii i dwutorowość francuskiego dowództwa.

W swym trzytomowym dziele „Servir” Gamelin nie tylko nie przyznaje się niemal do żadnej winy, ale ją w sposób elokwentny i częściowo kazuistyczny przerzuca na innych dowódców wojskowych i cywilnych, na sojuszników, na kadre — zwłaszcza rezerwową, na prasę, na szkoły, na pacyfistycznych polityków itd.

Autor omawianej książki idzie jednak, moim zdaniem, w swoich zarzutach pod adresem Gamelina za daleko, obarczając go niemal pełną odpowiedzialnością przynajmniej za katastrofę Francji, bo za pozostawienie Czechosłowacji i Polski ich tragicznemu losowi wini go tylko częściowo i dość powściągliwie. „Tajemnicy Gamelina” mimo dociekliwości nie wyjaśnił całkowicie, choć słusznie widzi w nim (za Reynaudem) wybitnego „profesora” a najważniejszych cech wodza mu raczej odmawia.

Kazimierz GLABISZ

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 11 stycznia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pp. Józef Kermisz i Szmul Krakowski jeszcze raz podnoszą w liście swym w *Zeszytach Historycznych*, Nr 34/1975, str. 230 ten sam zarzut dysproporcji pomiędzy rzekomo dużymi ilościami broni w tajnych arsenałach Armii Krajowej a znikomymi ilościami broni przekazanej dla potrzeb getta warszawskiego, który postawili w swym komentarzu do wydanego w Jerozolimie w roku 1974 angielskiego przekładu książki Emanuela Ringelbluma „Stosunki polsko-żydowskie w czasie II-ej wojny światowej”, str. 172-173. Nawiązując do mego listu w *Zeszytach Historycznych*, Nr 32/1975, zapytują oni: „Jakież to były proporcje, nawet jeśli się uwzględni wszystkie zastrzeżenia i wyjaśnienia zawarte w liście Ciołkosza?”. Otóż rzecz w tym, że Kermisz i Krakowski nie uwzględnili poczynionych przeze mnie zastrzeżeń i wyjaśnień. Trzymają się wciąż stron 324-325 tomu III publikacji „Polskie Siły Zbrojne w II-ej wojnie światowej” i w żaden sposób nie chcą uwzględnić wyjaśnień, jakimi dowódca Armii Krajowej zaopatrzył swój meldunek organizacyjny Nr 190 za czas od 1 września 1942 do 1 marca 1943, a więc na krótko przed powstaniem getta warszawskiego. Wyjaśnienia te można znaleźć na str. 326 tej samej publikacji. Określały one ilości broni podane w tabeli jako nieściśle dla trzech przyczyn: 1) gdyż skontrolowanie w terenie posiadanego stanu broni jest bardzo trudne, a czasem niemożliwe, 2) z wykazanej broni zaledwie 30 % jest należycie przechowywane i konserwowane, zaś z pozostałej ilości znaczna część jest niezdatną do użytku, 3) wartość prowadzonej w ewidencji amunicji po kilkoletnim przechowywaniu — przeważnie w warunkach nieodpowiednich — może okazać się problematyczna. Wyjaśnienia dowódcy AK przytoczyłem dosłownie w mej pracy „Broń dla getta Warszawy”, *Zeszyty Historyczne*, Nr 15/1969, str. 28 i powtórzyłem w mym liście w *Zeszytach Historycznych*, Nr 32/1975, str. 227, w którym polemizowałem z komentarzami Kermisza i Krakowskiego. Lecz Kermisz i Krakowski wyjaśnienia te uparczywie ignorują, co więcej, utrzymują, że gniew mój na nich jest „absolutnie nie na miejscu”. Owszem, jest i będzie na miejscu, dopóki nie pogodzą się oni z faktem istnienia przytoczonych przeze mnie wyjaśnień dowódcy AK i nie skonfrontują z nimi swych oskarżeń.

Na zarzut: „Ciekawe, że p. Ciołkosz wcześniej nie opublikował swoich zastrzeżeń do artykułu Mitkiewicza” zauważam, że nie ciąży na mnie obowiązek sprawdzania wszystkich publikacji i prostowania wszystkich po-

myłek, popełnionych przez autorów, piszących na temat walki getta warszawskiego; obowiązek ten ciąży raczej na „Jad Waszem” w Jerozolimie. Zastrzeżenia co do artykułu gen. Mitkiewicza w *Zeszytach Historycznych*, Nr 1/1962, str. 113, opublikowałem dopiero wtedy, gdy Karmisz i Krakowski powołał się na ten artykuł jako rzekomo świadczący przeciwko mnie, zaś uwagami Kermisza i Krakowskiego musiałem się zająć, gdyż zarzucili mej pracy „Broń dla getta Warszawy” fałszywą argumentację, zarzut bardzo poważny. Argumentacja moja nie była fałszywa, natomiast nadal twierdzę, że pp. Kermisz i Krakowski w ogóle nie widzieli i nie czytali ani mej pracy „Broń dla getta Warszawy” ani też tomu III „Polskich Sił Zbrojnych w II-iej wojnie światowej”, chociaż się na jedno i drugie powołują. Gdyby je czytali, musieliby uwzględnić uwagi dowódcy Armii Krajowej co do ilości broni i amunicji, pozostającej w rozporządzeniu Armii Krajowej. Skoro tego nie uczynili, zasłużyli sobie na postawiony im przeze mnie zarzut stosowania metody polemiki, niezgodnej nie tylko z regułami pracy historyczno-naukowej, ale nawet z rzetelnością pisarską i respektem dla czytelników.

Kończąc, podtrzymuję raz jeszcze wszystko, co napisałem w mej pracy „Broń dla getta Warszawy”, każde słowo i każdą literę.

Łączę wyrazy uszanowania,

Adam CIOŁKOSZ



Waszyngton, 18 listopada 1975.

Drogi Panie Redaktorze!

We wspomnieniach Emila Jerzego Czerniawskiego „Z mojej służby w Belwederze” (*Zeszyty Historyczne* Nr 33-ci z 1975 r.) zostało parokrotnie wymienione nazwisko dowódcy Kompanii Przybocznej Naczelnika Państwa, kapitana Adama Nebelskiego (str. 165 i 168).

Sądząc, że czytelników tych ciekawych wspomnień zainteresuje wiadomość, zresztą smutna, że Adam Nebelski został zabrany przez Gestapo w nocy ze swego mieszkania w oficynie Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, róg Nowego Świata i Alei Jerozolimskich irozstrzelany w ruinach getta w dniu 29 maja 1943, zaś ciało jego spalone. Potwierdza to Władysław Bartoszewski w swej książce „Warszawski pierścień śmierci”, Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1970, str. 266.

Łączę serdeczny uścisk dłoni,

Stefan KORBOŃSKI

POST SCRIPTUM

Tylko co ukazały się na półkach księgarskich w Stanach Zjednoczonych wspomnienia Averell’a Harrimana pt. „Special Envoy to Churchill and Stalin 1941-1946”, w których Harriman, ambasador amerykański w Moskwie w tych latach, stwierdza dosłownie, co następuje, pisząc o sobie w trzeciej osobie:

(Str. 348) „W dniu 23 września (1944 ? dodatek mój), gdy Harriman i Clark Kerr spotkali się ze Stalinem, tenże przyznał chociaż z opóźnieniem, że powstańcy warszawscy mieli mimo wszystko ważny powód, by powstać przeciwko Niemcom, i po raz pierwszy okazał nieco dla nich sympatii.

Stwierdził on, że teraz się rozumie, dlaczego Powstanie wybuchło przedwcześnie. Niemcy zagrozili, że na wypadek zbliżania się armii sowieckiej

deportują z Warszawy całą męską ludność. Wówczas stało się koniecznością chwycenie przez mężczyzn za broń i walka. Nie mieli innego wyboru, gdyż tak czy inaczej groziła im śmierć”.

(Str. 535) „Po przeszło siedmiu tygodniach potępienia Powstania Warszawskiego i odmawiania mu jakiegokolwiek pomocy, dokonał (Stalin — dopisek mój) wstrząsającego przyznania, że mimo wszystko Polacy mieli ważny powód, by powstać przeciw Niemcom”.

Tym sensacyjnym oświadczeniem, mimo przytoczenia tylko jednego motywu, przekreślił jednak Stalin wszelkie zarzuty sowieckie przeciwko wybuchowi Powstania Warszawskiego. Decyzja rozpoczęcia tego powstania doznała spóźnionego o trzydzieści lat poparcia z najmniej oczekiwanej strony.

Stefan KORBOŃSKI

Londyn, 16 grudnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu drukowane były pamiętniki Wiktora Tomira Drymmera. Kapitan Drymmer, oficer służby stałej, przydzielony był po zamachu majowym z 1926 do ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie zrazu pełnił funkcje naczelnika wydziału personalnego, a potem był dyrektorem departamentu konsularnego.

Na stronie 60-tej *Zeszytów Historycznych* z 1975, nr 31-szy, Drymmer zarzuca mi w sposób jemu właściwy, tj. odruchowo, bez sprawdzenia i bez znajomości rzeczy, jakoby w jakimś „nieuczciwym” ataku oskarżył przedwojenne MSZ o pozostawienie akt ministerstwa, które dostały się w ręce Sowietów. To ostatnie zdanie, przytoczone dosłownie, zaopatrzone zostało w wykrzyknik i znak zapytania.

Drymmer pisze o „jakimś” moim ataku. Z powołania się Drymmera na list b. starosty krzemienieckiego Zauffala do *Tygodnia Polskiego* wnioskuję, że Drymmerowi szło o mój artykuł „Sowiety grały na dwie strony” w *Tygodniu Polskim* z 1 września 1962. Artykuł dotyczył opublikowania przez warszawskie *Sprawy Międzynarodowe* moich dwóch tajnych raportów z Berlina, jeden z rozmowy z chargé d'affaires sowieckim Astachowem z 9 czerwca 1939, drugi z rozmowy z ambasadorem brytyjskim Hendenrsonem z 8 sierpnia 1939. W artykule rozważając sprawę autentyczności opublikowanych raportów wspominałem, że tajne akta ambasady berlińskiej odesłaliśmy przed samą wojną do MSZ i że archiwa ministerstwa wyewakuowane do Krzemienia dostały się widocznie do rąk Sowietów, które po wojnie mogły je przekazać Warszawie. Poza tym w artykule nie ma nic więcej ani o MSZ, ani o jego aktach.

Były starosta krzemieniecki Zauffal w liście do *Tygodnia Polskiego* z 15 września 1962 oświadczył, że 17 września 1939, tj. w dniu wkroczenia Sowietów do Polski, wydał polecenie spalania akt MSZ znajdujących się w szkole leśnej niedaleko Krzemienia i że mu meldowano, iż akta zostały spalane. Nie kwestionowałem i nie kwestionuję, że tak było, ale pozostaje fakt, iż akta MSZ, w każdym razie ich część dotycząca ambasady w Berlinie, dostały się do rąk Sowietów, które po wojnie przekazały je Warszawie. Obecnie istnieje w archiwach warszawskich osobny dział z aktami przedwojennego MSZ.

Nie mogę wobec nieżyjącego zareagować na zarzut nieuczciwości tak, jak bym to zrobił wobec żyjącego. Ale skoro zarzut Drymmera pojawił się w *Zeszytach Historycznych*, które mogą służyć do ustalania prawdy historycznej, to muszę stwierdzić, że lekkomyślny zarzut autora pamiętników

mija się z prawdą. Podobnie zresztą jak z prawdą mija się wiele rzeczy opisanych w pamiętniku.

Sądzę, że ogłoszenie w *Zeszytach Historycznych* mego sprostowania, wraz z inkryminowanym moim artykułem, będzie najlepszym sposobem wyjaśnienia sprawy.

W załączeniu artykuł z 1 września 1962*.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Stefan LUBOMIRSKI

* Z braku miejsca artykułu nie możemy przedrukować (Red.).

SPIS TREŚCI

Piotr Wandycz: <i>MSZ w okresie międzywojennym</i>	3
Bronisław Łokaj: <i>Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946</i>	7
Józef Garliński: <i>W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni</i>	64

WSPOMNIENIA

Bogusław Miedziński: <i>Moje wspomnienia</i> (3)	85
Józef Jaklicz: <i>Żołnierz 2-iej Rzeczypospolitej</i>	127
Richard A. Wojtak: <i>Wywiad z litewskim Wodzem Naczelnym gen. Stasys'em Raštikis'em</i> (ur. 1896)	168
Kazimierz Okulicz: <i>Kilka uwag do wywiadu</i>	173

W OBCYCH OCZACH

Dominique Desanti: <i>Polska... początek wszystkiego</i>	181
---	-----

RECENZJE

Kazimierz Głabisz: <i>Krytyczna monografia o gen. Gamelin</i>	227
---	-----

LISTY DO REDAKCJI

Adam Ciołkosz: <i>List do Redakcji</i> w odpowiedzi na zarzuty pp. J. Kermisza i Sz. Krakowskiego w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 34	236
Stefan Korboński: <i>List do Redakcji</i> w związku ze Wspomnieniami Emila Czerniawskiego (<i>Zeszyt Historyczny</i> Nr 33) oraz <i>Post Scriptum</i> — na marginesie książki Averella Harrimana „Special Envoy to Churchill and Stalin”	237
Stefan Lubomirski: <i>List do Redakcji</i> w odpowiedzi na listy St. Korbońskiego i P. Sieranta w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 34	238

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPŃIA I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 95,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 80,00.